

NINA NIEWCZAS

AMBASADOROWA

dla•czemu

Edyta Włoszek

AMBASADOROWA

dla•czemu

Redakcja i korekta
Beata Wojciechowska-Dudek

Zdjęcie okładkowe
Adam Wilhelm
Kapelusz z okładki – kolekcja Hat Hat

Skład, projekt graficzny i przygotowanie do druku
Dawid Chabior

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych,
odtworzenie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie
w wystąpieniach publicznych – za wyjątkiem recenzji –
tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw autorskich

ISBN: 978-83-947251-8-1

Warszawa 2017

Wydawnictwo książkowe:
Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

dla•czemu
www.dlaczemu.pl

ul. Encyklopedyczna 2a / 5, 01-990 Warszawa

Konwersja do wydania elektronicznego
P.O. OPCJA

Takiego bajzlu nigdy nie zobaczyłabyś u mnie wcześniej, bo ja na szmacie jeździłam trzy razy dziennie! Byłam kiedyś niesamowitą pedantką. Nauczyłam się tego w rodzinnym domu, gdzie do tej pory parkiet nie jest lakierowany, tylko pastowany, i nie wolno chodzić po nim boso, bo zostają wilgotne plamy.

Kiedyś wydawało mi się, że tak być powinno. Ale po tym wszystkim postanowiłam to zmienić. Dom jest po to, żeby w nim żyć. I będzie bałagan, i nie będę jeździła na szmacie, i nie będę męczyła moich dzieci, żeby nie dotykały ścian, bo zostaną ślady! I wszyscy chodzimy boso...

Zanim

Matka przemierzała pokój pewnym krokiem. Suknia ze sztucznego jedwabiu w kolorze écru układała się na niej doskonale. Gładki gorset mocno przylegał do całkiem jeszcze zgrabnej sylwetki, delikatnie wypychając pełne piersi ku górze i odsłaniając prostą linię ramion. W talii formował mocne przewężenie, a obfity dół, ozdobiony na całej powierzchni wyrazistym haftem, spływał aż do ziemi.

– No i jak wyglądam? – rzuciła w moją stronę.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie musiałam jednak nic mówić, bo wiedziałyśmy to obie. Moja matka w mojej sukni ślubnej wyglądała lepiej ode mnie.

Styczniowe, sobotnie przedpołudnie było tak wietrzne, że w kuchni po raz kolejny stuknęła o podłogę plastikowa kratka wentylacyjna. Hałas wyrwał mnie z zamyślenia, gdy zahipnotyzowana gapiłam się, jak wiatr za oknem bawi się wysokimi na cztery piętra brzożami.

– Nie wiem, czy jest sens, żebyś w ogóle jechała. Sama zobacz, co dzieje się na dworze! – usłyszałam podniesiony głos matki. – Wieje jak diabli, a za chwilę pewnie jeszcze się rozpada. Ewa, słyszysz?! Do ciebie mówię!

– Dlaczego mam nie jechać? – zapytałam, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od nagich gałęzi, które wiatr z łatwością przyginał bezlitośnie do ziemi.

– Bo przy takim wietrze całe to uczesanie szlag trafi, zanim do domu wrócisz! – odpowiedziała z wyraźną irytacją.

– To co? Mam czesać się sama? – Jej rozdrażnienie udzieliło mi się. – Po co w takim razie spędziłam wczoraj te trzy godziny u pani Krysi?

– Czy ja mówię, że masz nie jechać? – mówiła coraz bardziej wzburzona. – Tylko ta beznadziejna pogoda! A cały tydzień było tak ładnie! Sukienka zrobi się szara, jeszcze zanim wysiądziesz z samochodu...

Podeszła do wieszaka zaczepionego o framugę drzwi i z czułością zaczęła wygładzać fałdki na materiale sukni, która jeszcze nie wiedziała, co czeka ją na zewnątrz.

– Postaram się jej nie ubrudzić. – Usiłowałam ją uspokoić. – Mamo, nic nie poradzisz. Na pogodę nie masz wpływu.

– Właśnie! Nie mam! – wybuchnęła, nie dając mi dokończyć.

Tak. Moja matka Elżbieta Winiarska wściekała się, bo pogoda tego dnia zupełnie ją zawiodła. Ta sobota mogła być wyżowa, słoneczna, z siarczystym mrozem, jaki trzymał jeszcze dzień wcześniej. Albo mogło sypnąć śniegiem i przysłonić niezbyt atrakcyjną o tej porze roku powierzchność miasta.

Tymczasem wiało i lało – wariant najgorszy z możliwych. Nie mogła mieć na to żadnego wpływu i właśnie ten fakt bolał ją najbardziej.

Już miałam na końcu języka zgrabny frazes o bezradności wobec sił natury, gdy odwróciła się od wieszaka i w jednej chwili zupełnie się rozchmurzyła.

– Trudno. W takim razie na pocieszenie przymierzę teraz twoją suknię.

– Suknię? – powtórzyłam, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

Stała przy wieszaku z figlarną miną i w końcu do mnie dotarło. Nie dowierzałam.

– Chcesz przymierzyć moją ślubną suknię? – usłyszałam swój podniesiony głos.

Czekałam, aż roześmieje się i powie, że nie mówi poważnie, że to taki jej żart, a ja jak zwykle zupełnie nie mam poczucia humoru.

– A co w tym złego? – zapytała, rozwiązując pasek od satynowego szlafroka w anioły, który miała na sobie od rana.

Zwyczajnie mnie zatkało. Jak bowiem wyjaśnić, co jest nie tak w tym, że matka mierzy ślubną suknię swojej córki w dniu jej ślubu?

Ta jedna, jedyna kiecka czekała na mnie w przezroczystym, foliowym pokrowcu od ponad trzech tygodni. Miałam ją na sobie tylko podczas przymiarek w salonie, a potem odwiesiłam do garderoby. Patrzyłam na nią codziennie i nie raz miałam ochotę ją założyć, ale postanowiłam, że wytrwam, oprę się pokusom i w sukience wystąpię uroczystie dopiero w dniu ślubu. Stanę przed

lustrem piękna i gotowa, bo cokolwiek później się wydarzy, zachowam w sobie na całe życie ten idealny obraz panny młodej.

– Ewa, włożę tylko na chwilę. Co w tym złego? – powtórzyła i gdy ja biłam się z myślami, ona zdjęła szlafrok i zniknęła w fałdach materiału.

Ogarnęła mnie bezsilność.

– Mamo... – jęknęłam.

Nie odpowiedziała. Puściła do mnie oko, żeby do mojej świadomości dotarło w końcu, jak fajnie razem się bawimy. A potem poprosiła przymilnie: – Zasznurowuj mi gorset, bo sama nie dam rady.

Wiedziałam, że nie ma sensu się sprzeciwiać: matki nic nie powstrzyma. Wstałam więc niechętnie od parapetu i podeszłam do niej. Chwyciłam za sznurki, które miały przecież opiąć moje żebra, i zawiązałam je w luźny supeł.

– Wiesz, wydaje mi się, że ten gorset leży na mnie nawet lepiej niż na tobie. Trzeba mieć piersi do takiego fasonu. – Ustawiała się przed lustrem to jednym, to drugim profilem. – Ale jak ty zawiązałaś?! Ściśnij porządnie, bo luźno leży i nie mam prawie wcale talii! – zbesztła mnie ostro.

Ściągnęłam sznurki tak mocno, aż pozostawiły mi na rękach czerwone bruzdy.

– Teraz jest jak trzeba! Jeszcze tylko szpilki – powiedziała z satysfakcją.

Patrzyłam na nią z żalem i jednocześnie z zazdrością. Suknia ze sztucznego jedwabiu w kolorze écru układała się na niej doskonale. Gładki gorset mocno przylegał do jej całkiem jeszcze

zgrabnej sylwetki, delikatnie wypychając pełne piersi ku górze i odsłaniając prostą linię ramion. W talii formował mocne przewężenie, a obfity dół, ozdobiony na całej powierzchni wyrazistym haftem, spływał do ziemi.

Moja matka w mojej sukni ślubnej wyglądała lepiej ode mnie. Wiedziałyśmy to obie. Patrzyłam na jej triumf.

Czy o to jej chodziło? – pytałam siebie, widząc, jak przechadza się pewnie po pokoju.

Poczułam, że oczy mi wilgotnieją, więc zacisnęłam mocno powieki. Prawie po omacku wróciłam do swojego parapetu. Staralam się nie myśleć, nie czuć i w czasie, gdy ona stukała po podłodze moimi ślubnymi obcasami, ja resztkami sił broniłam się, by nie dołączyć do zawodzącego wiatru za oknem.

– Ewuniu – usłyszałam w końcu przytłumiony głos ojca i ciche pukanie w drzwi, chociaż wcale nie były zamknięte.

Rozluźniłam powieki i zobaczyłam, jak najpierw nieśmiało wsunął głowę, a potem wszedł powoli do pokoju.

– Jeśli mamy zdążyć, za jakieś dwadzieścia minut musimy wychodzić. Pogoda jest... – Urwał w pół zdania zaskoczony tym, co zobaczył.

Matka wypłynęła na środek pokoju i zrobiła dworski ukłon w jego stronę.

– Janusz, powiedz, jak wyglądam? – Obróciła się powoli, po czym położyła mu rękę na ramieniu i zajrzała filuternie w oczy. – No co? Podobam ci się?

Cisza. Wpatrywał się w nią, próbując zorientować się, co się dzieje. Czekałam na jego reakcję, ale milczał. Sekundy ciągnęły

się w nieskończoność. Widok matki najwyraźniej wprawił go w osłupienie. Czulałam, że jesteśmy solidarni w ocenie nietaktu, na jaki sobie pozwoliła.

Co jej powie? – niecierpliwiłam się. Czekałam, jakimi słowami ją zgani, ale on milczał. Nie mógł wydobyć z siebie słowa i w końcu dotarło do mnie dlaczego. Nie był w stanie nic jej powiedzieć, bo w spojrzeniu mojego siedemdziesięcioletniego prawie ojca wyczytałam tylko fascynację i zachwyt.

– No, co tak stoisz?! – Matka straciła cierpliwość. – Powiedz coś wreszcie. Podoba ci się żona?

– Taaak... bardzo... – wycedził, nie odrywając od niej wzroku. – Tylko nie wiem... nie wiem, czy to dobrze wróży pannie młodej... – dopowiedział niepewnie.

– Co?! Co ty opowiadasz? Chłop po studiach, a takie głupoty mówi! To chyba jakieś twoje wiejskie przesady! Przyznaj się, ty od dzieciństwa nie możesz się z nich wyleczyć!

– Elżbieto, Ewa po prostu może czuć się niezręcznie...

Ojcu najwidoczniej wracała jasność umysłu, ale nie miałam złudzeń, jaki będzie ciąg dalszy.

– Ona nie potrzebuje adwokata! Sama powiedziałaaby mi, gdyby miała coś przeciwko temu, prawda, Ewo? – Spojrzała na mnie pytająco.

Znowu manipulowała, wciągając mnie w swoją grę, jak przez te wszystkie dwadzieścia sześć lat. Patrzyła na mnie na pozór spokojnie, z zastygłym oczekiwaniem na twarzy, ale jej nerwowe nozdrza mówiły same za siebie.

– Ewa, odezwij się. Może dla ciebie to też stanowi taki problem,

jak dla ojca?! – Pomogła sobie, wymachując rękami nad głową. – No niech ktoś mi powie w końcu, o co to całe zamieszanie?!

Czekałam na wypracowaną od dziecka reakcję obronną. Wiedziałam, że gdy przyjdzie zobojętnienie, nie będzie już ani żalu, ani łez. Emocje ustąpią w końcu miejsca otępieniu. Powoli odcinałam się więc od całej tej sytuacji. Patrzyłam na matkę i ojca jak na dwoje obcych ludzi. Gdy już nie czułam ryzyka, że się rozplacę, wstałam i powiedziałam:

– Dla mnie możesz chodzić w tej sukience do woli. W końcu tak naprawdę to twój ślub, a ja tu tylko wychodzę za mąż. – Po czym zwróciłam się do ojca: – Idę pod prysznic i za piętnaście minut będę gotowa.

„U Krysi” oprócz mnie pojawiły się jeszcze dwie inne panny młode. Właścicielka rozsadzała nas w biegu: ta na mycie, ta na termoloki. Zauważyłam, że wiatr zmierzwił mocno wierzchnią warstwę jej okazałego koka i wysunęły się spod niej sterczące, krótkie kosmyki płowych włosów. Dotarło do mnie w jednej chwili, że bujne, nieodmiennie w kolorze złotego blondu włosy to żaden dar natury, tylko zmyślna manipulacja właścicielki, przemyślana jako najlepsza wizytówka zakładu.

Pomimo pewnie już szóstego krzyżyka naiwnie widziałam w niej ciągle tę samą, młodą fryzjerkę matki, do której w wieku pięciu lat poszłam po raz pierwszy. Wtedy wyczarowała na mojej głowie takiego pazia, że dopiero po tygodniu łaskawie zgodziłam się umyć głowę. Z sentymentu do tego wspomnienia stałam się

wierna pani Krysi i dlatego to właśnie jej dałam przyzwolenie na ułożenie moich naturalnie zmierzwionych włosów w wysoki kok, na którym niebawem miał osiąść dwuwarstwowy welon.

Gdy tkwiłam przed lustrem ze strąkami wilgotnych włosów, dostrzegłam odbicie ojca. Siedział samotnie na jednym z pięciu krzeseł, ustawionych rzędem wzdłuż przeciwległej, obitej białymi panelami ściany. Z daleka nie mogłam dostrzec wyrazu jego twarzy, bo patrzył przez okno, ale jego szczupła sylwetka wydawała mi się bardziej przygarbiona niż zazwyczaj.

Zarzącał się, że poczeka na mnie na miejscu, mimo że mógłby śmiało przez te dwie godziny planowanych zabiegów fryzjerskich wrócić do domu, a potem po mnie przyjechać. Zastanawiałam się, czy unikał powrotu do matki, czy dręczyło go poczucie winy za swoją reakcję na to, czego był świadkiem w moim pokoju.

Widok matki w mojej sukni ślubnej był wciąż prawie namacalny, a ręce do tej pory piekły mnie od śladów po sznurkach.

„Trzeba mieć piersi do takiego fasonu...” – jej gorzkie słowa wracały do mnie echem. Myślałam, że jako panna młoda będę mieć wyłączność na wszystko, co potem będzie źródłem ciepłych wspomnień z dnia ślubu, tymczasem ona zawłaszczyła sobie to, co miało należeć do mnie.

„Trzeba mieć piersi...”. No tak, przy niej moje walory zawsze blakły. A przecież nie byłam brzydka. W potrójnym lustrze widziałam regularne rysy twarzy, gęste, układające się, kasztanowe włosy i rzęsy, których od zawsze zazdrościły mi

koleżanki. Gdybym wstała, zobaczyłabym odbicie proporcjonalnej, choć niewysokiej sylwetki, tworzącej razem całość na tyle do przyjęcia, że czasem docierało do mnie to, jak bardzo się komuś podobam.

Przy niej jednak zawsze miałam mniejszy biust, masywniejsze łydki, wystające obojczyki i wszystkie inne subtelne mankamenty urody, które precyzyjnie potrafiła mi wypomnieć. Bo, jak bez skrępowania mówiła o sobie, szczerść to jej drugie imię, a uwagi pod adresem rodziny czy znajomych wynikały wyłącznie z jej zamiłowania do mówienia wprost tego, co myśli. Traktowała to jako swego rodzaju powinność i naprawdę Bóg raczy wiedzieć, jakim sposobem udawało się jej sprawić, że ludzie z wdzięcznością przyjmowali tę mocną krytykę.

– Twoja matka jest wyjątkowa – usłyszałam kiedyś od jej przyjaciółki. – W czasach obłudy i zakłamania, kiedy na nikogo nie można już liczyć, ona jako jedyna zawsze powie ci prawdę. Nawet najgorszą.

Czy ten swoisty kodeks uczciwości przyciągał do niej kobiety? Czy za to adorowali ją mężczyźni, którzy na przyjęciach bez wahania odstawiali swoje żony, gdy zaszczyliła ich na chwilę swoją uwagą? Niejednokrotnie na własne oczy widziałam, jak królowała miłościwie na towarzyskich spotkaniach, nie dzieląc się pozycją z nikim. Aż wreszcie w trzeciej klasie szkoły średniej sama boleśnie doświadczyłam jej obsesji w skupianiu na sobie uwagi.

Była późna jesień. Któregoś dnia przyniosła do domu kilka motków liliowego moheru i jeszcze tego samego wieczoru

zabrała się za dzierganie z nich kolejnego swetra. Była prawdziwą mistrzynią w robieniu na drutach. Udawały się jej najtrudniejsze warkocze, ażury czy wzory. Wszystkie oczka jak spod maszyny. Nikt nie wierzył potem, że to ręczna robota.

Nad liliowym moherem siedziała kilka wieczorów, a gdy skończyła, oniemiałam z zachwytu. To był po prostu dziewiarski majstersztyk! Śliczny pulower z reglanowymi rękawami, ozdobiony z przodu i na ramionach rozchodzącymi się w różne strony potrójnymi warkoczami. Wyglądał na mięsisty i ciężki, ale w dotyku był delikatniejszy od kuleczek z waty, których matka używała do wieczornego demakijażu. Najładniejszy ze wszystkich, które do tej pory zrobiła.

Bardzo mi się podobał, a ponieważ za obopólnym przyzwoleniem wymienialiśmy się wcześniej często swoimi ubraniami, któregoś dnia, gdy stroiłam się do szkoły, wzięłam z jej szafy moherowe cudo, nie mając pojęcia, że jeszcze go nie nosiła. W szkole wszystkie dziewczyny z nieskrywaną zazdrością obskoczyły mnie, zachwycając się nim, a nastolatce, rzecz jasna, przyjemnie słuchać takich rzeczy.

Nie wiem, jak dotarło do matki, że „śliczny zrobiła sweterek, w którym Ewa była w szkole”, ale jeszcze tego samego wieczoru tak mnie zrugala, że szybko poszły w zapomnienie koleżeńskie komplementy.

– Jakim prawem pokazałaś się pierwsza w tym swetrze?! Ja go jeszcze nie założyłam, a ty już go nosiłaś! – Słyszałam jak narasta w niej złość. – To ja miałam pierwsza się w nim pokazać! Ja! Rozumiesz to?!

Wtedy nie bardzo rozumiałam. Tym bardziej, że często sama dobierała mi ubrania i zachodziła w głowę, w czym najlepiej będę wyglądać, a potem dumna prezentowała mnie jak drzewko świąteczne i słuchała, jak zbieram pochwały. Czułam wtedy, że nie robi tego dla mnie, ale po to, by usłyszeć kilka soczystych komplementów „jaka jej się śliczna Ewunia udała”. To były nieliczne sytuacje, gdy pozornie pozwalała mi grać pierwsze skrzypce.

Na ogół sprowadzała mnie do drugiego planu. To dlatego właśnie przechadzała się po pokoju pewnym krokiem w mojej sukni, tuż przed moim własnym ślubem.

Sala ślubów urzędu stanu cywilnego znajdowała się w starym budynku z lat sześćdziesiątych. Weszliśmy do obszernego, zimnego przedsionka, gdzie powitało nas znajome wycie wiatru w nieszczelnych oknach. Potraktowałam to jak zły omen. Matka natura rozpaczała nade mną!

On czekał już na mnie wewnątrz, w jasno oświetlonym holu. Wysoki, solidnie zbudowany, w ciemnym, jednorzędowym garniturze, spod którego przepisowo wystawały mankiety białej koszuli, zaopatrzonej pod szyją w kremowy musznik.

To będzie mój mąż – myślałam, idąc w jego stronę z podeksycytowaną matką u boku i jak zwykle powściągliwą Iwoną, która miała być oficjalnym świadkiem mojego zamążpójścia.

Nawet nie wyglądał na jedenaście lat starszego ode mnie. Przynajmniej nie wtedy, z tym łagodnym wyrazem twarzy i

kremowo-białym bukietem z frezji, eustomy i goździków.

– Witaj, moja przyszła żono – przywitał się oficjalnie i objął mnie, przyciskając do siebie.

Dotarł do mnie silny, cytrynowo-ziołowy zapach jego wody kolońskiej i przeszedł mnie dreszcz. Przy jego przewadze fizycznej poczułam się jak krucha, porcelanowa figurka, którą, gdyby chciał, z łatwością mógłby pozbawić ręki czy głowy. Mimowolnie wstrzymałam oddech. Moje ciało potrzebowało czasu, żeby przyzwycząić się do jego obecności.

Rozluźnił uścisk i spojrzał na mnie z wysokości swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrów. W jego grubych okularach odbijały się światła kinkietów imitujących lichtarze i może dlatego jego spojrzenie wydało mi się nagle ciepłe i zachęcające.

– Pięknie wyglądasz, moja mała, naprawdę. – Przesunął ręką po moich plecach aż poniżej lędźwi. – Moja przyszła druga żono, mamy przed sobą niezapomniany dzień. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Dzień dobry, Wiktor! – Wpadła mu w słowo matka.

– O, dzień dobry, Elżbieto! – uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w policzek, omijając brzegi jej szerokiego kapelusza. – W zasadzie mógłbym już do ciebie mówić... Zaraz... Jaka jest wasza polska nazwa...?

– Teściowo?! – odpowiedziała matka z udawanym oburzeniem. – Ani mi się waź!

– Dobrze, zapamiętam. – Udał rozbawionego jej reakcją. – A Janusz? Nie przyjechał?

– Będzie za chwilę, parkuje samochód, ale najwidoczniej

kiepsko mu to idzie. – Uniosła znacząco brwi i machnęła ręką. – A gdzie twój brat? Jest już? – spytała, rozglądając się po holu.

– Tak, zaraz was poznam. Edgars! – krzyknął i wykonał dłonią przywołujący gest. – Chodź do nas!

Spośród grupy zebranych wyłonił się nagle klon Wiktora. Wysoki mężczyzna, który od razu skojarzył mi się z niedźwiedziem wbitym w garnitur. Podszedł do nas zamaszystym krokiem i przedstawił się.

– Edgars Krasts. – Wyciągnął rękę w moją stronę.

– Ewa Winiarska. – Podałam mu swoją i natychmiast poczułam na niej żelazny uścisk.

– Mój brat umie wybierać. – Rzucił mi znaczące spojrzenie. – Opowiadał mi o tobie, więc wiem już prawie wszystko. – Uśmiechnął się tak, że poczułam się dziwnie.

– Elżbieta Winiarska, matka Ewy. – Matka przedstawiła się sama. – A ja niewiele wiem o panu, więc będziemy musieli to nadrobić. A gdzie pana żona?

– Elena nie czuje się najlepiej. Nie mogła przyjechać ze mną. Ale prosiła, żeby wam serdecznie pogratulować.

– Same rozumiecie, w jej stanie to niemożliwe. – Wiktor zrobił znaczącą minę, jakby prosząc, aby przez wzgląd na brata nie ciągnąć tematu bratowej.

– No tak, oczywiście – odpowiedziała matka tonem wtajemniczonej, chociaż wiedziałam, że kompletnie nie wie, o co chodzi z Eleną.

– Pani Ewa Winiarska i pan Wiktor Krasts?! – rozległo się nagle z otwartych, masywnych drzwi na końcu holu.

– Jesteśmy! – Głos Wiktora zagrział donośnie.

– Zapraszam – odpowiedziała z perfekcyjnie wyćwiczonym uśmiechem urzędniczka ze złotym łańcuchem na obfitej piersi.

Odwróciłam się, aby upewnić się, że ojciec już dotarł. Po chwili wyłapałam z tłumu jego łysiejącą głowę, na której poprawiał resztki potarganych włosów. Wiktor podał mi ramię, za nami zgrabnie ustawili się Iwona i Edgars i ruszyliśmy w kierunku jasno oświetlonej sali.

– Świadomy praw i obowiązków wynikających z założenia rodziny uroczyście oświadczam, że wstępuję w związek małżeński z Ewą Winiarską i przyrzekam, że uczynię wszystko, aby nasze małżeństwo było zgodne, szczęśliwe i trwałe – powtarzał Wiktor swoim tubalnym głosem.

I wtedy się rozplakałam. Po prostu nie mogłam się powstrzymać, bo łzy same ciekły mi po policzkach. Płakałam, gdy przysięgał on, i płakałam, gdy przysięgałam ja. Płakałam też potem, przy podpisywaniu dokumentów. Nawet kiedy goście składali nam życzenia, siliłam się na uśmiechy, wciąż płacząc. Widziałam konsternację, a potem rozdrażnienie fotografa, który w pewnym momencie sam podał mi chustkę i ostrzegł, że zdjęcia mogą nie wyjść dobre, bo światło odbija mu się w moich mokrych policzkach.

– Ona jest taka wrażliwa – słyszałam, jak tłumaczy gościom zakłopotana matka.

– Jestem tak szczęśliwa i to dla... te... go... – tłumaczyłam się ja, zapłakana panna młoda.

– To jej pierwszy ślub – musi popłakać – tłumaczył „pan

młody”, robiąc porozumiewawcze oko.

Tylko ojciec nic nie mówił, jedynie wodził za mną szklanymi oczami.

Jechaliśmy po ślubie na weselny obiad do pałacu w Jabłonnej, a szklisty wzrok ojca wciąż mnie prześladował. Wróciła do mnie nasza rozmowa sprzed kilku dni, kiedy namówił mnie na wystawę malarstwa chilijskiego w instytucie hiszpańskim. Przez cały czas był dziwnie spięty, ale dopiero gdy już wyłączył silnik i mieliśmy wysiadać z auta na osiedlowym parkingu, zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć:

– Ewuniu, dziecko, proszę cię, nie rób tego.

– Czego, tato? – Poczułam, że robi mi się gorąco.

– Wiesz czego. Nie wychodź za niego za mąż, proszę cię. Nie rób tego. Nie wiem, jak mam cię przekonywać. Rozumiem, że to twoja decyzja, ale jestem nią przerażony.

No to jest nas dwoje – pomyślałam wtedy. Ojciec rzadko mieszał się w moje prywatne sprawy. Rzadko w ogóle w cokolwiek się mieszał, więc dużo musiało go kosztować to wyznanie.

Siedzieliśmy dalej w milczeniu i czułam, że żadne z nas nie wie, jaki ma być ciąg dalszy. Stopniowo narastała we mnie złość.

Co mi po jego rozpaczy? Nie jest mi do niczego potrzebna! Potrzebuję realnego wsparcia, a nie cichego sojusznika. Zachowaj się raz w życiu jak prawdziwy mężczyzna! Jak prawdziwy ojciec. Twojemu dziecku dzieje się krzywda? Broń je!

– wołałam w duchu.

Po kilku chwilach, gdy uspokoiliam się na tyle, że dałam radę wydobyć z siebie głos, zapytałam cicho:

– Tato, a co twoim zdaniem mam zrobić?

Nie odpowiedział. Spojrzał na mnie zrezygnowany, a potem wychylił się lekko z fotela, spoglądając przez przednią szybę na nasz blok, a dokładnie na duże, rozświetlone okno kuchni, w której musiała kręcić się matka. Nawet z kuchni miała nad nim kontrolę tu, w tym samochodzie, bo osunął się ciężko na fotel i tylko cicho westchnął. No tak, na co mogłam liczyć? Całe lata pod pantoflem żony, która od zawsze była twardym decydentem w naszym domu. Przez prawie trzydzieści lat małżeństwa nigdy nie przeciwstawił się jej. W niczym. Czułam, że mnie kocha i martwi się o mnie, ale w sprawach zasadniczych nie wynikało z tego dla mnie nic. A teraz na dodatek prosił mnie, żebym nie wychodziła za mąż za człowieka, którego ona mi wybrała.

Dalej milczał, a ja czułam się coraz bardziej rozżalona, bo jego prośba utwierdzała mnie w przekonaniu, że to, co ma się wydarzyć, to szaleństwo!

Nie rób tego! – kołatało mi przecież w głowie od początku, ale ze wszystkich sił próbowałam ignorować ten wewnętrzny głos. I gdy usilnie starałam się go zagłuszyć, gdy szło mi już całkiem dobrze, ojciec swoim „Ewuniu, dziecko, proszę cię, nie rób tego...” budził z powrotem moje demony!

– Może... – odezwał się nagle nieśmiało, międląc w rękach skórzaną zapinkę na kierownicy – ...może spróbujemy porozmawiać jeszcze z mamą. Może to wszystko da się jakoś

odkręcić...

Czułam, że sam nie wierzy w to, co mówi.

– Tato, to nie ma sensu. To nie jest zła decyzja. – Sama nie wierzyłam w to, co mówię.

– Ale to tak szybko! Przecież ty nawet nie znasz dobrze Wiktora. Chcesz spróbować, to możecie razem zamieszkać, ale po co od razu ślub? Ewa, przemyśl to, proszę.

Gdzie byłeś przez ten cały czas?! – miałam ochotę wykrzyknąć mu wtedy. Pozwalałeś jej na wszystko! W nic nie chciałeś się mieszać! Jakbym była pólsierotą! Jakim prawem oczekujesz teraz, że zbuntuję się za nas oboje, chociaż sam nie potrafisz postawić na swoim nawet w sprawie koloru krawata! Będziesz znosił jej lament? Pogardę? Będziesz mnie przed nią bronił? Czy znów zaszyjesz się wśród swoich książek i obrazów?

Wzięłam kilka głębokich oddechów i kątem oka spojrzałam na jego nieruchomą, przygarbioną sylwetkę. Dostrzegłam, jak uderza bezgłośnie po udach zaciśniętymi pięściami i w jednej chwili pojęłam, że nie muszę wymierzać mu żadnej kary.

– Tato, będę szczęśliwa, zobaczysz. Chodźmy już, bo strasznie zmarzłam – powiedziałam, szarpiąc się z zimną klamką od drzwi. Wtedy, na osiedlowym parkingu przed blokiem rodziców czułam, że popełniam największy błąd swojego życia.

Jechaliśmy granatowym, służbowym mercedesem mojego już męża, przystrojonym specjalnie na ten dzień. Po bokach ciągnęły się dwa rzędy mocno udrapowanych, sztywnych, poliestrowych

wstążek, a na środku maski Iwona, razem z resztą moich koleżanek ze studiów, przymocowała gotową dekorację z dwóch złotych obrączek, splecionych ze sobą symbolicznie. Wszechobecny tego dnia wiatr w drodze na przyjęcie zachwiał mocno tą symboliką. Poderwał obrączki z samochodu i przetoczył przez wszystkie cztery pasy Wybrzeża Kościuszkowskiego, tak że zatrzymały się dopiero pod niewysokim, betonowym murkiem, oddzielającym ulicę od nadwiślanego bulwaru. Zatrzymaliśmy auto parę metrów dalej na światłach awaryjnych i wszystkim było do śmiechu, gdy Edgars sadził wielkie susy, goniąc dekorację turlaną przez wiatr w odwrotnym kierunku. Wszystkim, za wyjątkiem mnie, bo doszukałam się w tym oczywistego znaku i musiałam mocno powstrzymać napływające łzy.

Obiad ślubny zakończył się około siódmej wieczorem. Ustałam już zupełnie w wyciu, chociaż wiatr wciąż nie.

Gdy po wszystkim dotarliśmy do mojego panińskiego mieszkania, poczułam ulgę na myśl, że mam już za sobą ceremonię, której wizja wybudzała mnie przez ostatnie tygodnie w środku nocy i nie dawała zasnąć do rana.

Mieszkanie po przestronnych wnętrzach jabłonowskiego pałacu wydało mi się jeszcze mniejsze niż zazwyczaj. A może przez to, że byliśmy w nim już we dwójkę? Ja – żona, i on – mąż. Spoglądałam ukradkiem, jak bezceremonialnie zdjął ślubne lakierki i rzucił je niedbale w przedpokoju obok szafki na buty.

Potem przeszedł wolno do salonu, przewiesił marynarkę przez oparcie krzesła i skierował się w stronę szafki z alkoholem, skąd wyciągnął trójkątną butelkę. Nalał sobie pękaty kieliszek bursztynowego płynu.

Żadnego skrępowania. Jakby był u siebie. No tak, ustaliliśmy, że po ślubie zamieszkamy u mnie. Dostał przyzwolenie na traktowanie mojego mieszkania jako „nasze”. Ale za szybko przytłoczył je swoją obecnością i zawłaszczył z taką swobodą!

– To co, żono? Może koniaczaku, zanim, hm..., no wiesz... – Wyrwał mnie z rozmyślań. – Chyba że naszą noc poślubną mam spędzić sam?

To była aluzja do tego, że cały czas tkwiłam ubrana, oparta o szafkę w przedpokoju. Kremowy, wełniany płaszcz, spod którego wszystkimi możliwymi zakamarkami wзираła mocno ubrudzona już spódnica sukni, miałam wciąż zapięty pod szyję. Zdjęłam tylko buty, które uwierały mnie niemiłosiernie.

– Nie, nie będę piła – odpowiedziałam, rozbierając się wreszcie. – Mam już dość na dziś.

– Spróbuj chociaż. No, powąchaj. – Podsunął mi pod nos kieliszek, z którego ulatniał się przyjemny zapach wanilii i owoców. – Chabasse Napoleon, dostałem go wczoraj w prezencie ślubnym od mojego kierowcy.

– Wiktor, nie chcę. – Odsunęłam zdecydowanie jego rękę. – Pachnie ładnie, faktycznie, ale nie będę już mieszać. Piłam szampana, potem wino. Nie mam ochoty na koniak.

– Szkoda. Myślałem, że może być przyjemnie. – Zrobił zawiedzioną minę.

Poczułam się winna, że go rozczarowałam, a przecież tylko nie chciałam koniaku.

– Idę się umyć – rzuciłam w jego stronę. I jakby chcąc udowodnić swoją dobrą wolę w budowaniu nastroju, dodałam: – Rozsznurujesz mi gorset?

Na dobrą sprawę sama poradziłabym z tym sobie, ale chciałam mu zrekompensować w jakiś sposób wcześniejszą odmowę.

– O, z przyjemnością – odpowiedział, odstawiając kieliszek na stół i skradając się do mnie.

Poczułam, jak rozwiązuje supeł wiązania, a potem jak jego ręce przesuwiają się od tyłu po moich biodrach aż do pośladków.

– Wiktor, nie, poczekaj.

W tej samej chwili, gdy dałam krok do przodu, chwycił mnie mocno jedną ręką w pasie i przyciągnął do siebie.

– Poczekaj, chcę się umyć.

– Nie będę czekał – odpowiedział ściszym głosem i doleciała mnie śliwkowa woń jego oddechu.

Poluzował już cały sznurek i sunął ręką pod gorsetem po moim nagim ciele. Przyciskał mnie mocno od dołu i pomimo kilku warstw materiału spódnicy czułam, że faktycznie czekać już nie może. Nagle zsunął mi całą suknię i pociągnął w kierunku nierozłożonej sofy.

– Chodź – rzucił, rozpinając pasek od spodni.

Patrzył na mnie przez chwilę, gdy przyodziana jedynie w bieliznę oraz nieskazitelnie białe pończochy wcisnęłam się w róg sofy i rozpoczął naszą noc poślubną.

Po kilku minutach było po wszystkim. Jak zawsze zresztą. Po

pół godzinie wymyłam się już z pozostałości ślubu i poślubnej nocy, a po godzinie siedziałam w półotwartej na salon kuchni nad kubkiem szaławii. Mój małżonek oglądał w tym czasie w salonie transmisję hokeja na lodzie.

Czy za każdym razem, gdy będziemy szli do łóżka, tak będzie? – myślałam. Krótko i jednostronnie?

„Mów o swoich oczekiwaniach”, „Dobry seks dla dwojga” – nie raz takie rady rzuciły mi się w oczy w babskich gazetach. W teorii byłam wyedukowana i wiedziałam, co powinnam powiedzieć: chcę dłuższej gry wstępnej, pobudzających wyznań, komplementów.

Jednak nawet nie mogłam wyobrazić sobie, że to mówię. Wystarczyło, że stawał obok i już cała się blokowałam. Miałam wrażenie, że jego ogromna postać przesłania mnie, moje odczucia, moje myśli, że przejmuje panowanie nad moim ciałem i jaźnią, a gdy zagląda w twarz, wie o każdym moim sekrecie. Nawet nie wyobrażałam sobie takich rozmów.

Gdy oświadczył, że zostanę jego żoną, przeraziła mnie myśl o przymusie spania z nim. Nie miałam żadnych doświadczeń, więc spinałam się, wiedząc, że ten pierwszy raz w końcu odbędzie się i że akurat z nim.

Podczas gdy moje rówieśniczki prowadziły już dzieci do przedszkoli, a nawet szkół, ja wciąż byłam dziewicą. Nie zdradzałam się z tym nawet przed najbliższymi koleżankami. Nie chciałam ich pytań, komentarzy, ironii czy – chyba najbardziej – tak zwanej „pomocy”. Szczerze mówiąc, obawiałam się, że to nas jakoś podzieli, że nagle zaczną patrzeć na mnie

inaczej, z delikatności oszczędzać mi pikantnych historii i zwierzeń na temat „swoich facetów”. Lubiłam ten swobodny klimat naszych wspólnych rozmów, a najbardziej prześmiewczość, z jaką komentowałyśmy ich zachowania.

Zmyślałam więc, bo jak miałabym im to wyjaśnić? Dwudziesty wiek, stolica europejskiego kraju, a w niej prawie trzydziestoletnia dziewica. Dość ładna i zgrabna – za całokształt jakieś siedem w skali od jednego do dziesięciu – i z dość dużym powodzeniem, ale dziewica. Chłopcy, a potem mężczyźni kręcili się wokół mnie, zapraszali, adorowali. Pozwalałam trzymać się za rękę, delikatnie obejmować, przytulać. Bywały nawet namiętne pocałunki, ale nigdy nie posunęłam się dalej. Wycofywałam się z tych „związków”, gdy sprawy szły za daleko, a panowie często nie wiedzieli nawet, w czym zawinili. Nie tłumaczyłam im, że nie chodzi o nich, tylko o nią. O matkę.

Co, jeśli zapyta? Pytała przecież już dziesiątki razy.

Gdy jeszcze jako nastolatka mieszkałam z rodzicami, po każdym powrocie po godzinie dwudziestej odpytywała mnie szczegółowo.

- To kto tam konkretnie był u tej Anki?
- No, dziewczyny z mojej klasy.
- A jej rodzice byli w domu?
- Nie, poszli do teatru... czy gdzieś tam.
- Ale wrócili potem?
- Chyba tak, nie wiem dokładnie.
- Jak to nie wiesz? To nikt was nie pilnował?!
- Mamo, nie jesteśmy dziećmi, żeby nas pilnować.

– No właśnie – nie jesteście! A chłopcy byli?

– Byli koledzy Anki, z ogniska.

– Z ogniska?

– Muzycznego.

– Aaa, rozumiem. – Ognisko muzyczne zawsze uspokajało matkę, ale dodawała zaraz: – Ja nie muszę ci przypominać? Mam nadzieję, że pamiętasz: żeby z życia korzystać, najpierw trzeba je sobie dobrze ułożyć! Żebyś nie zrobiła żadnego głupstwa, ostrzegam. Żadnego. No, opowiadaj, co robiliście.

Nigdy nie miałam nic na sumieniu, dlatego wszystko drobiazgowo jej relacjonowałam. Kiedy zamieszkałam oddzielnie – też opowiadałam. Zawsze po powrocie ze spotkań – no, najpóźniej następnego dnia rano – oddzwaniałam do niej, spowiadając się dokładnie ze wszystkiego.

Wiedziałam więc, że gdyby do TEGO doszło, moja relacja byłaby równie precyzyjna jak wszystkie poprzednie.

Z czasem było coraz trudniej. Nawet gdy już miałam ogromną determinację, żeby „pójść na całość”, na myśl o zdziwieniu, jakie wywołałaby reakcja tego, który miałby być moim pierwszym, znowu się wycofywałam. Być może też zwlekałam, bo po prostu nie spotkałam dotąd faceta, dla którego straciłabym głowę.

Wiktor wziął mnie z zaskoczenia. Gdy już wiedzieliśmy oboje, że będę jego żoną, któregoś dnia, na jakiś miesiąc przed ślubem, zapowiedział, że chętnie odwiezie mnie po pracy do domu.

Punktualnie o osiemnastej wyszłam z konsulatu i zobaczyłam jego auto stojące bezpośrednio przed głównym wejściem. Na mój widok reflektory granatowego mercedesa rozbłysły i cicho

zaszumiał silnik. Zawahałam się na chwilę i przyszło mi do głowy, by uciec. Zacinał mokry śnieg z deszczem, a ja stałam wciąż na schodach, niby poprawiając płaszcz.

Przynaglił mnie krótkim klaksonem i to wystarczyło, żebym szybko podbiegła do samochodu. Po drodze zatrzymaliśmy się przed osiedlowym sklepem „Alkohole 24h”, gdzie chciał kupić coś „na rozgrzewkę”. Czekałam wewnątrz samochodu i gdy zobaczyłam go wracającego z trzema butelkami i szelmowskim uśmiechem na ustach, wiedziałam, że tego wieczoru stanę się dwustuprocentową kobietą. Nie wiedzieć czemu, poczułam coś na kształt ulgi.

Dotarliśmy do mojego mieszkania. Niezręcznie odwlekałam w czasie to, co miało się stać. Zaproponowałam, żebyśmy coś zjedli, i ratowałam swój honor gospodyni, odgrzewając znalezione w lodówce awaryjne pierogi od matki. On w tym czasie szybko organizował gin z tonikiem dla siebie oraz potężną lampkę wina dla mnie. Zjedliśmy i wypiliśmy przy kuchennym stole. Chciałam dla własnego komfortu narzucić sobie większe tempo, ale nie szło mi tym razem.

– Chodźmy na sofę. – Wstał gwałtownie, chwycił zręcznie kieliszki i butelki. – Tam nam będzie wygodniej. – Kierował się już w stronę salonu.

– To rozgość się, proszę – rzuciłam z pozorną niedbałością. – Ja pójdę na chwilę do łazienki.

Matko, co dalej? – pytałam swoje przerażone, lustrzane odbicie. A gdy wróciła mi jasność umysłu, oczywiste stało się, że muszę wziąć prysznic. Rozebrałam się więc szybko, rzucając

odruchowo wszystko do wiklinowego kosza na brudną bieliznę, zebrałam włosy na czubku głowy i podtrzymując je jedną ręką, drugą szukałam dla nich gumki w sizalowym koszyczku.

– Nie chciałem sam siedzieć.

Przestraszona drgnęłam na dźwięk jego głosu.

W lustrze, obok mojej, zobaczyłam jego twarz, a potem poczułam ręce na swoich piersiach.

Musiałam nie zamknąć drzwi – przeleciało mi przez głowę.

Nawet nie słyszałam, jak wszedł.

– Chciałam się umyć – wydusiłam z siebie zawstydzona.

– Umyjesz się potem. Chodź, pokażesz mi swoje łóżko. – Odwrócił mnie jednym ruchem do siebie i nawet nie zdążyłam zaprotestować, gdy już po chwili byliśmy w moim pokoju.

Nie miałam praktycznie żadnych oczekiwań, więc i rozczarowanie nie bolało. Najbardziej cieszyłam się, że mam to już za sobą. Mój pierwszy raz i mój pierwszy raz z nim.

Nie okazał zdziwienia, że jest moim pierwszym mężczyzną. Nie pytał też dlaczego. W ogóle nie pytał o nic i nic nie mówił. Nie wszedł w rolę samca alfa, by mnie, nowicjuszkę, wprowadzać w arkana wiedzy, którą posiadał. Małomówny w trakcie, nieobecny po. Ja do łazienki, on do łazienki, żadnych uniesień, przytulania. Już po pierwszym razie wiedziałam, że seks nas nie połączy.

Po drugim razie powiedział do mnie niespodziewanie:

– Muszę udowodnić, że jestem płodny.

– A jesteś? – bąknęłam zaskoczona wyznaniem.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze wiele o jego rodzinnych relacjach i o tym, że jego brat bliźniak nie przedłużył rodu.

Wiktor postanowił wziąć to na siebie, a raczej na swoje żony.

– Oczywiście! Ale muszę to udowodnić. Z Anną długo staraliśmy się o dziecko, jednak jakoś nie wyszło. Robiła badania, ja też, niby wszystko w porządku, ale sama widzisz – nic z tego nie wyszło.

To dlatego ją zostawiłeś? – miałam swoje odkrycie na końcu języka, ale powstrzymałam się. Poczułam skurcz w żołądku. To jasne – zostawił swoją pierwszą żonę, bo nie mogła urodzić mu dziecka!

– Mam dość konserwatywne przekonania. Wiesz, syn, dom, drzewo. W życiu trzeba działać według planu. A jeśli plan zawodzi, trzeba go zmienić – ciągnął z rozbijającą prostotą.

Tak, syna nie było i plan Wiktora zawiódł.

Trzymałam w ręku prawie pełen kubek napęczniałych, brudnozielonych liści szaławii. Oryginalny trunek jak na noc poślubną. Musiałam się porządnie zasiedzieć w tej kuchni, bo napar zupełnie wystygł. Wyjrzałam do salonu. Stary, ścienny zegar pokazywał wpół do pierwszej. Wiktor drzemał na sofie przed włączonym telewizorem, w którym miejsce hokeja zajęły zapasy. Odgłosy kibiców skutecznie tłumili jego głośne pochrapywanie.

Mimo późnej pory nie byłam śpiąca. Moje myśli uparcie powracały do nie tak odległych zdarzeń, w wyniku których w sąsiednim pokoju leżał mężczyzna, formalnie już mój mąż, kilka miesięcy wcześniej wybrany dla mnie przez matkę.

Pewnie upatrzyła go sobie już wtedy, gdy po raz pierwszy przyszedł ze swoją ówczesną żoną Anną na proszony obiad. Nie było mnie na nim, ale na każdym kolejnym matka wymagała mojej bezwarunkowej obecności. I tak poznałam mężczyznę mojego życia.

– Wiktor jest czarujący, prawda? – spytała po naszym pierwszym spotkaniu, gdy po wyjściu gości sprzątałyśmy razem w kuchni.

– Czy ja wiem? Jakiś taki dziwny... – Miałam zdecydowanie mieszane odczucia na wspomnienie tego wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny.

– Dziwny?! – Wyraźnie zauroczona nim matka oburzyła się. – Jak w ogóle możesz o nim tak mówić?

– Po prostu czuję się nieswojo w jego obecności. Ma takie małe oczy, którymi tak czasem świdruje na wylot przez swoje denka. Nieprzyjemnie zrobiło mi się już na samo wspomnienie jego spojrzenia.

– Ewa, jak możesz w ogóle sobie z tego żartować? To nie jego wina, że nosi okulary. Pewnie nie wiesz, że ma nieoperowalną wadę wzroku, bo gdy matka była z nim w ciąży, wybuchł pożar w domu jej rodziców. Na szczęście nie mieszkała z nimi. Widziała jednak, jak ogień pochłonął wszystko, i tak płakała, że dziecko urodziło się z bardzo słabym wzrokiem. To w ogóle cud, że widzi – zakończyła smutno.

– Mamo, ty naprawdę wierzysz w takie historie? – Zwałam, wiedząc, jaki ma dystans do wróżb, przesądów, a nawet horoskopów.

– Wierzę czy nie, można mu tylko współczuć – ucięła krótko. – I nigdy nie schodź na ten temat, bo to podobno jego ogromny kompleks – ostrzegła.

– Nie będzie okazji, więc mogę ci to obiecać.

– Ty nigdy nie znajdziesz faceta, jak będziesz taka drobiazgowa! Przecież pomimo okularów jest to bardzo przystojny, dojrzały mężczyzna. I wcale nie wygląda na swoje lata. Taki zadbany... – Wyczułam słabość w jej głosie. – Widziałaś, jakie ma dłonie?

– Nie, dłoniom się nie przyglądałam – odpowiedziałam z lekkim zniecierpliwieniem.

– Tylko ta jego żona jest taka niepozorna. Przygaszona, jakaś taka dziwna. I ubiera się jak zakonnica! Jak żona konsula może tak wyglądać? Powinna coś ze sobą zrobić. – Im szybciej mówiła, z tym większym łoskotem sztucze kategorii VIP lądowały na swoich miejscach w specjalnej szufladzie dębowej szafki. – Wiesz co, ona wcale do niego nie pasuje i mnie się wydaje, że niedługo już pobędą małżeństwem.

– Mamo, ty byś wszystkich rozwodziła. – Nużyła mnie ta rozmowa i żartem chciałam ją wreszcie skończyć.

– Albo swatała! – wykrzyknęła matka nieswoim głosem.

Skąd ją znał, było dla mnie niejasne. Wiedziałam tylko, że odnowili relacje, gdy jako konsul Łotwy przyjechał na placówkę dyplomatyczną do Polski. Kompletował akurat personel, więc już podczas jednego z pierwszych spotkań zapadła – zresztą bez mojego udziału – decyzja, że w trybie natychmiastowym zostanie pracownicą jego konsulatu.

– Mamo, mam pracę, nie chcę wiązać się etatem. – Próbowałam się bronić, gdy poinformowała mnie o wszystkim.

– Co to za praca? Jakies nieregularne tłumaczenia, nigdy nie wiesz „kiedy” i „za ile”! Jak długo chcesz tak pracować? Jesteś już tyle lat po studiach, czas w końcu stanąć na nogi, pomyśleć trochę! Wydaje ci się, że ja całe życie będę myśleć za ciebie? – Matka przypuściła atak.

– Elżbieto, daj jej spokój. Ewa dobrze sobie radzi, ma mieszkanie, sama się utrzymuje... – Niespodziewanie do rozmowy włączył się ojciec.

Miał stuprocentową rację: nie brałam już od rodziców ani grosza, przeprowadziłam się do kawalerki po babci i w zasadzie byłam samowystarczalna.

– Nie odzywaj się! Nie potrzebuję twoich rad! – krzyczała matka, nie pozwalając mu dojść do głosu. – Na siebie popatrz! Chciałbyś, żeby twoje dziecko za trzydzieści lat miało taką pozycję jak ty? I spędzało każde wakacje w jakiejś zapuszczonej chałupie w Kupkach?

– Krupkach... – poprawił ojciec, ale po tonie jego głosu już wiedziałam, że nie odezwie się więcej.

– To jest zupełnie inne środowisko, dyplomaci, inny wymiar. – Matka podekscytowana wymachiwała rękami. – Zresztą nie ma o czym mówić. Przepuścić taką okazję, to byłaby zupełna głupota. Od następnego poniedziałku idziesz do pracy i tyle. – Wycelowała we mnie palcem.

– Zaraz, ale ja też mam chyba coś do powiedzenia? To jest moje życie! – Próbowałam walczyć. – Nie możesz mi tak po prostu

kazać. Nie jestem już dzieckiem.

– Nie jesteś, ale zachowujesz się jak dziecko. – Pokiwała głową z politowaniem. – Ty naprawdę niczego nie rozumiesz?

Zrobiło mi się głupio. Czułam, że za nią nie nadążam. Nie, niczego nie rozumiałam, a chyba powinnam. Moje policzki płonęły, ręce zrobiły się wilgotne od potu, a w głowie miałam totalny chaos. Tkwiłam pod obstrzałem jej wyczekującego wzroku, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Dziecko, ja naprawdę chcę dla ciebie dobrze, uwierz mi – powiedziała łagodnie. – I nie pozwolę, żebyś zmarnowała taką szansę. Po prostu na to nie pozwolę. Dlatego jeśli masz dla mnie resztki szacunku, to zdaj się na mnie i przestań już wybrzydzać.

– Mamo, tu nie chodzi o szacunek, tylko o to, że ty... – Słowa ugrzęzły mi w gardle, gdy dostrzegłam, że znowu ma wyraz twarzy wojownika. Brakowało jej tylko barw wojennych.

– Że ja co?! Że poświęciłam całe swoje życie, żeby cię wychować, wykształcić? Sama, bo na ojca nie mogłam liczyć?! A teraz ty znowu zachowujesz się jak niewdzięcznica? Kiedy żyły wypruwam sobie, żebyś do czegoś doszła, ty masz jakieś swoje widzimisie? Ewa, dorośnij w końcu! – zakończyła z wyrzutem w głosie.

Jako formalnie dorosła osoba próbowałam tylko walczyć o prawo decydowania o sobie, ale po jej słowach ogarnęło mnie poczucie winy. Czułam się winna jej amoku. Przecież chciała dla mnie jak najlepiej. Tymczasem widziałam, że kolejny raz jest mną rozczarowana.

Zaczęły we mnie kiełkować wątpliwości, która z nas ma rację.

W końcu chodzi tylko o pracę – myślałam. Dalej będę tłumaczką lotewskiego, więc zawodowo nic nie stracę. Matka pewnie ma rację, że etat da mi stabilizację. Nie potrzebowałam go do szczęścia, ale czy to nie poważna praca z perspektywami? Kto nie chciałby skorzystać z takiej okazji? Co mi przyszło do głowy, żeby tak się stawiać. Zupełnie się nie popisałam. Tylko ją niepotrzebnie zdenerwowałam.

Znowu zrobiło mi się gorąco.

Przeprosić?

– Może faktycznie mogłabym spróbować – odezwałam się w końcu półgłosem.

– Pewnie, że byś mogła. – Twarz rozjaśniła jej się momentalnie.

– To co? Od poniedziałku do pracy? Musimy ci tylko coś porządnego do ubrania kupić. Jutro pojedziemy na zakupy.

W ten oto sposób zostałam pracownicą konsula, by potem zostać jego żoną.

Na gruncie zawodowym spotykaliśmy się ponad rok. Ot, pan konsul i pracownica jego konsulatu. Nie mogłam o nim powiedzieć nic złego: rzeczowy, kontaktowy i opanowany. Współpraca układała się dobrze, byliśmy więc w stosunku do siebie zdystansowani, ale mili. Było w nim jednak coś takiego, że ile razy spotykaliśmy się, czułam się jak na występach gościnnych – stremowana i niespokojna. Nawet w domu rodziców, na wspólnych z nim obiadach, na które uparcie przywoływała mnie matka, moje ciało spinało się i musiałam kontrolować się, aby mówić i poruszać się z udawaną swobodą.

Czasem odnosiłam wrażenie, że próbuje ze mną flirtować.

Dwuznaczne komentarze, przydługie spojrzenia. Za każdym razem udawałam, że ich nie rozumiem. Niezmiennie traktowałam go w kategoriach szefa i nie pozwalałam sobie na jakąkolwiek swobodę. Dla mnie nasze spotkania miały zdecydowanie formalny charakter i nie zakładałam w ogóle innego kontekstu.

Jednak i w takich warunkach widocznie może zrodzić się prawdziwe uczucie. Pewnego dnia bowiem po prostu wyznał, że mnie kocha, rozwiedzie się ze swoją obecną żoną, a ja będę jego młodszą żoną numer dwa.

Byłam pewna, że to żart. Tymczasem on ponownie oświadczył, że chce się ze mną ożenić. Nie pytał, czy za niego wyjdę. Nie oczekiwał wyznań. Poinformował mnie po prostu o swoich zamiarach w sposób niedopuszczający odmowy.

Zdziwienie to mało. Przeżyłam szok. Przewróżnienie. Czuję do niego respekt, dystans... Gdzie w tym podstawa do myślenia o małżeństwie?

Nie, to chyba jakieś koszmarnie nieporozumienie!

Nie dałam sobie czasu na przemyślenia i jeszcze tego samego dnia, wracając z pracy, wstąpiłam do rodziców, aby podzielić się z nimi wiadomością, że oto właśnie w porze lunchu pan konsul mi się oświadczył.

Matka wcale nie była zaskoczona tą nowiną. Przeciwnie, zareagowała z właściwą sobie egzaltacją.

– Dziecko, czy ty wiesz, jakie życie cię czeka? – zapytała retorycznie.

– No właśnie – jakie życie mnie czeka? – Przewróżniałam ją.

– Podróże, prestiż, międzynarodowe środowisko!

– Mamo, mówimy o ślubie. Ja go nie Kocham!

Pod ciężarem jej wzroku poczułam się jak pierwsza naiwna.

– Ale my nie mówimy o miłości. – Prychnęła. – Rozmawiamy o twojej przyszłości, a to dwie różne rzeczy.

– Wiedziałaś o wszystkim, tak? – Poczułam się zdradzona. – Ukartowaliście to wszystko za moimi plecami?

– Widziałam, jak na ciebie patrzy. To wszystko! Ewa, przestań histeryzować! Czy ty nie widzisz, że dostajesz szansę, o której niejedna może tylko marzyć?! Sama mówiłaś, że będzie nominowany na ambasadora w Rzymie. Wyobrażasz to sobie? Byłabyś panią ambasadorową! – Przerwała i usiadła z wrażenia.

– Po chwili wstała gwałtownie. – Zapamiętaj sobie – groziła palcem, jak dziecku nad niedojedzoną owsianką – że taka szansa już się nie powtórzy! Nigdy! Na kogo ty czekasz? Na księcia z bajki? To ja ci mówię, że to jest właśnie twój książę! Bo takiej przyszłości, jaką będziesz miała z Wiktorem, nie zapewni ci nikt. – Przerwała i patrzyła wyczekująco. – I ja cię zaklinam, żebyś dobrze się zastanowiła, zanim zrobisz coś, czego żałować będziesz przez całe życie.

– Mamo, właśnie o tym mówię: nie chcę żałować przez całe życie...

– Całe życie będziesz żałować, że nie wykorzystалаś takiej okazji! – Nie dała mi dokończyć. – Całe życie! Ale nie przychodź wtedy z tym do mnie. O nie! Ja cię nie będę pocieszać. Ja już zrobiłam wszystko, co może zrobić matka. Wykarmiłam, ubierałam, wyuczyłam. Miałaś wszystko, co chciałaś. Wszystko! I

nigdy niczego w zamian nie oczekiwałam, chociaż tylko ja wiem, ile mnie to kosztowało. Tak naprawdę należy mi się twoja wdzięczność! Ale to twoja decyzja, ja cię do niczego nie mogę zmusić. Zaklinam cię tylko na wszystko, co dla ciebie ważne, żebyś to dobrze przemyślała.

Nie znalazłam słów na ripostę.

A kropla drażzyła skałę. W ciągu kolejnych dwóch tygodni matka to zaklinała mnie, to budowała Wiktorowi pomnik idealnego mężczyzny. Zachwycało ją w nim wszystko: od poglądów na politykę Roberta Mugabe w Zimbabwie po sposób trzymania widelczyka do ciasta. Sama nie wiem, kiedy zaczęłam podzielać jej zachwyty. Fascynacja matki tym człowiekiem była tak wielka, że w końcu wystarczyło jej już dla nas obu. W pewnym momencie więc przejęłam ją jako własną fascynację i pozwoliłam, by ten człowiek stał się częścią mojego życia. Wyszłam za niego za mąż, mimo że nie czułam do niego kompletnie nic. Nic! Z wyjątkiem strachu.

Ile matka ma prawo żądać od córki? Tyle, na ile ta jej pozwoli. Intuicja alarmowała, że ślub z konsulem na życzenie matki nie jest normalnym zachowaniem. Miałam jednak tak silną potrzebę spełnienia w końcu nadziei, które we mnie pokładała, że pozwoliłam jej wybrać w moim imieniu.

Zawsze decydowała za mnie. Taki miałyśmy układ. Ona podobno wiedziała lepiej, a ja potrzebowałam tylko jej zadowolenia. Żeby oszczędzić jej kolejnych mną rozczarowań, dopasowywałam się w swoich wyborach do jej oczekiwań, nawet gdy byłam już dorosła, w tematach zasadniczych i tych mniej

istotnych: kierunek studiów, długość włosów, miejsce pracy, kolor szafek kuchennych, znajomi, a w końcu mąż.

Ciuchy też dla mnie wybierała. Ale najgorzej chyba było z majtkami.

Zaraz po wejściu do sklepu z bielizną matkę ogarniał szal. Biegała między wieszakami, znajdując co chwilę dla siebie coś „tylko do zmierzenia”, jak zaznaczała. Ja w tym czasie stawałam przy którymś ze stojaków i niby coś tam przeglądałam. Tak naprawdę czekałam, aż TO nastąpi.

– Ewa, zobacz co dla ciebie mam! – Machała do mnie z daleka, potrząsając klasycznymi figami. – I jeszcze góra do tego. Sprawdzę, czy są w innym kolorze!

I zaczynała wybierać dla mnie...

Największy ubaw miały ekspedientki. Patrzyły na to wszystko lekko zdziwione. Młoda, zadbana kobieta, wyglądająca w miarę normalnie, dlaczego więc pozwala matce decydować o swojej bieliźnie? Co z nią nie tak, że potulnie bierze od niej naręcze staników i majtek, a potem idzie grzecznie do przymierzalni?

Był moment, kiedy próbowałam postawić się w temacie majtek.

Przed studniówką ojciec wręczył mi ekstrakieszonkowe z przeznaczeniem na babskie zakupy. Sukienkę już miałam, zdecydowałam więc, że te pieniądze przeznaczę na nowy, czarny stanik. Bo to pierwszy bal przecież.

Wiedziona instynktem, chciałam jechać sama, ale nie udało się – pojechałyśmy razem: ja i matka. Wybór nie był duży, ale trafiłam na jeden, jedyne, który spodobał mi się bardzo. Z

delikatnej koronki, z zapięciem z przodu. Jak na tamte czasy – pełen luksus. Niestety jedyny, który nie spodobał się matce. Postanowiłam tym razem być stanowcza, a ona postanowiła poszukać wsparcia w całym personelu sklepu i dwóch klientkach w średnim wieku. Zachęczone przez nią, szybko poddały ocenie moje na wpół roznegliżowane warunki i zgodnie doszły do wniosku, że model, który wybrałam, absolutnie się dla mnie nie nadaje.

Nigdy nie włożyłam do albumu zdjęć ze studniówki i przestałam nosić czarną bieliznę.

Skoro jednak majtki pozwoliłam wybierać, to i na męża też się zgodziłam.

Wypadki potoczyły się szybko: w lipcu konsul faktycznie złożył pozew o rozwód, a we wrześniu się rozwiódł. Miałam ogromne wyrzuty sumienia ze względu na jego pierwszą żonę, która musiała ustąpić miejsca młodszej, lepiej rokującej, by plan jej męża został wykonany. Przekonywał mnie, że niepotrzebnie. Po prostu coś się między nimi wypaliło i oboje dojrzeliby do takiej decyzji. Zresztą przecież zakochał się we mnie. Ale miałam kaca moralnego do tego stopnia, że sama podpowiedziałam mu, by porzuconej żonie w ramach rekompensaty zostawił ich nowe, duże mieszkanie. Ucieszył się, że to zaproponowałam, bo podobno „niezręcznie mu było to sugerować”, a „przyzwoitość podpowiadała mu, że tak trzeba”.

W listopadzie ponownie oficjalnie się oświadczył, a siódmego stycznia wziął mnie za żonę w przechodzonej przez matkę ślubnej sukience.

W dniu ślubu płakałam cały czas.

Rok pierwszy

Nakryłam do stołu. Elegancko. Z podwójnymi kieliszkami: na wino i wodę. Z dwoma kompletami secesyjnych, srebrzonych sztuczków: do przystawek i dania głównego. Ze świecami i starannie wykrochmalonymi serwetkami, które po dziesiątkach prób ułożenia w strzeliste figury stanęły wreszcie stabilnie na stole. Popatrzyłam z dumą i nadzieją. Po tych kilku dniach poślubnego zamieszania z jednej strony i przednominacyjnego zamętu z drugiej dziś miał być czas na romantyczną, domową kolację. Taki mój mały wkład w budowanie związku.

Ogarnęłam wzrokiem salon, wychwytyjąc mimowolnie w jego wyposażeniu wszystko, co przybyło mu w ciągu ostatnich kilku dni. Kilka zaklejonych szarą taśmą pudeł, ustawionych jedno nad drugim w szczelinie pomiędzy drewnianymi półkami na książki a ścianą. Kilka innych, ułożonych wysoko, wpasowanych niemal idealnie w przestrzeń pomiędzy regałami a sufitem. Ich zawartość ciekawiła mnie od dnia, w którym się pojawiły, ale Wiktor zbywał moje pytania, mówiąc, że to jego kawalerskie

szpargwały. Za sofą ciemnobrązowe, drewniane drążki kilku map ściennych, a na komodzie, służącej jako stolik telewizyjny, starodawny, mosiężny zegar, który wyglądał na masywny i ciężki, podczas gdy w rzeczywistości był tylko delikatnym, wypukłym odlewem, zupełnie pustym z tyłu.

Wskazówki na udawanym – jak go nazywałam w myślach – zegarze wskazywały już parę minut po ósmej.

Późno – pomyślałam. Dlaczego jeszcze go nie ma?

Rozmawialiśmy przecież kilka godzin wcześniej w konsulacie i nie mówił nic o jakimś wieczornym spotkaniu. Miał być normalnie, tymczasem wciąż miotałam się po mieszkaniu sama.

Niewiele myśląc, wybrałam numer jego biurowego telefonu i wysłuchałam kilku przeciągłych sygnałów. Nic. Cisza. Nie odbierał. Zadzwoiłam na komórkę. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa, proponująca mi głosem Wiktora nagranie wiadomości. Rozłączyłam się.

Ogarnął mnie niepokój, bo w pierwszej chwili pomyślałam, że coś mu się stało. Potem uspokoiłam się trochę, biorąc pod uwagę możliwość, że wypadło mu niespodziewanie jakieś spotkanie. W końcu nasze sprawy toczyły się w rytm jego kalendarza. Nominacja na ambasadora była już pewna, więc i pracy miał więcej przy wdrażaniu się powoli w nowe obowiązki i zamykaniu jednocześnie bieżących projektów w konsulacie. Ustaliliśmy jednak, że widzimy się w domu, wiedział więc, że będę czekać. I powinien był zadzwonić.

Włączyłam telewizor, posłuchałam wiadomości lokalnych, szukając chyba podświadomie informacji o jakimś wypadku na

mieście. Poskakałam po kanałach, aż wreszcie utknęłam na dłużej na powtórce „Dziewczyn do wzięcia” Barei.

Jedzenie już zupełnie wystygło, a zegar pokazywał prawie dziesiątą, gdy usłyszałam szcęk klucza w drzwiach. Drgnęłam, poczułam lekkie napięcie i powoli wstałam, żeby zobaczyć, jak wchodzi do domu. Szamotał się chwilę w ciemnym przedpokoju, z hałasem rzucił swoją teczkę na szafkę na buty, a następnie wszedł chwiejnym krokiem do salonu.

– O, nie śpisz jeszcze? – Zdziwił się na mój widok.

– Nie – odpowiedziałam, patrząc, jak usiłuje rozwiązać jedną ręką krawat. – Czekam na ciebie – dodałam z wyrzutem.

– Na mnie? – spytał przeciągle. – To miło. Żona powinna czekać na męża. To jej obowiązek. – Pogroził mi palcem. – Ale i przywilej. – Uśmiechnął się, podnosząc brwi.

Skończył z krawatem i rzucił go na sofę.

– Mówiłeś, że będziesz w domu normalnie. – Puściłam mimo uszu jego uwagę. – Rozmawialiśmy w pracy, pamiętasz? Mieliśmy zjeść razem kolację.

– Tak, tak... Ale okazało się, że jednak muszę zostać. – Rozłożył bezradnie ręce. – Zorganizowaliśmy sobie w kilku takie nieoficjalne wyjście, żeby omówić parę tematów. Nie zeszło nam długo, jak widzisz. – Wyciągnął ze spodni koszulę i walczył nieporadnie z jej małymi guzikami.

– Wiktor! Umawiałeś się ze mną! – Podniosłam głos. Czułam coraz większe wzburzenie.

– To co, miałem powiedzieć, że nie mogę iść, bo muszę wracać do żony?

Pozostawił mnie z pytaniem i skierował się w stronę kuchni.

– Nie, ale chyba mogłeś zadzwonić i powiedzieć, że zmieniły ci się plany! – powiedziałam z wyrzutem, idąc za nim. – Przygotowałam kolację. – Ruchem głowy wskazałam na zastawiony stół.

– To dobrze, żona powinna dbać o męża – odpowiedział jakby nigdy nic, siłując się z zakrętką od wody. – Ale niestety dziś już nie dam rady wziąć niczego do ust. Jestem tak najedzony i napity, że mam tylko ochotę walnąć się do łóżka. – I jakby na potwierdzenie tego ziewnął szeroko.

– No wiesz!

– Co?

Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek. Nie wiedziałam, co więcej mogłabym powiedzieć. Jego spojrzenie zaczęło mnie przytłaczać, więc odwróciłam głowę. Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. A potem zalała mnie fala złości.

– Następnym razem chcę, żebyś informował mnie na bieżąco o wszystkim – powiedziałam ostrym tonem. – Słyszysz? Będę przynajmniej wiedziała, co robić.

Nie przestając na mnie patrzeć, odstawił butelkę z wodą i przysunął się blisko... i jeszcze bliżej. – Teraz ty mnie posłuchaj – wycedził. Chwycił zdecydowanym ruchem mój podbródek i zadarł mi głowę do góry. Trzymał ją i przez swoje grube okulary patrzył prosto w oczy. – Nigdy więcej nie mów tak do mnie, słyszysz? Nie życzę sobie takiego tonu ani wymówek. Jestem wolnym człowiekiem i mogę robić, co mi się podoba. Nie po to się z tobą ożeniłem, żeby spowiadać ci się z mojego życia –

powiedział lodowatym tonem.

– Wiktor, ale przecież ja nie każę ci się spowiadać. – Zadarta głowa bolała coraz bardziej. – Puść, boli...

Patrzył, jak szamocę się z jego ręką, a potem puścił. Masowałam zeszywniały kark, a do oczu napływały mi łzy. Nie wiedziałam, czy przeproszać, czy ciągnąć tę rozmowę. Uprzedził moją reakcję.

– Nigdy więcej tak nie rób – odezwał się, grożąc mi jednocześnie wyciągniętym palcem. Po czym skierował się w stronę sypialni i rzucił, nie patrząc już na mnie: – Zapamiętaj to sobie dobrze.

Miałam zamęt w głowie. Usiadłam na kuchennym krześle. Wstałam. Poczułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, więc znowu usiadłam.

Boże, co się dzieje? Jesteśmy parę dni po ślubie, a on już mnie...

Nawet nie wiedziałam, jak nazwać jego gest. Gest? Przecież nadal czułam jego rękę na swoim podbródku, a kark poboлеwał.

Jakim prawem mnie dotknął?

Moje myśli galopowały. Chociaż, prawdę mówiąc, trochę go sprowokowałam. Niejeden by się wkurzył. Wrócił z pracy utypany, a tu żona z pretensjami, bo świec nie było komu zapalić.

Jednak kiedy przypomniałam sobie jego wzrok spod wąskich powiek, jego palec, który groźnie przecinał powietrze, ostrzegając, żebym „dobrze sobie zapamiętała”, czułam znajomy ścisk w żołądku.

Jak mógł! Przecież nie tak mieliśmy budować relację. Co się dzieje? Gdzie popełniłam błąd? – zastanawiałam się gorączkowo.

Z sypialni dobiegało mnie coraz głośniejsze chrapanie Wiktora. I wtedy nie wytrzymałam.

Ja się głowię, analizuję, a on jak gdyby nigdy nic śpi! Mało – chrapie!

Jeszcze rzut oka na ciągle nakryty stół i rozsłochałam się na dobre. Łkałam, tłumiąc odgłosy płaczu w kuchennej ścierce do naczyń, a on chrapał. Skręcało mnie z żalu i osamotnienia – a on chrapał! Chciałam wyjaśnić wszystko już, teraz, bo jak leżeć w jednym łóżku po czymś takim? Ale nie było z kim wyjaśniać, bo chrapał!

Matka. Pierwsza myśl.

Oczywiście, zadzwonię jutro do niej i opowiem wszystko. Niech wie, jakiego ma zięcia. Ale co jej powiem? Że mąż nie chciał słuchać moich pretensji i koniec końców złapał mnie za brodę? Już słyszę jej reakcję: „Ewa, przesadzasz, naprawdę. Zastanów się dobrze, to ty jednak powinnaś go przeprosić, nie on ciebie”.

I gdy zaczęłam po raz kolejny analizować to, co zaszło, zaczęło do mnie docierać, że faktycznie może to moja wina. Ja wymyśliłam sobie taki, a nie inny scenariusz wieczoru. Wiktor się w niego nie wpasował, więc postanowiłam wywołać awanturę. A przecież wrócił do domu, do mnie. Nie przeciągał wyjścia, chociaż mógł. Wrócił, żeby wysłuchać moich pretensji.

Czułam się coraz bardziej winna tej całej sytuacji. Wyrzucałam sobie, że zawiodłam. Jego, siebie, matkę. Obiecałam sobie mocne postanowienie poprawy.

Na drugi dzień musiałam zostać w pracy dłużej niż zwykle. Po ciężkim dniu i nieprzespanej nocy głowa bolała mnie tak, że

czułam na niej każdy włos. Jedyne, o czym marzyłam, to gorący prysznic i babcina sofa. W mieszkaniu powitała mnie ciemność, co znaczyło, że Wiktora jeszcze nie ma.

Byłam w łazience, gdy usłyszałam jego kroki.

Szybko wrócił – pomyślałam i ogarnął mnie lekki niepokój.

Wytarłam się pospiesznie i wyszłam do niego w szlafroku i z ręcznikiem na głowie.

– O, już jesteś! – powiedziałam na powitanie, usiłując zapanować nad drżeniem głosu.

– Zdziwiona? Co, nie spodziewałaś się mnie, że tak mnie witasz? – Ruchem głowy wskazał na mój strój, a potem jeszcze w butach zajrzał szybko do sypialni.

– Nie, nie o to chodzi. Sama niedawno przyszłam. – Staralam się, aby mój ton głosu nie przypominał tego z wczorajszego wieczoru. – Nie sądziłam po prostu, że jest już tak późno.

– I co, zamiast pomyśleć, że może wróćę głodny, pobiegłaś grzebać się do łazienki? – powiedział niby żartem, ale z wyraźną naganą. – Zapomniałaś, jak się dba o męża?

– Mówię ci, że późno wróciłam. Byłam zmęczona, chciałam się odświeżyć – zaczęłam niezręczne tłumaczenie.

– Ja też jestem zmęczony. Codziennie ciężko pracuję i chętnie zjadłbym teraz przyzwoicie, zamiast być witany do domu, w którym snują się koty i żona w szlafroku – wypominał.

– Jakie koty? Na podłodze? – Obruszyłam się. – Przecież niedawno odkurzałam.

– Nie wiem, kiedy odkurzałaś. Nie wracam do domu, żeby rozmawiać o sprzątanii. Ale widzę, że nie mam tu czego szukać –

odpowiedział ostro. – Wychodzę coś zjeść, jestem głodny.

– Poczekaj, nie wychodź! Zaraz coś przygotuję... – Wpadłam w panikę, a wszystko działo się tak nagle. – Na co masz ochotę? Jest przecież jedzenie z wczoraj.

– Nie. Straciłem już ochotę na kolację w domu – odpowiedział szorstko.

Zaniemówiłam. Patrzyłam w milczeniu, jak odwiesza płaszcz i zdejmuje marynarkę. Uspokoiliam się trochę, widząc, że się rozbiera, i gorączkowo myślałam, jak go uspokoić. Tymczasem on wyciągnął z szafy zimową, skórzaną kurtkę, włożył ją i bez słowa skierował się do wyjścia.

– Wiktor, stój, poczekaj, porozmawiajmy!

Trzasnęły drzwi i zostałam sama. W pustym mieszkaniu, z uczuciem żalu, ale z jeszcze większym poczuciem winy.

Co za żona ze mnie, skoro nie mam czym własnego męża w domu zatrzymać? – wyrzucałam sobie.

Wyobrażałam sobie, co teraz będzie robił i dokąd pójdzie. A raczej jak mógłby wyglądać nasz wspólny wieczór, gdybym go ewidentnie nie zepsuła.

Z minuty na minutę winałam siebie coraz bardziej. Analizowałam jego i swoje zachowanie.

Co robić, co robić? Przecież jesteśmy świeżo po ślubie.

Powracał do mnie zasłyszany kiedyś frazes, że to kobieta jest autorką ogniska domowego, a mężczyzna w nim tylko uczestniczy, więc tym bardziej czułam się odpowiedzialna za nasze kiepskie dni.

Gdy o pierwszej trzydzieści cztery usłyszałam zgrzyt kluczy w

zamku, zdążyłam już rozgrzeszyć go ze zmiennych nastrojów, nieprzewidywalności i obcesowości. Obiecałam sobie, że dom będzie dla niego wytchnieniem od wymagającej pracy, że w tym domu będę czekała, zawsze przygotowana na różne scenariusze i pory jego powrotu.

I dzień po dniu dotrzymywałam obietnicy. Głodny lub najedzony, zmęczony albo pełen energii, rozdrażniony, a może wesoły – nigdy nie wiedziałam, jaki wróci do domu. Niestety, moje przewidywania rzadko się sprawdzały. Wiedziałam tylko, że mam być zwarta i gotowa, bo właśnie powrócił pan i władca. Przyszedł, może wyjdzie, a może zostanie. Zawsze na swoich warunkach. Mój mąż.

Po miesiącu małżeństwa, odebrałam swoją nagrodę pokornej żony. Dwie czerwone kreseczki w małym okienku testu ciążowego. Przybiegłam z nim do jeszcze śpiącego Wiktora i szturchając go delikatnie, podetknęłam mu pod oczy plastikową końcówkę. Po kolejnym moim zachwycie, że „popatrz, jestem w ciąży”, w końcu i do niego dotarło to, co się dzieje, uśmiechnął się i objął mnie tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Ja zaś poczułam się wtedy szczęśliwa i pewna, że teraz już wszystko ułoży się inaczej.

Nie zaskoczył mnie fakt, że jestem w ciąży. Sama przecież przystałam na jego plany prokreacyjne. Pragnęłam dziecka. Czulałam, że mam w sobie niesamowite pokłady miłości. Marzyłam, by je przelać już, zaraz, teraz i mieć kogoś, kogo będę kochała najbardziej na całym świecie. Dziecko miało być

również spełnieniem oczekiwań Wiktora – przecież po to w końcu wziął mnie za żonę. Zostałam lepszą, bo płodną wersją tej pierwszej. Nareszcie udowodniłam, że potrafię spełnić pokładane we mnie nadzieje.

Projektów matki nie zrealizowałam i jako córka zawiodłam, ale jako żona nie zawiodę – myślałam.

Zawsze czułam, że moja matka jest mną rozczarowana. Całe swoje dzieciństwo i młodość potrafiłam przefiltrować przez pryzmat tego jak bardzo ją zawodziłam. Z przyczyn oczywistych nie wiedziałam, jak zareagowała na mnie, gdy pojawiłam się na świecie, ale – jak wynikało z jej opowieści – nie spisałam się już w okresie prenatalnym.

– Nie oszczędzałaś mnie – mówiła z wyrzutem. – Najpierw rzygałam jak młoda kotka, a potem przez pół ciąży miałam zgagę. Po wszystkim, co zjadłam! – Kończyła z takim wyrazem na twarzy, jakby na samo wspomnienie zgaga znów jej wracała. – No i ten poród! – Kręciła głową z niedowierzaniem. – Wszystkie moje koleżanki, które rodziły, mówiły: „Elżuniu, nie przejmuj się, przyjemnie nie jest, ale szybko pójdzie, zobaczysz. Godzina, dwie i po zawodach. A jak urodzisz, to momentalnie zapomnisz o wszystkim”. Ale ty nie mogłaś urodzić się tak jak inne dzieci, nie! – Wyczuwałam w jej głosie posądzenie mnie o premedytację. – Prawie dwa dni ściany gryzłam z bólu! Dzień i noc! Na zmianę rozkurczowe, a potem na powstrzymanie. I tak dwa dni. Dwa długie dni! A na koniec jeszcze ta pryszczata, piskliwa położna, co darła się na mnie bez przerwy. Boże, co ja z tobą przeszałam!

Ile razy wysłuchiwałam tych wspomnień o sobie, tyle razy

włączał mi się akt żalu: ja winna, ja winna.

Dzieci podobno tak mają – dowiedziałam się z telewizji. Przejmują odpowiedzialność za zło całego świata na siebie. Jak więc miałam nie czuć się winna cierpień własnej matki, które przecież spowodowałam swoimi narodzinami.

W kolejnych latach dostarczałam jej coraz to nowych rozczarowań. W końcu już permanentnie odczuwałam poczucie winy. Winiłam siebie za stałe jedynki, którym na tyle nieporadnie szło zastępowanie mlecznych zębów, że zepsuły matce całą moją pierwszą komunię. A przecież tak się starała, aby wszystko było dopracowane w szczegółach!

Najpierw stanęła na głowie, żebym wyróżniała się wyglądem. W tamtych wymagających nie lada kreatywności, socjalistycznych czasach matki na sukienki komunijne córek przeznaczaly swoje suknie ślubne, nieużywane firanki czy co szlachetniejsze i większe obrusy. Następnie sukienki te dostawały swoje drugie, a nawet trzecie życie dzięki młodszym rocznikom komunijnych dziewcząt, przechodząc z rąk do rąk.

Tymczasem moja sukienka była nowa, uszyta przez matkę ze śnieżnobiałego, atłasowego kuponu. Pamiętam, że gdy przymierzałam ją po raz pierwszy, poczułam się jak Ewelina Hańska z telewizyjnego serialu o Balzaku, którego wszystkie siedem odcinków znałam na pamięć.

Potem jakimś cudem matka zdobyła kilka metrów cieniutkiego boa ze strusich piór, które zgodnie z instrukcją sąsiadki z parteru, starej praczki Raczkowskiej, z doskonałym skutkiem odświeżyła w mące ziemniaczanej.

O, to był dopiero widok! Przyszyte na dole sukienki, karczku i w wykończeniach rozszerzanych rękawów piórka poruszały się samoistnie, a ja nie mogłam się na nie napatrzeć. I nie tylko ja. Koleżanki w kościele, goście na obiedzie w restauracji „Adria”, a nawet właścicielka atelier, która miała mi zrobić pamiątkowe, komunijne zdjęcie. Czułam się wtedy jak królewna.

I nic nie mogłam poradzić, że buzia sama śmiała mi się, ukazując nierówne siekacze. Te same, które tak bardzo irytowały matkę i nie wpasowały się do tego stopnia w estetykę mojego wyglądu, że syczała mi co chwilę do ucha przez cały dzień: „Zamykaj usta, gdy się uśmiechasz”, „Nie pokazuj tych krzywych zębów”. Na studyjnym zdjęciu komunijnym pozuje więc mała królewna z mocno zasznurowanymi ustami, ułożonymi w bananowy kształt, i szklanymi oczami. Moja wina, moja wina...

Pamiętam też wszystkie minusy, które przytrafiały się czasem moim piątkom i skupiały na sobie całą uwagę matki.

„A za co ten minus? Dlaczego ta piątka znowu z minusem?” – utyskiwała wtedy. Próbowалаm nawet kilka razy namawiać nauczycieli na obniżenie oceny. Nie rozumieli, a ja naprawdę wolałam czwórki z plusem...

Najgorszym zawodem jaki sprawiłam mojej matce było to, że nie zostałam baletnicą. Nie pamiętam, jak to zrobiłam, ale pomimo ogromnej konkurencji dostałam się do szkoły baletowej. Jej duma była nie do opisania. Po egzaminach przez kilka wieczorów z rzędu obdzwaniała całą swoją rodzinę i koleżanki, chwając się, że „Ewa będzie primabaleriną!”.

Niestety, radość trwała tylko dwa lata... Moje ciało wraz z

naturalnym rozwojem zmieniało swoje kształty i ostatecznie nie nabrało wymiarów idealnej baletnicy. Wydalono mnie zatem ze szkoły, co dla matki było ogromnym upokorzeniem, a dla mnie powodem kolejnego aktu żalu – ja winna, ja winna...

Obiecałam sobie, że moje dziecko będzie miało inne wspomnienia. Jednak nie miałam jeszcze konkretnego planu na jego wychowanie, ale wiedziałam jedno. Moje dziecko dostanie ode mnie bezwarunkową miłość i wsparcie. Postanowiłam dołożyć wszelkich starań żeby nie musiało w swoim dzieciństwie przeżywać tego co ja..

Jak to się dokładnie stało, do tej pory nie pamiętam. Na pewno poranek był mglisty. Może byłam aż tak spóźniona do pracy, że lastrykowe, wysokie schody konsulatu chciałam przebiec jak najszybciej? Może to breja, której wtedy pełno na nich leżało, bo zima tamtego roku wyjątkowo długo nie odpuszczała? Może gdyby dawno już zrobili planowany remont podjazdów i schodów do budynku konsulatu, nie poślizgnęłabym się na ich szczycie i nie zjechała na brzuchu kilka stopni w dół?

Chociaż płamienie rozpoczęło się godzinę później, wiedziałam to od razu. Już wtedy, gdy sunęłam po schodach, pomyślałam o dziecku. Podnosząc się, czułam ból w kolanach i łydkach, choć skutecznie chroniły je wysokie, skórzane kozaki. Na wewnętrznej stronie nadgarstków dostrzegłam kilka widocznych zadrapań. Jednak gdy się wyprostowałam, poczułam wyraźną bolesność w okolicy miednicy i klucie w podbrzuszu. Ogarnęła

mnie panika.

Czy coś mogło stać się dziecku? Nie, to niemożliwe, niemożliwe! To się nie może wydarzyć! Przecież to tylko upadek, z dzieckiem musi być wszystko w porządku. Tak na nie czekam, tyle nadziei w nim pokładam! Gdyby coś miało mu się stać... A Wiktor? Matko, Wiktor! Jak on zareaguje?! Przecież powiedział już wszystkim o ciąży, nosił się jak paw. Mówił, że to na pewno syn, jego pierworodny. Boże, tylko nie to! Nigdy mi nie wybaczy!

Moje myśli obsesyjnie wracały do jego spodziewanej reakcji. Od kilku dni był w Rydze, dokąd przed nominacją wezwało go łotewskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Był piątek, wieczorem miał przylecieć do Polski i wrócić do domu.

Spotkamy się i co mu powiem?

Czułam się winna tego, co się stało, a w głowie miałam kompletny zamęt. Odruchowo zadzwoniłam do matki.

Szpital położniczy sąsiadował z konsulatem. Kiedy przez telefon opowiedziałam, co się dzieje, położna kazała mi natychmiast przyjść na izbę przyjęć.

Dziesięć minut później siedziałam już w gabinecie lekarskim, który był wyposażony w stare, metalowe narzędzia medyczne. Widok tej scenerii napawał mnie przerażeniem. Podobnie jak widok równie starego ginekologa, który niejedno już musiał w życiu zobaczyć, bo moją relację przeplatana łkaniem przyjął z kamiennym wyrazem twarzy.

– Proszę się położyć – odezwał się beznamiętnym głosem. – A

więc mówi pani, że plami? – rozpoczął swój wywiad, badając mnie jednocześnie.

– Tak, od prawie godziny – odpowiedziałam, próbując się uspokoić. – Panie doktorze, ja nie mogę stracić tego dziecka ... Po prostu nie mogę – dodałam łamiącym się głosem. – Niech pan coś zrobi.

– A bóle zaczęły się kiedy? – odpytywał mnie lekarz.

– Zaraz po upadku ze schodów.

– Skurcze? Czuje pani skurcze?

– Nie, skurczy chyba nie czuję – odpowiedziałam nieco mniej przerażona.

– Dam tabletki na podtrzymanie ciąży. – Podeszedł do biurka, co sugerowało koniec badania. – Będzie je pani brała dwa razy dziennie. Zobaczymy, może się uda.

– Co to znaczy „może się uda”? – Czułam, że zaraz wybuchnę.

– Proszę pani, tabletki na podtrzymanie to jedyne, co możemy zrobić. Niech pani jedzie do domu, odpocznie. Mamy piątek. Proszę siebie obserwować, może będzie lepiej. A jeśli nadal będzie pani krwawić, proszę przyjść w poniedziałek.

Podał mi receptę i wstał zza biurka, dając mi do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

– Rozumiem – odpowiedziałam z otępieniem.

Wstałam ociężale, jakby to nie był drugi, ale dziewiąty miesiąc ciąży, i powoli wyszłam na korytarz.

Nie było lepiej. Choć cały weekend spędziłam w łóżku, plamienie nie ustawało. Tabletki najwidoczniej nie pomagały. Wiktor w kółko powtarzał, że to niemożliwe, żebym poroniła. Ja

nie mogłam powstrzymać się od łez i tylko matka starała się zachować przytomny umysł, gospodarząc u nas przez dwa dni. Zanim w poniedziałek trafiłam powtórnie do lekarza, przeżyłam najdłuższy weekend swojego życia.

W gabinecie mój opanowany lekarz po badaniu rozłożył ręce.

– Idą skrzepy. Ja tu pani już nie umiem pomóc – odezwał się bezradnie.

– Jak to?! – wybuchnęłam. – Ja przyjechałam nie do laryngologa, tylko do ginekologa, więc jak pan może tak mówić? Jeśli pan mi nie pomoże, to do kogo ja mam iść?!

– Musi pani liczyć się ze stratą tej ciąży. Wygląda na to, że nie da się jej uratować. – Wydawał na mnie wyrok.

– To niemożliwe! Pan się myli! – prawie krzyczałam.

– Chciałbym – powiedział tylko. – Dam pani skierowanie na oddział naszego szpitala, przyjmuje tam mój kolega. Proszę się do niego zgłosić.

Zgłosić się? Ale po co?!

Kazałam matce, która w zastępstwie będącego w dalszym ciągu w Rydze Wiktora trzymała nade mną pieczę, zawieźć się do domu. Czułam, że zaraz eksploduję. Chciałam powyc spokojnie, nie narażając się na dziwne spojrzenia przypadkowych osób.

Akurat wchodziłyśmy, gdy zadzwoniła ciotka Irena, kuzynka mamy i ginekolog z gdańskiego szpitala położniczego. Matka wydzwaniała do niej w weekend, by zasięgnąć języka, więc była ze wszystkim na bieżąco.

– Ewuniu – ciotka starała się mówić spokojnie, gdy w końcu zgodziłam się z nią rozmawiać – jeśli lekarz mówi, że idą

skrzepy, nie jest dobrze. To nic dobrego nie wróży. To może być rączka, to może być nerka. Nikt ci nie powie, w jakim stanie jest płód.

– Dziecko – poprawiłam machinalnie.

– Dziecko. Będziesz zmuszona podjąć jakąś decyzję.

– Jaką decyzję? Ciociu, o czym ty mówisz?

– Być może trzeba będzie usunąć tę ciążę...

– Nie chcę usuwać! – zawyłam do słuchawki. – Poza tym sama wiesz, że mogę potem już nie zająć w ciążę! – zawodziłam, mając przed sobą wizję zostania kolejną, bezdzietną żoną.

Pierwszy raz padła nazwa tego, czego tak strasznie się obawiałam. Ten fakt wywołał u mnie prawdziwy szok i nie byłam w stanie dalej rozmawiać. Oddałam słuchawkę matce i osunęłam się wyczerpana na sofę.

Miałam dać mojemu dziecku wszystko, co we mnie najlepsze. Tyle planów z nim wiązałam, tyle nadziei, a musiałam go po prostu usunąć!

Po dwóch godzinach matka zawiozła mnie do szpitala. Gdyby nie ona, nie ruszyłabym się z domu, ale ciotka nastraszyła ją, że nie chodzi już tylko o ciążę, ale też o moje bezpieczeństwo. Na oddziale po badaniu USG stwierdzono, że ciąża obumarła kilka dni wcześniej i konieczny jest natychmiastowy zabieg.

Przez to, że zjadłam śniadanie, musiałam leżeć ze swoją obumarłą ciążą i swoimi natrętnymi myślami do dnia następnego. Późnym popołudniem dopadły mnie jednak tak straszne bóle, że o mało nie zemdlałam. Rozpoczęło się poronienie i z zabiegiem nie można już było czekać.

Wypisano mnie dopiero po wszystkim, następnego dnia. Wróciłam do domu, żeby już spokojnie przeżyć swoją żalobę. W domu okazało się jednak, że krwawienie się nasiliło.

– Ciociu, co się dzieje? – łkałam do telefonu.

– Nie wiem, ale jedź natychmiast do szpitala! Musieli schrzanić zabieg! – Ciotka nie przebierała w słowach. – To nie są żarty! – Nastraszyła mnie.

Zebrałam wszystko, co ze mnie wypadło do słoika, aby mieć dowód, że coś jest jednak nie tak, i pojechałam z tym do szpitala.

– Tak, musimy czyścić ponownie. – Lekarz, który mnie badał, kiwając głową, przyglądał się zawartości słoika, lekko nim potrząsając. – To nie wygląda dobrze.

Moje ciało było wrakiem i ja sama też. Czulałam, że zawalił mi się świat, a na dodatek jestem z tym zupełnie sama. W obcym miejscu, wśród obcych ludzi.

Wiktor musiał lecieć w zaplanowaną wcześniej delegację, więc nie było go przy mnie w szpitalu, gdzie zostałam na dłuższą obserwację po powtórnym zabiegu. Owszem, dzwonił, by dowiedzieć się, jak sprawy się mają, ale nie potrafiłam z nim o tym rozmawiać przez telefon. Byłam jednak pewna, że do tego wrócimy i wspierając się nawzajem wspólnie poradzimy sobie z tym co nas spotkało.

Matka za to zjawiała się codziennie. Chodziła za lekarzami, rozstawiała pielęgniarki po kątach, przynosiła jedzenie. Była bardzo użyteczna i tylko dzięki jej pomocy przetrwałam pobyt na oddziale. Uświadomiłam sobie wtedy, że tak naprawdę sama nie wiem, jak chcę ustawić sobie z nią relacje. Z jednej strony w

małżeństwie z Wiktorem widziałam szansę na wyzwolenie się spod jej panowania nad każdym aspektem mojego życia, z drugiej strony na tym szpitalnym łóżku poczułam, że w dalszym ciągu jestem jej małą córeczką i tylko ona może zapewnić mi bezpieczeństwo. Pomyślałam, że bez jej opieki i wsparcia sama sobie nie poradzę.

Po dwóch tygodniach, gdy już wariowałam, siedząc w domu sama ze swoimi myślami, postanowiłam wrócić do pracy, do ludzi. Nie chciałam już żałoby – bałam się depresji. Potrzebowałam wyrzucić to ze swojej głowy. Tymczasem im bardziej starałam się zapomnieć, tym bardziej czułam się winna tej całej sytuacji. Lekarze zdiagnozowali, że przyczyną poronienia był upadek, czyli – mówiąc brutalnie – moja wina, ale nie z powodu defektu organizmu. Ja jednak cały czas miałam obawy, co będzie jeśli, nie daj Boże, nie urodzę już dziecka.

Mąż ożenił się ze mną w konkretnym celu. Co zatem postanowi zrobić w zaistniałej sytuacji? Czy nadal w jego oczach będę pełnowartościową kobietą?

Idąc powoli wzdłuż bloku, w maleńkich ogródkach jego mieszkań na parterze dostrzegałam już gdzieś tam wątle kępki krokusów. Wiosna powoli budziła się do życia. Ziemia wyraźnie odtajała i tylko powietrze miało dalej wilgotny, ciężki zapach, który mieszał się z odorem psich kup, bezlitośnie obnażonych przez stopniały śnieg. Był to najmniej przyjemny akcent miejskiego przedwiośnia, uważałam więc, by nie

wdepnąć w jakąś koszmarną niespodziankę.

Zmęczył mnie ten spacer i z ulgą pomyślałam, że do przychodni już blisko – jeszcze tylko zakręt, a potem krótka alejka obrośnięta po obu stronach młodymi lipami.

Wychodząc zza zakrętu, widziałam już z daleka zarys przychodni, ale to, co pojawiło się przed moimi oczami, wprowadziło mnie w kompletny szok. Wzdłuż alejki wszystkie drzewa, co do jednego, poprzycinano w pokraczne kształty! Wyglądały z daleka jak upiorne monstra z kreskówek dla dzieci. Ogołoczone z najdrobniejszych gałązek, krótkie kikuty konarów, wydawały się zupełnie pozbawione życia.

Siedząc w wąskiej poczekalni, wciąż nie mogłam wyzwolić się z widoku kalekich drzew. Tym bardziej, że sama przyszłam po nadzieję na nowe życie dla mnie.

Drzwi w korytarzu uchyliły się wreszcie i wystająca z nich łyśa głowa w okularach powiedziała:

– Proszę.

Pachnące nowością biurko i krzesła w gabinecie, składany parawan przy łóżku robiły lepsze wrażenie niż metalowe sprzęty szpitala, z których nie tak dawno korzystałam. Gabinet lekarski, w którym się znalazłam na całe szczęście nie przypominał w niczym tego poprzedniego, który tak bardzo zapadł mi w pamięć.

– Pani Ewa Winiarska-Krasts? – Lekarz przeczytał powoli dane z karty i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. – Słucham panią.

Rozpoczęłam swoją historię. Powściągliwie, bez zbędnych emocji, ale ze wszystkimi detalami. Opowiedziałam temu człowiekowi o ciąży, poronieniu, oczekiwaniach męża, poczuciu

winy i obawach. Byłam szczerą jak nigdy dotąd, bo potrzebowałam pomocy od tego poleconego przez koleżankę matki ginekologa.

– Panie doktorze, potrzebuję wiedzieć, kiedy możemy zacząć starać się o dziecko.

Słuchał do tej pory cierpliwie, a po moim pytaniu zdjął okulary i westchnął.

– No cóż, z kolejną ciążą może nie być łatwo. Nie jest już pani najmłodsza, a zabieg był dość poważny. Tak naprawdę nie wiem wcale, czy to poronienie nie było samoistne. Często w pierwszym trymestrze do takich dochodzi, a ten upadek mógł być tylko zapalnikiem.

– Czyli to nie musiała być moja wina? – Z nadzieją czekałam na potwierdzenie.

– Wie pani, to naprawdę ciężko ocenić. A z ponowną ciążą... – Zawahał się. – Proszę próbować, a nuż się uda.

– Nie rozumiem. To mogę mieć dzieci czy nie? – spytałam podniesionym głosem.

– Ja bym zachował umiarkowany optymizm – odpowiedział wymijająco.

Nie zadowolila mnie wcale jego odpowiedź.

– Panie doktorze, ja muszę wiedzieć – mówiłam z uporem. – Razem z mężem bardzo liczymy na kolejną ciążę.

– Ale przecież nie ma się czym martwić. Możecie mieć dziecko. Jest tyle potrzebujących dzieci. W razie czego znajdziemy pani w szpitalu jakieś niemowlę...

– Słucham...? – Nie bardzo rozumiałam, o czym mówi.

– Przecież jak się nie uda, możecie adoptować – tłumaczył z niezmaconym spokojem.

– Adoptować? – Dalej nie rozumiałam, dlaczego nie rozmawiamy o planowaniu ciąży, tylko o adopcji.

– Tak, to żaden problem. A jak chce pani ukryć przed wszystkimi, że to adoptowane, zrobimy tak, że nawet najbliższa rodzina niczego się nie dowie. Chce pani być w ciąży, to damy poduszkę, ja tę „ciążę” będę prowadził i nikt się nie domyśli.

Patrzyłam na niego w osłupieniu, a potem chwyciłam torebkę i wybiegłam z gabinetu roztrzęsiona. Czułam, że jestem na planie jakiegoś horroru, a nie w przychodni. Zerwałam płaszcz z wieszaka na korytarzu i między poranionymi lipami rozszlochałam się zupełnie.

Skoro lekarz zaproponował odegranie takiej farsy, nie ma już dla mnie nadziei – myślałam. Na pewno nie ma! Po tym, co się wydarzyło na śliskich schodach konsulatu, już nigdy nie będę matką, a Wiktor ojcem! Tylko jak ja mu to powiem? Będzie taki zawiedziony!

Czułam się winna i nic niewarta, a do tego koszmarnie samotna i poobijana.

Czy ja naprawdę nic nie potrafię?

Idąc, płakałam tak, że ludzie zatrzymywali mnie na ulicy.

Lekarze mówili, żeby poczekać pół roku. Mąż mówił, że jak ma być wszystko dobrze, to nie ma co czekać. Krakowskim targiem dał mi cztery miesiące i praktycznie w przeddzień wyjazdu na

placówkę potwierdziło się, że jestem w kolejnej ciąży. Czułam się tak, jakby ktoś darował mi karę, jakbym dostała drugie życie. Dostałam jeszcze jedną szansę! Co więcej – podwójną, bo okazało się, że to będą bliźniaki! Mimo koszmaru sprzed kilku miesięcy mogłam zacząć wszystko od początku.

Pierwsze oszołomienie minęło i wtedy tam poszłam. Ogłowione wcześniej korony z daleka zieleniły się jednorocznymi pędami i błyszczącymi od soku z kwiatów ciemnozielonymi liśćmi. Gdy się do nich zbliżałam z każdym krokiem coraz bardziej zachwycał mnie ich zniewalający zapach. Usiadłam na ławce wśród pachnących lip i ogarnął mnie dziwny spokój.

Pod tymi przywróconymi naturze drzewami pomyślałam, że jestem gotowa na kolejny etap swojego życia.

Następnego dnia, wracając z pracy, wstąpiłam do księgarni, by rozpocząć do niego przygotowania. Przytargałam do domu cztery tytuły: „Cięża, poród, macierzyństwo”, „Dziecko”, „Historia dyplomacji”, „Savoir-vivre w dyplomacji”.

– Czy ty się w ogóle cieszysz z tego wyjazdu? – zapytał na pożegnalnym lunchu w konsulacie Marcin, mój służbowy kolega.

Przygotowywaliśmy ostatnio dużą konferencję, spędziliśmy w związku z tym razem sporo czasu i w pewnym sensie się zżyliśmy. Miałam faktycznie mało wesołą minę, bo kilka godzin wcześniej podpisałam ostateczne rozwiązanie umowy o pracę i zdałam sobie sprawę, że klamka zapadła.

– A ty jak zwykle musisz zadawać takie trudne pytania? – zapytałam z lekką przekorą.

– Trudne, bo nie znasz odpowiedzi? – ciągnął dalej.

– Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Z jednej strony cieszę się na ten wyjazd, bo myślę, że to może być całkiem fajne doświadczenie – mówiłam zupełnie szczerze – ale z drugiej trochę mnie to wszystko przeraża...

– Przeraża?! Kochana, ależ to jest superokazja! – wtrąciła entuzjastycznie Jolka, koleżanka zza biurka, która wyrosła nagle zza moich pleców. – Pomyśl, ile nowych osób poznasz! Pięć lat w Rzymie! Całe miasto twoje! Znając ciebie, jak wrócisz, będziesz śmigać po włosku.

– Szczerze, to gadaliśmy trochę na początku, sorry, sama wiesz... – zaczął ze skruchą Wojtek, kolega z zespołu.

– Domyśliłam się! – Pokiwałam głową z politowaniem. – Przecież widziałam te miny, które stroiliście na mój widok.

– No zrozum! Dla nas było oczywiste, że szef ściągnął sobie młodą, ładną lalę! I to nie do pracy! – dodała Martyna, osobista asystentka Wiktora, mrużąc porozumiewawczo oczy. – Zwłaszcza że wtedy jeszcze był żonaty. Potem jednak okazało się, że jesteś fajna, pracujesz normalnie jak my, no i w ogóle.

– Dużo się nie pomyliliście. – W końcu wylądowałam w jego łóżku! – Puściły mi wszelkie hamulce.

– Nie, no co ty! – zaprzeczyli prawie chórem.

– Spokojnie, wiem, o co wam chodzi. Żartuję – odpowiedziałam rozbawiona.

– Ale co? Tak w ogóle, to wszystko OK? – Marcin

niespodziewanie zmienił temat. – Bo wiesz, jakbyś czegoś potrzebowała to... – Zawiesił głos.

– Wszystko w porządku – ucięłam. – Smutno mi, bo rozstaję się z wami. Fantastycznie mi się tu pracowało, a nie wiem, czy będę mogła jeszcze do was wrócić.

Wiedzieli co mam na myśli – w świetle ówczesnego ustawodawstwa mój pracodawca nie miał obowiązku zabezpieczyć dla mnie stanowiska pracy. Liczyłam się więc z tym, że po powrocie nie będzie już dla mnie etatu.

Tym trudniej przychodziło mi zostawić rodzinne miasto i bliskich mi ludzi. Pocieszałam się, że przecież to nie koniec świata. Tysiąc siedemset kilometrów: dwie godziny samolotem albo kilkanaście samochodem. W dobie internetu i telefonów komórkowych utrzymanie znajomości na odległość to żaden problem. Nawet pomimo tego, że z bliższymi koleżankami na pożegnalnym spotkaniu obiecałyśmy sobie regularne kontakty, wbrew wszystkiemu i wszystkim czułam, że coś tracę.

Listy uwierzytelniające zostały złożone i Wiktor stał się oficjalnie nowo mianowanym ambasadorem Łotwy w Rzymie, ja zaś miałam zapakować nasz małżeński dobytek w daleką podróż i wyjechać z Polski już jako pani ambasadorowa.

Ósmego dnia pakowania dopadł mnie kryzys. Wszystkiemu winna były laurka z okazji Dnia Ojca, którą znalazłam między dziecięcymi bibelotami w kartonowym pudle w niebieskie kwiatki. Dotarłam do niego, bo poza pakowaniem inwentarza na

wyjazd do Rzymu musiałam zrobić porządek ze wszystkimi pozostałymi rzeczami w mieszkaniu. Udało nam się je wynająć na czas naszego pobytu młodemu, hinduskiemu studentowi medycyny i jedyne, co mu zostawialiśmy, to książki i akcesoria kuchenne.

Pakowałam więc cierpliwie projekty przyszłości do walizek i równocześnie upychałam do pudeł fragmenty dziecięcych i panińskich wspomnień. Nad tą kolorową, malowaną świecowymi kredkami laurką dla ojca rozkleiłam się zupełnie.

Pamiętałam ją doskonale, byłam w trzeciej klasie. Te własnoręczne laurki miały być wyjątkowe, bo wychowawczyni prosiła, żebyśmy wypisali na nich to wszystko, co mamy w sercu, a czego nie domyślają się nasi ojcowie. I ja napisałam tak szczerze, jak tylko szczerze może być dziesięcioletnie dziecko.

– Tato, dziękuję za ognisko w Krupkach i za książki o Mary Poppins, że chciałabym, żeby czasami mnie przytulał i nie uciekał do swojego pokoju, kiedy do domu wraca matka, bo ja czasami strasznie się jej boję.

W kolejnych laurkach – listach do ojca – pozwalałam sobie na coraz większą szczerłość. Ostatnia, siódma, miała już cztery strony niewypowiedzianych nigdy życzeń i oczekiwań dorastającej córki. Dopiero gdy skończyłam osiemnaście lat, uznałam, że czas pisania laurek skończył się definitywnie.

Opadłam zmęczona na sofę, zastanawiając się, czy gdyby status moich zwierzeń zmienił się na „doręczono”, nasze relacje byłyby inne.

Poczułam dojmujący smutek, bo pomyślałam, jakim dziadkiem

dla moich dzieci będzie ten, który nigdy tak naprawdę nie odważył się być moim ojcem.

Z tego zamyślenia wyrwał mnie dopiero dźwięk telefonu, w którym matka oznajmiała, że jedzie pomóc mi w pakowaniu.

– No nie, w tym tempie to ty się do świąt nie spakujesz! – Wpadła do pokoju jak burza. – Tak myślałam, że beze mnie to będzie trwać wieki!

– Już prawie kończę. Uporządkowałam wszystko, co jest do wywiezienia do wuja Mariana. Po południu ma przyjechać samochód – odpowiedziałam rozdrażniona jej czwartą w tym tygodniu, niezapowiedzianą wizytą.

– Chcesz przechować te wszystkie rzeczy u Mariana? – wykrzyknęła zdziwiona, wskazując rząd pudeł blisko wejścia. – Gdzie on to zmieści? Nie mogłaś przy okazji trochę tego posortować? Co ty tam trzymasz? Założę się, że większość rzeczy nadaje się na śmietnik. – I ruszyła w stronę najbliższego, białego pudła w kwiatki.

– Mamo, zostaw to! – krzyknęłam, gdy szarpała się już z szarą taśmą klejącą na jego pokrywie.

Znieruchomiała na chwilę nad kartonem. Obie dziwiłyśmy się najwidoczniej moją gwałtowną reakcją.

– Ewa, nie podnoś na mnie głosu – upomniała mnie lodowato i wyprostowała się.

– Nie chcę, żebyś grzebała w moich rzeczach. To wszystko – odpowiedziałam stanowczo, mając na uwadze zawartość kwiecistego pudła.

– Zaraz tam grzebała. Chcę ci tylko pomóc.

– Mamo, poradzę sobie, więc zostaw moje rzeczy. Proszę. – Mój głos złagodniał.

– Dobrze, dobrze. – Podniosła ręce do góry. – Nie dotykam więcej twoich zabawek. – Oglądała uważnie jeden z paznokci, który widocznie ucierpiał w konfrontacji z mocną taśmą. – Strasznie drażliwa jesteś, naprawdę. Wiem – ciąża, zmienne nastroje, ale trochę się hamuj! W końcu niedługo będziesz obracać się wśród ludzi. Tam nie będzie miejsca na fochy ani taryfy ulgowej. Staniesz się wizytówką swojego męża – zakończyła patetycznie, krążąc po pokoju. – A może coś zjemy? – rzuciła nagle. – Podniesie ci się poziom glukozy i poprawi humor. Zobaczą, co tam macie dobrego. – Ruszyła w stronę kuchni, a ja już bałam się tego, co za chwilę się zacznie.

– Ile razy mówiłam ci, żebyś trzymała jogurty na dolnej półce? – Usłyszałam, jak przestawia je niżej. – A ta zupa? Po co w garnku stoi? Nie lepiej przelać ją do pojemnika? Mniej miejsca będzie zajmować. Boże, czy to naprawdę tak trudno odrobinę pomyśleć? – utyskiwała, stukając garnkami.

Siedziałam na sofie, czując się jak bezmyślna, tępą istotą, zawstydzoną tym, że nie radzę sobie w najprostszych kwestiach zupy czy jogurtu. Wstyd mi było przed nią, a jeszcze bardziej przed sobą, że nie jestem w stanie podnieść bezwładnego ciała, ruszyć do kuchni i wykrzyknąć, aby w moim własnym domu przestała mnie w końcu rugać za drobiazgi. Nie, nie byłam w stanie się podnieść. Ba, ja nawet nie potrafiłam sobie tego wyobrazić!

Już niedługo – powtarzałam sobie. Aż tysiąc siedemset

kilometrów: dwie godziny samolotem albo kilkanaście samochodem.

Wówczas ten dystans pocieszał mnie. Wydawał mi się wystarczający, by uwolnić się spod jej nieustającej kurateli i by odciąć pępowinę, która tak mnie uwierała, a której tu, na miejscu, nie poluzowałam nawet jako mężatka.

Usłyszałam, jak leje wodę do czajnika.

– Zrobię nam herbaty owocowej, bo nie bardzo wiem, co mogłybyśmy zjeść. Mam nadzieję, że masz chociaż jakieś ciastka?

– To pytanie zabrzmiało jak ostrzeżenie.

Jezu, spraw, żeby zostały jeszcze te kruche – pomyślałam gorączkowo.

– Powinny być w środkowej szufladzie – odpowiedziałam, w dalszym ciągu nie ruszając się z sofy.

Czajnik gwizdnął wesoło i po chwili już była z zastawioną tacą, przegryzając jedno z kruchych ciastek, które najwidoczniej ocalały. Uwielbiała słodczyce, więc humor wrócił jej momentalnie.

– Już wiesz, gdzie będziecie mieszkać?

– Nie, Wiktor nie ma kiedy się tym zająć. Cały czas jest w Rydze i wróci za dwa dni. Pewnie najpierw zatrzymamy się w hotelu i na miejscu będziemy szukać jakiegoś domu na wynajem. Łotewski MSZ jest właścicielem budynku ambasady, ale nie mają lokum na rezydencję dla ambasadora.

– Co ty powiesz? – Była wyraźnie zaskoczona. – Pewnie dlatego, że to młody kraj. Trudno się dziwić. Znajdziecie coś na pewno, przecież jak się ma pieniądze, to nie problem wynająć

rezydencję. – Najwidoczniej jednak coś jej nie pasowało, bo po chwili zapytała: – A wcześniejszy ambasador też wynajmował?

– Tak, podobno. Ale nie wiem, jak to dokładnie z nim było, bo Wiktor mało o nim opowiadał.

– Nie ma się co przejmować na zapas – pocieszała chyba bardziej siebie niż mnie. – Pamiętasz Jazmin, tę moją znajomą? Ona przez lata była ambasadorową Węgier i żyła w ogromnym komforcie. Wiem, bo widziałam na własne oczy. Byłam u niej trzy razy. Miała rezydencję wielkości pałacu prezydenckiego, umeblowaną i wyposażoną w najdrobniejsze detale, panią sprzątającą, kucharza, szofera. Suknie zamawiała u włoskich projektantów! A jakie przyjęcia organizowała! – Matka rozmarzyła się.

W tej chwili stało się dla mnie jasne, że taką wizją dyplomacji żyje i takie życie planuje dla mnie.

– Zobaczysz – ciągnęła, przymykając oczy i zakładając nogę na nogę – będziecie mieć dwóch kierowców: jednego Wiktor, drugiego ty. Pomoc domową, nianię do dzieci, może kucharkę. Będziesz biegająca z przyjęcia na przyjęcie i myślała tylko o tym, w co się ubrać.

– Nie wiem, nie wiem... – Jej scenariusz wydał mi się zbyt optymistyczny, więc powątpiewałam głośno. – Wiktor zarzeka się, że nie ma zbyt dużego budżetu na placówkę.

– No co ty! – krzyknęła oburzona. – Na takie rzeczy musi mieć budżet! Wszyscy z tego korzystają. Na to są specjalne dodatki. Wiadomo, nie będziecie ambasadą Stanów Zjednoczonych, ale tu chodzi o prestiż. Przecież będziecie reprezentować jego kraj! –

objaśniała z przejęciem.

Wpadła jak burza i równie szybko wyszła. Cała matka. Po jej godzinnej obecności pozostał wyraźny ślad krwistej pomadki na kubku od herbaty i totalny chaos w mojej głowie.

Wróciłam po chwili do pakowania, ale w głowie dalej miałam naszą rozmowę o życiu, jakie mnie czeka. Nie mogłam jej się zwierzyć, ale mój status finansowy, co do którego miała taką pewność, coraz bardziej spędzał mi sen z powiek. Nie zdradziłam się przed nią, że kwestia pieniędzy jest moją największą obawą. Gdy zdałam sobie sprawę, że odtąd tylko Wiktor będzie zarabiał, prześladowało mnie wciąż poczucie, że stanę się jego utrzymanką, zupełnie od niego uzależnioną. I nie potrafiłam wyobrazić się w tej roli.

Już praktycznie od trzeciego roku studiów byłam finansowo niezależna. Bywało, że dzięki tłumaczeniom i współpracy przy organizacji targów czy konferencji zarabiałam dużo więcej niż ojciec. Mogłam pozwolić sobie na podróże, wręcz ekscentryczne wtedy wyprawy do Azji, babskie zakupy, książki. A co najważniejsze, naprawdę lubiłam swoją pracę.

Po studiach zdałam egzamin na tłumacza przysięgłego języka łotewskiego i nie narzekałam na stawki, za jakie pracowałam. Wtedy też wyprowadziłam się od rodziców do dwupokojowego mieszkania po ojczystej babci i od tamtej pory nie wzięłam od rodziców ani złotówki. Odwiedzałam ich oczywiście dalej, prawie codziennie – co zostało mi do ślubu – ale odpowiedzialność za swoje utrzymanie wzięłam na siebie.

Byłam pewna, że matka w duchu cieszyła się z mojej

samodzielności finansowej. Miała się czym pochwalić przed znajomymi, a przy tym wytykała niemiłosiernie ojcu, że po tylu latach pracy zarabia mniej ode mnie. A lubiła narzekać. Narzekała zawsze na każdy wydatek. Nieważne, czy chodziło o nowe garnki, książki do szkoły czy wyjazd do Juraty, mówiła o nim tak, jakby leżał poza granicami naszych możliwości, chociaż z moich obserwacji wynikało, że status mieliśmy o niebo lepszy niż niejedna z moich koleżanek. Dlatego tak naprawdę nie wiedziałam do końca, jak to jest z pieniędzmi u rodziców.

A jak będzie w naszym małżeństwie? – zastanawiałam się regularnie po rozmowie, którą tydzień wcześniej odbyłam z moim mężem.

To był czerwcowy, sobotni wieczór. Wiktor wrócił właśnie w wyjątkowo dobrym humorze z dwudniowego pobytu w Szwajcarii. Siedzieliśmy w salonie przy otwartym balkonie, a z zewnątrz dopadały nas ciepłe, pachnące późną wiosną podmuchy wiatru. Wciągałam powietrze głęboko, jakby nasze dziecko też miało poczuć tę obecną w powietrzu zapowiedź prawdziwego lata.

Staralam się oddychać miarowo, chociaż cały czas z obawą myślałam o rozmowie, którą miałam zamiar odbyć z moim mężem. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i spytałam, jak to będzie, gdy przestanę dostawać pensję z konsulatu.

– Ambasadorowi na placówce dyplomatycznej przysługuje dodatek na żonę – odpowiedział. – No wiesz, że niby wyjeżdżając,

po części rezygnujesz ze swojej pracy zawodowej – dodał z wyraźnym lekceważeniem.

– Nie po części, ale całkowicie – poprawiłam go.

– No, nie przesadzaj! Nikt ci nie zabiera dyplomu. Przecież jak wrócisz, dalej będziesz tłumaczką.

– Tak, ale po pięciu latach przerwy będę musiała wyrabiać sobie kontakty od nowa, a w konsulacie nie mam zabezpieczonego etatu.

– Trudno, żeby ktoś blokował dla ciebie etat, nie wiedząc, czy w ogóle wrócisz.

– Widzisz? To jest jednak rezygnacja z życia zawodowego.

– Ale ty narzekasz! Przecież i tak miałabyś przerwę, bo jesteś w ciąży. – Wstał, podnosząc ręce w błagalnym geście. – Zobaczysz, jeszcze będziesz dziękować, że tak wyszło. Niejedna kobieta byłaby szczęśliwa, że nie musi pracować. Zresztą co tu planować. Jeszcze nie wyjechaliśmy, a ty martwisz się na zapas. Zadbaj, tym razem skutecznie, o nasze dziecko, a mnie pozostaw resztę, dobrze? – Patrzył na mnie wyczekująco.

Zabolało. Miało zboleć. Po to wypomniał mi poronienie.

– Dobrze – odpowiedziałam półgłosem i aby zmienić temat spytałam:

– Rozumiem, że dostaniesz za mnie ekwiwalent. A jak duży?

– Pięćdziesiąt procent mojego wynagrodzenia – odrzekł obojętnie, siadając z powrotem w fotelu.

Sporo, więc nie jest tak źle – trochę mi ulżyło. Przecież to w końcu moja rekompensata, ja rezygnuję – pomyślałam w duchu.

– Oczywiście te pieniądze będą wpływać z moim

wynagrodzeniem na moje konto, tak będzie prościej – dodał niedbale. – Będę ci przelewał tyle, ile będziesz potrzebować.

Zaświeciła mi się czerwona lampka.

– Dlaczego na twoje? – spytałam zdumiona.

– A dlaczego nie? – Pociągnął głośno łyk piwa i czekał na moją odpowiedź.

Zapadła niezręczna cisza.

– Nie mogłyby wpływać na moje?

– Ale tak będzie wygodniej. Po co chcesz utrudniać?

– Po prostu lepiej bym się z tym czuła i... – usiłowałam znaleźć jakiś argument – i nie musiałbyś się bawić w przelewy – dodałam pewniej.

– Jak ty o mnie dbasz – powiedział z fałszywym wzruszeniem. – Wstał, podszedł do mnie i nachylając się, szepnął mi do ucha: – A może jeszcze chcesz kartę do mojego konta, co?

Odsunęłam odruchowo głowę, a od jego szeptu przeszły mnie ciarki.

– No, słucham. Chcesz kartę? – spytał, wracając do swojego piwa.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Gdy wcześniej w myślach układałam scenariusz naszej rozmowy, miałam mnóstwo argumentów. Teraz jednak wytrącał mi je jeden po drugim, na dodatek wypaczając sens moich słów. Czułam, że to pierwsza i ostatnia rozmowa na ten temat, tym bardziej próbowałam bronić swoich racji.

– Nie o to chodzi. Niezręcznie mi będzie prosić cię za każdym razem o pieniądze. Przyzwyczaiałam się już, że mam swoje. Nie

chcę być zależna od ciebie.

– Będziesz musiała przywyknąć, bo inaczej się tego nie da rozwiązać. Nie będę robił alpejskich kombinacji, bo moja żona wymyśliła sobie rozdzielną majątkową.

– Wiktor, ty mnie kompletnie nie rozumiałeś!

– O, rozumiałem cię bardzo dobrze!

– Wiktor...

– Zrobimy, jak powiedziałem – wycedził tonem, od którego aż zeszywniałam. – Będziesz dostawać tyle, ile trzeba, i wtedy, kiedy trzeba. Koniec dyskusji.

Przerażała mnie finansowa zależność od niego, ale nie miałam pomysłu, co mogłabym jeszcze zrobić. Podjęłam więc kolejną próbę rozmowy na ten temat, jednak ta zakończyła się jeszcze szybciej magicznym „koniec dyskusji”. Byłam pewna, że rozporządzenie wejdzie w życie. I choć taki układ wydawał mi się krzywdzący, nie umiałam przeciwstawić się temu mężczyźnie, który nie musiał nawet krzyknąć, żebym drętwiała przed nim tak samo, jak do niedawna przed matką.

Ambasadorowa

Ewa, no nareszcie. Nie dzwonisz już dwa dni! – Metaliczny głos matki, lekko zniekształcony telefonicznym łączem był pełen wyrzutu. – Opowiadaj, przeprowadziliście się w końcu?

– Tak, wczoraj rano podpisaliśmy umowę najmu i wieczorem przewieźliśmy już wszystkie rzeczy – odpowiedziałam bez zbytniego entuzjazmu.

– Ty się dobrze czujesz? – zapytała z niepokojem matka.

– Dobrze, tylko jestem zmęczona. Źle znoszę upały. Mamy ponad trzydzieści stopni w dzień, a w nocy niewiele mniej. W dodatku klimatyzacja w naszym hotelu nie działa, więc przez tych kilka dni, gdy tam mieszkaliśmy, prawie nie spałam w nocy.

– Ach, co ja bym dała za twoje problemy! Choćby za marne dwadzieścia stopni! – Westchnęła. – U nas wciąż leje i wszyscy straszą wyjątkowo mokrym i chłodnym latem.

– To przyjedziesz do nas. Miejsca jest dosyć – powiedziałam i od razu pożałowałam tak szybkiego zaproszenia.

– Tak? – Ucieszyło ją to wyraźnie. – Chętnie, dziękuję ci. To

opowiadaj, duża ta wasza rezydencja?

– Mamo, to nie jest rezydencja. To normalny dom. Przestronny, ale nieduży. Ma jakieś dwieście metrów. Na parterze salon, jadalnia, kuchnia i gabinet, a na piętrze trzy sypialnie z garderobą. Typowy włoski dom. Ma całkiem spory ogród, na szczęście z trawą.

– Co to znaczy na szczęście?

– Bo mogłyby być kamienie. Mnóstwo takich ogrodów widzieliśmy. Włosi je bardzo lubią.

– Popatrz! O nie, dla dzieci kamienie wykluczone! Ewa, na początek wam wystarczy dwieście metrów, potem zobaczycie. A co z meblami?

– Kuchnia, gabinet i salon są umeblowane. Resztę trzeba dokupić. Tak naprawdę powinniśmy chyba trochę odświeżyć dół, ale jak pomyślę o remoncie, robi mi się słabo. Wiktor się tym przecież nie zajmie, za dwa dni zaczyna regularną pracę. Ja zaś nie chcę się stresować ze względu na ciążę. Teraz jedynie chciałabym dokupić wszystko, co nam jeszcze potrzebne.

– No koniecznie! Przecież wy będziecie musieli jakiś bankiet powitalny wydać.

– O, na bankiet to ja nawet talerzy nie mam!

– To kupisz. Jaki problem? A kiedy kierowcę i samochód dostaniesz?

– Raczej nie będę miała kierowcy – odpowiedziałam, ścisząc głos.

– Nie? Jak to? – Matka była wyraźnie zaskoczona.

– Wiktor obiecał, że gdy urodzą się dzieci, pomyślimy o

samochodzie dla mnie. Osobisty kierowca nie będzie mi na razie do niczego potrzebny i to tylko niepotrzebny wydatek. I źle to by wyglądało – tłumaczyłam jego słowami. – Twierdzi, że jeśli gdzieś trzeba będzie pojechać, skorzystam z jego auta – dodałam bez przekonania.

– Z jego? Ewa, ale przecież on będzie miał swoje sprawy, a ty swoje!

– Mamo, tak mi powiedział. Ja się nie znam na aspektach finansowych funkcjonowania ambasady. – Już sama nie wiedziałam, czy bronię jego decyzji, czy swoich przekonań. – To on jest ambasadorem. Chce dobrze wypaść na początku i tyle.

– Jak będzie chciał od początku mało, to dostanie jeszcze mniej, logiczne. Przecież...

– Mamo, nie wiem. – Przerwałam jej. – Skoro tak zdecydował, to widocznie tak powinno być.

– Hm, może faktycznie chce zrobić dobre wrażenie... – zastanawiała się głośno matka. – A gosposia? – rzuciła nagle.

To niewinne pytanie sprawiło, że poczułam narastającą gulę w gardle. Nie mogłam z nią dalej rozmawiać.

– Mamo, wiesz, przepraszam cię, ale muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi, zadzwonię jeszcze. Do usłyszenia! – Rozłączyłam się szybko.

Gula tkwiła dalej. Pojawiała się zawsze, gdy przypominałam sobie reakcję Wiktora na moje pytanie o gosposię.

– Pomoc domowa? – Mój mąż szczerze się zdziwił. – Żartujesz, prawda?

– Z tego, co wiem, ambasadorowe mają kogoś do sprzątnia,

prania, prowadzenia domu – Zmieszałam się. Poczułam, jakbym mówiła od rzeczy.

– A, i pani ambasadorowa też by tak chciała? – Kpił ze mnie wyraźnie. – A w czym ta pomoc miałyby ci pomagać? Zmywać naczynia po śniadaniu dla dwóch osób czy prać twoje majtki? – szydził. – Zastanów się, co ty mówisz?! Przecież my jesteśmy tylko we dwoje, mnie praktycznie całymi dniami nie będzie w domu, więc na co ci ta pomoc potrzebna? Masz tyle wolnego czasu, że z nudów będziesz sprzątać.

– No, ale gdy będziemy wydawać przyjęcie – brnęłam dalej – ja sama przecież nie przygotowuję i nie podam wszystkiego.

– Jesteś w ciąży, więc skup się na tym. Na razie nie wydajemy żadnych przyjęć, więc nie ma o czym mówić.

– A gdy urodzą się dzieci... – Chwyciłam się innej linii obrony.

– Będziemy się martwić później – odpowiedział i odwracając się w stronę okna, dodał: – Na razie jeszcze żadne się nie urodziło.

Nie mogłam określić, z jakiego powodu bardziej popłakiwałam po tej rozmowie – czy z powodu braku gosposi, czy z wypominania mi pierwszego poronienia. To były pierwsze włoskie łzy.

Minął miesiąc, kolejny i jeszcze jeden. Obserwowałam skrajne zwiastuny nadchodzącej włoskiej jesieni. Coraz częstsze deszcze przywróciły żywy kolor wypalanej sierpniowym słońcem trawie, która dostawała swoje drugie życie. Za to zimnozielone oleandry

na ulicy przed naszym domem, tak dotąd ukwiecone, gubiły na potęgę zwiędnięte kwiaty i wyraźnie gasły.

Gasł też mój entuzjazm i zapał, jaki miałam przed wyjazdem na placówkę, moje założenia, że będę dobrą ambasadorową... Miałam za sobą setki ambitnie przeczytanych stron na temat protokołu, ceremoniału, etykiety, zasady doboru strojów, organizacji przyjęć i tego, co uważałam za niezbędne. W teorii byłam przygotowana świetnie. Potrzebowałam jeszcze praktyki. O tę jednak było dużo trudniej.

Jako nowo przybyli ambasadorstwo zaraz po przyjeździe zapraszani byliśmy przez rezydujących już ambasadorów na oficjalne uroczystości z okazji świąt narodowych i na bankiety organizowane w ich rezydencjach. Oczekiwano, że po jakimś czasie my zrewanżujemy się rewizytą w naszej rezydencji. Tak nakazywała nie tyle etykieta, co zwyczajna kurtuazja. W ten sposób wszyscy budowali relacje w środowisku dyplomatycznym.

Ale nie my. My nie wydawaliśmy przyjęć i nie chodziliśmy na nie, bo mój mąż nie zabierał mnie tam „z powodu ciąży”. Za to korzystał z zaproszeń sam.

Każda rozmowa na ten temat kończyła się krótkim „skup się na ciąży”. Oburzałam się na takie tłumaczenia, robiłam wymówki, prosiłam. Wszystko na nic. Moje próby przekonania go, że ciąża to nie choroba, kończyły się zawsze mniej lub bardziej bezpośrednimi oskarżeniami o pierwsze poronienie. W związku z tym po każdej naszej rozmowie czułam się coraz bardziej winna.

Nie mówił mi dokąd wieczorami wychodzi, a ja odnosiłam wrażenie, że celowo izoluje mnie w domu od świata, żeby ukarać mnie za to, co wydarzyło się kilka miesięcy wcześniej. W pustym domu coraz częściej zdarzało mi się dochodzić do wniosku, że zasługuję na taką karę.

Czułam się samotna. Na miejscu nie miałam kontaktu z nikim, bo nikogo nie znałam. Pisałam maile do znajomych z Polski, ale były to ogólnikowe, gładkie wiadomości, które nie oddawały mojego stanu ducha, bo nie chciałam go nikomu opisywać.

Bywały jednak dni, gdy czułam, że eksploduję, że muszę uwolnić się od nadmiaru emocji i przemyśleń, przed kimś się otworzyć. Paradoksalnie jedyną osobą, z którą miałam odwagę szczerze porozmawiać o swoim życiu, była wtedy moja matka. Miałam nadzieję uwolnić się od niej, oddalając się setki kilometrów od domu, ale okazało się, że potrzebuję jej jak nigdy. Nie wyobrażałam sobie dnia bez telefonu do niej.

W końcu przyleciała. Na krótko, bo – jak z pasją zeznawała – właściciel biura turystycznego „Glob”, z którym współpracowała, nie chciał jej w ogóle puścić. Dlatego obiecywała, że na dłuższy urlop wybierze się, gdy urodzą się dzieci, a tymczasem wpadła tylko na kilka dni zobaczyć, jak się sprawy mają.

Generalnie rzeczywistość mocno rozminęła się z jej oczekiwaniami. Próbowwała to ukryć. Widziałam jednak, że „rezydencja” wydała się jej mało okazała i nie dość reprezentacyjna. Nie znalazła w niej antyków, eleganckiej zastawy stołowej, jedwabnych kotar ani innych oznak luksusu. Nie powinna być zdziwiona, bo mówiłam, że jedyną inwestycją

mojego męża były meble do jadalni: kredens, owalny stół i krzesła na dwanaście osób. No, bo jeśli trzeba by kogoś kiedyś zaprosić... Ale nie trzeba było. Stały więc paradnie i zbierały kurz, bo dla dwóch osób, a w zasadzie dla jednej, nie było sensu na co dzień nakrywać.

Gdy tylko zostałyśmy same, od razu rozwiązałam worek ze skargami, że jestem samotna i trudno mi znieść to, że Wiktor w ogóle nie liczy się z moim zdaniem, że jest apodyktyczny, że całe dnie jestem sama, a jego to nie obchodzi. Żaliłam się, a łzy płynęły bezwiednie, jakby na dowód dla tej, przed którą siedziałam, że nie udaję.

Zaskoczona moją reakcją na początku miała minę współwinnej. Widziałam to i przez chwilę poczułam cichą satysfakcję. W końcu to ona forsowała pomysł na życie u jego boku, a ja na niego się tylko naiwnie zgodziłam. Szybko jednak zaczęła studzić moje emocje.

– Ewa, uspokój się, wszystko się ułoży. To nowe miejsce, nowi ludzie...

– Mamo, ja nie mam z nikim kontaktu, o jakich ludziach mówisz?

– No przecież jeszcze będziesz miała! Teraz jesteś w ciąży. Na bale chcesz z brzuchem biegać? – Wracała do swojego zwykłego tonu.

– Ale ciąża to nie choroba, a ja się świetnie czuję. Chyba mój mąż może mnie zabierać na spotkania, na które sam chodzi? Poznałabym inne kobiety, miałabym z kim porozmawiać – tłumaczyłam.

– A co on na to?

– Ma to gdzieś! To go nie obchodzi! Mówi, że jestem w ciąży i żebym się na tym skupiła. Czuję się jak w klatce. On wychodzi rano do pracy i nie wiem, czy wróci późnym wieczorem, czy w nocy. Co mam robić całe dni sama? Jak mam poznać kogokolwiek, jeśli siedzę zamknięta w tym domu?

– Przecież cię nie zamyka – możesz wyjść. – Matka jakby nie rozumiała, o czym mówię.

– Mogę, na spacer wokół domu. Albo autobusem do centrum.

– Możesz wziąć taksówkę.

– Taksówkę? A czym za nią zapłacę? Przecież nawet na kartę do ciebie muszę ciuć.

– Nie, no myślę, że naprawdę przesadzasz! – Ucięła, a po chwili zmieniła taktykę. – Pamiętaj, on też się stresuje. Musi na pewno wykazać się w pracy. Ambasador to nie byle kto. Daj mu trochę czasu. – Wciąż próbowała bronić obiekt swojej fascynacji.

Nawet jeśli dostrzegała w nim pewne braki, to szybko zeszły one na dalszy plan. W stosunku do niej w dalszym ciągu był tak szarmancki, że nie poznawałam go. Rozmowny, dowcipny, troskliwy, obwoził matkę po mieście... na czym skorzystałam i ja, bo wreszcie mogłam posiedzieć na Schodach Hiszpańskich czy przy fontannie di Trevi, a nie zamknięta w naszym pustym domu. Co prawda byłam już wcześniej dwa razy w Rzymie, ale wciąż ciągnęło mnie do tych antycznych ruin i niepowtarzalnego, miejskiego kolorytu. Chłonełam go na każdym kroku.

Na koniec mój mąż zdobył się na gest, o jakim ja mogłam tylko

pomarzyć, a który matkę wręcz ubezwłasnowolnił: kupił jej w prezencie ciemnobrązowe, długie futro z pełnych norek! Wiedział doskonale, do czego Elżbieta Winiarska ma słabość.

Odkąd pamiętam, zawsze dbała o wygląd i nosiła się z klasą, chociaż jej najlepszy czas przypadł na lata, w których niełatwo było dobrze się ubrać. Mimo to radziła sobie i to w sposób nieobciążający domowego budżetu. W każdym sezonie kupowała coś z nowej kolekcji, ale też dużo szyła: prostsze rzeczy sama, a trudniejsze u krawcowej. Wprawiona w dzierganiu na drutach, co chwilę kończyła kolejny sweter lub bluzeczkę.

Jako pilot wycieczek zagranicznych ciągle podróżowała i wykorzystywała służbowe wyjazdy na obrót ubraniami, które podlegały wahadłowemu przerobowi. Nosiła kolekcję przez sezon, potem wywoziła używane, ale w bardzo dobrym stanie ciuchy i sprzedawała, gdzie się dało. Radziła sobie świetnie. A z wycieczek do Grecji czy Turcji obowiązkowo przywoziła zawsze kolejne futro. Futra i kapelusze były jej słabością.

Elegancji nie można jej było odmówić. W swoich kapeluszach, ze starannie dobranymi dodatkami: torebką, butami i rękawiczkami w jednym kolorze, odcinała się od tłumu bezbarwnych kobiet. A gdy jechała „do miasta” na kawę, nigdy nie siadała w tramwaju, żeby nie pognieść sukienki czy spódnicy. Nieważne, jak bardzo cierpły jej nogi od stania na szpilkach. Na ubraniu nie mogło być żadnego zagięcia. Dbiała, by wyglądać młodo, ale знаła umiar. Ubierała się stosownie do swojego wieku i nie próbowała udawać mojej starszej siostry, jak niektóre z matek moich koleżanek.

Muszę oddać jej sprawiedliwość – ze swych zagranicznych wojaży za każdym razem przywoziła również coś dla mnie. Choć te najładniejsze rzeczy – na przykład ciemnobeżowa, futrzana kamizelka i takie same botki – mogłam zakładać tylko za jej przyzwoleniem, gdy przyjmowaliśmy gości. To wyszukane strojenie mnie porównywałam do dekorowania choinki, która ma potem wszystkich zachwycić. Jeśli tylko mogłam, uciekałam więc przed kulawymi komplementami ciotek, wujków i „przyjaciół mamy”.

Po tym krótkim, pierwszym pobycie matka przez długi czas wszystkie moje skargi traktowała jak wymysły paranoiczki.

– Zastanów się, co ty opowiadasz? – mówiła. – Przecież sama widziałam, jak on się zachowuje. To pewnie przez ciążę jesteś taka rozdrażniona i tak wszystko wyolbrzymiasz!

No tak, z argumentem w postaci futra nic nie było w stanie się równać. Sama widziała. Rozczarowana zastanawiałam się, co musiałoby się stać, żeby uwierzyła w alter ego swojego ulubieńca?

Tej soboty nie czułam się dobrze. I to nawet nie z powodu ciąży, która weszła już w optymalny, drugi trymestr. Byłam po prostu spięta, jak zawsze, kiedy mój mąż nie szedł do pracy. Perspektywa całego dnia w jego towarzystwie napawała mnie niezmiennie obawą.

Wstałam dużo wcześniej niż zwykle i bezgłośnie, żeby nie miał pretensji o to, że przeszkadzam mu się wyspać w jeden z

niewielu wolnych od „zapieprzania” dni. Robiłam ostatnie poprawki w porządkach. Dom co prawda był porządnie wypucowany, ale wolałam nie przegapić żadnego okruszka czy kurzu, które niemiłosiernie obnażyłoby ostre, poranne słońce. Fakt, że siedzę całymi dniami i nawet o porządek nie chce mi się zadbać, stałby się potem powodem wymówek.

Niewiele ponad pół godziny zajmowało mi zrobienie na mokro brązowej terakoty na dole. Do tego drugie tyle przetarcie kurzy na meblach i jasnych podłóg na górze. W sumie godzina.

Sześćdziesiąt minut sprzątnięcia to nic w porównaniu z dwoma dniami wymówek o kilka wełnianych nitek z dywanu, które nie miały prawa, a jednak leżały bezczelnie pod łóżkiem w sypialni w poprzednią sobotę.

Właśnie, sypialnia – myślałam gorączkowo. Zajrzę tam, gdy będzie jadł śniadanie. Nie zauważy. Zdążę.

Zdążyłam, kiedy brał prysznic w łazience na górze. Gdy schodził na dół po schodach, siedziałam już na sofie w salonie, z resztką latte w jednej i z poradnikiem „Savoir-vivre’u” Pietkiewicza – jakby miał być mi do czegoś potrzebny – w drugiej ręce.

– Ty to masz życie: kawka, książeczka... – powiedział przeciągle. – Też bym tak chciał.

– Jak chcesz, to mogę ci zrobić kawę. – Udałam, że nie rozumiem podtekstu.

– Takie beztroskie życie – ciągnął i wszedł do kuchni, szurając głośno kapciami. Po chwili usiadł do stołu w jadalni z kubkiem kawy i rogalikiem. – Chodź, powiem ci coś – zawołał.

Już samo to, że przyszedł ze śniadaniem do jadalni, zaskoczyło mnie. Odłożyłam książkę. Wstałam i biorąc swoją filiżankę z zimnym latte, usiadłam niepewnie przy stole.

– Pojutrze przyjeżdża z oficjalną wizytą prezydent z żoną – obwieścił krótko.

– Naprawdę? – spytałam zaskoczona.

– Nie, na żarty. – Zachnął się. – No chyba mówię wyraźnie, tak? Przyjeżdżają obydwój w poniedziałek. No i niestety będziesz musiała, hm, jakby to ująć, dotrzymywać prezydentowej towarzystwa.

– Ale dlaczego tak późno mi to mówisz? Przecież muszę się jakoś przygotować! – powiedziałam podekscytowana.

– No nie przesadzaj, proszę cię! Wszystko jest już zaplanowane. Masz tylko z nią jeździć w ciągu dnia na spotkania, a wieczorem będzie kolacja. Gdzieś mam harmonogram, potem ci pokażę.

– Gdzie kolacja? W domu?

– Zastanów się, co ty mówisz? – Popatrzył na mnie z politowaniem. – Tutaj chciałabyś ich na kolację zaprosić?

– No nie wiem, może wypadałoby... – odpowiedziałam zmieszana.

– Nie ma takiego obowiązku. Poza tym to będzie krótka wizyta. Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzisz.

Wydawało mi się, że usłyszałam w jego głosie ostrzeżenie, ale puściłam to mimo uszu. Byłam tak podniecona tym, co mnie czeka! Nie mogłam wprost uwierzyć. Po raz pierwszy miałam wystąpić w oficjalnej roli, dotrzymywać towarzystwa prezydentowej.

Wyjdę z tego domu, będę miała okazję wreszcie poznać bliżej pracowników ambasady. Może kogoś jeszcze?

– Wiktor, ale ja nie wiem, czy mam się w co ubrać – powiedziałam po chwili.

– Na pewno masz, przecież tyle ubrań przywiozłaś tu z Polski – odpowiedział z croissantem w ustach.

– Tak, ale... – Zabrakło mi słowa, żeby to dobrze ująć. – Zmieniła mi się sylwetka. Brzuch mam już przecież większy. Sam mówiłeś, że nie ma sensu kupować na zapas, bo nie wiadomo, co będzie dobre, to nie kupowałam.

– No jasne, wiedziałem, że się zaczniesz. Zaraz jeszcze buty, torebka – wyliczał na palcach.

– Buty i torebki mam – odpowiedziałam lekko urażona, a moja ekscytacja słabła.

On tymczasem wstał, wyciągnął z portfela, który nosił zawsze przy sobie, cienką, plastikową kartę lojalnościową Sephory i swoim zwyczajem zaczął nią czyścić zęby. Poczulałam obrzydzenie, jak za każdym razem, gdy to widziałam.

– Dobrze, idź zobacz, co tam masz – zwrócił się do mnie, gdy skończył. – To ma być ubranie na dwa dni spotkań w ciągu dnia plus dwie kolacje. Jak już naprawdę nic nie znajdziesz, to pojedziemy po południu coś ci kupić.

Pierwszy raz byłam na zakupach z mężczyzną. Było inaczej niż z matką, bo krócej. Decyzja, że jedziemy na Via del Corso była ekspresowa. Pobyt w sklepie trwał może dwadzieścia minut.

Oceny „to dobre”, „to do niczego” – od ręki.

Ekspedientki były pod wrażeniem, że mąż tak mi doradza. Mnie też się chyba podobało, bo przecież inaczej nie zdecydowałabym się na luźny, granatowy spodniom i ciężową sukienkę z białym, pensjonarskim kołnierzykiem, które dla mnie wybrał.

Gdyby nie ciąża, zaordynowałabym sobie na pewno coś porządnego na uspokojenie. Brzemie odpowiedzialności, którą kilkakrotnie jeszcze mi uświadamiał, przytłoczyło mnie i z obawą myślałam o tym, czy zdam swój pierwszy dyplomatyczny test. Jakby cała moja przyszłość od tego zależała. Ze zdenerwowania zapomniałam, jak się nazywam.

Opatrzność czuwała i prezydentowa okazała się ciepłą, bezpośrednią kobietą. Sporo starsza ode mnie, miała w sobie spokój właściwy doświadczeniu życiowemu, dzięki czemu po kilkunastu minutach rozmowy z nią mój stres ustąpił, a ręce nie były już tak wilgotne. Gdy po krótkim powitaniu w ambasadzie wsiadłyśmy do dyplomatycznej limuzyny, aby odbyć pierwszą wspólną podróż, wiedziałam już, że u niej dostanę z testu zaliczenie.

Rozpoczęłyśmy od wizytacji na oddziale dziecięcym szpitala onkologicznego. Najchętniej darowałabym sobie wizytę akurat w takim miejscu. Nie mogłam patrzeć na te wszystkie dzieci, od niemowlaków po nastolatki, wycieńczone chorobą, z lepszymi lub żadnymi rokowaniami na przyszłość. Reagowałam jak matka, myślałam o swoich nienarodzonych dzieciach i zatrzymywałam się czasem w kącie ze ściśniętym gardłem. Na

szczęście prezydentową oprowadzał głównie ordynator oddziału, więc nie przeszkadzało im, że zostają gdzieś w tyle.

Wieczorem spotkałyśmy się ponownie na kolacji, na którą przebrałam się w pensjonarską, ciężową sukienkę.

– Pani jest w ciąży? – spytała zdziwiona, gdy zorientowała się, w jakim jestem stanie.

No tak, w ciągu dnia miałam na sobie spodnium, który maskował zarysowujący się dopiero brzuch. Mogła nie zauważyć.

– Tak, pani prezydentowo, spodziewam się bliźnięt. Dlatego gdy wizytowałyśmy szpital dziecięcy, reagowałam czasem histerycznie – odpowiedziałam. – Nie byłam w stanie się powstrzymać.

– Hm, to już rozumiem... – Prezydentowa popatrzyła na mnie, ściągnęła lekko brwi i zastanawiała się nad czymś mocno. – Ale zaraz, gdzie pani w takim razie odpoczywała między porannym spotkaniem a tą kolacją?

Ją samą odwieziono limuzyną pod eskortą ochrony do hotelu. Była pewna, że i mnie kierowca odwiózł do domu. Nie wiedziała, że nie miałam ani limuzyny, ani kierowcy. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

– Wsiadłam w metro, pojechałam do naszej ambasady, tam odpoczęłam na kozetce, przebrałam się i przyjechałam na przyjęcie.

– Słucham?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem.

– No tak, pani prezydentowo, tak właśnie zrobiłam – odpowiedziałam z rozbrajającą szczerością.

Byłam z siebie dumna. Już wcześniej zaplanowałam taką logistykę. Jazda komunikacją publiczną do domu zajęłaby mi wieki, a Wiktor od razu zapowiedział, że „wozić mnie nie będzie”. Zgodził się na szczęście zabrać moją wieczorną toaletę do ambasady, do której dojazd metrem zajmował chwilę. Tam właśnie zrobiłam sobie tymczasową garderobę.

– Hm, rozumiem... – Westchnęła cicho i pokiwała głową.

Kolejnego dnia, tym razem po wizycie w Galerii Borghese, prezydentowa spytała:

– A teraz, co teraz będzie pani robiła?

– Pójdę do metra, pani prezydentowo, pojedę do ambasady, odpocznę i muszę się jakoś przygotować na wieczór – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Nie! – prawie wykrzyknęła. – W pani stanie trzeba porządnie wypocząć! Nie ma mowy o wyprawach metrem. Sama ledwo trzymam się na nogach. Pojedzie pani ze mną, do mojego apartamentu, odpocznie pani w naszej sypialni, zadzwoni do swojego mądrego męża i powie mu, żeby przywiózł sukienkę na wieczór do naszego hotelu. Nie wypuszczę pani od siebie.

Na jej polecenie ambasador przywiózł sukienkę. Przecież żonie prezydenta się nie odmawia.

– Ale to bezczelność po prostu – krzyczał potem – opowiadać takie rzeczy! Przecież tylko dziwki włóczą się po obcych łóżkach! – rozpoczął wieczorną sesję rozjuszony. I atakował mnie do późnej nocy.

Na drugi dzień, jak zwykle po takiej aktywności mojego męża, długo nie mogłam zebrać się, żeby wstać. Leżałam w chłodnej

pościeli przy zaciągniętych żaluzjach, po swojej stronie naszego „matrymonialnego” łóżka. Echem wracały jego ostre słowa, oskarżenia, wulgarne porównania, coraz częściej wyzwiska. Nie powstrzymałam łez – czułam, że mnie oczyszczają. Gdy się porządnie spłakałam, szybciej dochodziłam potem do siebie. Podpuchniętych oczu i tak przecież nikt nie oglądał.

Jeśli miałyby to zależeć ode mnie, zastosowałabym się do jego wytycznych: metro, kozetka w ambasadzie, kolacja. Tymczasem prezydentowa pokazała mi, jak powinnam się sama traktować. Albo jakiego traktowania oczekiwać. Nie mogłam i nie chciałam jej odmawiać. Zdawałam sobie sprawę, że miała świętą rację. Byłam zażenowana, że zatroszczyła się o mnie i o moje dzieci tak, jak ja sama nie umiałam się zatroszczyć. Czułam się z tym jak sierota.

Dzień do dnia podobny. Poznawałam mojego męża coraz lepiej, czując jednocześnie, że nie wiem o nim nic. Był nieprzewidywalny w swoich reakcjach – zwłaszcza gdy zrobiłam coś nie po jego myśli. Nigdy nie wiedziałam, czy za przygotowanie mu na wieczorny bankiet garnituru, zamiast smokingu, zareaguje tylko protekcyjnym kiwaniem głową i sarkastycznym: „Oj, ty głupia”, czy może wpadnie w furję i usłyszę po raz kolejny, że do niczego się nie nadaję, stroju na okazję dobrać nie potrafię i w najprostszycich sprawach nie może na mnie liczyć!

Ta jego nagła odmiana spadła na mnie na obczyźnie. Choć im

dłużej zastanawiałam się, tym mocniej dochodziłam do wniosku, że wcale żadnej odmiany nie było. Przecież już zaraz po ślubie przydarzyła się nam pamiętna scena z niezjedzoną kolacją i jego pierwszymi ostrzeżeniami. A potem... potem jego częste delegacje, moje poronienie i tak naprawdę związek na odległość, który nie miał nic wspólnego z codziennym, wspólnym życiem. Dopiero tu, na włoskiej ziemi, przyszło nam się ze sobą zmierzyć.

Oddałam walkę walkowerem. Jego napastliwość przerażała mnie i jedyne, czego chciałam, to donosić ciążę. Gdy po pierwszej wizycie u polecanej Wiktorowi przez żonę ambasadora norweskiego ginekolog usłyszałam, że z takim obciążeniem, jakim było moje pierwsze poronienie, jedyne co mogę zrobić dla dzieci, to zachować spokój, w imię tego spokoju ulegałam mężowi we wszystkim. W imię spokoju, którego i tak nie było.

Przywykłam, że nigdzie nie wychodzę. Wycieczek do centrum miejską komunikacją, które były dotąd moją jedyną rozrywką, zupełnie zaniechałam. Wiktor, gdy przyłapał mnie na ostatnim wyjeździe, kiedy zwyczajnie zasiedziałam się na Piazza del Popolo, zrobił mi karczemną awanturę i powiedział, że nie będzie sponsorować moich wypraw, które jak widać, przedkładałam nad dbanie o ciążę. Nie pomogło tłumaczenie, że mam kapelusz, wodę i w ogóle dobrze mi to robi. Nie, bo nie. Posłuchałam. Tym bardziej, że zwyczajnie nie miałam już pieniędzy na bilety.

W ogóle nie miałam pieniędzy. Jedyne, jakie przywiozłam, wydałam na telefony do matki, bo non stop rozmawiałam z nią przez telefon. Ostatnie grosze wydawałam na zniżkową kartę i

dzwoniłam do niej prawie codziennie. Ja dzwoniłam. Ja tego potrzebowałam.

Zdecydowanie pomyliłam się, myśląc, że wraz z moim wyjazdem nasze relacje się zmienią. Tak naprawdę wcale nie odcięłam pępowiny, a matka była moim najbliższym powiernikiem; jedyną osobą, której mogłam wszystko opowiedzieć. Bo komu, jeśli nie jej? Znajomym? Przecież nie uwierzyliby. Samej z czasem coraz trudniej było mi uwierzyć, że tak mi się w życiu nie układało.

Potrzebowałam kontaktu z nią jak nigdy dotąd i nie wyobrażałam sobie jednego dnia bez jej wsparcia.

Moje opowieści o tym, że jestem ciągle manipulowana i izolowana od wszystkich przyjmowała z niedowierzaniem. Nie dawała wiary, że Wiktor tłumaczy wszystkim, że źle znoszę ciężę i nie chcę prowadzić tak zwanego życia towarzyskiego, dlatego przychodzi na przyjęcia sam i bardzo żałuje, że nie może zaprosić nikogo na rewizytę. Oszczędziłam jej więc reszty, którą usłyszałam od niego podczas jednej z wieczornych sesji, gdy z nieskrywaną satysfakcją dodał, że „każdy to łyka”.

Jakąś wątpliwość co do mojej pozycji udało mi się jednak w niej zasiać, bo gdy na początku listopada, zapytana o przyjęcie w polskiej ambasadzie z okazji Święta Niepodległości, powiedziałam zgodnie z prawdą, że Wiktor nic mi o nim nie wspominał, to słyszałam odtąd od niej codziennie: „Zapytaj go”, „Musi cię na nie zabrać”, „Musisz tam być”. Sama nie wyobrażałam sobie braku kontaktu z ojczystą placówką, ale z każdym kolejnym dniem spędzonym w domu odkładałam to na

później, licząc, że nadejdzie odpowiedni moment.

Tymczasem dla matki bankiet z okazji święta narodowego stał się tematem przewodnim i pod jej silnym wpływem ubłagałam wręcz męża, żeby mnie tam ze sobą zabrał. W końcu się zgodził, a we mnie odżyły nadzieje podobne do tych sprzed wizyty łotewskiej pary prezydenckiej. Relacja z polskim ambasadorem i jego żoną stanowiłaby dla mnie szansę na odmianę sytuacji. Poczułam, że to spotkanie może stać się okazją do nawiązania jakiegokolwiek bliższego kontaktu z ludźmi.

Czarne bmw Wiktora zatrzymało się przed schodami z jasnego piaskowca. Trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły wydał mi się na wskroś włoski.

– Tylko pamiętaj, nie przynieś mi wstydu – usłyszałam w uchu ciche ostrzeżenie Wiktora i poczułam nagły przypływ gorąca.

Szofer otworzył mi drzwi, a chłodne powietrze listopadowego wieczoru dobrze zrobiło moim rozpalonym policzkom. Chwyciłam dłoń w białej rękawiczce i z jej pomocą wysiadłam z samochodu.

Gospodarze zgodnie z protokołem stali przy wejściu, witając wszystkich gości. Wysoki, szpakowaty szatyn i dużo niższa od niego, drobna brunetka – Ludwik i Pola...

O nie!

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam nazwiska ambasadorstwa.

Pola i Ludwik, ale co dalej? Kompletna pustka w głowie! Spytać

Wiktora? Nie, przecież mnie ostrzegał...

– Dobry wieczór. – Ambasadorowa podała mi szczupłą dłoń i poczułam zdecydowany uścisk. – Pola Skierska. Bardzo mi przyjemnie poznać w końcu panią ambasadorową. – Popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Dobry wieczór. Ewa Krasts. Ja też bardzo cieszę się z tego spotkania. – Ukłoniłam się lekko.

– Właśnie, do tej pory nie było okazji. A przecież jest pani Polką! Państwo już jakiś czas jesteście w Rzymie?

– Tak, ponad trzy miesiące – odpowiedziałam. – A państwo?

– My niewiele dłużej, bo cztery. Jeszcze oswajamy Rzym. Mam nadzieję, że zdążymy przed powrotem – zażartowała i roześmiała się swobodnie.

Wiekowo pasowała na moją matkę. Energiczna, prosta jak struna i pewna siebie. Patrzyła mi prosto w oczy. Czułam od niej taką życzliwość i ciepło, że nagle skojarzenie z matką wydało mi się dla niej krzywdzące.

– Pani ambasadorowo, potem jeszcze sobie porozmawiamy, a tymczasem zapraszam do bufetu – powiedziała ściszym głosem.

Sala reprezentacyjna polskiej ambasady wydała mi się ogromna. Po części ze względu na liczbę obecnych gości, których na oko było około dwustu, może nawet więcej.

Dlaczego zakładałam, że będzie to niewielkie, kameralne przyjęcie? Jak w takim tłumie zrealizuję swój zamiar zbliżenia się do ambasadorowej? – myślałam.

Stałam wśród tej miarowej wrzawy lekko oszołomiona, z

nienapoczętym kieliszkiem powitalnego szampana w rękę. Tymczasem część osób korzystała już z poczęstunku na szwedzkich stołach, część prowadziła ożywione rozmowy, a między nimi lawirowali zgrabnie kelnerzy z tacami zastawionymi kieliszkami białego i czerwonego wina.

Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą począć, i spoglądałam co jakiś czas błagalnie na Wiktora, aby nie zostawiał mnie tu samej. On nawiązał już jakieś znajomości, witał się z tym czy innym dyplomatą, a mnie przedstawiał ich żonom. Niemożliwe było, żebym spamiętała wszystkich, ale z całej siły starałam się nie przynieść wstydu mężowi, więc rozdawałam na prawo i lewo wymuszone uśmiechy.

Widziałam, jak gospodarze krążyli między gośćmi i bardziej lub mniej świadomie czekałam, aż podejdą w końcu do nas. I właśnie w momencie, gdy mąż powiedział, że „idzie na swoją stronę”, usłyszałam za sobą wesoły głos polskiego ambasadora.

– Drodzy państwo, proponuję pamiątkowe zdjęcie.

– O, z przyjemnością. Nie odmówimy. – Wiktor wysilił się na kurtuazję.

Po chwili przysadzisty fotograf ustawił zgrabnie naszą czwórkę, błysnął fleszem i po skończonej pracy odszedł dyskretnie na bezpieczną odległość. Odszedł również ambasador, zabierając ze sobą mojego męża, a ja zostałam z polską ambasadorową.

– To pani pierwsza placówka? – zapytała mnie wprost.

– Tak – odpowiedziałam. – Pewnie widać, że jestem nowicjuską?

– Raczej po wieku niż po zachowaniu – odpowiedziała wymijająco. – Proszę wybaczyć, ja towarzyszę mężowi już po raz trzeci, więc, jak to się brzydko mówi, jestem starą wyjadaczką. – Roześmiała się.

– O, na pewno nie starą! – Rozbawiła mnie tym.

Spodobało mi się, że ma dystans do siebie.

– Wie pani, mam dwie dorosłe córki. Zostały w kraju, mają już swoje życie. A państwo macie dzieci?

– I tak, i nie. – Widziałam, że zaintrygowała ją moja odpowiedź.

– Spodziewamy się bliźniaków. Jestem w ciąży.

Nagle dotarło do mnie, że przecież musiała wiedzieć, bo to ciążą Wiktor tłumaczył moją przewlekłą nieobecność na bankietach.

– Och, to moje gratulacje! To dopiero będzie wydarzenie! Fantastycznie. Gdyby pani czegoś potrzebowała, jestem do dyspozycji. Może kontaktu do jakiegoś lekarza z polecenia? Wie pani, to też jest niepisana rola ambasady: pomagać odnaleźć się w codziennych problemach, w nowym środowisku. A pani jest Polką...

– Dziękuję, chętnie skorzystam.

– A jak pani znosi ciążę? – zapytała, patrząc na mnie z uwagą.

Wiedziała, byłam już pewna. Do niej też dotarły „wyjaśnienia” Wiktora.

– Na ogół dobrze. To drugi trymestr, podobno najlepszy. – Roześmiałam się na siłę. – Nie mam jeszcze dużego brzucha, więc mogę prowadzić normalny tryb życia.

– O, to cudownie!

Wyczułam lekkie zaskoczenie w jej głosie, musiałam więc szybko uwiarygodnić wersję Wiktora o źle znoszonej ciąży.

– Oczywiście nie wolno mi się przemęczać i, jak to mówi moja lekarka, muszę prowadzić oszczędny tryb życia.

– No tak, ciąża to nie choroba, ale trzeba do niej podejść ze zdrowym egoizmem – odpowiedziała ambasadorowa. – Mam jednak nadzieję, że będzie pani czasem się pokazywać. W końcu do rozwiązania jeszcze kilka miesięcy, więc warto wykorzystywać ten czas. Gdy dzieci się urodzą, to dopiero będzie wyzwanie, zwłaszcza z bliźniakami.

– Bardzo bym chciała – wyrwało mi się spontanicznie.

– To wystarczy na początek. – Chwyciła mnie energicznie za rękę. – Dam pani swój numer telefonu, a pani da mi swój. I dopóki się nie spotkamy ponownie, przynajmniej będziemy mogły do siebie dzwonić.

– Dobrze. – Ucieszyłam się.

– Jestem na bieżąco z tym, co dzieje się na placówkach, więc będę pani mówić, gdzie warto się wybrać. Wie pani przecież, że my, kobiety dyplomatów, mamy swoje spotkania. – Mrugnęła znacząco. – Tak to już jest: panowie w ciągu dnia załatwiają swoje sprawy, my swoje, a razem występujemy wieczorem. Każda szanująca się żona dyplomaty wie, jak ogromny ma wpływ na jego wizerunek. I chociaż każda z nas buduje swoją własną markę, tak naprawdę jest głównie po to, by go wspierać.

– Tak właśnie to sobie wyobrażałam – powiedziałam bardziej do siebie niż do niej.

– Tak? No właśnie. Myślę zatem, że pani też się odnajdzie w

naszym środowisku. Mogę spytać, kim jest pani z wykształcenia?

– Skończyłam filologię bałtycką na Uniwersytecie Warszawskim. Jestem tłumaczem przysięgłym języka łotewskiego, a przed wyjazdem na placówkę pracowałam w konsulacie Łotwy w Warszawie.

– O, to pani mąż nie mógł lepiej wybrać.

– O tak, wybrał idealnie – powiedziałam z ironią, czując, że moje wyznanie średnio pasuje do młodej, zakochanej żony.

– Dobrze, nie będę już pani odpytywać. Poza tym, niestety, obowiązki mnie wzywają. – Wskazała znacząco głową na gwarną salę. – Będziemy w kontakcie. Przy wyjściu wymienimy się telefonami. W końcu my, rodaczki, musimy trzymać się razem.

– Tak będzie, pani ambasadorowo.

– Pola. Mam na imię Pola. Możemy mówić sobie po imieniu?

„Pola Skierska, magister ekonomii” czytałam w półmroku panującym w aucie w drodze powrotnej do domu. Obróciłam wizytówkę, na której odręcznie dopisany był jej prywatny numer telefonu. Moja przepustka do innego świata.

Dziwnie się czułam po tej rozmowie. Ona wiedziała więcej, niż mówiła, było to dla mnie jasne. Może nawet domyślała się, jak naprawdę jest między mną a Wiktorem. Jednak dałam jej z marszu przyzwolenie na tę wiedzę, na odpytywanie mnie z życia. Nawet chciałam powiedzieć jej więcej w stosownym czasie. Biła od niej autentyczna życzliwość i troska, której tak bardzo pragnęłam. Doświadczyłam zainteresowania, którego nigdy nie

otrzymałam od mojego męża, ani mojej matki.

– Co tak nic nie mówisz? – Wiktor szturchnął mnie w ramię. –
Podobało ci się?

– Tak. Cieszę się, że mogłam porozmawiać z polską
ambasadorową. To bardzo mądra kobieta.

– To z wiekiem przychodzi. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Udałam, że nie słyszę. Nie chciałam prowokować kłótni.

– Nie wiem dokładnie, ile ma lat. Mówiła, że ma dwie dorosłe
córkę, ale i tak świetnie wygląda jak na swój wiek.

– Musi się przecież starać, w końcu jest ambasadorową.

– Czyli jeśli ja jestem, to też powinnam?

– Ty jesteś jeszcze na tyle młoda, że nie musisz. Zauważyłaś, że
jesteś jedną z najmłodszych?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jeszcze Węgierka jest w twoim wieku, a tak to starsze
towarzystwo. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – Naprawdę zaintrygował mnie tą statystyką.

– Bo żeby dojść do szczybla ambasadora w dyplomacji,
potrzeba wielu lat doświadczeń, głuptasie. To są lata zabiegów i
pracy, które mają przełożenie na wiek. A skoro ja jestem tak
młodym ambasadorem, co to znaczy? – zapytał uprzejmie.

– Nie wiem. Co to znaczy? – powtórzyłam, choć domyślałam
się, co chce powiedzieć.

– Twój mąż jest człowiekiem nietuzinkowym i ktoś się na nim
zwyczajnie poznał – powiedział z satysfakcją.

– Słuchaj – zignorowałam jego przechwałki – wymieniłam się z
polską ambasadorową telefonami. Mówiła, że wie, gdzie warto

się pokazać...

– Co? O czym ty mówisz? – wykrzyknął prawie ze zdziwienia.

– No mogłabym czasami z nią gdzieś wyjść...

– A po co masz gdzieś wychodzić? Przecież ustaliliśmy. Teraz jesteś w ciąży i na tym masz się skupić. Chryste, ja naprawdę nie rozumiem! Niepotrzebnie zabrałem cię dzisiaj, bo widzę, że już ci się w głowie przewraca.

– Wiktor, przecież ja nikogo nie znam. Jak mam funkcjonować w tym środowisku?

– W domu masz funkcjonować! O to masz dbać! Dziećmi się zająć!

– Ale te kobiety przecież też mają rodziny, domy, angażują się, bo wiedzą, że muszą wspierać swoich mężów.

– Ja, jak widzisz, doskonale radzę sobie bez twojego wsparcia. – Przerwał mi. – I doskonale wiem, czego potrzebuję od swojej żony. Już ci to kiedyś tłumaczyłem. Problem w tym, że ty mnie najzwyczajniej nie słuchasz!

– Ale ja naprawdę nie widzę problemu, żeby to pogodzić.

– A ja widzę ogromny i żeby było jasne: nie godzę się na żadne spotkania i włączanie się nie wiadomo gdzie. Masz siedzieć w domu i zadbać o ciążę. Skończmy już tę jałową dyskusję.

Odwróciłam głowę do szyby. Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Po szybach i po mojej twarzy ciekły wąskie, bezgłośnie strużki.

Kilka dni później Pola zadzwoniła. Powiedziała wprost, że

spotkała samotnego Wiktora na dwóch bankietach. Zapytała o mnie, a on odpowiedział to, co wszystkim: z powodu ciąży nie chcę nigdzie wychodzić i zostaję w domu. Ostatnio nie odniosła wrażenia, że jestem na przyjęciu z przymusu, więc może jednak dam się gdzieś wyciągnąć. Namawia mnie na spotkanie ambasaderek byłego bloku komunistycznego, które za dwa dni wydaje ambasadorowa Słowacji.

Odpowiedziałam, że faktycznie ostatnio gorzej się czuję, muszę się oszczędzać i w związku z tym nie skorzystam niestety z zaproszenia na przyjęcie. Kłamałam jak z nut i obie to wiedziałyśmy. I ja, i ona miałyśmy świadomość, że siedzę w domu, bo tak chce mój mąż.

Kiedy po tygodniu znowu zadzwoniła i po raz kolejny usłyszała, że nie chcę nigdzie wychodzić, zapytała wprost, czy może w takim razie wprosić się do mnie na herbatę. Wiedziała, że nie odmówię.

Cieszyłam się na tę wizytę, chociaż byłam bardzo stremowana. Obawiałam się, jak wypadnę. Pucowałam mieszkanie, jakby to najwyższy stan czystości miał być gwarantem jej względów. Niepotrzebnie. Przyjechała z owocami i migdałowymi ciasteczkami zamiast kwiatów i przez dwie godziny naszego spotkania spowiadałyśmy się sobie z życia. Oczywiście z umiarem, bo każda powiedziała tylko to, co chciała drugiej zdradzić. Mimo to byłam pewna: Pola miała już jasny obraz mojej sytuacji.

Odtąd dzwoniła do mnie systematycznie. Odrywała mnie od mojej samotności, która towarzyszyła mi dwadzieścia cztery

godziny na dobę; od myślenia i czekania: czy pan przyjdzie, czy nie przyjdzie? A jeśli przyjdzie, to w jakim będzie humorze?

Spotkałyśmy się ponownie w styczniu, na tradycyjnej prezentacji noworocznej u prezydenta Włoch, na którą, mimo mojej zaawansowanej ciąży, Wiktorowi wręcz nie wypadało mnie nie zabrać. Znowu nie zapytała o nic wprost, ale jej pełne współczucia spojrzenie mówiło wszystko. Gdybym zdradziła się choć słowem z tym, jak bardzo czuję się wyizolowana od otaczającego mnie świata, jak mocno kontroluje mnie mąż, jak bardzo mu na to pozwalam...

Przestałam mu robić wymówki, że narzucił mi taki tryb życia. Dla dobra ciąży, w imię spokoju. Dużo pracował, a przynajmniej często i długo nie było go w domu. Wieczorem, gdy wracał, z początku czasem zdawkowo opowiadał trochę o tym, kto jest kim w dyplomatycznym światku, z czasem przestał i coraz częściej właściwie nie widzieliśmy się. Odnosiłam wrażenie, że nawet gdy mógł wrócić do mnie wcześniej, organizował sobie atrakcje poza domem. Jednak nawet nie śmiałam zapytać, co robi i jak spędza czas.

Bywało, że docierał dość późno, po suto zakrapianej – jak to się ładnie określa – dyplomatycznej imprezie. Wtedy mocno nalegał na pójście do łóżka. Robiłam uniki, kiedy podпиты dobierał się do mnie. Nie miałam ochoty na zbliżenia z nim, a już na pewno nie w takim stanie. Całe szczęście, dzięki świetnemu alibi w postaci ciąży, szybko pogodził się z tym, że do porodu musi zostawić mnie w spokoju. Nie wyobrażałam sobie zbliżeń z człowiekiem, który wzbudzał we mnie coraz większy strach.

Czasem też wyjeżdżał. Najczęściej na kilka dni w służbowe delegacje lub na dzień, dwa, aby wziąć udział w aukcji starych map. Był filokartem i kolekcjonerem przedwojennych map historycznych. To była jego pasja. Gdy zorientowałam się, że nie taka znów amatorska, ale całkiem kosztowna, tłumaczył mi, że można to potraktować jako „alternatywną metodę inwestowania kapitału”. Wyjaśnienia Wiktora zupełnie mi wystarczały, ponieważ nie znałam się na tym postanowiłam nie wnikać w szczegóły. Na aukcje latał zawsze do Zurychu, a że loty średnio raz w miesiącu musiał opłacać z prywatnych pieniędzy, hobby faktycznie zaczynało być kosztowne. Natomiast dla mnie jego wyjazdy oznaczały kilka dni wytchnienia od ciągłych awantur i nieprzewidywalnych zachowań mojego męża.

– Ewa, ja naprawdę nie rozumiem, o co ty masz do niego pretensję – huczała matka do telefonu. – Chyba cię nie głodzi, co? Masz co jeść?

– Mam co jeść.

– Umeblowaliście dom? Umeblowaliście. Kupiliście, co było potrzebne? Kupiliście. Więc o co ci chodzi?

– Nie my umeblowaliśmy, tylko on. Pamiętam, jak wybieraliśmy meble do salonu i do jadalni. To, co podobało się mnie, w ogóle nie podobało się jemu. Zazwyczaj kiedy ja próbowałam się postawić i bronić swojego wyboru mój mąż urządzał mi kolejną awanturę, więc dla świętego spokoju odpuszczałam. Nasz wspólny dom umeblowaliśmy wyłącznie

według jego upodobań. Nawet nie wiesz, jak on potrafi dopiec!

– No wiesz, on płaci, on wybiera. – Nie zdziwiło mnie to, że matka znowu próbuje go rozgrzeszyć. – No dobrze, ale meble które wybrał, nie są takie tragiczne, sama widziałam – broniła zięcia twardo.

– Mamo, przecież to w ogóle nie chodzi o sam rodzaj mebli, tylko o podejście. Gdy go zapytasz, odpowie, że przecież zaspokaja moje potrzeby – tylko on widzi je zupełnie inaczej niż ja. Może mi kupić w przyływie dobrego humoru złoty pierścionek, ale nie da mi na bilet autobusowy, żebym mogła pojechać do miasta. Rozumiesz to?

– Nie, nie rozumiem. To ty nie masz żadnych swoich pieniędzy?

– Te, co przywiozłam z Polski, już mi się skończyły. Mam tylko te, które od czasu do czasu łaskawie mi wydziela, a cały pozostały ekwiwalent przelewa na swoje osobiste konto.

– Tak, wiem, no przecież już mi o tym wcześniej mówiłaś. – W głosie matki brzmiało wyraźne zniecierpliwienie.

– A mówiłam ci, że muszę się rozliczać z każdego wydanego centa? Trzymam paragony nawet za warzywa na straganie i o wszystko muszę prosić nawet o pieniądze na bieżące zakupy czy doładowanie karty do telefonu.

– Nie mówiłaś, że masz komórkę?

– Mam, ale nie mogę z niej dzwonić.

– Jak to?

– Mam zablokowane połączenia wychodzące, a odbierać mogę wyłącznie te przychodzące, zazwyczaj tylko od niego.

W słuchawce przez chwilę słyszałam jej nierówny oddech.

– Ewa, nie wiem, co mam ci powiedzieć tak na odległość. Przylecę znowu niedługo, to z nim porozmawiam. Ja z nim zawsze miałam dobre relacje – dokończyła miękko.

– Tak, dużo lepsze niż ja.

– To, jak jest między wami, zależy nie tylko od niego, pamiętaj.

– Nie wiem już, za dużo przebywam sama i chyba za wiele myślę. Ogarnia mnie coraz silniejsza niechęć jak parzę na to swoje ambasadorskie życie. Na niego, na siebie... A co, jeśli ma rację? Może te pieniądze z ekwiwalentu faktycznie mi się nie należą? Może to i lepiej, że to właśnie on zajmuje się naszymi finansami. W końcu to właśnie jemu zawdzięczamy wszystko co mamy.

Sama się sobie dziwiłam, że mówię jej takie rzeczy, ale była jedyną osobą, której mogłam się wyżalić, a komuś musiałam.

– No to ja już nie wiem, czego ty chcesz! – krzyknęła matka do słuchawki.

– Ja też już nie wiem. Ale wiem na pewno, że on widzi mnie tylko w roli posłusznej żony i sprzątającej gospodyni, która zajmuje się domem. Niestety ja w tę rolę z dnia na dzień wchodzę coraz mocniej – przyznałam w końcu sama przed sobą.

– O, bardzo cię przepraszam! – Matka nie wytrzymała. – Dom jest wizytówką kobiety i porządek w nim być musi!

– Ewa, wstawaj. Sprzątamy, już ósma! – Co sobotę rozlegał się zniecierpliwiony głos matki.

Sprzątaliśmy zawsze we troje: ona, ojciec i ja. Do obiadu lub – z myciem okien – do kolacji.

Duże, czteropokojowe mieszkanie w przedwojennej kamienicy. Dobrze doświetlone, ustawne pokoje w amfiladzie, łazienka i kuchnia z osobnym wejściem. A w mieszkaniu jak w pudełku. Wszystko dobrane do siebie jak nienaganny strój matki, który zakładała na siebie przed każdym wyjściem. Kwiatki na firankach w salonie takie same, jak te na abażurze lampy i na dywanie. W czasach, gdy zdobycie dywanu w jakimkolwiek kolorze granoczyło z cudem, był to przejaw nie lada ekstrawagancji. Ścierki kuchenne, które miały ten sam deseń, co cerata na stole, a do tego wszystkiego kolekcja kilkunastu starych, bijących zegarów. Przychodziły wręcz wycieczki, aby oglądać to nasze pięknie umeblowane i wysprzątane lokum.

W domu najważniejsze były podłogi. Dębowy, surowy parkiet, woskowaliśmy co tydzień. Jego froterowanie zajmowało najwięcej czasu. Był oczkiem w głowie matki. Pilnowała, byśmy z ojcem – sama miała problemy ze stawami – dopieścili każdy jego centymetr. Efekt faktycznie był imponujący, bo mieszkanie momentalnie nabierało muzealnego klimatu. Zwłaszcza że każdy z domowników miał nakaz poruszania się po nim w specjalnie szytych, filcowych kapciach, aby nie zaszkodzić drewnianej klepce. No, a już w żadnym wypadku nie wolno było chodzić na bosaka, bo zostawały wilgotne plamy!

Łazienka była domeną ojca – po idealnym umyciu parkietu spędzał w niej resztę soboty. Zaprawiał kredą fugi, rozkręcał syfony, czyścił sanitariaty. Nauczony przez matkę – „octem!

octem!” – polerował armaturę. W tym czasie ja fornirowałam meble w pokojach i pucowałam kuchnię. Na koniec, w ramach odprężenia, pozostawały już tylko frędzelki od dywanu w salonie, które trzeba było jeden za drugim równiutko poukładać na podłodze.

Niezachwiany, sobotni rytuał, ten sam przez ponad dwadzieścia lat. Przeniosłam go po części do swojego dwupokojowego panińskiego dobytku, by potem oddać mu się jako żona ambasadora.

W naszej rezydencji sprzątałam inaczej niż w mieszkaniu rodziców. Pierwszy raz do obiadu. Drugi do podwieczorku. Trzeci do kolacji. Trzy razy dziennie „na szmacie”, wiedziona przeświadczeniem, że tak trzeba i że w ten właśnie sposób zadowolę męża.

Już po kilku pierwszych tygodniach naszego wspólnego mieszkania stało się dla mnie jasne, dlaczego Wiktor tak obsesyjnie oczekiwał ode mnie zajmowania się domem. Mówiąc kolokwialnie, był niechlujem. W całym domu zostawiał ślady swojej obecności: brudne naczynia, brudne ubrania, śmieci. Nie sprzątał po sobie, a ja nie miałam sposobu, żeby go do tego zmusić.

„Kochanie, tu jest twój garnitur, tutaj twoja koszula, a tu skarpetki” – chciał słyszeć. Wyprane, wyprasowane, gotowe do użycia. „Wieczorem masz przyjęcie, musisz przyjechać do domu, wykąpać się, przebrać, założyć czyste ubranie” – taki dyktat żony uznawał. Ba, nawet domagał się go. Wiedział, że bez kobiety zginie.

Któregoś dnia – była to niedziela – zauważyłam, jak chodzi po domu w jednej skarpecie brązowej, a drugiej granatowej.

– Zobacz sam, jak się ubrałeś – zwróciłam mu uwagę.

– No, jak? – Nie wiedział, co mam na myśli.

– Spójrz na swoje stopy.

– A co jest z moimi stopami? – Dalej nie rozumiał.

– Masz skarpety innego koloru.

– Tak? – spytał przeciągle. – Możliwe. Ale właśnie po to ciebie mam, żebym nie musiał martwić się o takie rzeczy. Ty nie martwisz się o pieniądze na dom, a ja nie martwię się o skarpety i wszystkim z tym jest dobrze.

Rok drugi

To był naprawdę jeden z najlepszych prywatnych szpitali w mieście. Świeżo po generalnym remoncie. Podobno wykwalifikowany personel, cała potrzebna aparatura neonatologiczna i apartamenty do rodzenia w strefie VIP-ów. Tak się chwalił w folderze, który oglądałam trzy miesiące wcześniej. Ulotka zawierała również mnóstwo zdjęć umalowanych i uśmiechniętych mam trzymających na swoich rękach już około dwumiesięczne dzieci. Pełen naturalizm. Wiedziałam, że w rzeczywistości może to wyglądać trochę inaczej.

Poród miał nas kosztować piętnaście tysięcy euro, więc gdy Wiktor powiedział mi, gdzie będę rodzić, pomyślałam, że się naprawdę postarał. Jednak szybko przeszedł do wyliczania, że nasze indywidualne ubezpieczenie pokrywa prawie w całości koszty pobytu w szpitalu. Za skorzystanie z publicznego szpitala, nie mając podstawowego ubezpieczenia, musielibyśmy zapłacić niewiele mniej i to z własnej kieszeni, miałam więc rodzić jak prawdziwy VIP, prawdziwa ambasadorowa.

Podczas jednej z wizyt kontrolnych dowiedziałam się, że nie będę mogła urodzić moich dzieci tzw. siłami natury. Chłopcy ułożeni pośladkowo od razu zaklasyfikowani zostali do porodu przez cięcie cesarskie. Nawet mi ulżyło, bo więcej miałam zaufania do lekarzy niż do własnego ciała. Poza tym poród siłami natury zdecydowanie nie był moim faworytem, a o wymyślenie jego absurdalnej nazwy podejrzewałam faceta. Kobieta rodzi i zostaje kompletnie bez sił, a nie natura!

Skończył się trzydziesty ósmy tydzień ciąży, gdy przywieziona zostałam przez męża na planowe cięcie cesarskie. Sama nie mogłam się nadziwić, że mimo tylu wylanych łez w ciągu tych miesięcy moja ciąża przebiegała bez zakłóceń i wyglądało na to, że to będą całkiem zdrowi i rośli panowie.

W szpitalu pojawiliśmy się zgodnie z umówionym wcześniej terminem. Moją rejestracją na oddział zajmowała się młoda i piękna pani recepcjonistka. Wiktor też raczej nie został obojętny na jej wdzięki, ponieważ zaczął nachalnie zaczepiać ją po włosku. Dziewczyna zażenowana przede mną jego zachowaniem, odpowiadała na skierowane do niej zaczepki cichutko i posyłała mi niezręczne uśmiechy. Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, bo poza kilkoma zwrotami grzecznościowymi, z których najbardziej zaawansowany był *tanti auguri di buon compleanno*, nie umiałam po włosku nic.

Mogliby nawet umawiać się przy tym recepcyjnym kontuarze – pomyślałam.

Obraz oddziału położniczego przywołał przykre wspomnienia. Bałam się i wiedziałam, że będę się bać, dopóki nie zobaczę

moich synów i nie usłyszę, że są zdrowi.

Cierpliwie poddałam się procedurze przygotowawczej i może nawet utrudniony kontakt z personelem, który kiepsko mówił po angielsku, był w tej sytuacji plusem. Nie słyszałam groźnie brzmiących procedur i języka medycznego, który tak źle mi się kojarzył. Widziałam za to uśmiechy i przyjazne gesty wszystkich położnych.

W takiej atmosferze mojej niewiedzy, a ich życzliwości na pokaz, najpierw pozwoliłam opasać się i podpiąć do aparatury KTG. Zapis najwyraźniej zadowolił lekarza, który całkiem przyzwoitym angielskim poinformował mnie oficjalnie, że „możemy zaczynać”.

Zaczęliśmy nieprzyjemnie od wkłucia plastikowego wenflonu w wierzch dłoni. Mimo że pielęgniarka miała dużą wprawę, co zresztą zdawał się potwierdzać jej wiek czterdzieści plus, ręka bolała. Pomyślałam, że łatwo jednak nie będzie. Potem nawodniono mnie jakimś płynem, żeby – jak to tłumaczył lekarz – nie dopuścić do spadku ciśnienia krwi, który bywa powszechnym skutkiem ubocznym znieczulenia zewnątrzoponowego.

Gdy po kilkunastu minutach dotarł lekarz anestezjolog, dwie rosłe pielęgniarki ułożyły mnie na mobilnym łóżku i dalej było już tylko bardziej nieprzyjemnie. Na boku, z podkurczonymi nogami cierpliwie znosiłam bolesną aplikację znieczulenia do kręgosłupa. Przypomniały mi się wtedy opowieści mojej koleżanki Doroty, która, gdy jako dzieci przechwalałyśmy się najgorszymi wspomnieniami dotyczącymi bólu, niezmiennie

wspominała punkcje podczas zapalenia opon mózgowych.

Punkcje w jej wydaniu były najstraszliwszymi zastrzykami prosto w kości, robionymi igłą grubą na palec, w asyście wszystkich pielęgniarek w szpitalu. Bolesne aż do omdlenia, podawane w atmosferze terroru i gróźb lekarza: „Nie ruszaj się, bo będziemy musieli powtarzać”. Nie wiem, jak zniosła je siedmioletnia Dorota. Ja miałam problem, żeby odruchowo nie usunąć się przed wprowadzeniem pomiędzy moje kręgi cewnika. Słowo punkcja nabrało dla mnie wtedy konkretnego wymiaru.

Po kilkunastu minutach od pasa w dół zaczęło ogarniać mnie coraz większe uczucie bezwładności. Przeraziłam się z początku, bo nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego, a potem pomyślałam z ulgą, że to znieczulenie działa.

Dziwne to było uczucie, przytłumiające nieco moją świadomość. Funkcjonowałam tylko od klatki piersiowej w górę. Coraz mocniej szczękałam zębami, ale lekarz uspokajał, że to normalny odruch. Po chwili bezwładną częścią mojego ciała zaczęły targać silne szarpnięcia.

Zdziwiłam się, bo cięcie cesarskie wyobrażałam sobie jako gładkie wyjęcie jednego malucha za drugim. Tymczasem wyjmowanie dziecka przez małe nacięcie musiało być dużo bardziej skomplikowane. Po niedługim czasie usłyszałam płacz i jedna z położnych łamaną angielszczyzną objaśniła, że „pierwszy już” i pokazała mi z daleka pierwszego.

Poczułam chwilową ulgę: jesteśmy w połowie. Jeszcze tylko drugi.

Nagle w tej samej chwili poczułam narastający ból. Był

wszędzie: w łądźwiach, w brzuchu, przy każdym szarpnięciu, gdy próbowali wyciągnąć drugie dziecko. Odruchowo zaczęłam wić się na stole, ale krępowały mnie pasy, którymi byłam przypięta. Zaczęłam krzyczeć po angielsku, że boli, że nie wytrzymam! Lekarz zachowywał się, jakby nie wiedział, o co chodzi. Wrzeszczałam wniebogłosy! Ktoś mocniej przytrzymał mnie za uda, ktoś próbował mnie uspokoić. Czułam, że rozrywają mnie na kawałki, a potem zemdlałam.

Gdy się ocknęłam, zobaczyłam na fotelu obok mojego łóżka uśmiechniętego Wiktora.

– No, nareszcie, już myślałam, że się nie obudzisz – zażartował, a ja odebrałam to jak czarny humor.

– Gdzie chłopcy? – spytałam.

– Tam. – Ruchem głowy wskazał plastikowe wózki, które stały niedaleko mojego łóżka.

– Co z nimi?

– Wszystko dobrze. Cali i zdrowi.

Zapadła cisza. Czekałam na „a jak ty się czujesz?” albo „byłaś taka dzielna”. Ale nie doczekałam się. Pewnie dlatego, że usłyszeliśmy pukanie i wszedł ordynator oddziału położniczego w asyście położnej. Pierwsze, co zrobił, to sprawdził, czy w dalszym ciągu potrafię poruszać palcami u stóp, a potem całkiem porządny angielskim zaczął bardzo przeproszać za „błąd medyczny podczas zabiegu”. Powiedział, że „bardzo rzadko się to zdarza, ale znieczulenie zewnątrzoponowe czasami po prostu przestaje nagle działać” i że „dołoży wszelkich starań, aby pani ambasadorowej nic już w naszym szpitalu przykrego nie

spotkało”.

Gdybym miała więcej siły, wykrzyczałabym mu w twarz, żeby wsadził sobie głęboko swoje przeprosiny i sam pozwolił gmerać sobie w brzuchu bez znieczulenia! Czekałam jednak, aż Wiktor z nim porozmawia. W końcu za tyle tysięcy euro tak potraktować pacjentkę – dla szpitala to ryzyko poważnego uszczerbku i na opinii, i na finansach. Byle prawnik wywalczyłby dla nas odszkodowanie.

Ale mój mąż okazał się bardzo wyrozumiały – zarówno dla błędu, jak i ordynatora.

– Panie doktorze, nic takiego się nie stało – powiedział familiarnie. – Żona przecież przeżyła, wszystko jest w porządku. Najważniejsze, że dzieci są całe i zdrowe.

Co? Nic się nie stało? Nie ma o czym mówić? Co on bredzi?

Byłam pewna, że się przesłyszałam. Jednak gdy popatrzyłam, jak na koniec wizyty przyjaźnie ściska dłoń ordynatora, wiedziałam, że nie ma sensu się odzywać. Miał gdzieś to, co przeszłam. Sam przy byle skaleczeniu syczał i zwijał się z bólu, a to, co wycierpiałam ja, skwitował krótkim „nic się nie stało”. Poczułam do niego żal i ze łzami w oczach odwróciłam się do ściany.

Chciałam już wracać. Chciałam zabrać moich dwóch wyczekanych synów do domu, a dramat porodu zostawić w tym szpitalu. W międzyczasie przyleciała do nas opiekunka, którą znalazła do pomocy moja matka, więc liczyłam, że z jej wsparciem szybko stanę na nogi i zapomnę o wszystkim. Obawiałam się tylko, czy odważę się powierzyć tej

dwudziestokilkuletniej dziewczynie swoje ukochane dzieci, choć matka zapewniła, że Magda, która pochodziła z wielodzietnej rodziny dalekiej kuzynki na Podkarpaciu, prawie sama wychowała najmłodszą dwójkę swojego rodzeństwa, więc będzie najlepszą nianią dla chłopców.

Przypomniałam sobie reakcję matki, gdy na dwa tygodnie przed porodem dowiedziała się, że jej idealny zięć ani myśli zatrudnić pomocy do dzieci. Była bardzo wzburzona, ale nie rozmawiała o tym z nim, tylko ze mną.

– Dlaczego? – pytała.

– Tak zdecydował – odpowiadałam.

– Jak to „zdecydował”? Przecież to niemożliwe, żebyś została sama z dwójką noworodków! On weźmie urlop?

– Mamo, o czym ty mówisz...

– To jak to sobie wyobraża?

– Jaka to dla niego różnica? Przecież jego to nie dotyczy.

Tłumaczenie męczyło mnie. Jak miałam wyjaśnić decyzje, których sama nie pojmowałam.

– Może chodzi o pieniądze? – drążyła matka.

– O, na pewno o to też chodzi. – Byłam przekonana, że to główny powód.

– Ale tak nie może być... – Matka nie ustępowała.

Bawiło mnie jej poirytowanie. To, co ja wiedziałam od dawna, do niej dopiero docierało. Ku jej zdziwieniu na kryształowym ambasadorze wyraźnie pojawiła się pierwsza rysa. Do tego

stopnia nie rozumiała, co się dzieje, że gdyby mogła, wsiadłaby w samolot i po raz kolejny sama skontrolowała sytuację.

Czy mi nie wierzyła, czy obraz zięcia, który w sobie nosiła, był aż tak niespójny z tym, co o nim usłyszała? Nie wiem. Ale nie odważyła się na telefon do Wiktora. Zrobiła to dopiero po kilku dniach, gdy zdecydowała, że jako babcia sama wynajmie dla wnuków opiekunkę. To będzie taki jej „wkład” w opiekę nad nimi, skoro jest daleko. Taką wersję sprzedała Wiktorowi. I taką kupił – oczywiście z gwarancją, że wszystkie koszty związane z opiekunką bierze na siebie matka.

Wersja została skorygowana dnia następnego, kiedy matka zadzwoniła tym razem do mnie z propozycją, żeby Magdę finansował jednak wynajem mojego panińskiego mieszkania, bo zbyt optymistycznie podeszła do tak dużego obciążenia. W ten sposób moje małe źródło dodatkowych przychodów wyszło i w kwestiach finansowych byłam zdana całkowicie na męża.

Minęło pięć dni pobytu w szpitalu, po których dostaliśmy zielone światło na powrót do domu. Długie pięć dni oczekiwania na pomyślną diagnozę, że nie ma żółtaczki, asymetrii, problemów ze słuchem, apetytem i kupą. Chłopcy zaskakująco szybko dochodzili do siebie, chociaż ja w dalszym ciągu czułam się zmalretowana i ledwo żywa. Byłam tak osłabiona, że ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Po „cesarce na żywca” samo chodzenie sprawiało mi wysiłek, nie mówiąc o noszeniu dzieci.

Nie mogłam się doczekać, aż nas wypuszczą z tego

ekskluzywnego źródła mojej traumy. Nigdy już nic nie zmieni mojego wrogiego nastawienia do każdego centymetra VIP-owskiego szpitala, w którym przyszli na świat moi synowie.

Moi synowie... Moi dwaj chłopcy, tak grzeczni, jakby rozumieli, że ich matka oddała im sporą część siebie, a teraz potrzebuje czasu, aby wrócić do pełni sił. Ich widok, gdy spali, wywoływał we mnie takie pokłady tkliwości, że miałam ochotę wyjąć ich z przezroczystych, plastikowych wagoników i tulić w ramionach. Patrzyłam na ich piękne rączki, maleńkie stópki a uczucie miłości przeppełniało mnie jak jeszcze nigdy dotąd.

Mimo żalu do Wiktora z każdym dniem coraz bardziej tęskniłam do domu. Byłam pewna, że tylko tam odzyskam siły. Idealizowałam przyszłość, myśląc, że teraz nic nie będzie jak dawniej, bo zrehabilitowałam się już za pierwsze poronienie. Przemawiały za tym fakty: donosiłam ciążę i urodziłam dwóch zdrowych synów, wytrzymując przy tym nieziemski wręcz ból.

Nie skarżyłam się, że bolało, że lekarze najzwyczajniej spaprali zabieg. Znosiłam wszystko z godnością, bo żyłam już wizją nowego życia, którego obietnicę widziałam w zachowaniu mojego męża. Zjawiał się codziennie. Krótko, ale codziennie. Nie pytał, czy coś mi przywieźć, ale tak naprawdę wszystko miałam. Nie rozmawialiśmy za dużo. Patrzyłam, jak pochyła się nad chłopcami. Był dumny. Robił im zdjęcia. Coś tam do nich mówił. Nigdy go takiego nie widziałam, więc coraz bardziej byłam pewna jego odmiany.

W ten dzień przyjechał po nas sam, bez kierowcy. Czekaliśmy na niego w gotowości od rana, więc ostateczne pakowanie zajęło

dosłownie chwilę. Chłopcy powędrowali do fotelików, dając głośno wyraz swojemu niezadowoleniu, a potem – równie głośno – dał wyraz swojemu niezadowoleniu Wiktor, gdy odmówiłam niesienia ciężkiej torby mieszczącej wszystkie nasze rzeczy. Musiał się nią objuczyć, w rękach taszcząc po foteliku. Złość przeszła mu szybko gdy zobaczył w oczach damskiego personelu zachwyty spowodowany swoją postawą. Oddany mąż i troskliwy tatuś pozostawi po sobie bardzo dobre wrażenie.

Tylko ze śliczną recepcjonistką pożegnał się jakoś dziwnie oschle, co w kontekście jego wylewnego zachowania, które odnotowałam kilka dni wcześniej, wydało mi się mocno podejrzanym.

Gdy limuzyna wtoczyła się na podjazd, widok naszej rezydencji wywołał we mnie mimowolny ścisk w żołądku. Kamień na podporach zadaszania, którego kolor przypominał mi zawsze barwą prawdziwe kakao, wydał mi się dziwnie ponury. Otwory okienne zionęły ciemnością, a sam dom wydał mi się martwy.

Mogłam sobie oszukiwać, starać się patrzeć na nabrzmiewające pąki sztywnych oleandrów i czerwieniejących hibiskusów, wyczuwać mocny zapach włoskiej wiosny, ale tak naprawdę w tle moich zmysłowych doznań wracał lęk przed tym, co kryje się za murami tego budynku.

Wchodząc do domu poczułam lekki zaduch najwyraźniej niewietrzonych od kilku dni pomieszczeń i wszechobecne ślady bytności mojego męża, zrozumiałam, że wróciłam w stare tryby, w które nie wpasuje się chyba moja wizja nowego życia.

Krzyki dzieci nie pozwoliły mi na analizowanie sytuacji i

dopiero kiedy nakarmiłam je, i oddałam pod opiekę Magdzie, mogłam spokojnie usiąść w salonie i na powrót zebrać myśli.

Usłyszałam, jak Wiktor w holu rozmawia z kimś półgłosem przez telefon. Byłam pewna, że wrócił do ambasady, więc zaskoczyła mnie trochę jego obecność. Skończył po chwili i powolnym krokiem szedł w moją stronę, trzymając po swojemu kciuki za paskiem od spodni i uderzając miarowo resztą palców.

– No co? Wybyczyłaś się w szpitalu? – zapytał zniecierpliwiony.

Stare. Jednak wróciło stare.

– Wybyczyłaś? – powtórzyłam zdziwiona. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Jak to? Pięć dni w luksusach, trzy położne na zmianę, jedzenie do łóżka – wyliczał.

– Do łóżka, bo po tej cesarce chodzić nie mogłam. Zapomniałeś, że prawie na żywca rodziłam? – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Przestań już się ze sobą pieścić, proszę cię – machnęła lekceważąco ręką – bo to żalosne. Masz zamiar teraz jechać na tej cesarce przy każdej okazji? – Stał nade mną wyczekująco.

– To ty jesteś specjalistą od wypominania – powiedziałam i od razu tego pożałowałam, bo wiedziałam, jaki będzie dalszy ciąg.

– Specjalistą od czego? Od wypominania? – Twarz wykrzywiła mu się groteskowo. – Co ty mówisz?

– Nic, nieważne – odpowiedziałam cicho.

– A, przeciwnie! Bardzo ważne! – Usiadł naprzeciwko w fotelu, założył nogę na nogę i wbił we mnie spojrzenie.

– Wiktor, skończmy już, nie chcę się kłócić – odezwałam się

prosząco.

– Ja też nie – zaczął łagodnie. – Ale oskarżasz mnie, więc chciałabym wiedzieć o co! – ryknął.

Wiedziałam, że nie odpuści. Może nawet nie pójdzie do pracy, tylko zostanie, żeby wymusić na mnie wypowiedzenie tego, czego nie powinnam nawet zaczynać artykułować, a tym bardziej kończyć.

– Wydawało mi się... – zaczęłam niepewnie.

– Tak? – Uniósł brwi. – Co ci się wydawało?

Wzięłam głęboki oddech.

– Wydawało mi się, że wciąż wypominasz mi poronienie – wyrecytowałam na wydechu.

Zapadła cisza. Długa, przykra cisza. Żeby jej nie zakłócić, oddychałam płytko przez wpółotwarte usta. Nie odważyłam się spojrzeć na niego nawet wtedy, gdy po kilkunastu sekundach odezwał się lodowato.

– Twoje poronienie zostawiam twojemu sumieniu. Masz szczęście, że dostałaś drugą szansę. Nawet podwójną – odpowiedział lodowato.

Nie chciałam tego słuchać, ale nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

– A skoro już się wybyczyłaś – dodał, cmokając – to czas zabrać się za sprzątanie!

– Za sprzątanie? – Nie nadałam najwyraźniej za zwrotem w jego rozumowaniu.

– Tak, za sprzątanie. Rozejrzyj się dookoła. Zobacz, jak wszystko wygląda. Nie przeszkadza ci to?

Rozejrzałam się i zauważyłam, że faktycznie doprowadził salon do ruiny. Pojedyncze ubrania na krzesłach, okruchy i plamy na stole w jadalni. Strach pewnie wejść do kuchni czy łazienki.

Co za brudas! – pomyślałam nagle ze złością.

– Przeszkadza mi, że nie sprzątasz po sobie – odpowiedziałam głośno.

Rozjuszyła go najwyraźniej moja uwaga, bo warknął:

– Od tego mam niepracującą żonę, żeby sprzątała.

– Przypominam ci, że twoja żona parę dni temu urodziła ci dwóch synów.

– Nie musisz mi przypominać. Sam zapłaciłem za to, żebyś miała lepiej niż w hotelu. – Zbierał się powoli do wyjścia. – A teraz już po wakacjach, więc doprowadź dom do porządku! – rzucił i wyszedł frontowymi drzwiami.

Zastygłam na sofie i nie byłam w stanie się otrząsnąć.

Boże, na co ja liczyłam? Czego oczekiwałam od tego człowieka? Tego, że gdy pojawię się tu z jego synami, on... No właśnie, co on?

Łzy spływały mi po policzkach, a potem zaczęłam głośno zawodzić. Coraz głośniej i głośniej. Szwy ciągnęły mnie niemiłosiernie przy każdym gwałtowniejszym ruchu, ale nie mogłam przestać. Słyszałam, że z góry zbiega Magda.

– Pani Ewo, wszystko dobrze? Co się dzieje? Pani Ewo? – pytała szybko.

– Nic, nic, Magda... Trochę się rozkleiłam... Chyba muszę odreagować. Popłaczę sobie jeszcze trochę, zostaw mnie, proszę. Idź na górę i nie przejmuj się mną.

– Dobrze, jakby coś trzeba było, nie wiem, lekarza... to pani woła, dobrze? – Spojrzała na brzuch, który obejmowałam rękami.

– Dobrze, dziękuję ci.

Boże, to jest totalnie bez sensu! Ten układ, w którym tkwię... Kim on jest, żeby tak mnie traktować? Kim ja jestem, że pozwalam na takie traktowanie? Czego on chce ode mnie i po co się ze mną żenił? Czy chce mnie świadomie zniszczyć? Bo jeśli robi to specjalnie, to znaczy, że związałam się z psychopatą! Nawet teraz, gdy po takich przejściach doczekał się w końcu potomków, na których czekał, nic się nie zmieniło! Nic dla niego nie znaczę. Jestem tylko sprzątaczką i maszynką do rodzenia. Traktuje mnie, jak chce, i mówi, co chce, a potem po prostu wychodzi.

W tym dniu, do tej pory jednym z najgorszym w moim życiu, czułam się zużyta i wypluta. Sponiewierana i nic niewarta. Uświadomiłam sobie, że znajduję się w beznadziejnym położeniu. Wizje wielkiej odmiany mojego życia legły w gruzach, a na górze spała dwójka dzieci, których ojcem był mój prześladowca.

Moją karą za rozmowę dotyczącą moich obowiązków były cztery dni milczenia. Przychodził na górę do dzieci, kiwał się nad ich białymi łóżeczkami i robił śmieszne miny. Mnie nie dostrzegał.

– Wiktor, porozmawiajmy – zagadywałam.

– Nie mamy o czym – rzucał i wychodził.

Kładłam listę zakupów. Brał bez słowa i kupował, co chciał.

Stawiałam obiad na stole, a on jadł albo odnosił nietknięty posiłek do kuchni. Cztery dni bez jednego słowa czy spojrzenia to wystarczająco długo, bym wzięła winę za taki stan rzeczy na siebie.

Piątego dnia wrócił później, wyraźnie napity. Zawołał głośno mnie i Magdę do salonu.

– Chodźcie, chodźcie, chcę, żebyście były przy tym obie. – Zapraszająco wymachiwał w naszą stronę rękami.

A więc minęło mu – odetchnęłam z ulgą. Zrobię wszystko, żeby to było po raz ostatni.

Spięta usiadłam sztywno na pierwszym lepszym krześle przy stole w jadalni. Magda usiadła obok i kątem oka dostrzegłam, jak macha nerwowo założoną nogą. Miałam ochotę powstrzymać ją od jakichkolwiek gestów, które mogłyby zepsuć cudowną odmianę Wiktora.

– Moja droga druga żono... – zaczął przeciągle, przyglądając mi się uważnie.

Wiedział, jak bardzo drażniło mnie to określenie i najwyraźniej mnie prowokował.

– A więc moja druga droga żono – powtórzył. – Czy chciałabyś dostać ode mnie prezent?

– Prezent? – Nie spodziewałam się takiego pytania.

– Tak, mimo twojego niegrzecznego zachowania mam dla ciebie niespodziankę. – Świdrował mnie wzrokiem, po czym zwrócił się do Magdy:

– Taki już jestem, pani Magdo. Nie noszę długo urazy.

– Lubię niespodzianki – odpowiedziałam sucho.

– A jak mi podziękujesz? – zapytał przekornie.

– Zależy, co to za niespodzianka.

– Ładna i droga.

– To ładnie ci podziękuję. – Mój głos był dalej bezbarwny.

Pilnowałam każdego słowa, które mogłoby go rozzłościć, chociaż męczyła mnie ta banalna wymiana zdań. Tym bardziej, że Magda przysłuchiwała się wszystkiemu.

– No, to zobaczymy jak ładnie. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kluczyki ze srebrnym breloczkiem. – Zgadnij, co to? – Potrząsnął nimi, aż zadźwięczały matowo.

– Kupiłeś samochód? – Byłam autentycznie zdziwiona.

– Kupiłem. – Wabił mnie dalej potrząsając kluczykami. – Przecież tak ustaliliśmy wcześniej. Chcesz? Bardzo ładna, sześćioletnia mazda. Kupiłem od ambasadora Norwegii, jego żona nią jeździła. Bardzo zadbana. W sensie mazda, oczywiście. – Roześmiał się do siebie. – Chociaż żona też niczego sobie. Wyjeżdżają za dwa tygodnie i taki deal dziś zrobiliśmy. To co, chcesz?

Czekał, aż podejść i odbiorę swój prezent. Wiedziałam, że jeśli nie zachowam się dokładnie tak, jak sobie założył, mogę pożegnać się z samochodem i przygotować się na kolejne ciche dni. Wstałam więc, zbliżyłam się do niego powoli i wyciągnęłam rękę. Chwycił ją zdecydowanie.

– Poproś – rozkazał szeptem.

– Proszę – usłyszałam siebie po chwili.

– Widzisz, teraz będziesz mogła jeździć sama. – Wsunął mi kluczyki do ręki, cały czas przytrzymując ją drugą. – Ale

uprzedzam: żadnego kilometra bez mojej wiedzy, bo zabiorę ci zabawkę, a już na pewno nie będę jej tankował. – Pogroził mi palcem. – Rozumiesz?

Rozumiałam doskonale, ale i tak potraktowałam to jak szansę na – co prawda w ograniczonym wymiarze, ale jednak – samodzielność. Taki cień niezależności od niego.

– A co z podziękowaniami? – spytał, rozluźniając uścisk i głaszcząc mnie znacząco kciukiem po wewnętrznej stronie dłoni.

– Niestety będziesz musiał jeszcze na nie poczekać – wycedziłam.

– Rozumiem... No dobrze. To poczekam.

Przestałam myśleć. Zredukowałam się do ciała. Karmienie dzieci, sprzątanie, zakupy, gotowanie. To wszystko działało się jakby w jednej chwili i nie miało końca. Do tego codzienne telefony do matki.

– Tak mam, zdrowi. Ja też czuję się dobrze. Jakoś sobie z Magdą radzimy. Tak, pamiętam, że jest dzięki tobie. Wiktor wyjechał. No znowu. Nie, nie w delegację. Tym razem na aukcję do Zurychu. Nie wiem, czy lepiej. Cały czas ma o coś pretensje. Wiem, że ciężko pracuje. Zadzwoń jutro.

Albo krótkie telefony od Poli.

– Tak, wszystko dobrze. Jestem tylko zmęczona. Tak, wiem, że szybko wyrosną. O, tak! Mam samochód, jestem mobilna. Wiktor? Dumny z synów. No tak, z żony oczywiście też. Na pewno niedługo się spotkamy. Do usłyszenia.

Że też chciało jej się do mnie dzwonić regularnie raz na tydzień po te gładkie kłamstwa. Ale tak jak dzwoniła przed porodem, tak dzwoniła i po.

Finansowo dla rodziny zmieniło się nam na plus – dwadzieścia procent dodatku rodzinnego na każde z dzieci. Dzięki temu, że miał żonę i dwójkę dzieci, ambasador dostawał teraz prawie podwójną pensję. Finansowo dla mnie zmieniło się na minus – teraz potrzebowałam pieniędzy nie tylko dla siebie, ale i dla chłopców. O ich potrzeby musiałam zadbać i dla nich je musiałam u niego wypraszać, bo w kwestiach finansowych zostało po starym: będziesz potrzebować pieniędzy, będę ci przelewać. Miałam swoje konto i nawet kartę do niego, ale było puste, więc żeby cokolwiek na nie wpłynęło, musiałam prosić.

Przyjęłam strategię polegającą na prośbach realizowanych w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób. Tysiące kobiet zależnych finansowo od mężów tak funkcjonowało – funkcjonowałam i ja. Zawsze miałam gotową listę niezbędnych rzeczy. Przydawała się, gdy Wiktor akurat był w dobrym humorze. Wiedziałam też, że nie mogę mu wtedy niczego odmawiać w łóżku. Było to upokarzające i czułam do siebie wstręt, ale nie miałam innego wyjścia, bo chodziło o dzieci. Moje odczucia nie miały już takiego znaczenia. Planując zakupy, tłumaczyłam mu na co i ile potrzebuję, on ustalał listę priorytetów i zasilał moje konto. Oczywiście i tak potem zawsze sprawdzał rachunki. Kiedy prosząc go o pieniądze trafiłam na

jego zły nastrój, automatycznie odsyłał mnie z kwitkiem.

Chłopcy mieli już prawie cztery miesiące, gdy któregoś dnia, oczywiście za jego przyzwoleniem, pojechałam z nimi i z Magdą na zakupy do supermarketu. Jeździłam tam ze względu na wydzieloną, specjalną kasę dla dyplomatów. Mogli oni tam od zakupów powyżej ustalonej kwoty odliczyć podatek od towarów i usług. Korzystanie z niej trochę stygmatyzowało, bo pozostali klienci z ogromną ciekawością przyglądali się VIP-om, ale co tam.

Wiktor od razu stwierdził, że nie będzie się bawił w odzyskiwanie podatku, bo „za dużo z tym zachodu”, więc tym bardziej nie podejrzewał o to mnie. Natomiast ja postanowiłam wykorzystać sytuację, która dla mnie okazała się zbawienną. Nie mówiąc mu o niczym, bawiłam się w wypełnianie formularzy i zyskiwałam w ten sposób przynajmniej dziesięć, piętnaście euro na zakupach. Moje jedyne osobiste środki finansowe! Grzechem byłoby z tego zrezygnować.

W sklepie kolejny raz powtarzałam sobie w duchu, że następnym razem przyjadę bez Maksa i Leona. Marudzili okropnie, ale ponieważ wciąż karmiłam ich piersią, zabierałam ich ze sobą, by być w pogotowiu. Dzielna Magda dwoiła się i troiła przy dziecięcym, a ja przy sklepowym, wypchanym po brzegi wózku. Wtoczyłyśmy go w końcu do kasy, wyładowałyśmy razem jego zawartość. Najmilsza i najładniejsza (jak zawsze w tej kasie) z kasjerek sprawnie nas obsłużyła i gdy już prawie wszystko upchane było do toreb, sięgnęłam do torebki po portfel.

– Karta! Nie mam karty! Zgubiłam! – Byłam przerażona i gorączkowo szukałam kawałka plastiku. Jeszcze raz, spokojnie

sprawdziłam wszędzie.

Nie ma! Niemożliwe, zawsze trzymam ją w portfelu. Jak to się mogło stać?! Zaraz...

Puściłam sygnał do Wiktora ze swojego telefonu *one way*. Oddzwonił.

– Nie wiesz może, co jest z moją kartą? Nie mogę jej znaleźć. Może mi wypadła w domu. Widziałeś ją? – rzucałam półgłosem szybkie pytania.

– Wiem – odpowiedział ze spokojem. – Ja ją mam. Zabrałem ci ją.

– Słucham?! – prawie krzyknęłam.

– Zabrałem ci ją – powtórzył. – Byłaś niegrzeczna wczoraj, nie pamiętasz?

Nie, nie pamiętałam. Przeszukałam w myślach cały scenariusz wczorajszego wieczoru, ale nic mi się nie przypomniało. Niegrzeczna? Nie miałam pojęcia, o co mogło chodzić. Byłam mokra ze strachu, że zgubiłam kartę. Zawstydzona przed kasjerką, Magdą i ludźmi, którzy obserwowali czujnie widowisko, a przede wszystkim wściekła na niego.

– Czy ty rozumiesz, że jestem w sklepie, muszę kupić pieluchy dla naszych dzieci, jedzenie dla nas – cedziłam przez zęby. – Ja mogę nie jeść, ale wtedy nie będę też karmiła chłopców. A ty mnie będziesz wychowywał, bo byłam niegrzeczna? Czym mam zapłacić? – skończyłam, prawie płacząc.

– Niczym. Wrócisz do domu bez niczego. Może w ten sposób nauczysz się posłuszeństwa – powiedział spokojnie, a po chwili usłyszałam długi sygnał w słuchawce telefonu.

I wróciliśmy do samochodu bez niczego.

Dowiozłam nas szczęśliwie, chociaż całą drogę trzęsłam się za kierownicą. Dojechaliśmy do domu tuż przed totalnym załamaniem pogody.

Dzieci zaprowadziłam do Magdy a sama zamknęłam się w sypialni. Nie płakałam. Wyłam z wściekłości, bezsilności i upokorzenia. Zwinęłam się na wełnianym dywanie w nogach łóżka. W mojej głowie pojawiały się migawki zdarzeń, strzępy słów, które wywoływały spazmy i dojmujący wręcz żal. Czułam, że przestaję kontrolować swoje ciało. Dałam ponieść się eksplozji złości, krzyczałam ze strachu, złości i bezradności.

Nie wiem, ile to trwało, zanim ogarnęło mnie fizyczne wyczerpanie. Oczy nie łzawiły już, tylko lekko poszcypywały. W głowie, w miejsce totalnej pustki, zaczynały pojawiać się prześwity racjonalnego myślenia. Wśród tych przeblysków nagle mnie olśniło.

Przypomniałam sobie, dlaczego byłam niegrzeczna poprzedniego wieczoru. Wiktor po raz kolejny nalegał, żebym razem z Magdą codziennie zapisywała, co robimy, gdy go nie ma. Nie wiem, kto podsunął mu ten pomysł, bo sam raczej na niego nie wpadł. Kilka dni wcześniej, gdy tylko przyszedł z pracy, pokazał mi wydrukowany grafik formatu A3 i zażądał jego wypełniania. Miałyśmy w nim zapisywać to, co robimy w ciągu dnia z dokładnością do dziesięciu minut. Potrzebował wiedzieć, jak gospodarujemy własnym czasem. Zbyłam go, biorąc to za dobry żart, ale upominał się o grafik codziennie. Pewnie w końcu dla świętego spokoju uległabym mu – chociaż Magdzie o jego

żądaniu nie powiedziałam, bo było mi przed nią zwyczajnie wstyd – ale nie miałam po prostu czasu na tę bezsensowną pisaninę.

Gdybym prowadziła pamiętnik, zapiski w nim wyglądałyby tak:

Czwartek, 25 lipca

Wiktor przyszedł późno. Nie wrócił do tematu nieudanych zakupów w sklepie. Zauważył moją zapuchniętą twarz i spytał mnie tylko, czy mnie ktoś pobił, że tak wyglądam. Poczułam się jak histeryczka.

Piątek, 26 lipca

Rano kazał mi jechać na zakupy. Kończyły się pieluchy, więc nie miałam wyjścia. Przy kasie o mało nie spaliłam się ze wstydu. Wieczór minął mi spokojnie, ponieważ Wiktor był na jakimś bankiecie i wrócił późną nocą wstawiony.

Sobota, 27 lipca

Chłopcy coraz gorzej sypiają. Wstaję do nich po kilka razy. Powinnam dla wygody przenieść się do ich pokoju. Po obiedzie dostałam od męża prezent: złotą zawieszkę w kształcie czterolistnej koniczynki. Ot tak, na szczęście. Musiałam podziękować dwa razy – w dzień i w nocy.

Poniedziałek, 29 lipca

Nasłuchiwałam się z powodu szczotki w łazience. Zostawiłam ją na umywalce w porannym pośpiechu i tak została. Z włosami, bo

wypadają mi ostatnio. Krzyczał, że to obrzydliwe, że przez cały dzień nie mogłam jej sprzątnąć. Racja, nie sprzątnęłam. Według niego coraz większy brudas się ze mnie robi i odpuszczam sobie, jak tylko mogę. Przestał wierzyć, że w ogóle sprzątam. Niestety nie udało mi się go przekonać, że każdy dzień zaczynam od zrobienia całego dołu na mokro.

Wtorek, 30 lipca

Dzwoniła Pola. Dobrze, że dzwoni, bo trochę odrywa mnie od tej monotonii. Jest dla mnie jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Chociaż cały czas idę w zaparte, że wszystko jest w porządku, mam pewność, że dokładnie orientuje się w moim położeniu. Kiepsko mi idzie udawanie. Nie umiem jednak powiedzieć prawdy. Boję się jej reakcji, i swojej chyba też. Nie wyobrażam sobie tego. Jedyną osobą, która cokolwiek wie, jest matka. Nawet Magdzie, która przecież widzi, co się dzieje, niczego nie tłumaczę. Zwyczajnie mi wstyd. Mam wrażenie, że Pola czeka. Okazuje mi autentyczną życzliwość, ale jest na tyle taktowna, że jeszcze o nic wprost nie pyta.

Doktor Luiza знаła być może inną definicję taktu. Była moją lekarką prowadzącą ciążę, do której namiary zdobył Wiktor zaraz po naszym przyjeździe, a później po porodzie chodziłam do niej często ze swoimi „dolegliwościami”.

Może też wcale taktowna być nie chciała, gdy późną jesienią, przy kolejnej wizycie powiedziała do mnie:

– Pani ambasadorowo, jako pani lekarz ginekolog zapytam

wprost: czy pani podejrzewa przyczynę tych nawracających stanów zapalnych?

Poczułam, że czerwienieję. Wiedziałam, o co pyta. W ciągu kilku miesięcy, odkąd urodziłam dzieci i wróciłam do obowiązków żony również w nocy, miałam co najmniej kilka infekcji sfer intymnych. Statystyka, nawet dla takiego laika jak ja, była mocno niepokojąca: opryszczka, zakażenie drożdżakowe, a obecnie bakteryjne. Obie doskonale wiedziałyśmy co, a raczej kto jest tego przyczyną. Mogłam udawać, że nie rozumiem, o co jej chodzi, albo być z nią zupełnie szczerą.

– Wie pani, że cokolwiek pani powie, zostanie to między nami. Jako lekarz gwarantuję pani całkowitą dyskrecję.

Siedziałam z zasznurowanymi ustami i milczałam uparcie. Gapiałam się w podłogę, na szare spoiny kremowych płyt piaskowca i nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna odpowiedź.

Co mam powiedzieć? Ja również podejrzewam, że mój mąż chodzi na dziwki? A na moje infekcje radzi częstsze mycie?

Moje wymowne milczenie z pewnością potwierdziło tylko domysły lekarki, bo odezwała się proszącym tonem:

– Pani Ewo, ja naprawdę chcę dobrze.

Czułam, że tajemnica dramatu, który rozgrywa się w moim własnym domu, powoli wychodzi na jaw. Przymknęłam powieki, żeby powstrzymać łzy. Moje upokorzenie osiągnęło apogeum.

– No dobrze, w takim razie nie będę pani męczyć – odezwała się do mnie lekarka zawiedzionym głosem.

Poczułam się winna wobec tej kobiety, która chciała mi

przecież pomóc!

Kolejna osoba, przed którą udaję, że wszystko jest dobrze. Jest cudownie! Pani ambasadorowa z dwójką dzieci i uroczym tyranem! Nie, dziękuję, nie potrzeba mi pomocy, radzę sobie...

– Porozmawiajmy zatem na inny temat. Co z antykoncepcją, pani Ewo? – zapytała znienacka.

No tak, antykoncepcja. Nawet niedawno miałam odwagę zapytać go o to. Nie rozumiał.

Jak to?! – zdumiał się. Nie kochamy się często, a jeśli przytrafi nam się wpadka, może będzie to dziewczynka, której przecież nie mamy. Miałabym w końcu dzień wypełniony obowiązkami związanymi z dziećmi i może wreszcie, przy tej trójce, zmądrzałabym trochę – w sensie: byłabym już totalnie usadzona i zachowywałabym się jak porządna żona. A poza tym rozumiem, że proponuję mu coś, za co sam miałby płacić, bo ja groszem nie śmierdzę, więc naprawdę nie widzi powodu, dla którego pytam go o takie głupoty.

Strzępy rozmowy rozsadzały mi czaszkę.

– Mąż nie akceptuje środków antykoncepcyjnych – odpowiedziałam głośno, tym razem zgodnie z prawdą.

– Ale ja nie pytam o męża. Ja pytam o panią – drążyła lekarka.

Oparła łokcie na biurku i pochyliła się lekko w moją stronę tak, że aż czułam przyjemną woń jej słodkich perfum, długich, luźnych włosów. Patrzyła na mnie z nadzieją.

– Myślałam o tym... – zaczęłam niepewnie. – Nawet rozmawiałam z nim, bo moim zdaniem to powinna być wspólna decyzja. – Zawiesiłam głos.

– Zgadzam się, najlepiej gdyby była wspólna. Ale to pani ciało, nie męża. Pani musi wiedzieć, na co jest pani gotowa. Planuje pani kolejne dziecko?

– Nie – wyrwało mi się odruchowo.

– Właśnie, więc dlaczego pani pozwala mu decydować o swoim ciele? – zakończyła podniesionym tonem.

– Pani doktor, przecież w tej sytuacji musiałabym to przed nim ukrywać.

– Jeśli nie ma innego wyjścia, to trudno, nie musi wiedzieć. Może pani spróbuje doustnych tabletek?

– Słyszałam, że mają skutki uboczne. – Szukałam kontrargumentów.

– To są zupełnie inne tabletki niż kiedyś, pani Ewo. Zrobimy badania, dobierzemy idealny dla pani preparat. Zlecę szczegółową diagnostykę, łącznie z próbami wątrobowymi. Będzie pani zadowolona. – Lekarka szła za ciosem.

– No, nie wiem...

Ależ oczywiście, że wiem! Wiem, że z odzyskanych z VAT pieniędzy nie uzbieram miesiąc w miesiąc na opakowanie tabletek!

– To może wkładka? Jest trochę droższa, ale nie do rozpoznania i całkowicie bezpieczna.

Znowu zaszklily mi się oczy. Bardzo chciałam być szczerą z tą kobietą, która lepiej ode mnie samej walczyła o moją kobiecość, ale po prostu nie byłam w stanie. Nie wiem, czy umiałabym nawet dobrać odpowiednie słowa. Od czego zacząć?

Lekarka zauważyła łzy. Wstała, podeszła do mnie i położyła

dłoń na moim ramieniu. Po chwili powiedziała przyjacielskim tonem:

– Pani Ewo, ja rozumiem, że to niełatwa decyzja. Proszę przemyśleć wszystkie aspekty. Jeśli jest pani pewna, że kolejna ciąża nie będzie dla pani dopustem bożym, zostawmy ten temat. Jeżeli jednak nie planuje pani kolejnego dziecka, oferuję ze swojej strony maksymalną pomoc.

Całkowicie zmieszana wyszłam na ulicę. Było po piątej a wąska, jednokierunkowa Via della Madonna del Riposo była kompletnie przepełniona samochodami: tymi zaparkowanymi wzdłuż chodników oraz tymi, które mozolnie posuwały się w hałaśliwym korku. Nie mogłam wracać do domu. Szłam bezwiednie w dół ulicy, usiłując zebrać myśli, aż dotarłam do Piazza di Villa Carpegna. Minęłam ozdobną bramę z jasnego piaskowca, przez którą można było wejść do parku, i wśród zacisza zieleni znalazłam wolną ławkę.

Popołudniowe słońce rozświetlało monumentalne platany. Cętki na ich pniach układały się w zabawne wzory, które zawsze kojarzyły mi się z wojskowymi mundurami moro i nie przystawały do majestatu tych potężnych drzew. Przeciwległą ławkę okupowała typowa, włoska, głośna rodzina – rodzice z dwójką kilkuletnich dzieci. Matka rozdawała swoim dzieciom coś do jedzenia, bo te dzieci, przepychały się między sobą pokrzykując: *Questo è per me!* i wyciągały łapczywie ręce.

Trochę z zazdrością i żalem patrzyłam na tę rodzinną sielankę. Na rozbawionego ojca przedrzeźniającego hałaśliwe dzieci i matkę, która co chwilę unosiła ręce w geście udawanej

bezsilności, wydając wysokie *Mamma mia!*. Moje dzieci nigdy nie będą tak miały.

Gdyby ktoś dwa lata temu pokazał mi migawkę z mojego obecnego życia, nie uwierzyłabym.

Czy to możliwe, żeby jeden człowiek za moim własnym przyzwoleniem tak mnie odmienił? Ubezważował? Sprawił, że wierzę już we wszystko, co o mnie mówi? Nie radzę sobie w domu, więc z daleka od dyplomacji! Mój wygląd też do końca mu nie odpowiada, moje piersi są za małe, a ja nawet nie potrafię dobrze prowadzić auta. Całe szczęście, że dobrze się mną opiekuje, że się mną opiekuje, bo bez niego dawno bym zginęła i wylądowałabym z dziećmi w przytułku, albo na ulicy.

Ciarki przeszły mnie na wspomnienie tych słów. Poczułam wewnętrzny chłód.

„Więc dlaczego pani pozwala mu decydować o swoim ciele?” – usłyszałam znowu doktor Luizę i przypomniałam sobie wstyd, z jakim opuszczałam jej gabinet.

Nie, nie zniosę kolejnej wizyty u niej. Nie wytrzymam tego upokorzenia i nie zgodzę się, aby znowu zaraził mnie nie wiadomo czym, skąd i od kogo! Jeszcze tej nocy wyprowadzę się z naszej sypialni do pokoju chłopców! I tak wstaję do nich po kilka razy w nocy, więc nie powinno to wzbudzić jego podejrzeń – myślałam gorączkowo, chociaż wiedziałam, że nie zniesie odmowy wprost, o nie! Przypomniało mi się babskie spotkanie z panięńskich czasów, na którym moje zameżne koleżanki opowiadały o sposobach na nachalność swoich partnerów, więc teraz ja byłam zdecydowana skorzystać z ich rad.

Jeszcze tej samej nocy rozłożyłam na bawełnianym dywanie w dzieciennym pokoju dwa koce. Przeciągnęłam wieczorną toaletę do późna, zdjęłam pranie z suszarki, poskładałam je, opróżniłam w kuchni zmywarę i wróciłam na górę dobrze po północy. Wiktor mocno już spał, więc nawet nie odnotował mojej nieobecności w „matrymonialnym” łóżku. Kolejnej nocy ponownie nie zajrzałam do naszej sypialni. Rytuał ten powtarzałam przez następne wieczory.

W końcu spytał mnie, dlaczego śpię stale z dziećmi, a ja odpowiedziałam, że jest taka potrzeba. A gdy czasami dobierał się do mnie wieczorem, korzystałam z doświadczeń koleżanek. Co drugi dzień bolała mnie głowa, a miesiączki ciągnęły się tygodniami.

Powoli stawało się normą, że nie zaglądam do naszej sypialni. Miałam swoje stałe legowisko na kocach. Tym bardziej, że chłopcy w dalszym ciągu wybudzali się z krzykiem i wtedy nawet Magda nie była w stanie mnie zastąpić. Myślałam najpierw, że wybudzanie to syndrom odstawienia, bo po kilku pierwszych miesiącach przestałam karmić ich piersią. Straciłam pokarm. Lekarze szukali innej przyczyny: stres, napięcie psychiczne? Wypytywali mnie, co może być powodem – jakieś przejściowe problemy? Przejściowe?

Nie, przejściowych nie miałam.

Z czasem Maks i Leon tak przyzwyczaili się do mojej obecności, że spędzałam z nimi każdą noc a w ich pokoju pojawiła się dla mnie rozkładana sofa z pokoju gościnnego, na której wkrótce spaliśmy już we trójkę.

Wiktor w tej sytuacji mi odpuścił. Podejrzewałam, że w takim razie nie narzeka na posuchę poza domem, ale było mi już wszystko jedno. Chciałam tylko, żeby mnie nie napastował. Chociaż zawsze, gdy przychodził do domu wstawiony, przypominał mi, że jako żona mam wręcz obowiązek zaspokajać jego potrzeby, zawsze wtedy, kiedy tego zażąda. Liczyłam się zatem z tym, że pijany może nie hamować się w egzekwowaniu swoich praw męża.

Do picia miał wiele okazji, bo alkohol to dość powszechne narzędzie pracy dyplomatów. Wiedziałam, że spotkania towarzyskie są nieodłącznym elementem dyplomatycznego kolorytu i odrywają istotną rolę. Pozwalają zawrzeć nowe i podtrzymać stare znajomości, są okazją do nawiązania nieformalnych kontaktów. Ale nie pomyślałam, że chodzenie na spotkania wymaga tak dużej wewnętrznej dyscypliny: należało na nich nie pić! Już na swoim pierwszym przyjęciu u Poli widziałam, że znakomita większość osób z umiarem korzysta z serwowanych drinków. Chociaż były też niechlubne wyjątki, w tym dwie żony dyplomatów, dla których pokusa była zbyt duża.

Już wtedy, gdy spotkałyśmy się z Polą po raz pierwszy, zapytałam ją wprost, jak jest z alkoholem w dyplomacji. Zwyczajnie zaintrygowało mnie to, a poza tym stanowiło to świetny temat zastępujący rozmowę o mnie samej. Pola wytłumaczyła mi to krótko. Jeśli założyć, że w stolicy jest około stu placówek dyplomatycznych, a każda z nich ma raz w roku święto narodowe, to doliczając do tego spotkania przy okazji wizyt głów państwa czy innych wydarzeń, praktycznie

codziennie jest gdzie pójść, bo imprezy mają charakter raczej obowiązkowy. Doliczając do tego aktywności oddzielne dla dyplomatów i oddzielne dla ich żon, to mają dwa, a nawet trzy spotkania dziennie. Jeżeli dzień w dzień na każdym ze spotkań wypije się choćby lampkę wina, organizm szybko przyzwyczaja się do codziennego picia. Pokusa jest tym większa, że zawsze ma kto zawieźć do domu, a jeśli nawet podejmie się ryzyko samodzielnego powrotu w stanie wskazującym na spożycie, iluzję bezkarności daje immunitet.

Mój mąż nie zaliczał się do osób, które znały umiar w picciu. Średnio raz w tygodniu wracał do domu porządnie wstawiony. Urządzał nam wtedy karczemne awantury. Darł się, walił pięściami, wygrażał. Chcąc oszczędzić traumy dzieciom, zatrzymywałam go wtedy na dole, aby nie straszył ich na piętrze, ale chłopcy i tak zawsze po pewnym czasie zaczynali płakać. Nie wiem, jak radziła sobie z tym Magda. Nigdy jednak nie załamała się ani nie skarżyła, że jej ciężko. Zdarzało się też, że Wiktor w takim stanie próbował się do mnie dobierać, wtedy uciekałam do dzieci i spędzałam tam resztę nocy. Czułam, że w ich pokoju i w niedalekiej obecności Magdy nie odważy się mnie skrzywdzić.

W groźbach egzekwowania obowiązków żony było więcej próby siły niż jego faktycznego zainteresowania. Byłam pewna, że od dawna zaspokaja się poza domem. Na wyjazdach na aukcje, w delegacjach do akredytowanych krajów, może nawet w Rzymie. Gdyby nie świństwa, którymi mnie zarażał, w dalszym ciągu dawałabym mu przyzwolenie na zdrady. Dlaczego? Zdrady w małżeństwie nie były dla mnie niczym przerażającym. W

moim rodzinnym domu także występowały.

Matka, odkąd pamiętam, zdradzała ojca. Co więcej, już jako nastolatkę wprowadziła mnie we wszystkie swoje intymne historie. Opowiadała o swoich kochankach, kazała się wozić na randki, przyprowadzała do domu mężczyzn, których przedstawiała jako swoich przyjaciół, chociaż nie kryła przede mną, jaki był ich status. Wymagała przy tym ode mnie dyskrecji. Niby wszystko wiedziałam, ale nie mogłam nic powiedzieć ojcu. Brałam udział w tych farsach, gdy ten czy inny przychodził do nas na obiad jako „przyjaciół domu” czasami przez długie miesiące. Nim zastąpił go kolejny. A bywało i tak, że przychodzili równolegle.

Czułam się współwinna tego, co się dzieje, bo nigdy nie zdobyłam się na wyznanie ojcu prawdy. I pewnie o to matce chodziło – w ten sposób za jej prowadzenie się obie byłyśmy odpowiedzialne i obie byłyśmy odpowiedzialne za ukrywanie tego przed jej mężem. Inna sprawa, że nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak ojciec zareagowałby, gdybym mu powiedziała. Wcale nie jestem pewna, czy cokolwiek by z tym zrobił.

Czy się domyślał? Powinien był. Wszyscy wiedzieli. Ale nigdy nie słyszałam, żeby z jego ust padł kiedykolwiek choćby jeden zarzut. Widział, jak przynosiła do domu prezenty w postaci cennych obrazów (jeden z „przyjaciół” był znanym malarzem), futer czy innych kosztownych fantów i co ciekawe, bardzo pochlebnie wyrażał się o darczyńcach swojej żony. Natomiast wcześniej czy później wszyscy adoratorzy mojej mamy

orientowali się, że byli po prostu jej sponsorami.

Cokolwiek mój ojciec sądził o zachowaniu mojej matki, akceptował ją taką, jaka była, bo kochał ją bezgranicznie. Ona dla odmiany nie kochała go wcale, a przynajmniej tak twierdziła. Zawsze miała wielu mężczyzn – podobała się, była adorowana i przywykła do tego. Na swoich panięńskich zdjęciach pokazywała mi wysokich brunetów z bezczelnym uśmiechem, wojskowych z Czerwonych Beretów, krępych blondynów znad Bałtyku. Heńków, Mirków, Jurków, Janków. A na swojego męża, zamiast któregoś spośród nich wszystkich, wybrała chuderlawego, łysiejącego już wtedy szatyna w rogowych okularach.

Pierwszy raz usłyszała o nim z opowiadań swojej starszej o trzy lata siostry Lili. To ona, jadąc kiedyś pociągiem relacji Warszawa–Praga, zauroczyła się poznanym w przedziale młodym doktorem historii sztuki do tego stopnia, że wymogła na nim obietnicę spotkania po powrocie. Był jedynym mężczyzną, który wzbudził jej zainteresowanie, i zakochała się w nim bez pamięci. Niestety, zupełnie bez wzajemności. Łączyło ich jednak wiele i ciotka skrycie liczyła na to, że wspólna miłość do Chagalla musi zaowocować w końcu wzajemną miłością do siebie. Na swoje nieszczęście poznała go ze swoją młodszą siostrą Elżbietą i dla odmiany ojciec zakochał się na zabój właśnie w matce. Też zupełnie bez wzajemności. Tak przynajmniej opowiadała matka. Postanowiła jednak, że będzie łącznikiem w tym pogmatwanym tyglu uczuć i zdecydowała, że się poświęci. Wyjdzie za ojca za mąż, aby przynajmniej w ten sposób siostra miała obiekt swych uczuć pod ręką. Takiej wersji oficjalnej się trzymała.

Czy ciotka Lila nie związała się już nigdy z żadnym mężczyzną, bo jej uczucie do szwagra było na tyle silne, że nie pokochała już nikogo – tego nie wiem. Podobnie jak nie wiem, czy była wdzięczna młodszej siostrze za rodzinną przysługę. Niedługo po moich narodzinach bardzo zaangażowała się w działalność polityczną i w ramach obowiązków – nomen omen dyplomatycznych – rzadko bywała w domu, a z moimi rodzicami utrzymywała na tyle luźny kontakt, że odmówiła nawet bycia moją chrzestną matką.

Tak więc historie rodzinne wypaczyły trochę mój obraz wierności w małżeństwie. I gdyby miało to poprawić stosunek Wiktora do mnie, przymknęłabym oczy, które niejedno już widziały i do niejednego przywykły przy matce. Kto wie, na jaką hipokryzję bym się zgodziła, gdyby chociaż nie dawał mi powodów do podejrzeń. Jednak powodów, ba, dowodów było coraz więcej.

Pamiętny drugi czerwca. To była zasługa Poli i Ludwika. To oni przekonali Wiktora, że musi mnie zabrać na przyjęcie we włoskiej ambasadzie z okazji święta narodowego. Bo skoro nie jestem już w ciąży, a dzieci nie są maleńkie, ze względu na swój wizerunek powinien przynajmniej od czasu do czasu mnie pokazywać.

Liczył się z ich zdaniem. Widział, jak przez swoje doświadczenie i obycie szybko zjednali sobie sympatię i szacunek osób z najbliższego kręgu dyplomatycznego, a ich ambasada była

jedną z prężniej działających. Dlatego łaskawie zgodził się, żebym mu towarzyszyła na salonach.

Recepcja we włoskiej ambasadzie po miesiącach siedzenia w domu z jednej strony cieszyła mnie, ale z drugiej stresowała mocno. Wiedziałam jednak, że przyjechało wielu z moich kolegów z konsulatu i bardzo zależało mi, aby się z nimi spotkać. Byliśmy ze sobą na bieżąco w wirtualnym, okazjonalnym kontakcie, ale przecież to nie mogło zastąpić osobistego spotkania.

Ambasador i ambasadorowa Łotwy. Przyjechaliśmy razem, razem weszliśmy, przywitaliśmy się z gospodarzami i wkrótce, zgodnie z etykietą, każde poszło do swojego „kąta”. On do tego, w którym zgromadzili się wszyscy dyplomaci, ja do drugiego, gdzie stały ich żony tudzież mężowie. Taki był ogólny zwyczaj. Stosowali się do niego wszyscy i wcześniej czy później nawet te najbardziej poprzyklejane do siebie pary przechodziły publiczną separację.

Wśród spontanicznych – jeśli takiego sformułowania można użyć w stosunku do wszystkiego, co działo się w tym środowisku – powitań i rozmów kątem oka zauważyłam coś, co bardzo mnie zdziwiło.

– Co to za kobieta, która stoi obok mojego męża? – spytałam dyskretnie Polę.

– Mnie pytasz o swojego męża? – Pola próbowała zażartować, ale chyba zauważyła, że mi nie do śmiechu. – Nie znam jej, ale kojarzę jej twarz.

– Skąd? – ciągnęłam.

– No... była kilka razy z Wiktorem na spotkaniach.

– Z moim mężem? – spytałam z niedowierzaniem i Pola zrobiła zakłopotaną minę.

– Wiesz, byłam pewna, że to pracownica ambasady. Jakoś mnie nie zdziwiło, że Wiktor kogoś przyprowadza. Bywa przecież, że gdy żona nie może, na przyjęcia stojące ambasador zabiera ze sobą współpracownika – radcę czy kogoś tam z administracji – tłumaczyła mi.

– Ale ta kobieta nie pracuje w ambasadzie. Jestem tego pewna – powiedziałam z przekonaniem.

– Nie? – Pola była wyraźnie zmieszana.

– Nie. Rzadko tam jestem, tylko jak tankuję, ale znam wszystkich. Dali mi też ostatnio listę pracowników z telefonami.

– Hm, faktycznie dziwne. To nie masz wyjścia. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Chyba musisz zapytać Wiktora.

Nie zapytałam, oczywiście. Bardziej niż odpowiedzi bałam się jego reakcji.

Po kilku dniach nieoczekiwanie zadzwonił Marcin. Dopraszał się na przyjęciu o numer telefonu, więc podałam mu go, zakładając, że wcale z niego nie skorzysta. Tymczasem taka niespodzianka.

– Jak tam, Ewcia? Tęsknisz do nas? – zapytał z charakterystyczną dla siebie prostotą.

– No jasne! – Jego nastrój udzielił mi się. – Bardzo tęsknię. Jak wam się podobało?

– W porządku, tylko wylot mieliśmy opóźniony. Wiesz, tanie loty z Fiumicino, kolejka do startu, te sprawy. A tu, w kraju, w

porządku. Ale zimno jak diabli. Niby czerwiec, a leje i wieje jak na jesieni.

– To zapraszam znowu do nas. U nas na termometrze nawet w nocy powyżej dwudziestu stopni.

– O, to zazdroszczę, zazdroszczę. Ale przecież nie o pogodzie będziemy gadać. Znasz mnie, ja jestem prosty chłopak. Ty łaskawa żona jesteś, muszę ci powiedzieć – wypalił nagle.

– Ja? Łaskawa? O co ci chodzi? – Naprawdę nie wiedziałam, do czego zmierza.

– W sensie, że pozwalasz na wiele mężowi.

– Marcin, nie bardzo rozumiem... – Czułam, że się płaczę.

Domyśla się czegoś? Może Wiktor pochwalił się komuś, jak mnie traktuje? Nie, to niemożliwe, nie posunąłby się do tego.

– Patrzysz tak spokojnie, jak sobie publicznie romansuje – no, no!

– Co ty mówisz?! – Nie byłam pewna, czy to nie jeden z jego żartów.

– No, o jego pani z przyjęcia mówię.

– A jaką on ma panią?

– A to co? Nie widziałaś? Przecież on był ze swoją babą na tym przyjęciu!

– Ze swoją babą? Z jaką swoją? – plątałam się. – Marcin, co chcesz przez to powiedzieć?

– Ewa, kobieto, ogarnij się w końcu! Nawet my tutaj w konsulacie wiemy. Przecież on od pół roku prowadzi się z kochanką!

Dalszy ciąg rozmowy był nieważny. W Polsce od pół roku

wiedzą, że mój mąż ambasador ma w Rzymie kochankę pod
moim nosem. To był dla mnie policzek.

Rok trzeci

Kolejny raz zaskoczył mnie na tarasie połyskujący w porannym słońcu, delikatny majstersztyk. Architekta nie było, była za to jego ofiara. Nieruchoma, duża jak ziarno fasoli ćma, ze skrzydłami poszarpanymi po niedawnej, z góry skazanej na przegraną walce. Najwidoczniej potraktował już jej truchło jadem, rozpuszczającym je od wewnątrz, aby później móc wyssać z niego wszystkie soki. Obrzydliwe. A jednak tak właśnie urządziła to matka natura.

O pająkach wiedziałam sporo dzięki młodemu nauczycielowi biologii w szkole średniej. Fascynował się arachnologią i zasypywał nas na ten temat mnóstwem ciekawostek, z których wiele utkwilo mi w pamięci. Wiedziałałam, że kat ćmy z mojego tarasu wcześniej wszystko precyzyjnie zaplanował. Starannie wybrał miejsce, w którym wypuścił z siebie dziesiątki metrów niewinnych, cieniutkich włókien białkowych. Że te pod wpływem tlenu twardnieją i stają się wytrzymalsze niż stal. Że po udanym polowaniu pochłonie prawie całą, nieprzydatną już

pajęczynę, by odbudować w ten sposób zużyte na budowę sieci własne proteiny i przygotować się do następnego dnia, kiedy znowu skonstruuje misterną pułapkę na kolejną zdobycz.

Sprzątałam na tarasie systematycznie, a i tak codziennie pojawiały się na nim świeże pajęczyny. Jakby nasz dom miał klimat sprzyjający tej szczególnej relacji oprawcy i ofiary.

W wieku trzydziestu lat czułam się zupełnie jak ta ćma ze wstrzykniętym do środka jadem, rozpięta nieruchomo na pajęczynie, bez żadnej możliwości manewru. Wpadłam w sieć zależności, która jak pajęczne włókna, pozornie delikatne i prawie niewidoczne, unieruchamiała wszystko, co wpadło w jej lepłą strukturę, by po jakimś czasie stwardnieć na tyle, że niemożliwe wręcz jest się z niej oswobodzić. Tak właśnie tkwiłam w tej toksycznej relacji, kompletnie zależna od mojego męża.

Kontrolował moje wydatki, kontakty, czas, a nawet myśli. Tymczasem we mnie jak w tej ćmie sączył się jego jad. Słowa, że bez niego zginę. Myślałam, że nie poradzę sobie sama, a tym bardziej z dwójką dzieci. Jad sprawił, iż czułam się nieudolna i niezdolna do samodzielnego funkcjonowania. Byłam święcie przekonana, że jeśli on mnie zostawi, ja tego samego dnia umrę. Gdy za każdym razem powtarzał mi, że bez niego czeka mnie przytułek ja naprawdę podświadomie tak właśnie czułam.

Oswoiłam się z jego całkowitą kontrolą do tego stopnia, że wręcz przyjęłam taki stan rzeczy jako normalny.

Znałam na pamięć wszystkie najczęstsze obelgi, które kierował w moją stronę:

- Nie odzywaj się po łotewsku do dzieci! Przecież ty nie

potrafisz się wysławiać! – krzyczał.

– Jesteś beznadziejna! Popatrz w lustro – kto by chciał cię przelecieć? – Siłą zmuszając do patrzenia na swoje odbicie.

– Jesteś fleją – nawet o dom zadbać nie potrafisz! – Przewracał ze złością, co mu się nawinęło pod rękę.

– Zginiesz beze mnie! Będziesz ze śmietników jeść! – rzucał, a potem nie odzywał się przez kilka dni.

– Jeszcze słowo, a wyrzucę cię z mojego domu! – groził, aż czerwieniały mu policzki.

– Z czym ty chcesz iść do ludzi? No z czym? – Podchodził bez słowa tak blisko, że jego cień padał na całe moje ciało, a ja trzęsłam się ze strachu, bo nie wiedziałam, co się dalej wydarzy. I tak, jak chciał, stałam pogrążona w jego cieniu, chociaż własnego też się bałam.

Wiedział, co powiedzieć, żebym poczuła się bezwartościową kobietą. Na tyle długo i często powtarzał mi takie rzeczy, aż przyszedł moment, że sama zaczęłam w nie wierzyć. Pozwoliłam mu sama siebie zobrzydzić i rano patrzyłam na swoje lustrzane odbicie z politowaniem.

No i co, ambasadorowo, zwierzysz się komuś, co słyszysz od męża? – pytałam sama siebie. Nikomu – słyszałam bezgłośnie odpowiedź.

Czasem dla odmiany zabierał nas w okolice Panteonu na najlepsze lody w mieście i przez chwilę był serdecznym mężem i tatą. Pozwalał mi coś kupić dla siebie lub dzieci, by potem robić sceny, że wyciągam od niego pieniądze. Zabierał mnie ze sobą, bym przez chwilę była wielką panią ambasadorową, albo

trzymał w domu jak w klatce. Poniżał i obrażał, a potem jakby nigdy nic domagał się zbliżenia. Potrafił po kłótni wrócić zupełnie odmieniony, ze złotą bransoletką dla mnie lub drogą zabawką dla chłopców. Kontrolował, rozliczał i maniakalnie wręcz domagał się posłuszeństwa. Wiecznie nieobliczalny – nigdy nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać.

W ogóle nie dbał, co mówią na nasz temat w jego otoczeniu, a ja nie mogłam tego pojąć. Wydawało mi się wręcz absurdalne, że ambasador może pozwalać sobie na takie zachowanie. Próbowałam z nim rozmawiać, że inne rodziny żyją inaczej, a nasze zachowanie jest dziwne, że to widać.

– Co cię to obchodzi? Siedź w domu i nie wychodź. Dzieci masz, nie musisz chodzić. My jesteśmy z innego kraju, to żyjemy inaczej – ucinał.

Więc siedziałam. Bo tak kazał.

Uzależnienie, w które od niego popadłam, nie odebrało mi wcale świadomości przemiany, jaka we mnie zaszła. Pamiętałam siebie sprzed niespełna trzech lat. Pamiętałam osobę, którą byłam. Usatysfakcjonowaną zawodowo i finansowo, otwartą na nowe możliwości, ciekawą świata z powodzeniem funkcjonującą wśród ludzi, mimo że zdominowaną przez matkę. Ile z tego pozostało we mnie? Wolałam się nie zastanawiać. Byłam przerażona wszystkim: nim, sobą, życiem. Na dodatek czułam, że nie jestem w stanie nic z tym zrobić.

Czasami ciężar takiej egzystencji był dla mnie tak wielki, że mimo strachu przed tym, co ostateczne, chciałam się z niego po prostu wyzwolić. Wydawało mi się to jedynym słusznym

rozwiązaniem i tylko odpowiedzialność za dzieci powstrzymywała mnie przed takim krokiem. Myśl, że mogłyby zostać skazane wyłącznie na swojego ojca, przywracała mi zdrowy rozsądek.

Wiktor nie angażował się zbyt i jako ojciec nie rokował dobrze. Gdyby był czułym i troskliwym tatą, kto wie, czy nie uznałabym, że chłopcy będą szczęśliwsi, wychowując się z nim jako półsieroty, niż patrząc na to, jaką sierotą jest ich matka. Paradoksalnie więc z jego powodu nie zrobiłam tego, o czym tak często myślałam.

Dzieci trzymały mnie przy życiu. W przenośni, ale i w pełnym tego słowa znaczeniu. Bywały dni, gdy kładąc się do łóżka, nie wiedziałam, czy wstanę.

W jakim stanie wróci do domu? Czy nie dostanie po raz kolejny napadu szału? Czy nie straci znów kontroli?

Nie pobił mnie jeszcze. Kończyło się zwykle na przepychankach lub poszturchiwaniu. Obawiałam się jednak, że w każdej chwili może posunąć się dalej. Dlatego ja, dorosła kobieta, szukałam oparcia w małych dzieciach. Gdy leżałam przytulona do Maksa i Leona, ich obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Zakładałam, że jeśli któregoś razu Wiktor przyjdzie po mnie zdążę rozbudzić któregoś z chłopców co spowoduję, że on się wycofa.

Ale nie zawsze można liczyć na dwulatka. Nawet gdy jest ich dwóch. Niestety, miałam świadomość, że to ja miałam być ich gwarantem bezpieczeństwa, a nie oni moim.

Był środek nocy. W pierwszej chwili nie wiedziałam kompletnie, co się dzieje, która godzina i dlaczego ktoś szarpie mnie za rękę. Spałam między chłopcami i pomyślałam, że może któryś z nich czegoś chce. Ale szarpnięcie było mocne.

Oprzytomniałam momentalnie i zobaczyłam jego nad sobą. Stał, sapiąc nad łóżkiem, z jedną dłonią zaciśniętą na mojej ręce, a drugą ściągając ze mnie kołdrę. Po jego wyrazie twarzy szybko zorientowałam się, po co przyszedł i jaki ma być dalszy ciąg. Wpadłam w panikę. Magdy nie było – poleciała właśnie do Polski na pogrzeb ojca. Jedyne, co mogłam zrobić, to zacząć krzyczeć. Nie chciałam jednak fundować chłopcom kolejnej traumy. Skrzywić im psychiki na całe życie.

Bez większego oporu dałam się więc zaciągnąć do naszej sypialni, gdzie rzucił mnie na łóżko i zaczął ściągać bieliznę.

– Wiktor, zostaw mnie – błagałam. – Dzieci usłyszą, przestraszą się.

– Przestań gadać, to nie usłyszą – odpowiedział chrapliwie.

– Mam okres. – Szukałam ratunku. – Zostaw mnie! – Wyrwałam się i prawie udało mi się wstać z łóżka.

Wściekły popchnął mnie na nie z powrotem. Próbowałam szarpać się z nim aż w końcu ugryzłam go w rękę, którą usiłował mnie unieruchomić. Wtedy wybełkotał coś niezrozumiale i uderzył mnie w twarz. Zamarłam. Zrozumiałam, że tym razem mogę źle skończyć. Zrezygnowana dałam więc spokój, a on bez słowa robił swoje. Twarz piekła, a ciało samoistnie broniło się napięciem, co potęgowało jeszcze bardziej ból. Zamknęłam oczy i starałam się nic nie czuć. Czekałam aż wreszcie skończy.

Wszystko trwało może pięć minut. Dla mnie – całą wieczność. Poszłam do łazienki, zamknęłam od środka drzwi i siedziałam tam, dopóki nie usłyszałam wołania Maksa. Zaliczyłam wszystkie filmowe sceny – z wylewaniem na siebie litrów gorącej wody i drapaniem najskrytszych zakamarków ciała, żeby zmyć z siebie cały brud. Łkałam i modliłam się w duchu, żeby jak najszybciej wymazać ten koszmar z pamięci.

Kilka dni, kilka długich dni zajęło mi, zanim zwalczyłam obsesję, że moje ciało przeszło jego zapachem, i w końcu przestałam trzeć skórę do krwi, biorąc prysznic na każde wspomnienie tamtej nocy.

Stało się coś moralnie nieodwracalnego. Popadłam w obojętność. To była moja reakcja na to, co się wydarzyło. Na to, że muszę dalej żyć w TYM domu, z NIM. W końcu były jeszcze NASZE dzieci.

Nie raz myślałam o tym wcześniej: czy byłby w stanie? Teraz wiedziałam, że był. Zastanawiałam się, czy jeśli gwałci mąż, a nie obcy, robi to różnicę. Już wiedziałam, że osoba, z którą doświadczyło się jakiejś formy bliskości, rani tak jak nikt inny. Po tym zdarzeniu zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę mój mąż jest dla mnie zupełnie obcym człowiekiem i może wziąć mnie siłą, kiedy zechce, a ja nie będę w stanie go powstrzymać. Ciarki przechodziły mi po plecach na samą myśl o tym. Ale najbardziej przeraziła mnie myśl, że znowu mogłabym być z nim w ciąży.

Tydzień później poszłam więc po pomoc do doktor Luizy i niemal obcej kobiecie wyznałam całą prawdę o sobie! Pierwsze słowa przyszły z trudem, ale szybko straciłam kontrolę nad tym,

co mówię, i opowiedziałam jej wszystko z detalami. To, co mówiłam, brzmiało tak niewiarygodnie, że zastanawiałam się, czy to aby na pewno moje życie, czy może opowiadam historię zupełnie innej kobiety.

Odczułam ogromną ulgę, że już nie zatajam czegoś, co tajemnicą być nie powinno. Nie byłam już współwinna poprzez dochowanie sekretu Wiktora, tak jak kiedyś sekretu matki. Co więcej, zdałam sobie sprawę, że w zasadzie jest mi wszystko jedno, kto i czego się dowie. Nie miałam przecież już nic do stracenia.

– Pani mąż nie zachowuje się normalnie, pani Ewo. Jakkolwiek by pani siebie winiła, to on jest agresorem. To on ma ze sobą problem, a pani w tym utknęła. – Tak zareagowała na moją spowiedź doktor Luiza. – Jedno tylko od pani zależy: co pani dalej zrobi dla siebie?

Nie wiedziałam, co chcę, a tym bardziej, co mogę zrobić. Ona za to wiedziała, co może zrobić dla mnie i na własny koszt zabezpieczyła wkładką resztki mojej kobiecej godności.

Zawsze pilnowałam, by nikt nie domyślił się, jak naprawdę jest między nami. Ze wstydu, że na to pozwalałam. Nawet przed sobą wstydziałam się przyznać, że w domu mam wszystkie rodzaje przemocy: finansową, psychiczną, fizyczną. Kiedy mój mąż całkowicie obniżył moje poczucie własnej wartości, gdy bywały dni, że myślałam o śmietniku albo przytułku jako alternatywie bycia z nim, przychodziło poczucie winy.

To ja jestem winna, że do tego dopuściłam! Ja nie potrafię wzbudzić w nim żadnych dobrych uczuć, nie mówiąc o

szacunku. Znowu nie jestem wystarczająco dobra i rozczarowałam go tak, jak kiedyś matkę. Ja winna! Ja...

Z jednej strony miałam prawdziwy ogląd swojej sytuacji i instynktownie broniłam się, a z drugiej obwiniałam się. I tak na zmianę.

Odkąd powiedziałam swojej lekarce o wszystkim, poczułam się inaczej. Żaliłam się wprawdzie cały czas matce, ale ze wstydu oszczędzałam jej szczegółów. Nawet jej nie mogłam cytować wyzwisk, oskarżeń, nie mówiąc o relacji z gwałtu. Nie znała więc realnej skali terroru.

Teraz, gdy wszystko co najgorsze już się wydarzyło, nie widziałam sensu w odgrywaniu szczęśliwego małżeństwa. Nie miałam nic do stracenia. Przestałam się bać, że prawda wyjdzie na jaw, bo nie ryzykowałam już niczym.

– Nie mam już siły – powiedziałam Poli, gdy kilka dni po zabiegu w sterylnym ginekologicznym gabinecie zadzwoniła z pytaniem „co słyhać?”. – Jestem zmęczona – powiedziałam ledwo słyszalnym głosem.

– Nie chodzi o dzieci, prawda? – Pola delikatnie zachęciła mnie do dalszych zwierzeń.

– Nie – przyznałam. Wzięłam głęboki oddech i postanowiłam, że ona dowie się jako następna. – Moim małżeństwem. Pola, jestem już u kresu sił.

Powiedziałam to, o czym Pola wiedziała od początku, ale nigdy wcześniej o tym nie rozmawiałyśmy. Gdy już miałam wypowiedzieć najgorsze słowa: przemoc, poniżenie, więzienie, izolacja, gwałt, strach, bezradność, zdrada, zwyczajnie się

rozpłakałam.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? – zapytała Pola.

– Tak... Jestem sama.

– Wsiadam w samochód i niedługo będę.

Minęła godzina od mojego wyznania do słuchawki. Chłopcy bawili się w tym czasie z Magdą w ogrodzie, a ja po raz kolejny nerwowo pokonywałam dystans z salonu do kuchni, bijąc się z myślami. Sześćdziesiąt minut to wystarczająco dużo czasu, by nabrać wątpliwości.

Co ona o mnie pomyśli? Jak jej to powiem? Lekarka to lekarka, już wcześniej się domyślała. Ale Pola? Na sto procent ma podejrzenia... Ale jak jej to powiedzieć?! I jak dużo? Przecież, gdy zacznę mówić, to się rozsypię. A co, jeśli pójdzie z tym do męża? Powie znajomym? Wiktorowi?!!

Usłyszałam jej samochód na podjeździe, a po chwili wpadła jak burza i objęła mnie mocno na powitanie. Chyba czytała w moich myślach.

– Możesz się nie obawiać, nie powiem nikomu, nawet Ludwikowi – zapewniła, patrząc mi poważnie prosto w oczy.

– Chyba niepotrzebnie to wszystko zaczęłam... – Czułam, że głos mi się łamie, a łzy cisną się do oczu.

– Potrzebnie, tylko za późno.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Rzadko was razem widziałam, ale wystarczyło mi, żeby się zorientować, jak jest między wami. Ewa, wydaje ci się, że tylko ja się domyślam? – Pola patrzyła na mnie wyczekująco. – Przecież to widać, że on cię ustawił. Wszędzie chodzi bez ciebie i

niekoniecznie sam. Rozpowiada, że ty przy dzieciach, że tylko to się dla ciebie liczy, że nie chce cię zmuszać, że przyjęć tak naprawdę nie lubisz, ale widać, że to on rozdaje karty i traktuje cię, jak chce. Nie jesteście partnerskim małżeństwem!

– Wiem, że nie jesteśmy... Ale nie sądziłam, że to tak widać.

– No niestety, nie da się ukryć.

– To jak ja mam z tym żyć?

– A jak chcesz? Bo teraz żyjesz chyba w jakimś absurdalnym patriarchyście!

– Pola, nie mów tak do mnie! Chłopcy są mali, mogą liczyć tylko na mnie. Jestem w obcym kraju, bez grosza, totalnie zależna od męża! Nawet uciec od niego nie mogę, bo nie mam dokąd. Poza tym nie wyobrażam sobie, jak by zareagował...

– No już, spokojnie, po kolei. – Objęła mnie mocno. – Co on ci robi, opowiadaj.

Spojrzałam na nią litościwie.

– Ewa, musisz to nazwać. Musisz siebie posłuchać. Wszyscy mamy tendencję do wypierania. Załatwmy to szybko, żebyśmy wiedziały, czy to jest tylko wredny charakter, czy już przemoc.

– Jak mam ci powiedzieć, co robi... – Żałowałam tej rozmowy.

– Nie daje ci pieniędzy, tak?

– Nie daje.

– Możesz wychodzić, gdzie chcesz?

– Mogę i nie mogę, bo się potem wścieka.

– Co to znaczy wścieka się?

– No krzyczy, awanturuje się.

– Wyzywa cię?

- Czasami.
- Mocno?
- Wystarczająco.
- Bije?
- No nie... – Zawiesiłam głos.
- Bije czy nie bije?
- Nie, to takie poszturchiwanie raczej.
- Jasne, poszturchiwanie. A co, hm, no wiesz. Co z obowiązkami małżeńskimi?
- Nie byłam na to przygotowana.
- Wymusza coś na tobie?
- Pomyślałam, że w czasie gwałtu raczej doszło do wymuszenia.
- Tak. – Pokiwałam tylko głową.
- No pięknie! Ja od razu wyczułam, że to diabeł zwyczajny!
- Ewa, to jest klasyczna przemoc w rodzinie!
- Zakryłam twarz rękami i mocno zagryzłam wargi.
- Ale wyjdiesz z tego, spokojnie. – Poczułam jej mocny uścisk na ramionach. – Nie pozwolę, żeby zmarnował ci życie. Dzięki Bogu, że się w końcu otworzyłaś. Już miałam wątpliwości, czy się kiedykolwiek przyznasz.
- Umówmy się, nie mam się czym chwalić. – Próbowałam żartować przez łzy.
- Powiedziałaś lekarce? Powiedziałaś. Pomogła ci? Pomogła. Teraz powiedziałaś mi i też pomogę. Wyjdiesz z tego. – Potrząsnęła mną lekko.
- Tylko pozwól sobie pomóc.
- Pozwalam. – Rozkleiłam się zupełnie.

– To ja się tobą zajmę. Będę do znudzenia powtarzać ci, jak fantastyczną jesteś kobietą, a gdy znowu zaczniesz w to wierzyć, zabierzemy się za ambasadora.

Nie było już konstruktywnej rozmowy. Za dużo emocji jak na pierwszy raz. Ale był przełom. Chociaż w duchu chyba nie wierzyłam, że cokolwiek może się zmienić w domu, pojawiła się we mnie nadzieja, że Pola da mi realne wsparcie.

Od pamiętnej wizyty Poli minęło ponad trzy tygodnie i nie wydarzyła się nagła rewolucja. Zmiany przychodziły powoli. Pola cierpliwie siała ziarno i odbudowywała moje poczucie własnej wartości. Dzwoniła prawie codziennie i do znudzenia powtarzała mi, do czego mam prawo jako żona, matka, ambasadorowa. Rozmawiałyśmy o tym, co powinnam, a czego nie muszę. Mówiła o rzeczach oczywistych, a zarazem tak nieobecnych w moim małżeństwie: szacunek, rozmowa, partnerstwo.

I choć moje relacje z Wiktorem nie zmieniły się ani trochę, powoli zaczęło mi się zmieniać spojrzenie na samą siebie.

W takim nastroju zastała mnie matka, gdy po raz kolejny przyleciała nas odwiedzić. Miała przylecieć dużo wcześniej, ale przytrafiła się jej grypa z poważnymi powikłaniami i swój wylot musiała przelożyć o kilka tygodni. Za to pobyt u nas zaplanowała prawie na miesiąc.

Na lotnisku czekałam na nią z radością i niepokojem jednocześnie. Opoka i krytyk w jednej osobie. Potrzebowałam jej

obecności – w końcu do niedawna była jedyną osobą mającą jako takie pojęcie o moim prawdziwym życiu. Wydałam majątek na codzienne telefony do niej. Pamiętałam, z jak wyidealizowanym obrazem Wiktora wracała po swoim pierwszym pobycie i dlatego nie miałam pewności, czyim sojusznikiem stanie się tym razem.

W czerwonym, lekkim płaszczyku, ołówkowej, czarnej spódnicy i szpilkach od razu rzuciła mi się w oczy wśród falującego tłumu. Wyszłam jej naprzeciw i stałyśmy przez chwilę w serdecznym uścisku. Ja przy niej w swojej luźnej, granatowej tunice, popielatych, lnianych spodniach i skórzanych sandałach wyglądałam pewnie jak uboga krewna. Przypadkowo spytani przechodnie nie mieliby wątpliwości, która z nas jest ambasadorową.

Chłopcy też czekali na babcię, choć – jak się okazało – jej wspomnienie mocno się zatarło, bo gdy wskazałam im ją z daleka, nie zareagowali zupełnie. Spędziliśmy co prawda nie tak dawno trzy tygodnie wakacji, na które do moich rodziców wysłał nas Wiktor, ale zapomnieli już o nich najwidoczniej.

Dwa pierwsze dni były przyjemne. Maks i Leon, gdy już na powrót zaprzyjaźnili się z „Elą”, nie odstępowali jej na krok. Ganiali z nią po ogrodzie, wyczyniali cuda w kuchni, a że Wiktor był akurat w delegacji, w domu zapanowała beztroska wręcz atmosfera. Byłam tak wzruszona, że nie rejestrowałam nawet drobnych złościwości matki w stylu „zmień w końcu fryzjera” czy „niewygodne te fotele w ogrodzie”.

Trzeciego dnia, w czasie popołudniowej drzemki chłopców zaparzyłam kawę, którą miałyśmy wypić w przyjemnym

pólcieniu na tarasie. Idąc z filiżankami, zahaczyłam o wystające pędy krzewu laurowego, okalającego taras od strony północnej. Zapach liści laurowych w czasie gotowania niezmiennie kojarzył mi się z polską kuchnią, więc miałam słabość do tego krzewu.

Jeszcze do niedawna mało, że użyteczny, był też piękną ozdobą naszego ogrodu. Tworzył naturalny, zielony mur odgradzający nas od sąsiedniej posesji. Niestety, pozbawiony opieki ogrodnika szybko wybujał i rozrastał się w niekontrolowany sposób, anektując przestrzeń dookoła.

Matka zauważyła, jak cudem uratowałam przed nim nasze filiżanki.

– Nikt wam nie przycina tych krzaczorów?

Krzaczorów? No tak, nigdy nie miała słabości do roślin. Działka w Krupkach, oczko w głowie ojca, wyglądająca prawie jak ogród botaniczny, nie obchodziła jej zupełnie.

– Nie macie ogrodnika? Przecież te rośliny rosną, jak chcą! O, spójrz tam! – Ruchem głowy wskazała na południową ścianę ogrodu, gdzie królowała oblepiona karminowymi kwiatami bugenwilla. Wypełniała sobą każdy zakamarek ogrodzenia, docierając już nawet do przestrzeni w miejscu bramy wjazdowej.

– Nie widziałaś jej na jesieni. – Patrzyłam na nieokiełzaną roślinę z rozbawieniem. – Gdy te wszystkie kwiaty brązowieją, opadają i śmiecą. Zwłaszcza jak zawieje wiatr.

– I co z tym robisz?

– Trochę je uprzętam. Ale to zdradliwy krzew, ma bardzo ostre kolce i nie da się do siebie zbliżyć. O podcinaniu nie ma mowy.

– Dlaczego więc nie wynajmiecie kogoś, kto zadba o ten ogród?

Popatrzyłam na nią bez słowa, za to z wiele mówiącą miną, bo nagle zmieniła temat.

– I naprawdę nikt do was nie przychodzi? – zapytała.

– Nie, nikt nie przychodzi i ja też nigdzie nie chodzę. Mówiłam ci przecież. Tylko Pola do mnie dzwoni.

– Mówiłaś, mówiłaś. Myślałam, że koloryzujesz! Przecież to aż nie wypada!

– Wiktorowi to powiedz. Rozpowiada chyba, że jestem psychiczna i boją się mnie zapraszać.

– No wiesz! – Oburzyła się. – Nawet sobie tak nie żartuj! Ale przecież mogłabyś. Masz Magdę do dzieci, korzystaj. Ja się nie dziwię, że nikt nie przychodzi, jak nie zapraszasz. A jak nie zapraszasz, to dlaczego ktoś inny miałby Ciebie zaprosić?

– Mamo, ty nic nie rozumiesz. Żeby gdziekolwiek pojechać, powinnam mieć kierowcę, który podwiezie mnie pod rezydencję, wysadzi, potem po mnie wróci. Nie mam! Powinnam kupić kwiaty, bo nie wypada do gospodyni bez niczego pojechać – za co? Przecież ja nie mam nawet na kwiatek! Powinnam jakoś wyglądać – nie mogę każdej imprezy zaliczać w tej samej garsonce. Mamo! On nie pozwala mi na nic! Kiedy wreszcie to do ciebie dotrze? – Uniosłam się.

Milczała, kręcąc głową. Widziałam, że jest wzburzona.

– Nie rozumiem tego kompletnie. Taki inteligentny człowiek. O co mu chodzi?

– Jak to o co? On chce żony, która oferuje bezpłatnie cały pakiet usług i jest stale do jego dyspozycji. Wszystko to, za co normalnie musiałby płacić, ma w ten sposób za darmo, pod ręką – mówiłam

podniesionym tonem. – Zobacz, jedna kobieta, a jaka wygoda! O ile większy komfort życia – cytowałam Polę, która powtarzała mi to tak długo, aż w końcu przyjąłam do wiadomości, że tak faktycznie jest.

– Przesadzasz... – oburzyła się matka i aż wstała z fotela.

– Wcale. A do tego jeszcze na tym zyskuje finansowo, bo na tę samą żonę pobiera dodatek pieniężny!

– To dlaczego nie daje ci tego dodatku?

– Nie wiem, jego zapytaj.

– Ale to nie może dalej tak być.

– A co mogę zrobić? Przecież go nie zmienię.

– Może zacznij zarabiać. Wróć do swoich tłumaczeń albo poszukaj czegoś innego. Nie tak dawno zarabiałaś więcej niż ja i ojciec razem, pamiętam!

– Nie mogę pracować. – Pokręciłam głową.

– Dlaczego?

– Bo inaczej zabiorą Wiktorowi mój ekwiwalent. Poza tym nie zapominaj, że zwyczajowo współmałżonkowie mają zakaz pracy na placówce – dodałam.

Zapadła cisza. Wyraźnie wzburzona matka oddychała, sapiąc głośno, po czym wybuchła:

– Jak ty go sobie wychowałeś? W głowie mi się nie mieści! Jak można nie wychować sobie faceta?

– No nie wychowałam – przytaknęłam, rozkładając ręce.

– Właśnie! To teraz masz!

– Tak, ty wychowałeś sobie nas wszystkich – powiedziałam z sarkazmem.

Wstałam i skierowałam się w stronę drzwi tarasowych, bo nie chciałam dłużej ciągnąć tej rozmowy.

– No wiesz! – syknęła.

– Po prostu nie każdy jest taki jak ty. – Odwróciłam się i odpowiedziałam z rozdrażnieniem: – Ty podporządkowałam sobie matkę, męża, córkę, koleżanki, całe otoczenie. A mnie nie udało się spacyfikować jednego faceta. – Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Mężczyznę można sobie wychować tak, jak się chce. – Matka rozkręcała się. – Co w tym trudnego? Jak ty go nie ustawiałaś, to on zrobił to z tobą. I niestety musisz teraz z tym żyć. Bo co innego zrobisz? Zostawisz go? Zabierzesz dzieciom to życie, które mają i będą miały? I co im dasz w zamian?

– Mamo, przestań już. – Miałam dosyć.

– Gdzie ja popełniłam błąd, że cię tego nie nauczyłam?

Słyszałam, jak ciągnie niestrudzenie, mimo że byłam już w drodze do kuchni.

Nie miałam żalu o tę rozmowę; wiedziałam, czego mogę się spodziewać po matce. Jej też szybko przeszło, jak zawsze zresztą. Na drugi dzień zachowywałyśmy się tak, jakby nic między nami nie zaszło. Zauważyłam z satysfakcją, że rozmowa z nią obeszła mnie mniej niż zwykle. Dostrzegłam w tym maleńki przebłysk zmiany, która była najwidoczniej efektem nieustających coachingów Poli.

To wprowadziło mnie w tak dobry nastrój, że gdy zadzwoniła, zaprosiłam ją na herbatę. Matka bardzo się ucieszyła, że pozna

słynną polską ambasadorową i starała się zrobić na niej jak najlepsze wrażenie.

– Na długo przyjechała? – zapytała Pola, gdy w końcu zostałyśmy same.

– Prawie na miesiąc. – Uśmiechnęłam się znacząco.

– To będzie ci trochę łatwiej.

– To fakt. Chłopcy za nią szaleją, ona szaleje w kuchni. A do tego nie ma Wiktora – pełna sielanka.

– A kiedy on wraca?

– Pojechał przedwczoraj w delegację na tydzień, a potem ma lecieć prosto do Zurychu. Po mapy.

– Coś te jego mapy podejrzane, nie sądzisz? – Pola skrzywiła się z niesmakiem. – Ja bym to sprawdziła.

– Ale on naprawdę z mapami wraca, czasem nawet mi pokazuje. – Uspokajałam ją i siebie.

– Dobrze, pal diabli mapy. Słuchaj, to ja mam taki pomysł. Skoro jego nie ma, a ona jest, zrób spotkanie dla kobiet – rzuciła rzeczowym tonem.

– Żartujesz? – Nie wierzyłam, co słyszę.

– Wcale.

– Pola! Spotkanie? W moim domu?! – Pomysł wydał mi się szalony. – Przecież ja nigdy nie wydawałam przyjęcia! Poza tym nikt nie przyjdzie. Ja nigdzie nie chodzę, więc kto chciałby przyjść do mnie? Nie wiem nawet, czy mnie kojarzą...

– Kojarzą, kojarzą, bądź spokojna. – Pola uspokoiła mnie i dodała:

– Ja je wszystkie znam, więc po twoim oficjalnym zaproszeniu

nieoficjalnie skrzyknę je i upewnię się, że będą.

– Pola, ale przecież ja nie mam kucharza, kelnera, nikogo do pomocy. Co one sobie pomyślą, gdy będę tak biegała między kuchnią a stołem?

– Ja też nie mam ani kucharza, ani kelnera. Ewa, co cię obchodzi, co pomyślą? Obie wiemy, że co miały pomyśleć, to już pomyślały. Sama mówiłaś, że nie masz siły już niczego ukrywać. Co masz do stracenia? Najwyżej poznasz kilka fajnych babek, może któraś okaże się tak fajna jak ja – zażartowała.

Propozycja była kusząca, ale w dalszym ciągu wydawała mi się nierealna.

– A co z menu? Ja nawet nie wiem, czy będę miała za co zrobić zakupy, sama wiesz. Zapomnialiśmy o moim mężu...

– Wiem, wiem. Przygotuj coś naprawdę skromnego. Skoro masz pokazać się od prawdziwej strony, to niczym się nie martw, nie żałuj sobie. Poproś matkę o pomoc, przecież nie odmówi. A Wiktorowi musisz powiedzieć.

– No to mogę już sobie darować. – Napięcie ze mnie zeszło. – Możesz być pewna, że się nie zgodzi.

– To nie może odbyć się bez jego wiedzy. To spotkanie oficjalne, zapraszasz żony innych ambasadorów. Musi o nim wiedzieć.

– Nie zgodzi się, nie ma takiej opcji. – Byłam pewna tego, co mówię, i kręciłam miarowo głową.

– Zapytaj. Powiedz, że mówiłam, że ambasadorowe plotkują i dla świętego spokoju chcesz zaprosić kilka na obiad, żeby zobaczyły, że bliźniaki faktycznie z rąk ci nie schodzą.

– Powtarzam ci, że się nie zgodzi.

– Chryste! Zadzwoń, będziesz wiedziała, czy się zgodzi. Gdzie telefon? Dzwoń, bo inaczej ja zadzwonię!

Uległam. Zadzwołam i powiedziałam mu. Chyba miałam nawet nadzieję, że mnie wyśmiej – dałoby mi to pretekst do wycofania się z tego szalonego pomysłu. Ale wydarzyło się coś dziwnego. Trafiłam na jego wyjątkowo dobry humor. Wysłuchał mnie bez słowa, a potem powiedział, że się zastanowi. Wypytał też o matkę, jak się odnajduje, jak jej się podoba. Dodał, że zadzwoni wieczorem.

– Zgoda – usłyszałam wieczorem w słuchawce. – Chociaż nie wiem, jak chcesz to zorganizować.

Domyślał się pewnie, że żalę się matce. To on jej pokaże, że bzdury opowiadam. Chcę przyjęcie? Proszę, mogę urządzać, on pozwala. Może też chciał trochę podreperować swój nadszarpnięty wizerunek. Pola dość ostro atakowała go ostatnio razem z mężem, że gdy dzieci już są odchowane, nie mogę siedzieć wciąż w domu.

Na pewno też zakładał, że się wycofam. Tym bardziej, że budżet, który mi obiecał na zakupy spożywcze, był raczej symboliczny. Innych zakupów potrzebnych do podania obiadu nie brał w ogóle pod uwagę, choć wiedział przecież, że nawet zastawy na więcej niż sześć osób nie mieliśmy.

Gdy rozejrzałam się porządnie po naszej „rezydencji” i przeanalizowałam wszystko, dopadło mnie zniechęcenie. Wiedziałam, że to będzie bardzo nieprotokolarne przyjęcie, chociaż gdyby matka zgodziła się wystąpić w roli kelnerki,

mogłabym przynajmniej siedzieć z gośćmi przy stole.

Ale skąd wziąć brakującą zastawę?

Pola była nieprzejednana.

– No chyba nie zrezygnujesz z powodu talerzy? – powiedziała z ironią i już wiedziałam, że nie zrezygnuję. – Tak normalnie, zgodnie z procedurą powinnaś zgłosić do urzędnika administracyjnego w waszej ambasadzie, że wydajesz przyjęcie i potrzebujesz tego czy tamtego. Ewa, należy ci się! Ale tym razem nie ma na to czasu – jutro z rana przywiozę ci wszystko. Dawaj! Spiszmy, czego ci brakuje.

Matka wpadła w zachwyty, że coś się będzie działo. Zgodziła się nawet podawać do stołu i objąć dowodzenie w kuchni.

Szef kuchni Elżbieta Winiarska postanowiła zaserwować na obiad jej rodzime, karaimskie danie kybyny. Pieczone pierogi drożdżowe nadziewane mięsem baranim, podane z surówką z białej kapusty z groszkiem i majonezem. Musiała trochę odejść od oryginalnego przepisu, bo nie czułyśmy się na siłach, żeby szukać w Rzymie dobrej baraniny. Na przystawkę zrobiliśmy wątróbkę z cebulą i dzięki takiemu menu spokojnie zmieściłyśmy się w budżecie; co więcej, stać nas było jeszcze na kupno trzech butelek wina!

Miałam taką treść, gdy zaczęły się zjeżdżać, że gdyby nie Pola, uciekłabym z własnego domu. Na początku to ona przejęła rolę gospodyni. W końcu znała się z nimi dobrze i wprowadziła mnie w ich krąg. Widziały naszą zażyłość, więc od razu dostało mi się od nich trochę sympatii na kredyt. Generalnie czułam, że zostały poinstruowane, by mnie czule przygarnąć. Wszystkie miałyśmy

świadomość nietypowej sytuacji: młoda pani ambasadorowa, od ponad dwóch lat zamknięta w domu, nagle pod nieobecność męża zaprasza jakby nigdy nic kilka innych ambasadorowych.

Nie, no przecież nie ma czemu się dziwić...

Przyjechało ich sześć – wszystkie ze środkowo-wschodniej Europy. Ambasadorowa Rosji, Słowacji, Ukrainy, Czech, Grecji i Litwy. Większość z nich powinnam już gdzieś spotkać – miały mniej więcej taki sam staż jak ja, chociaż wiekowo bliżej było im do Poli. Eleganckie, swobodne, ciepłe. Nie zdziwiły się, gdy pękłam przy pierwszej lampce wina, a potem na zmianę płakałam i śmiałam się razem z nimi. Oj, nasłuchały się pan ambasador wtedy od tych kilku kobiet.

Zaufanie do Poli, że wie, kogo przyprowadziła mi do domu i z kim kazała się bratać, sprawiło, że miałam odwagę się przed nimi obnażyć. Niczym nie ryzykowałam, bo gorzej już być nie mogło. W tym kręgu kobiet poczułam się ważna, wartościowa, normalna. Potraktowały mnie z uwagą i troską. Czulałam, że naprawdę są mi życzliwe. To była moja niespełniona potrzeba serca. Chociaż nie wiedziałam jeszcze jak, miałam też nadzieję, że mi pomogą.

Matka, patrząc na mnie to zapłakaną, to śmiejącą się, nie nadażala za tym, co się dzieje, ale wyglądała na spełnioną. Ugłaskana czerwonym winem i pochlebstwami, wprost promieniała. Kybiny z wołowiną zrobiły furorę. Żadna z kobiet nie tylko nigdy wcześniej ich nie próbowała, ale nawet nie słyszała o nich. Karaimska kuchnia była dla nich zupełnym odkryciem.

Wtedy czułam do niej tyle wdzięczności i miłości, jak nigdy wcześniej. Była przy mnie, pomogła, wsparła tak, jak matka powinna wspierać córkę. Jednak gdy posprzątałyśmy ostatnie okruchy po przyjęciu, atmosfera życzliwości szybko uleciała.

Zacząła robić mi jeszcze większe wymówki. Była przekonana, że jeśli Wiktor faktycznie mną manipuluje tak, jak to zeznałam publicznie na obiedzie, to jest to tylko i wyłącznie moja wina. Znowu zaczęła wyciągać stare żale z baletem w roli głównej i lamentować, jak po raz kolejny się mną rozczarowała, bowiem w postaci dyplomaty dostałam swoją kolejną życiową szansę, ale niestety znów ją zmarnowałam!

– Nie umiałaś wychować sobie mężczyzny! – krzyczała prawie.
– Nie umiałaś! I widzę, że bez mojej pomocy sobie nie poradzisz.
W takim razie ja go wychowam za ciebie!

Gdy przyjechała, w zasadzie minęła się z Wiktorem na lotnisku. Tak więc gdy wrócił, ona po prawie dwutygodniowym pobycie była już mocno u nas zadomowiona, ale też mocno rozdrażniona moją biernością, uległością i strachem. Powzięła zatem mocne postanowienie, że ostatnie tygodnie pobytu przeznaczy na ułożenie zięcia.

Zauważyła, że faktycznie w stosunku do mnie, ale i – o dziwo! – również w stosunku do niej zachowuje się jak gbur. Co więcej, że mało interesują go chłopcy i wcale się z tym przed nią nie kryje. Zaczęła go pytać, rozliczać i pouczać w tematach, w których już od dawna nie musiał się liczyć z niczym zdaniem. Im jednak bardziej wtrącała się i krytykowała, tym bardziej ignorował jej obecność.

Trzeciego tygodnia pobytu Wiktor sam spakował teściową, przebukował jej bilet na wcześniejszy termin i odwiózł na samolot do Polski. I pozostał niewychowany. Warunki jej kolejnych odwiedzin zdefiniował krótko: może przylatywać, owszem, ale tylko pod jego nieobecność. Nie będzie bronił dzieciom kontaktu z babcią. Ulżyło mi ogromnie, bo wydawało mi się, że wciąż jej bardzo potrzebuję.

Dwie dominujące osobowości. Byli do siebie tak podobni, że kiedyś myślałam nawet, że to ona, nie ja, powinna być jego drugą żoną. Na początku rozumieli się fantastycznie i wiele ich łączyło. Wyglądało jednak na to, że poróżnili się na zawsze.

Nie chciałam angażować się w ich wojnę. Mój wewnętrzny głos podpowiadał mi obranie zupełnie innego kierunku. Czułam, że w moim życiu następuje jakiś przełom. Już nie musiałam, a co więcej – nie chciałam przed nikim kryć swojego męża. Nie było moją intencją głoszenie wszem i wobec, jak mnie traktuje, ale nie zamierzałam też być jego współnikiem w maskowaniu tego. Chciałam po prostu wyjść do ludzi.

Bardzo powoli się do tego przyzwyczajałam. Było niemożliwe, żebym ot tak, z dnia na dzień stała się pewną siebie, otwartą kobietą, błyskotliwą w rozmowie i bezpośrednią w relacjach. Miałam świadomość, że upłynie trochę wody w Tybrze, zanim wyjdę z roli tłamszonej żony. W końcu sporo czasu zajęło mi, aby nauczyć się funkcjonować za fasadą osoby, którą chciał we mnie widzieć mój mąż.

Teraz musiałam wrócić z tego miejsca, w którym się znalazłam. Miałam wrażenie, jakby ktoś przywrócił mi zasilanie.

Stopniowo, doświadczając po raz pierwszy tej niezwyklej siły wsparcia kilku kobiet, wracały mi witalność i energia do życia.

Ambasadorowe coraz częściej zaczęły mnie zapraszać na organizowane spotkania, a ja czasami je odwiedzałam. Wiedziały, jak jest. Że przyjadę bez kwiatów i na taką bez kwiatów zawsze się cieszyły. Że nie bardzo mam jak dojechać i najpewniej skorzystam z publicznej komunikacji, bo nawet jeśli udało mi się zaoszczędzić kilka euro na paliwo, często nie mogłam przyjechać własnym samochodem. Były takie spotkania, na których (z przyczyn bezpieczeństwa) auta przed rezydencją gospodarzy zatrzymywały się tylko po to, aby wysadzić zaproszonych gości. Potem kierowcy odjeżdżali i byli wzywani na zakończenie spotkania. Tak było przyjęte i do tych zasad wszyscy się stosowali. W tej sytuacji metro czy autobus były optymalnym sposobem dotarcia, chyba że któraś z zaprzyjaźnionych dziewczyn, bo tak o sobie mówiłyśmy, zabierała mnie ze sobą po drodze.

Wiktor wiedział lub nie. Gdy godził się na proszony obiad w naszym domu, na pewno nie spodziewał się takich reperkusji. Ot, jednorazowa pokazówka na dowód tego, że mi na wszystko pozwala. Jednak po drugim wyjściu, o którym wiedział, zaczął mnie rozliczać.

- Po jaką cholere ty tam chodzisz?
- Zapraszają mnie, to chodzę.
- No właśnie. Tak nagle cię zaczęły zapraszać?
- Chodzę do tych, które u nas wtedy były.
- I co robisz na tych przyjęciach? Żalisz się może, jakiego masz

męża? – prowokował.

– Ani razu nie rozmawialiśmy jeszcze o tobie – skłamałam. – A chcesz, żebym rozmawiała na twój temat? – Pierwszy raz na tyle sobie pozwoliłam.

– Ty bezczelna...

Cały czas powtarzałam mu, że nie szukam tych spotkań i robię to z obowiązku. Żeby mu nie zaszkodzić, od czasu do czasu muszę przecież korzystać z tych zaproszeń. Nie był aż tak głupi, żeby w to uwierzyć. Nie zabronił mi jednak stanowczo, bo ten czy inny ambasador zwrócił się do niego z informacją, że jego żona prosiła przekazać, że pani ambasadorowa bardzo sympatyczna i cieszą się, że już aktywna towarzysko. Co miał zrobić? Udawał, że nic nie wie.

– Nie myśl tylko, że będę płacił, bo ty chcesz bawić się w wielką dyplomatkę! I pamiętaj, żeby nie narobić mi wstydu – ostrzegwał.

Dodawał też, że on zdania nie zmienił ani życia swojego zmieniać nie zamierza i o zapraszaniu gości do naszego domu mowy w dalszym ciągu nie ma, bo dom, mimo że piękny, to zapuszczony, bo żona fleja i brudas... I tak znów do późnej nocy.

Mimo tych awantur, a może wbrew nim, zawzięłam się i stopniowo zaczęłam wkraczać do innego świata.

– Pani ambasadorowo, a gdzie pani limuzyna? – zapytał kierowca rosyjskiej ambasadorowej, do której dotarłam na jeden z pierwszych „moich” proszonych obiadów.

Czekał przed rezydencją, aby kontrolować ruch samochodów dowożących gości. Nagle zobaczył mnie, jak spacerkiem w kostiumie i szpilkach docieram do bramy wjazdowej.

– A ja dziś zaparkowałam pod ziemią – odpowiedziałam z uśmiechem.

Dziewczyny wiedziały, jak jest, ale kierowca był przekonany, że nieładnie sobie z niego żartuję.

– Jak to pod ziemią? Pani sobie ze mnie kpi? – spytał wyraźnie urażony.

– Nie, nie kpię – odpowiedziałam rozbawiona. – Dziś do państwa metrem przyjechałam.

Faktycznie do rezydencji ambasadora Rosji najwygodniej, najszybciej i najtaniej było mi dojechać metrem.

– A kto panią od metra do nas przywiózł? – ciągnął kierowca, bo w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć w moją wersję.

– Nikt. Autonogi.

Poza domem wracała mi powoli dawna pewność siebie, bo miałam zdrowe relacje z ludźmi. Traktowali mnie z sympatią, szacunkiem i zainteresowaniem. Zapominałam się i czasami miałam wrażenie, że naprawdę jest normalnie. Jednak w domu, dryl do którego przywykłam, bez którego nawet w pewnym momencie nie wyobrażałam sobie życia, powracał. Tam byłam jeszcze mocno osadzona w roli uległej żony. Wystarczyło, że mój mąż podszedł niebezpiecznie blisko i poczułam na twarzy jego oddech, a już wyuczone reakcje obronne organizmu dawały o sobie znać. Łomotanie serca, trudności z łapaniem oddechu. Sztywniałam, gdy słyszałam jego kroki.

Próbowałam nad tym panować. Odwoływałam się w myślach do zapewnień Poli, że nie odważy się zrobić nic, co pozostawiłoby ślad na moim ciele. Trochę mnie to uspokajało.

Tym bardziej, że istotnie nie przebierał w słowach, ale nie śmiał podnieść na mnie ręki. Udało mi się też kilkakrotnie wyłączyć świadomość, gdy mnie wyzywał i poniżał.

Rok czwarty

Jak to nie zrobiłeś dla mnie akredytacji? – Próbowałam mówić spokojnie, ale w środku cała się gotowałam.

– Zrobiłem. Powtarzam ci przecież, że na ceremonii otwarcia będziesz w strefie dla VIP-ów. – Wiktor nie rozumiał, a raczej udawał, że nie rozumie, o co mam pretensję.

– A co z rozgrywkami? Co z zamknięciem igrzysk? Ich już nie będę mogła oglądać?

– A odkąd to tak pasjonujesz się sportem? Nie zauważyłem jakoś tego do tej pory. Nie mówiąc już o tym, żebyś sama coś uprawiała – zakończył z ironicznym uśmiechem.

Popatrzyłam na niego ze wstrętem. Już miałam mu wypomnieć, że sam co kilka miesięcy wymienia garnitury, bo nie dopinają mu się na brzuchu, ale pohamowałam się.

– Sam wiesz, że nie chodzi tylko o widowisko sportowe – zaczęłam dyplomatycznie. – To jest olimpiada, tam wszyscy będą. Znowu przyjeżdża prezydent z żoną. Powinnam z nią być, w takie są obowiązki ambasadorowej. Co teraz im powiesz, gdy

będą pytać, dlaczego jesteś sam? W ciąży nie jestem, a dzieci już nie są maleńkie.

– A może wcale nie zapytają o ciebie? Nie pomyślałaś o tym? – szydził.

Moja pewność siebie nie działała na niego dobrze, widziałam to, chociaż moje argumenty były racjonalne.

– Zresztą nie potrzebuję się przed tobą z niczego tłumaczyć. Będiesz na rozpoczęciu i to ci wystarczy. – Zakończył rozmowę.

Zachodziłam w głowę, czy niepełną akredytację zrobił mi celowo, czy ją po prostu zaniedbał. Wiedział, że nie mogłam już tak zupełnie się nie pokazywać. Zwłaszcza na olimpiadzie. Nie mogłam i nie chciałam, a jego to bardzo drażniło. To on był ambasadorem, on miał być na świeczniku, on miał skupiać zainteresowanie! Nie ja. Dlatego wściekał się, ile razy próbowałam korzystać z należnego mi statusu, do czego konsekwentnie cały czas namawiała mnie Pola. Odbierał to jak zamach na swoją pierwszoplanową pozycję, utratę kontroli nade mną i przejaw mojej próżności.

Po przyjeździe na placówkę odizolował mnie totalnie od wszystkich ludzi. Przez ciążę i małe dzieci miał alibi na moją nieobecność. Gdy jednak zaczęłam bywać wśród żon dyplomatów na swoich warunkach, razem z moją pewnością siebie rosła też jego pewność, że w końcu mogę zacząć im opowiadać, że mnie zwyczajnie gnębi. Nie wiem, na ile by mu to zaszkodziło. On pewnie też nie wiedział.

Zdawał sobie sprawę, że nie może mnie już zmusić do siedzenia w domu. W spotkaniach z ambasadorowymi widział

mały, ale groźny przejaw mojej samodzielności. Miałam odwagę z nim dyskutować i nie przyjmowałam już bezkrytycznie wszystkich jego zaleceń. Drażniło go to coraz bardziej.

Kto wie, może brak akredytacji miał być karą za mój brak bezwzględnego posłuszeństwa? Bo niby będę – na otwarciu. Tam wszyscy mnie zobaczą i w ten sposób udowodni, że nie ogranicza mi kontaktu z innymi. Prezydentowej, która też miała przyjechać, będę zaś towarzyszyć poza strefą dla VIP-ów. Przypomni mi, gdzie moje miejsce. O! I niech mi się tylko nie wydaje, że go do czegoś zmuszę!

Letnia olimpiada w Rzymie wypadła akurat podczas naszego pobytu na placówce. Niepowtarzalna okazja. Jasne, że chciałam tam być, ale nawet jako ambasadorowa podlegałam ścisłym procedurom i nie miałam szans, aby praktycznie w przeddzień imprezy zdobyć dodatkowe bilety.

Koniec lipca. Upał nie do zniesienia. Wszystko, co żyło, było nim zmęczone. Najsmutniejsze wrażenie robiły pozbawione nawadniania fragmenty trawników, które szybko przemieniały się w suche i popękane kawałki ziemi.

Tego dnia nie miałam ochoty na ogrodowy bankiet u ambasadorowej Słowacji, ale że byłyśmy dość blisko, zmusiałam się do podróży komunikacją miejską na drugi koniec miasta. Nie było czym oddychać, a żar jakby wydobywał się ze środka ziemi. Czulałam, że jestem cała mokra od potu.

Przy przecznicy przed rezydencją Lubicy szybko zmieniałam

płaskie sandały na zakryte pantofle, upchnęłam buty do pustej prawie torby, odświeżyłam twarz, kark i ręce wilgotną ściereczką, którą przezornie zabrałam ze sobą do foliowego woreczka i pewnym krokiem ruszyłam przed siebie.

Do igrzysk pozostał niecały tydzień i rzecz jasna to olimpiada była tematem przewodnim rozmów. Dziewczyny skarżyły się mocno na swoich zapracowanych mężów, dla których wydarzenie tej rangi było niemałym wyzwaniem. Słuchałam, zdziwiona ich narzekaniem, jak to siedzą do późna w nocy w ambasadach, cały czas dzwonią, mają wiele spotkań i wizyt dziennikarzy.

Byłam zdziwiona, bo mój mąż taki zapracowany nie był. Wręcz przeciwnie – zauważyłam, że przechodził ostatnio dziwny spadek aktywności. Później wychodził do pracy, dwa dni z rzędu został nawet w domu z książką na kanapie i mówił, że zarządza z łóżka. Czasem nawet nie odbierał telefonu. Tak jakby przedolimpijska gorączka w ogóle nie dotyczyła ambasady Łotwy. Owszem, kilka razy wyszedł gdzieś wieczorem, byłam jednak pewna, sądząc po jego stroju, że nie służbowo. Jakby znudziło mu się albo zniechęcił się już do bycia ambasadorem, chociaż w domu dalej potrafił krzyknąć: „Ja jestem ambasadorem, ja wam wszystkim zaraz pokażę!”. Coraz częściej jednak miałam wtedy ochotę odpowiedzieć mu: „W tym domu jesteś mężem i ojcem, nie żadnym ambasadorem”, ale nie odważyłam się jeszcze.

Słyszałam, jak rozmowa dziewczyn zeszała na temat strojów i zakupów, wyłączyłam się więc z niej trochę.

– Ewa, a ty będziesz? Dostałaś pozwolenie? – zapytała mnie nagle półżartem Pola.

– Będę? Gdzie będę? – Wraciałam do nich powoli myślami.

– Na olimpiadzie czy będziesz?! Wszystko dobrze? – zapytała łagodniej, widząc moje zagubione spojrzenie.

– A, na olimpiadzie. No, w sumie będę – mam bilet na otwarcie.
– Pochwaliłam się.

– Jak to na otwarcie? A co z resztą? – włączyła się do rozmowy ambasadorowa Węgier.

– Resztę obejrzę w telewizji. – Rozłożyłam bezradnie ręce. – A wy mi opowiecie, jak było.

– Nie możesz przyjść? – Śliczna Antonella, żona włoskiego biznesmena z branży energetycznej, która znalazła się na tym spotkaniu ze względu na powiązania swojego męża z ambasadorem Słowacji, nie rozumiała, co mówię.

– Tak wyszło. – Uśmiechnęłam się znacząco. – Było losowanie wejściówek w ambasadzie i wylosowałam bilet VIP-owski tylko na inaugurację – powiedziałam z sarkazmem. – Nie mam biletu na nic innego, nawet na zamknięcie.

– Co? Jak to? – Dziewczyny z niedowierzaniem przyjęły moją wersję.

Kilkakrotnie musiałam je zapewniać, że mówię poważnie. Nie wierzyły. W końcu dotarło do nich, że jednak takie są fakty. Wtedy, wykraczając daleko poza dyplomatyczny umiar, zaczęły z takim przejęciem „komplementować” mojego męża, że spontanicznie przeszły na rodzime języki.

– *Brutto stronzo, ma chi credi di essere!* – wykrzyknęła włoska

ambasadorowa.

– *Neįtikėtina! Bet ir šiknius! Nu ir sugalvojo!* – dołączyła Lina, ambasadorowa Litwy.

– *Cwaniak jeden się znalazł!* – wydyszała Ukrainka, jedyna, którą zrozumiałam.

– Dziewczyny, dajcie spokój. – Pola usiłowała przedrzeć się przez międzynarodową wrzawę. – Musimy coś wymyślić! Przecież nie może tak być!

– *Tha dis ti tha pathis re kloun!* – groziła Greczynka Alexia, gestykulując złowrogo pięścią.

– Pani Ewo, firma mojego męża jest jednym z największych sponsorów tej olimpiady – zwróciła się do mnie nagle Antonella. – Dajcie mi sekundę – powiedziała w powietrze, a potem przeszła sprężystym krokiem w głąb pokoju.

Nie rozumiałam, o czym rozmawiała podniesionym głosem po włosku. Wyłapałam tylko *marito*, więc zakładałam, że faktycznie wstawia się za mną u męża. Po chwili weszła jednak na wysokie C i domyśliłam się, że na jej skuteczność nie mam co liczyć. Wróciła do mnie z naburmuszoną miną i była wyraźnie zakłopotana.

– Niestety, mój mąż tym razem się nie postarał – tłumaczyła się już po angielsku. – A poprosiłam tylko o kilka biletów do strefy dla VIP-ów! O kilka marnych biletów! Przysięgał, że już nie ma nawet jednego – skończyła rozczarowana.

– Ale ja to rozumiem, naprawdę... – Czułam się nieswojo, bo miałam pewność, że biedny *marito* naprawdę przysięgał.

– Ci mężczyźni! Żeby choć raz porządnie coś zrobili! – ciągnęła

dalej wzburzona, nie zważając na mnie. – Nie może! To ma problem, jak nie może! Ja zawsze muszę móc! No nic, już ja to sobie z nim wyjaśnię w domu!

Jej reakcja doszczętnie nas rozbawiła.

– Słyszysz? – szepnęła mi po polsku do ucha Pola. – Ucz się.

– Pani Ewo, niestety będą tylko zwykłe bilety. Za to na wszystkie zawody, jakie pani zechce obejrzeć. I w najlepszym miejscu na trybunie. To mi obiecał.

I tak bilety na stadion dostałam od sponsora.

Sytuacja jednak była absurdalna. Zgodnie z protokołem powinnam wszędzie towarzyszyć mężowi podejmującemu parę prezydencką. Były jednak strefy, gdzie wstęp, ze względów bezpieczeństwa, możliwy był tylko dla osób posiadających akredytację, z sektorem dla VIP-ów na stadionie olimpijskim włącznie. Tam, pomimo tego, że miałam dokumenty dyplomatyczne, nie mogłam być wpuszczona.

Para prezydencka, podobnie jak jeszcze inne głowy państw, w czasie swojej wizyty rezydowała na zacumowanym przy wybrzeżu portowym statku. Tam również wyznaczono strefę dla VIP-ów, do której ja bez akredytacji nie mogłam wsunąć nawet czubka buta. Tak przynajmniej twierdził mój mąż.

Kiedy pierwszego dnia w drodze powrotnej z oficjalnego obiadu w ambasadzie odwoziliśmy prezydenta z żoną do portu, Wiktor w pewnym momencie polecił kierowcy zwolnić.

– Wsiądź tutaj i poczekaj na nas – powiedział do mnie.

– Słucham? Mam wsiąść tutaj? Teraz? Na środku ulicy? Po co?
– Zdębiałam.

– Nie możesz z nami dalej jechać. Tam jest strefa dla VIP-ów. Przecież cię do niej nie wpuszczą. – Popatrzył na mnie zdziwiony, że sama na to nie wpadłam. – No już, wysiadaj, bo wstrzymujemy ruch!

No tak. Nie mam akredytacji – pomyślałam. Nie wpuszczą mnie.

Wysiadłam prawie w biegu, uważając tylko, żeby nie połamać nóg.

Następnego dnia i jeszcze kolejnego w ambasadzie, na oficjalnych spotkaniach i podczas podróży byłam wierną towarzyszką prezydentowej. Jednak odwożąc gości na statek, gdy kawalkada limuzyn korpusu dyplomatycznego zbliżała się do strefy dla VIP-ów, nasz kierowca zwalniał – ze względów bezpieczeństwa nie wolno mu było zatrzymać się, a tym samym wstrzymać kolumny – a ja wystrojona w szpilki wyskakiwałam z auta.

– Twoje szczęście, że masz dosyć młodą żonę – wypominałam Wiktorowi. – Bo jakbym była taką starą pierdołą, to bym się już dawno przy tych akrobacjach rozsypała!

Nie miałam jednak wyjścia – musiałam dostosować się do tej sytuacji. Otwierali drzwi, wyrzucali mnie po drodze, a ja przy porcie, jak taka portowa panienska, stałam sobie szczęśliwa i mówiłam, że jest fajnie, świeci słońce, a jak będą wracać, to im pomacham, zatrzymają się i ja wskoczę z powrotem do samochodu.

Trzeciego dnia dreptałam grzecznie w kółko po nabrzeżu i czekałam na auto pana ambasadora. Od morza wiała przyjemna

bryza, która była miłym orzeźwieniem upalnego popołudnia. Nagle zatrzymał się przy mnie srebrny bentley z przyciemnianymi szybami. Tylne drzwi od strony kierowcy uchyliły się i z wnętrza samochodu usłyszałam:

– *Sali in machina!*

– Słucham?! – rzuciłam po angielsku przestraszona i zdziwiona zarazem.

– Wsiadaj! – Mężczyzna też przeszedł na angielski. – Wsiadaj, mówię, no już! – Głos miał już mocno zniecierpliwiony.

– Nie, nie, ja tu czekam na kogoś...

– Właśnie się doczekałaś. No dalej, nie będziesz żałować. – Widziałam tylko zarys sylwetki człowieka.

– Pan mnie chyba bierze za kogoś innego. – Nareszcie dotarł do mnie kontekst tej całej sytuacji. – Ja czekam na auto korpusu dyplomatycznego – dodałam, jakby to miało kluczowe znaczenie.

– Ha, ha, ha, nieźle! – Mężczyzna w samochodzie zaśmiał się głośno. – No, jak z korpusu dyplomatycznego, to co innego! Pewnie, czekaj, może trafi ci się nawet sam ambasador! Jedziemy! – krzyknął do kierowcy i zatrzasnął drzwi.

No ładnie! – pomyślałam. Wziął mnie po prostu za portową prostytutkę! Ale awansowałaś, pani ambasadorowo! – pogratulowałam sobie w duchu.

Sama już nie wiedziałam czy mam się śmiać, czy może płakać. Takiego upokorzenia jeszcze nie zaliczyłam. Chociaż właściwie mój mąż czasami tak mnie nazywał, więc powinnam przywyknąć. Myśli kłębiły mi się w głowie, a ja wciąż słyszałam w uszach wypowiedane „wsiadaj”.

Ale wstyd!

Żeby zupełnie się nie rozkleić, usiłowałam myśleć o czymś innym.

Co za absurdalne obostrzenia bezpieczeństwa! Żeby w oznakowanym aucie korpusu dyplomatycznego nie mogła wjechać na teren nabrzeża dla VIP-ów? Dziwne.

Nawet gdy jechałam prywatnym samochodem i zatrzymywała mnie policja, wystarczyło, że pokazywałam przez szybę dokumenty CD, a nikt nie miał prawa żądać, żebym wysiadła z auta. Coś mi tu nie pasowało i pomyślałam, że skonsultuję to, z kim trzeba.

A potem znowu przypomniałam sobie srebrnego bentleya.

Będę miała co wspominać – pomyślałam z goryczą. Jakby nie było, to musiał być jakiś zamożny gość. Tylko dlaczego chciał się ze mną zabawić? Przecież tacy jak on obracają prostytutki, które wyglądają jak milion dolarów. No, to nie jest widocznie ze mną tak źle! – stwierdziłam ironicznie.

Było dla mnie zupełnie niewiarygodnym odkryciem, że mogę się komuś podobać. Stałam na wprost cumującego przy nabrzeżu, luksusowego jachtu i usiłowałam przejrzeć się w jego elipsowatej, ciemnej szybie pokładu. Spodobało mi się to, co zobaczyłam. Smukła sylwetka, wąskie biodra, szeroka, leżąca się bluzka.

Mój nowy wizerunek autorstwa Lubicy, o którym na chwilę zapomniałam. Mówiła mi, że w tych szpilkach i czerwonych spodniach każdy facet się za mną obejrzy, ale żeby aż tak? Patrzyłam na swoje niewyraźne odbicie i naprawdę nie mogłam

oderwać oczu.

Muszę koniecznie powiedzieć dziewczynom, że zakasowałam wszystkie portowe kurtyzany! – pomyślałam i pomachałam sobie w oknie.

– Wsiadaj! – usłyszałam znenacka donośny, męski głos.

Odwróciłam się przerażona i kilka metrów od siebie zobaczyłam czarnego mercedesa Wiktora, który uchylił mi... tylne drzwi od strony kierowcy.

Następnego dnia przed wjazdem do portu kierowca starym zwyczajem zwolnił, ale gdy usłyszałam „wysiadaj”, nawet nie drgnęłam.

– Co jest? Wsiadaj.

– Nie – odpowiedziałam spokojnie.

– Wsiadaj, mówię! – warknął do mnie.

– Nie. Chyba że wysadzisz mnie siłą.

– Co ty wyprawiasz? Przecież nie wpuszczą cię tam! – denerwował się.

– Wpuzczą, załatwiłam sobie – skłamałam.

Poskutkowało. Zamilkł. Kierowca przyspieszył i pojechaliśmy dalej. Nikt nawet nie zajrzał do środka i nikogo nie interesowało, kto siedzi w aucie. Pola miała rację, że mój mąż zwyczajnie robi mnie w konia. Liczyła się tylko przepustka za szybkość samochodu. Było oczywiste, że za parą prezydencką jedzie ambasador z żoną i nikt nie miał zamiaru tego kontrolować.

Jednak na stadion przez bramę dla VIP-ów nie mogłam już wjechać. Tam kontrola była szczegółowa. Po obiedzie, gdy jechaliśmy razem z prezydentem i jego żoną przed stadionem,

znów wyrzucali mnie w trakcie jazdy, żebym doszła na piechotę do innej bramy, przez którą mogłam wejść ze swoimi „normalnymi” biletami od sponsora.

Samo przebywanie na ogólnodostępnych trybunach wśród zwyczajnych ludzi było dla mnie dużo przyjemniejsze niż kontrolowany entuzjazm w strefie dla VIP-ów. Niewygodne było tylko eleganckie ubranie i szpilki. Na nasłonecznionej trybunie, przy temperaturze powyżej trzydziestu stopni w cieniu już po kilku minutach wszystko kleiło mi się do ciała, a buty odparzały mi stopy.

Prezydentowa nie mogła na początku zrozumieć, o co chodzi. Jesteśmy razem na obiedzie, wsiadamy każda ze swoim mężem do limuzyny, po czym widzi, jak drzwi auta otwierają się, a ja, niczym agent zero zero siedem wypadam w trakcie jazdy na ulicę. Jestem, a potem znikam. Zupełnie tego nie pojmowała. Powiedziałam jej prawdę. Byłam jej to winna. Kiedyś przecież odstąpiła mi własne łóżko w prezydenckim apartamencie. Wtedy, gdy ja sama miałam wątpliwości, czy zasługuję choćby na kozetkę w ambasadzie...

Podczas powtórnej wizyty nie mogła już zrobić nic, by się mną zaopiekować. Dawała mi jednak do zrozumienia, że widzi, co się dzieje, i martwi ją to. Tym razem postawa tej mądrej kobiety wpędzała mnie mocno w poczucie wstydu, bo już inaczej patrzyłam na sytuację, w jakiej mnie widziała.

„Pani prezydentowo, następne nasze spotkanie będzie już inne” – strasznie chciałam jej wtedy obiecać.

Czułam się wystawiona na pośmiewisko. Postanowiłam jednak

nie okazywać przed Wiktorem, jak bardzo mnie to dotyka. Dopięłam swego i byłam na olimpiadzie – mimo jego zabiegów nie udało mu się mnie odizolować.

Troska prezydentowej w czasie igrzysk i historia z biletami były kolejnymi kamyczkami do mojego ogródka. Znowu ktoś okazał mi życzliwość. Bilety od sponsora dla mnie, VIP-a bez akredytacji, którego ktoś przygarnął i powiedział, że TAK NIE MOŻE BYĆ! Dostałam wsparcie od ludzi, dla których nieważne było, co powie ambasador, bo o jego lekceważącym stosunku do mnie wiedzieli już prawie wszyscy.

Trochę mnie zresztą dziwiło, że nie wywołuje to powszechnego ostracyzmu. Dopiero gdy zaczęłam o tym rozmawiać z dziewczynami, dotarło do mnie, że nie można skazać ambasadora na towarzyską banicję za to, że nie prowadzi się wszędzie z żoną, zakazuje jej aktywności lub po prostu nie daje pieniędzy. Tak to nie działało.

Dla mnie, bezpośrednio przed olimpiadą, stało się jeszcze coś ważnego: z mojej szafy wyskoczyła zakonnica...

Dbłość o wygląd wysłałam z mlekiem matki. Zawsze miałam dużo ubrań i całą kolekcję kapeluszy. Większość z nich musiałam zostawić przed wyjazdem do Rzymu – wiedziałam, że ze względu na kolor czy fason nie będą przydatne. Kapelusze zostały wszystkie, bo Wiktor wyśmiał mnie za ten pomysł. Gdy stałam się kobietą zdominowaną przez męża, kwestię ubrań traktowałam marginalnie.

Kiedy zaczęłam wychodzić na „herbatki”, zakładałam jeden z bezpiecznych zestawów ze swojej szafy i cieszyłam się wizją

dobrego towarzystwa. Strój nie zaprzętał specjalnie mojej uwagi. Dziewczyny i tak wiedziały, że negocjuję z Wiktorem każdy zakup i nie dziwiły się, że pokazuję się wciąż w tym samym. Nie czułam zazdrości o ich sklepowe relacje czy wygląd. Byłam szczęśliwa, że mogę wyjść do ludzi, a to, w czym, nie miało dla mnie znaczenia. Ten układ, który sobie wypracowałyśmy, służył wszystkim do tego stopnia, że czasami towarzyszyłam czeskiej ambasadorowej Elisce na zakupach i obie kochałyśmy te wypadki.

Wyjeżdżając na placówkę, wydawało mi się, że będę podlegać sztywnemu dress code'owi, który wydawał mi się nieodłącznym elementem dyplomacji. W praktyce okazało się, że ambasadorki, wśród których się obracałam, traktowały wytyczne modowego savoir-vivre'u mało dosłownie i liczył się dla nich przede wszystkim zdrowy rozsądek oraz wyczucie. Po sposobie ubierania się – zwłaszcza kobiet – można było też łatwo poznać ich staż.

– To było, gdy razem z Ludwikiem pojechaliśmy na naszą pierwszą placówkę dyplomatyczną do Maroka – opowiadała mi kiedyś Pola. – Pamiętam jak dziś. Koniec września, temperatura prawie czterdzieści stopni. Trzy dni po przylocie poszliśmy na pierwsze przyjęcie do Hiszpanów. Straszna trema, bo to pierwsze oficjalne przywitanie ze wszystkimi. Założyłam sukienkę z rękawem do łokcia i rajstopy. Elegancko, zgodnie z protokołem. W domu klimatyzacja, w samochodzie też – nie czułam gorąca. Weszliśmy do ogrodu i prawie natychmiast po przywitaniu się z gospodarzami poczułam, jak pot spływa mi po plecach.

Spojrzałam dookoła i co zobaczyłam? Wszystkie panie w krótkich rękawkach lub bez, z gołymi, popalanymi nogami. Na luzie! Przeklełam w duchu wszystko, co przeczytałam o strojach oficjalnych w poradnikach Pietkiewicza! Na drugi dzień, przed kolejnym przyjęciem, musiałam się tylko dobrze naszukać samoopalacza do nóg. Ale rajstop nie założyłam! Pamiętam też – opowiadała dalej – jak przed tym właśnie wyjazdem do Maroka spotkałam się ze swoją poprzedniczką, która stamtąd wróciła. Poprosiłam, żeby wprowadziła mnie trochę, opowiedziała, jak kobieta kobiecie, żebym miała pojęcie, co mnie czeka. Usłyszałam od niej, że muszę kupić sobie ileś tych sukien czy garsonek, bo przecież jak się chodzi na przyjęcia codziennie, to nie można dwa razy być w tej samej stylizacji. Złapałam się za głowę i pomyślałam: „Na miłość boską, a z czego ja mam wziąć pieniądze na te wszystkie kiecki? Jeszcze smoking dla Ludwika!”. Z ciuchami wtedy nie było tak łatwo. Coś tam miałam swojego, ale żeby co dzień zmieniać? O, co to, to nie! Pojechałam więc do jednej znanej fabryki odzieży, gdzie główną projektantką była córka przyjaciela mojego ojca. Ona wyposażyła mnie w dwie suknie, jeden spodnium i trzy bluzki. Z tym pojechałam. Na pierwszym przyjęciu, o którym już wiesz, obserwowałam wszystkie panie z ciekawością, a one pewnie mnie. Chciałam się nauczyć co i jak. Na drugi dzień kolejne spotkanie – ubrałam się obowiązkowo inaczej, przyszłam i wiesz, co zobaczyłam? Belgijka miała dokładnie tę samą kieckę, co dnia poprzedniego! Tyle sobie z etykiety robiły!

Dzięki jej opowieściom nabrałam jeszcze większego dystansu

do strojenia się. Olimpiada jednak była wydarzeniem na tyle wysokiej rangi, że mimo wszystko chciałam jakoś wyglądać. Goście, media – nie mogłam tego bagatelizować. Spodziewałam się ostrych negocjacji z Wiktorem, ale liczyłam, że ze względu na obecność dziennikarzy namówię go na jakieś minimum. I faktycznie, gdy któregoś dnia wrócił do domu z dwoma nowymi garniturami „na olimpiadę”, wykorzystałam okazję. Powiedziałam, że ja kompletnie nie mam się w co ubrać, z premedytacją zrobiłam żalowaną minę, aż w końcu łaskawie dał mi wstępne przyzwolenie na jakieś rozsądne zakupy.

Było wczesne popołudnie. Chłopcy akurat zaliczali swoją drzemkę, Magda miała czas wolny, mąż w pracy, dół zrobiony na mokro. W ramach przerwy postanowiłam zobaczyć, co mogę wygrzebać do ubrania ze swojej szafy.

Tak jak na filmach otworzyłam wszystkie drzwi wysokiej do sufitu, wnękowej garderoby, odeszłam dwa kroki do tyłu i przeżyłam wstrząs. Z szafy zaatakowała mnie zakonnica!

Część panięskich jeszcze ciuchów, które przywiozłam, poutykana była na wyższych półkach garderoby. Gdy ogarnęłam wzrokiem to, co wisiało na wieszakach, w czym na ogół chodziłam, zobaczyłam ciąg szaroburych, luźnych ubrań. Nie zwróciłam na to do tej pory uwagi, ale wyciągałam po kolei nieliczne kostiumy, spodniemy i sukienki, które kupiłam w ostatnim czasie na jakąś okazję, i zauważyłam, że wszystkie wyglądają jednakowo.

Moje wyobrażenie o sobie tak strasznie kontrastowało z tym, co zobaczyłam w szafie! Gdzieś tam, w zakamarkach swoich wspomnień, w dalszym ciągu widocznie nosiłam swój obraz kobiety z klasą, która ubiera się kolorowo, lubi kapelusze i ogólnie dobrze wygląda. Musiałam przyjąć do wiadomości, że nie zostało z niej nic!

Zabolało, ale wewnątrz garderoby bezlitośnie mówiło samo za siebie. To, co miałam do wyboru, to czarne, szare i granatowe bezkształtne worki. Worki już na oko sporo na mnie za duże, bo w rozmiarze XL. Zakładałam je po kolei, przyglądałam się sobie i odkryłam, że zamiast ubrań wybierałam sobie schowki do ukrycia! Wisiały na mnie pokracznie, obnażając tylko małą głowę. Przeżyłam wstrząs: z eleganckiej kobiety stałam się zakonnica w burch, nijakich i na dodatek w za dużych ubraniach.

– Zakonnica Ewa – powiedziałam do siebie.

– Zawsze chciałam cię zapytać, czy to on ci się kazał tak ubierać? – skomentowała moje wyznanie o zakonnicy Pola.

– Nie, on mi wcale nie kazał. – Długo nie mogłam otrząsnąć się po tym, co zobaczyłam w szafie. – Chociaż, jak był ze mną na zakupach, wystarczyło, że się zmarszczył, a już wszystko wiedziałam. Ale tak naprawdę ja sama, sama wybierałam, rozumiesz?! Podświadomie sama sięgałam po te maskujące habity! – mówiłam poruszona.

– Sama? Odkąd zorientowałam się, jak jest między wami, zawsze obstawiałam, że on ci wszystko kupuje. Nawet majtki! – Pola niespodziewanie pozwoliła sobie na mocny żart.

Skąd ona może wiedzieć o majtkach?! – pomyślałam w pierwszej chwili. Nie, niemożliwe, to zwykły zbieg okoliczności. Majtki, Polu, o majtkach nawet tobie nie opowiem...

– Pola, ja przejrzałam wszystkie swoje zdjęcia... – ciągnęłam dalej.

– Zdjęcia oglądałaś? Po co? – Wyraźnie się zdziwiła.

– Nie wiem, po prostu wyjęłam kilka ostatnich zdjęć. Gdy je oglądałam, dotarło do mnie, że wyglądam na nich właśnie jak zakonnica. A właściwie jak Anna.

– Anna? – Pola nie zrozumiała.

– Jego pierwsza żona. Nie opowiadałam ci o niej? – spytałam zaskoczona. – Poświęciła dla niego piętnaście lat swojego życia. Była mądrą, inteligentną i uległą kobietą. Na obiadach organizowanych przez moją matkę, na których się spotykałyśmy, nigdy się nie odzywała bez zachęty Wiktora. A miała taką wiedzę, Pola! Ona biła na głowę wszystkich swoją orientacją w polityce, ekonomii, historii. Jednak zanim coś powiedziała, zawsze czekała na jego przyzwolenie – wspominałam z niechęcią. – I zawsze pół kroku za nim, bo znała swoje miejsce.

– Nie ma co, wychował ją sobie. To dlaczego ją zostawił dla ciebie? Bo byłaś młodsza?

– Nie, bo nie urodziła mu dziecka.

– Coś takiego! Nie do wiary.

– Mnie też wychował. Pola, dopiero teraz do mnie dotarło, że jestem wierną repliką Anny. Dwanaście lat starszej! – jęknęłam przerażona. – Na zdjęciach wyglądamy niemal identycznie. Ubrane w ciuchy o tych samych kolorach i bezkształtnych

krojach. Koszmar! I na dodatek, pomijając te moje beznadziejne kiecki, na tych zdjęciach... na tych zdjęciach ja zawsze stoję pół kroku za nim!

Zakonnica nie wróciła. Zadbala o to ambasadorowa Lubica, która jako druga usłyszała historię zakonnicy Ewy. Kazała mi powiedzieć mężowi, że tym razem na zakupy jadę z nią, a nie z nim, i że właśnie w trosce o niego doradzi mi, co wybrać, żebym dobrze wypadła.

Był oburzony. Jak to?! Miały być zakupy, ale z nim! Zżymał się: „Ukartowałaś to! Przyznaj się! Pewnie to twój pomysł, nie jej!”. Postawiony przed faktem wściekał się strasznie. Dopiero gdy uświadomiłam go, że to w końcu starsza pani, która „bezpiecznie” mnie ubierze, odpuścił. Żebym mogła dobrze wypaść w jej oczach, po raz pierwszy dał mi swoją kartę kredytową.

Zmylił go wiek słowackiej ambasadorowej albo zwyczajnie nie zwrócił na to uwagi, że mimo swoich lat ubierała się dość swobodnie i odważnie. Mnie samą zawsze wprawiało w zdumienie, że ta wysoka, potężna kobieta nosiła tak rzucające się w oczy, kolorowe stroje. Do tego krótkie, farbowane na blond włosy i usta, których nigdy nie widziałam nieumalowanych. Wyjątkowo barwna postać.

W secesyjnej, przeszklonej Galerii Alberto Sordi przy Piazza Colonna byłam po raz pierwszy. Gmach przeraził mnie trochę swoim rozmiarem, ale Lubica poruszała się po nim z taką

wprawą, jakby znała topografię sklepów na pamięć. Zdałam się na nią zupełnie i posłusznie dawałam się zaciągać do wszystkich butików, które wybierała.

– Lubica, a gdzie ty będziesz chodziła w tej chabrowej sukience? – spytałam ją w którymś momencie, widząc, jak odłożyła do przymierzenia całe naręczce tęczowych ubrań.

Ja odruchowo skierowałam się do wieszaków z ciemnymi kolorami.

– No przecież są wakacje, jest ciepło – odpowiedziała. – Trzeba nosić się wesoło! – Pomachała do mnie sukienką.

Gdy zobaczyła, co oglądam, prawie krzyknęła i ruszyła ostro do mnie.

– Dziewczyno, a czego ty tam szukasz?

– No... – Nie zdążyłam dokończyć, gdy chwyciła mnie za rękę. – Chodź, tu są twoje kolory i rozmiar. Zaczynamy. Spójrz, jaki piękny lniany kostiumik! Idealny dla ciebie. – Przyłożyła do mnie wieszak.

Na widok żółtego koloru poczułam ścisk w żołądku.

– Chyba nie, nie lubię żółtego – odpowiedziałam z niesmakiem.

– Ty żadnych kolorów nie lubisz! Tylko te bure kufajki. Bierzemy, przymierzysz i sama przekonasz się, że to idealny kolor dla twojej karnacji. – Lubica nie odpuszczała.

Wybrałyśmy białą i czerwoną dopasowaną sukienkę o prostym fasonie, granatową szmizjerkę w mikroskopijne paski, ciemnożółty kostiumik, malinowe, wąskie spodnie i białą, klasyczną koszulę z naturalnego jedwabiu.

Przymierzyłam wszystkie, a Lubica nie pozwoliła mi spojrzeć

ani razu na metki. Ostatecznie zostały spodnie, czerwona koszula, biała koszulka i biała sukienka. Żółtego kostiumu za nic nie chciałam, a ona uznała, że histerycznie reaguję na żółty kolor.

– Dobrze, niech będzie. To jest to, co musisz kupić! – grzmiała.

– To jest idealne na początek. Teraz możesz sprawdzić, jaki to rozmiar.

Spojrzałam na metki i nie wierzyłam własnym oczom: na każdej z nich było duże, czarne S.

– To nie jest mój rozmiar – powiedziałam z niedowierzaniem.

– To nie jest MÓJ rozmiar, ale twój jak najbardziej. Inaczej nie wbiłabyś się w to wszystko. Zastanawiam się, czy nie powinnaś jeszcze przymierzyć tych czerwonych spodni mniejszych, XS – mówiła bardziej do siebie niż do mnie. – Boję się jednak, że twój chłop tego nie przeżyje. Jak będziesz je nosić, każdy facet się za tobą obejrzy. Oczywiście pod warunkiem, że założysz szpilki.

– Jakież buty na pewno kupię – mówiłam z zadowoleniem, oglądając w lustrze swoje atrybuty spowite w czerwone spodnie.

– Ale wolę chyba chodzić na płaskim obcasie niż na szpilkach.

– Nie, moja droga! Muszą być obcasy! – Lubica nie odpuszczała.

– Tylko że ja szybko chodzę, wygodniej mi bez – marudziłam dalej. – Nawet jak zakładałam na bankiety swoje stare, było mi niewygodnie. Chyba już zapomniałam, jak się chodzi w szpilkach.

– Takich rzeczy się nie zapomina. To jak jazda na rowerze. Kupujemy szpilki, a potem daję ci godzinę tu, w sklepie, żebyś sobie przypomniała, jakie to przyjemne – powiedziała głosem

nieznoszącym sprzeciwu.

Po buty poszliśmy do przeciwległego domu handlowego La Rinascente.

Granatowe, klasyczne szpilki miały obcasy do nieba! Stabilne, ale najwyższe, jakie kiedykolwiek mierzyłam. Całe szczęście, że miękka skóra na zapiętkach i wewnętrznej wyściółce była zbawieniem dla stóp, które po półgodzinnym paradowaniu po śliskiej posadzce odmówiły współpracy.

Lubica wspaniałomyślnie zgodziła się na przerwę. W oparach świeżo parzonej kawy i słodkiego zapachu francuskiego ciasta zrobiliśmy sobie krótki odpoczynek na cappuccino i *cornetto*, chłonąc klimat prawdziwie włoskiego przedpołudnia.

Po przerwie nie było przebaczenia. Na mozaikowej posadzce Galerii Sordi wyegzekwowała kolejne pół godziny udręki. Stopy bolały dalej, ale stąpałam już dużo pewniej.

Pod domem ogarnęła mnie panika. Słusznie, bo gdy Wiktor zobaczył moje ubrania, nasłuchiwała się dużo. Oględnie mówiąc, że jestem dziwką pod różnymi postaciami. Wściekał się tym bardziej, że ubrania zostały kupione i nie mógł już mi ich zabrać. Pokrzykiwał, że to wyrzucone pieniądze i nie ma więcej mowy o jakichkolwiek zakupach.

Pokornie znosiłam jego krzyki, ale w duchu postanowiłam, że nigdy już nie kupię niczego, co przypominać mi będzie strój zakonnicy. Chociaż wiedziałam, że po tych zakupach już długo nie będę mogła sobie kupić nic nowego.

Cel został jednak osiągnięty, na olimpiadzie zaprezentowałam się w zupełnie nowej odsłonie. Dziewczyny zgodnie

komentowały, że zmiana na korzyść. Że mam figurę nastolatki i wyglądam młodziej. Potrzebowałam tych komplementów, by przekonać samą siebie, że moje ciało jest jeszcze całkiem fajne. By w końcu zacząć patrzeć na nie z przyjemnością. To poczucie własnej atrakcyjności miało dla mnie ogromne znaczenie w żmudnym procesie wzmacniania pewności siebie.

Wiktor zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważył żadnej odmiany w moim wyglądzie. Natomiast ja odczuwałam ją bardzo wyraźnie. Srebrny bentley to potwierdził, chociaż oczywiście wspomnienie portowej panienki bolało. Czułam się fatalnie, gdy wracałam myślami do tego wspomnienia. Miałam w sobie jednak tak dużo wewnętrznego buntu, jak nigdy dotąd. Przestałam w końcu wierzyć w kłamstwa, które opowiadał o mnie mój mąż.

Rok piąty

W drugiej połowie naszego pobytu na placówce to ja byłam gwiazdą. Tak przynajmniej żartowały dziewczyny, ja sama zaczynałam dostrzegać, że w towarzystwie innych to ja, bardziej niż mój mąż, jestem osobą szanowaną i lubianą.

Odkąd zaczęłam wychodzić, dość szybko nawiązałam serdeczne kontakty z damską częścią dyplomatycznej społeczności. Lubiałam te dziewczyny, chyba z wzajemnością, i dobrze czułam się w ich towarzystwie. Chociaż większość z nich znała moją historię, nie ciągnęłam za sobą stygmatu ciemnionej ambasadorowej. Nie chciałam być postrzegana wyłącznie przez pryzmat moich problemów z mężem i nie oczekiwałam od nich litości. Nie była mi potrzebna. Wolałam pod ich wpływem rozkwitać i łapać wiatr w żagle.

Od kiedy dziewczyny „zabrały się za mnie”, jak tylko mogłam, korzystałam z zaproszeń na różnego rodzaju spotkania. Sama, ale też z nim.

– Ona musi chodzić, a ty musisz ją zabierać – mówiła Pola

Wiktorowi bez ogródek. – To nie jest żaden przywilej, to jest po prostu wasz obowiązek.

– Racja – włączał się do rozmowy Ludwik. – Dzieci już nie są wytłumaczeniem. Jest pewne minimum, do którego trzeba się dostosować.

Obydwoje powtarzali to mojemu mężowi do znudzenia.

– Musisz ją zabierać, bo wszyscy pytają o Ewę.

To działało. Nie szukał okazji do wyjść, ale na przyjęcia z okazji świąt narodowych już mnie zabierał. Zżymał się za każdym razem, ale zabierał.

– Ty chciałabyś, żeby go publicznie wychłostali! – oburzyła się Pola, gdy po raz kolejny skarżyłam się, że niby wszyscy wiedzą, jaki jest dla mnie, a nikt nie reaguje. – Co mamy zrobić? Rozstrzelać? Poza tym oficjalnie nikt o niczym nie ma pojęcia. Gdy jesteście w towarzystwie na pierwszy rzut oka nie widać jakim on jest człowiekiem.

Oficjalnie nikt nie widział, tym bardziej że przy ludziach starał się traktować mnie normalnie. Szybko rozniosło się jednak, że daleko mu do ideału. Sensacje, że nie wypuszczał mnie z domu i jest zwyczajnym despotą, w pewnej mierze mu zaszkodziły i ci, którzy znali prawdę, starali się zachować chłodny dystans w kontaktach z moim mężem.

Zresztą jego reputacja traciła nie tylko przez to. Pozwalał sobie nieraz na różne, nietaktowne zachowania. Na przykład zapraszał na obiad ambasadorów, po czym okazywało się, że nie ma czym zapłacić, bo zapomniał karty. Owszem, każdemu może się zdarzyć, ale nie kilkakrotnie! Ludzie szybko zorientowali się, że

jest skąpy i kombinuje.

Wszyscy pamiętali też, że nie zdobył się na żadną rewizytę w naszej rezydencji. Było normą, że ambasadorowie wraz ze współmałżonkami zaraz po przybyciu byli zapraszani przez już urzędujących, a gdy już okrzepli trochę na placówce, sami wydawali przyjęcie, rewanżując się wszystkim. Wiktor na początku tłumaczył się moją ciążą, potem małymi dziećmi, a w końcu zdradzał, że ma niestabilną emocjonalnie żonę, która nie jest w stanie zorganizować żadnego przyjęcia.

Gdy wyszłam z ukrycia, dotarło do wszystkich, że nie jestem chora psychicznie, a raczej kontaktowa i towarzyska, i że to z jego, a nie z mojego powodu nie zorganizowaliśmy rewizyty, mimo że mieliśmy już ponad trzyletni staż na placówce. Był to ewidentny nietakt.

I jako wisienka na torcie – epizod z kochanką, którą przyprowadzał na przyjęcia.

Niektórzy koledzy w „służbie” delikatnie się od niego izolowali. On, który i tak do tej pory miał słabe notowania, teraz z racji swoich licznych dziwnych zachowań zaczął być wręcz sekowany, trafiał stopniowo poza nawias. Doszło do tego, że po olimpiadzie, gdy podchodził na przyjęciu do grupki stojących, wszyscy milkli albo spoglądali po sobie znacząco.

Obserwując go, wydawało mi się, że to poważniejsze kłopoty, że coraz bardziej miota się w korpusie. Nigdy nie zwierzał się, jak mu się pracuje, ale po rozmowach z ludźmi z ambasady odnosiłam wrażenie, że całą pracę i kalendarz ustawiał mu konsul i sekretarka. Sam zdawał sobie sprawę ze swojej

nieudolności, dostrzegali ją również inni. Im bardziej sobie nie radził, tym większą agresję to w nim wzbudzało. Odreagowywał w domu, na mnie i na dzieciach.

Tym mocniej wkurzał się, widząc, że ja z upływem czasu czułam się coraz pewniej i byłam bardziej rozpoznawalna. Bywało, że gdy przychodziliśmy razem na przyjęcie, miałam więcej znajomych niż on sam, ambasador.

Gdy tylko mogłam, chodziłam na wszelkie formalne i nieformalne spotkania ambasaderek i kobiet z kręgów biznesowych. Pola wciągnęła mnie do Klubu Ambasadorowych Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie w ramach grup roboczych w konwersacjach ćwiczyłyśmy znajomość języków. Chodziłam też na cykliczne spotkania tematyczne organizowane przez miejscowe kobiety biznesu, a także na imprezy poświęcone promocji poszczególnych krajów. Obecność na tych ostatnich była niepisanym punktem obowiązkowym, ponieważ były one oczkiem w głowie każdej ambasadorowej. Nawet dziewczyny dysponujące skromnym budżetem stawały na głowie, żeby dobrze wypaść: ściągaly z biur turystycznych filmy promujące ich kraj, przygotowywały dania narodowe, zapraszały rodzimych artystów. Były niesamowicie kreatywne.

Funkcjonowałyśmy we właściwych sobie grupach w zależności od statusu kraju pochodzenia, co najczęściej było spójne z położeniem i kręgiem kulturowym. Mało która próbowała wyłamać się z tej niepisanej hierarchii. Kraje anglosaskie. Kraje południowoeuropejskie. Były blok komunistyczny. Ameryka. Azja. Afryka.

Każdy znał swoje miejsce, chociaż oczywiście wszystkie, bez względu na status, byłyśmy dla siebie życzliwe i na różnego rodzaju przyjęciach czy comiesięcznych spotkaniach Międzynarodowego Klubu Kobiet wymieniałyśmy uprzejmości i uśmiechy. Kurtuazja w pełnej krasie.

Ten nieformalny podział był jednak dość widoczny. Na golfa jechała śmietanka dyplomatyczna, która raz, że grać umiała, dwa, stać ją było, by z uposażenia zapłacić za tak ekskluzywną rozrywkę. Na spotkanie krajów byłego bloku komunistycznego, gdzie obowiązującym językiem nie był już angielski, nikt z kolei nie zapraszał na przykład ambasadorowej RPA, która w żadnym słowiańskim języku mówić nie umiała.

Ja w swojej podgrupie czułam się doskonale. Znałyśmy się wszystkie, byłam wśród swoich, one mnie uratowały. Wyciągnęły mnie z tego marazmu, w jakim tkwiłam wcześniej, i otoczyły opieką, gdy przestałam kryć się ze swoją domową gehenną. Przy nich odkrywałam meandry dyplomacji w damskim wydaniu i one dawały mi potężny zastrzyk energii.

Im gorzej traktował mnie Wiktor, tym większe wsparcie dostawałam od nich. Siłę, by nie dać się poniżyć. Im bardziej się broniłam, tym bardziej czuł, że traci nade mną kontrolę. Mimo że wciąż nie dawał mi środków, coraz lepiej udawało mi się funkcjonować wśród ludzi. Zaczynałam sobie radzić. Moja pewność siebie rosła, a jego doprowadzało to do szału.

Pozwalałam sobie na coraz więcej:

– Wiesz co, musisz oddać mężowi Poli dziesięć euro, bo pożyczyłam od niego na kwiatki, gdy jechałam ostatnio na

przyjęcie – mówiłam od niechcienia.

Wściekał się wtedy, bo stawiałam go przed faktem. Niemniej jednak było mu wstyd, więc dawał pieniądze mnie, abym przekazała je przez Polę Ludwikowi. To był jej pomysł, który ugadała potem z jeszcze jedną i kolejną panią ambasador. Były to oczywiście fikcyjne „długi” – nie robiłam ich, ale dzięki temu, że dawał mi pieniądze na oddanie, miałam swój skromny fundusz.

Bardziej niż to, że musiał dawać mi pieniądze, wyprowadzało go z równowagi to, że nie kryję już niczego i wszyscy wiedzą, jak jest. Przychodziło mu czasem się z tego tłumaczyć.

Pola zacytowała mi rozmowę, gdy bezpardonowo zwróciła mi kiedyś uwagę:

– Wiktor, nie może tak być, że Ewa pożycza od ludzi pieniądze.

– To dlaczego mi nie powie, że jej potrzebne? – zapytał grzecznie jakby nigdy nic.

– To co? Ma za każdym razem żebrać u ciebie o każdego centa? Jak gdzieś idzie, ma ci mówić: „Daj mi pięć czy dziesięć euro na kwiatki, bo jadę, a nie mam”? Ona powinna mieć pieniądze przy sobie.

– Dziwne. Nigdy nie mówiła, że potrzebuje. – Szedł w zaparte z głupią miną.

Siedziałyśmy na tarasie. Było przyjemne, październikowe przedpołudnie. Słońce, do niedawna o tej porze śmiało górujące nad pobliskimi piniami, wyraźnie już ustąpiło. W swojej wędrówce obniżyło mocno swój tor i chowało się pokornie za ich

kulistymi kształtami. Znak czasu. Kolejna włoska jesień.

Maks i Leon popychali się nawzajem po trawniku, testując plastikowego jeepa, którego dostali dwa dni wcześniej od ojca. Trawa podeschła lekko, bo system nawadniania znowu się popsuł, a nie było komu się nim zająć.

– Droga taka zabawka? – spytała Pola ruchem głowy, wskazując autko.

– Nie wiem. Pojechał z chłopcami w sobotę do sklepu i kupił im to cudo. – Patrzyłam, jak Maks próbuje wyciągnąć Leona z kabiny i już miałam interweniować, gdy pojawiła się przy nich Magda. – Gdy ma dobry humor, często kupuje im coś do zabawy.

– Dobry ojciec – powiedziała Pola z przekąsem, spoglądając na mnie.

– Dobry – przytaknęłam. – Szkoda tylko, że od powrotu ze sklepu nie spędził z nimi nawet minuty.

– Jak to?

– Normalnie. Postawił zabawkę w ogrodzie, a sam zaszył się w gabinecie. Mapy inwentaryzował. – Usiłowałam naśladować niski głos Wiktora.

– On chyba nie bardzo angażuje się w ojcostwo? – zapytała Pola po dłuższej chwili.

– Nie bardzo. – Pokręciłam smutno głową. – Nigdy nie był książkowym tatusiem. Pytał mnie: „Co mam robić z tymi lalkami?”, gdy podsuwałam mu chłopców, jak byli niemowlętami. Praktycznie się z nimi nie bawi, nie umie. Chętnie im czyta, zabierze na basen, do parku rozrywki, ale być z nimi nie potrafi. Oni z nim zresztą też nie, bo się go boją. Często się

złości, gdy bywają męczący, hałasują, kłócą się.

– O, to musi być dla niego trudne. – Pola udawała fałszywe zrozumienie.

– Grunt, że są już coraz starsi i jest z nimi łatwiej – dodałam energicznie, żeby ożywić nieco naszą przyciężkawą rozmowę. – Pola, tak sobie myślę... chciałabym coś zrobić.

Odstawiła szklanekę z wodą, którą sączyła powoli przez słomkę, i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Tak? A tak dokładniej co masz na myśli?

– Jak tak patrzę, jak działacie w tej dyplomacji, też chciałabym coś zrobić – powiedziałam niepewnie.

– To rób. Będę pierwsza, która ci pomoże – odpowiedziała rzeczowo.

– No tak, ale nie bardzo wiem co. Tak naprawdę to chyba bardziej potrzebuję udowodnić sobie, że poza zajmowaniem się domem i dziećmi wciąż coś potrafię.

– To jest bardzo dobra motywacja, moja droga. Zaczynaj od czegoś na miarę możliwości, no i przyzwolenia męża – zakończyła sarkastycznie.

– No właśnie. Tu jest problem. Jak go znam, wyśmieję mnie, nie mówiąc o jakimkolwiek finansowaniu – odezwałam się gorzko.

– Nie ma co się łudzić – może tak być. Ale co do finansów, to ja też działałam, chociaż nie zawsze mam.

– No nie mów! Wszystkie twoje prośzone przyjęcia czy nawet kiermasze charytatywne mają taką oprawę, że zastanawiam się, jak ty to robisz.

– To ja ci powiem jak, chcesz? – powiedziała takim głosem,

jakby za chwilę miała wyjawić mi swoją najgłębszą tajemnicę. Podkuliła nogi na fotelu i obróciła się do mnie całym ciałem. – Jeśli myślisz, że ja mam taki budżet i warunki jak dziewczyny z Zachodu, to grubo się mylisz. – Lekko się rozżaliła. – Gdy przygotowujemy proszony obiad na osiemnaście osób w rezydencji, wszyscy musimy się spinać. W przeddzień zakładamy fartuchy i stoimy przy garach do późna w nocy. Bywa, że Ludwik przelewa Finlandię do butelek po Chopinie i tak promujemy polską wódkę, którą wszyscy się zachwycają. W dniu przyjęcia intendent przebiera się w uniform kelnera i obsługuje gości – wyliczała. – Pół godziny przed ich przyjściem ściągam wałki i wystrojona witam wszystkich z błogim uśmiechem, chociaż kręgosłup boli, a nogi odmawiają posłuszeństwa. I myślę sobie w duchu: „Boże, żeby to się już wreszcie skończyło, żeby wszyscy już sobie poszli!”. Na drugi dzień zaś planujemy z Ludwikiem, kiedy ich zaprosimy po raz kolejny.

– Ale ty masz normalnego męża – wtrąciłam z zazdrością.

– Fakt, ty nie masz. To znaczy, że masz siedzieć i płakać? – Podpuszczała mnie.

– A co ja w swojej sytuacji mogę zrobić? – spytałam lekko rozżalona.

Pola nie odpowiedziała. Siedziała i stukiała głośno paznokciami w rattanowy stolik pokryty szkłem, stojący między fotelami. Widać było, że nad czymś rozmyśla.

– Już wiem. Zrób stoisko na świąteczny kiermasz charytatywny. Prawie wszyscy coś przygotowują. To nic trudnego, a wy jeszcze ani razu nic nie wystawiliście.

Kiermasz w sumie nie brzmiał tak strasznie.

– Na kiermasz? – zastanawiałam się głośno. – Poważnie?

– Jasne. To nic trudnego. Opowiem ci, jak na naszej placówce w Maroku po raz pierwszy ja organizowałam polskie stoisko na bazarze charytatywnym.

Uwielbiałam jej historie.

– Opowiadaj, opowiadaj – rzuciłam niecierpliwie.

– Dochód z niego przeznaczony był na budowę boiska szkolnego w jednej z biednych dzielnic Rabatu. Bardzo chciałam, żebyśmy też mieli swój wkład. Nie było łatwo, uwierz mi. Najpierw pojechałam do mojego męża, do ambasady, w godzinach pracy. Powiedziałam: „Panie ambasadorze, jestem tutaj oficjalnie. Potrzebuję pożyczyć dwa tysiące dolarów”. Był w szoku. Powiedział: „Najpierw usiądź, a potem mów, o co chodzi”. Nie musiałam go przekonywać. Jestem finansistą z wykształcenia, pokazałam zestawienie wydatków, marżę, przewidywane zyski z kiermaszu. Dał przyzwolenie. Pojechałam do Polski po jedwabne chusty z Milanówka, lniane obrusy z Żyrardowa i ceramikę z Bolesławca. Kiedy już nakupiłam w kraju różności, okazało się, że nie mogę ich przewieźć samolotem, bo moje ministerstwo może mi załatwić kwit tylko na dziesięć kilogramów nadbagażu! – wykrzyknęła. – A na co mi było dziesięć kilogramów, jak to razem ważyło ze sto?! Całe szczęście, że jeden ze znajomych pomógł mi. Przeciągnęliśmy wszystko przez salonik dla VIP-ów i jakoś to doleciało. Na kiermaszu wszystko sprzedało się momentalnie, a lniane obrusy z Mikołajami szły jak świeże bułeczki. W kolejnym roku

mieliśmy już dostawę pięćsetkilogramową. Statkiem! Też nie bez problemów, bo oczywiście sama to musiałam do Gdyni dostarczyć.

– Swoim samochodem? – spytałam trochę naiwnie.

– No nie, nie swoim. Transport musiałam zorganizować. – Oczy jej błyszczały z przejęcia. – Furore zrobiło piwo bezalkoholowe, które dostaliśmy od producenta za darmo, bo miało krótki okres przydatności. Ludzie ustawiali się po nie w kolejkach! A zaprzyjaźnieni piloci kupowali dla nas na kiermasz w sklepie wolnocłowym na lotnisku w Warszawie polską wódkę i zwozili ją do ambasady. Na dodatek gościnnie wystąpił jeszcze uniwersytecki zespół tańca ludowego. To nie był kiermasz – to były Dni Polskie w Afryce! Cały naród budował swoją stolicę. Okazało się, że byliśmy drugą ambasadą pod względem ilości przekazanych pieniędzy. Nie mogłam wprost uwierzyć! – zakończyła z entuzjazmem.

Zazdrościłam jej tych wspomnień. Tak właśnie wyobrażałam sobie cztery lata temu swoją rolę. Nie chciałam być tylko żoną swojego męża, ale prawdziwą ambasadorką jego kraju. Taką jak Pola. Nie miałam wątpliwości: jeśli chciałam nabrać jeszcze jakichkolwiek szlifów w dyplomacji, oprócz kindersztuby i książkowej teorii musiałam odrobić jeszcze lekcję podglądania. Dlatego właśnie tak chętnie słuchałam o jej doświadczeniach i przypatrywałam się temu, co robi. Ja, nowicjuszka, miałam już swoją mentorkę. Polę.

– Przynieś kartkę. – Wyrwała mnie z zamyślenia. – Zrobimy biznesplan waszego stoiska.

Przez tydzień nie mogłam zebrać się na rozmowę z Wiktoorem. Strasznie mi zależało, żeby się zgodził, dlatego szukałam najbardziej odpowiedniego momentu. Tymczasem nasze relacje były tak napięte, że żaden moment nie wydawał się dobry. Chyba że wróciłabym do ślubnej sypialni, ale to jednak nie wchodziło w grę.

Na jego pierwszą próbę zbliżenia po gwałcie zareagowałam z taką histerią, że był to jedyny raz, gdy widziałam go autentycznie zdziwionego. Groziłam, że krzykiem obudzę całe miasto, pójdę na obdukcję, a potem ucieknę z dziećmi do polskiej ambasady. Wymamrotał, że poradzi sobie beze mnie i że coraz częściej zastanawia się nad bezpiecznym dla mnie miejscem.

Po tygodniu Pola powiedziała mi krótko, że albo się odważę, albo nic się nie zmieni i nigdy nie wyzwolę się z jego dominacji.

– Chcę zrobić nasze stoisko na świątecznym kiermaszu charytatywnym – powiedziałam tego samego dnia wieczorem.

– Co? – Osłupiał. – Jakie stoisko?

– Sam mówiłeś kiedyś, że stoiska przedświąteczne w ambasadzie były tradycją. – Nie udawało mi się do końca panować nad drzeniem głosu.

Czułam, że ta rozmowa nie ma sensu.

– Kiedyś były. A teraz nie – powiedział obojętnie.

– To ja chciałabym zrobić.

– Ty? – zapytał z niedowierzaniem. – Przecież ty nie masz o tym pojęcia! Zastanów się, nigdy nie robiłaś żadnego kiermaszu!

– Zachowywał się tak, jakbym rozbawiła go moim pomysłem.

– Nie takie rzeczy kiedyś robiłam, tego się nie zapomina. – Patrzyłam na niego ze złością.

– Jasne! A kto za to zapłaci? Przecież żeby coś sprzedać, najpierw trzeba to kupić. Ja do tego nie przyłożę ręki i nie dam na twoje fanaberie nawet centa! – Pogroził po swojemu palcem.

– Dlaczego tak się wściekasz? Kiedy pracowałam w konsulacie, słyszałam, że jestem operatywna i skuteczna, sam mnie chwaliłeś. – Nie chciałam dać się łatwo zbyć. – Więc to chyba żadne ryzyko? Poza tym wszyscy coś robią przed świętami. Jak to wygląda, że u ciebie nic się nie dzieje?

– Co ty w ogóle bredzisz?! – ryknął wzburzony. – Moja, powtarzam, moja placówka funkcjonuje świetnie i nikt nie ma do niej żadnych zarzutów. A ty pilnuj dzieci i domu!

Poddałam się. Zadzwoiłam na drugi dzień do Poli. Przyjęła moją relację spokojnie.

– Jesteś zdziwiona? Przecież było więcej niż pewne, że tak zareaguje. Musisz dążyć dalej. Przepisz ten plan, który robiłyśmy, i daj mu. Tylko zostaw sobie jeden egzemplarz na wypadek, gdyby podarł.

Wieczorem, po kolacji, położyłam mu kartkę na stole w salonie, prosząc, żeby się zastanowił. Nawet na nią nie spojrział. Rano nie było jej ani na stole, ani w koszach na śmieci.

Przez kilka kolejnych dni pytałam, czy się zgadza. Zbywał mnie kpinami albo udawał, że nie słyszy. Czy w końcu przemyślał sprawę, czy ktoś wręcz mu powiedział, że taka akcja wpisze się dobrze w wizerunek ambasady, nie dowiedziałam się. Po

tygodniu zgodził się na kiermasz i pożyczył mi oficjalnie pięćset euro, których odbiór własnoręcznie pokwitowałam.

Poczułam się jak wtedy, gdy dowiedziałam się, że znowu jestem w ciąży. Jakbym dostała życiową szansę. Ogarnęły mnie ekscytacja i zapał do działania! Niezwykle się starałam, jak na bardzo ważnym teście kompetencji. Miałam coś do udowodnienia sobie, dziewczynom i... jemu.

Jasne, że wyobrażałam sobie, gdy mówi, jaki jest ze mnie dumny. Że mnie nie doceniał. Że żałuje wszystkiego, co się wydarzyło. Że już będzie inaczej, bo... I całą serię wyznań, może nawet komplementów. Chociaż nigdy nie przyznałabym się do tego Poli, moim marzeniem było usłyszeć coś takiego właśnie od niego.

Na kiermasz sprowadziłam trochę rękodzieła oraz narodowych produktów spożywczych i w ciągu dwóch dni sprzedałam je za drugie tyle. Oddałam dług, a resztę przeznaczyłam na szpital onkologiczny, który wizytowałam swego czasu z prezydentową. Wtedy, mimo że nie odczarowałam swojego męża, poczułam bardzo przyjemny przypływ siły i chęci do działania.

Gdybym prowadziła pamiętnik, zapiski w nim mogłyby wyglądać tak:

Wtorek, 5 lutego

Wiktor znowu wyjechał. Liczę, liczę i wychodzi mi, że ostatnio więcej czasu spędza w delegacjach niż na miejscu. Nie pytam,

dokąd jeździ. Zakładam, że służbowo. Akredytacja na cztery sąsiednie kraje zobowiązuje. Nie pytam, bo jeszcze zdradziłabym się z tym, jak bardzo mi pasuje, że go nie ma. Przynajmniej noce mam spokojne, gdyż Maks i Leon zdecydowanie lepiej śpią, „gdy nie ma taty”. Sama już dawno zapomniałam czym jest beztroski sen.

Sobota, 9 lutego

Wczoraj dałam się namówić Poli na istne szaleństwo! Byłyśmy na włoskich tańcach! Gdyby Wiktor dowiedział się, chyba by mnie zabił! Na szczęście wraca dopiero w przyszłym tygodniu. Ostatnio tańczyłam na własnym ślubie, później nie było okazji. Szkoda, bo kiedyś bardzo to lubiłam. Pola też lubi, bo regularnie chodzi na wieczorki taneczne w Klubie Kobiet i cierpliwie pracuje nad Ludwikiem, żeby znalazł czas na regularny kurs tańca.

Wszystko przez włoską ambasadorową, która zdziwiła się ostatnio, że jak można mieszkać w Rzymie i nie wiedzieć, co to tańce grupowe. Włosi podobno za nimi przepadają! Na fiestach, imprezach okolicznościowych, nawet na piknikach przy placach zabaw często bawią się w ten sposób. W niektórych parafiach tradycją jest, że co piątek pod kościołem rozstawia się zespół i około dwudziestej zaczyna grać. Dzieci, dorośli i seniorzy stroją się i idą tłumnie „zobaczyć, jak tańczą”, kupują kielbaskę, a potem sami stają w szeregi i tańczą do późnego wieczora.

My też tańczyłyśmy. To było niesamowite! Wyraz takiej autentycznej radości życia. Po godzinie tańce w parach – nawet miałyśmy spore wzięcie, niestety u mocno dojrzałych panów.

Wróciłam o jedenastej. W domu nie było mojego męża, a chłopcy bawili się jeszcze z Magdą.

Niedziela, 10 lutego

Dziś rano obudziłam się i wyobraziłam sobie, że go nie ma. Że airbus A-ileś tam, którym wraca, rozbił się. Czynniki ludzkie. Ponad dwieście osób na pokładzie, a wśród nich mój mąż. Zaraz jednak naszła mnie refleksja, że uśmiercić ponad dwieście osób, żeby tylko móc pozbyć się jednej, to przesada...

Dobrze zatem, po prostu wyjechał i nie wrócił. Już nigdy nie wróci. Dopadło mnie uczucie ogromnej ulgi, że nie wrócą też wrzaski, kłótnie i to całe napięcie, które nieodłącznie towarzyszy jego obecności. Moja wyobraźnia karmiła się dalej obrazami leniwych poranków, wesołych krzyków dzieci, obiadów, podczas których spadające sztuce nie wywołują potoku połajanek dla „niezgrabnych łap” Maksa czy Aleksa.

Gdy już bardzo dobrze szło mi z wyobrażeniami błogiego spokoju, naszedł mnie dla odmiany niepokój, a potem strach. Co będziemy jeść?

„Ze śmietników będziesz jadła!” – wróciło do mnie nagle. Gdzie mieszkać? Jak sobie bez niego poradzimy? Strach powrócił. Nie czułam już pulsowania tętnic czy skurczów żołądka, które już oswoiłam. Dałam sobie kilka minut, by wsłuchać się w to co mówi moje ciało, i odkryłam, że owszem, mam niespokojne myśli, szybszy oddech, ale to wszystko. Ten strach przed życiem bez niego już mnie nie paraliżował.

Wtorek, 12 lutego

W końcu doszła paczka od matki. Rzadko do niej dzwonię ostatnio. Miała rację, że jeszcze niedawno telefonowałam codziennie. Jak jej powiedzieć, że nie mam już takiej potrzeby? Że po telefonach do niej czuję się gorzej niż przed nimi? Zarzuca mi, że dystansuję się od niej. Gdyby to było możliwe!

Najważniejsze, że przysłała mi wszystko, o co prosiłam. Kilka kolorowych ubrań z panieńskich, dobrych czasów i dwa kapelusze. Patrzyłam na nie z sentymentem. A gdy wyciągnęłam kostium z cienkiej krepy w kolorze butelkowej zieleni, nie mogłam się powstrzymać i od razu go założyłam. Do tego ton ciemniejszy, zielony kapelusz i granatowe, olimpijskie szpilki. Maks i Leon autentycznie mnie nie poznali, co rozbawiło mnie tak, że popłakałam się ze śmiechu. Chyba ze śmiechu.

Czwartek, 14 lutego

Przeglądałam dziś nasze oficjalne zdjęcia i przeżyłam przyjemne rozczarowanie. Na tych zrobionych w ambasadzie, w czasie olimpiady z parą prezydencką nie stoję za nim. Pierwszy raz!

Zawsze grzecznie przesuwałam się pół kroku do tyłu, żeby pan ambasador był na pierwszym planie. No, niechbym spróbowała stanąć inaczej! Tym razem, zupełnie niechcący, stanęłam jak równa z równym. Jak to się stało? Nie bałam się? A jednak! Czy to znak, że moja podświadomość powoli się przeobraża?

Zaszła we mnie ogromna zmiana. Wychodziłam z domu, jeździłam samochodem, który tankował mi już nie tylko do

sklepu i lekarza. Zrobiłam kiermasz! Wszyscy mówili mi, że to fajne, że tak się rozkręcam. A ja chciałam więcej i więcej. Funkcjonowanie wśród ludzi dodawało mi siły, a ja miałam nadzieję, że to dopiero początek.

– Co? To ty nie wiesz, jak się podaje obiad w ogrodzie? – spytała Lubica, gdy kiedyś poskarżyłam jej się, że Wiktorowi często nie pasuje to, co przygotowuję na obiad. Stroił fochy przy jedzeniu, mówił, że nie będzie jadł ze mną i chłopcami, bo nie jest głodny, a po chwili grzebał w lodówce.

– Nie, a jak się podaje w ogrodzie? – Zaintrygowała mnie.

– Przychodzi mąż. Stawiasz mu obiad na stole, a on kręci nosem, że mu nie pasuje. Nie będzie jadł. Otwierasz więc okno, wyrzucasz przez nie talerz i mówisz: „W takim razie, kochanie, dziś obiad podano w ogrodzie”.

Żałowałam, że nigdy nie miałam odwagi, by podać mu obiad w ten sposób. Bałam się, jak zareaguje – mogłabym razem z talerzem wyfrunąć przez okno.

W domu dalej był tyranem. Z nawyku, z frustracji wygadywał o mnie, co chciał. Nie kupowałam już tego, ale on wciąż próbował egzekwować bezwzględne posłuszeństwo i kontrolować mnie. Wpadł w furję, kiedy okazało się, że już nie może sprawdzać moich maili. Od rodziny, znajomych, moich przyjaciółek ze studiów. Jak to? Przecież wcześniej czytał wszystko!

– Oszalałaś? Jak ty możesz pozwolić, żeby czytał twoje maile?! – Pola nie miała dla mnie odrobiny wyrozumiałości. – Natychmiast zakładaj nowe konto i ustawiaj hasła!

Tak zrobiłam. I rozpoczęły się codzienne awantury, że knuję pewnie przeciw niemu, wymyślam niestworzone historie, próbuję mu zaszkodzić, że ludzi podjudzam, a może nawet mam kochanka! Tym bardziej, że przecież niedawno dostałam od niego kwiaty!

Faktycznie, dostałam od mężczyzny, sprzedawcy w sklepie mięsnym, gałązkę mimozy. Ósmego marca w Dzień Kobiet. Szkoda tylko, że dawał taką samą każdej klientce, bo to taki włoski pomysł na świętowanie w tym dniu.

Miałam na szczęście koleżanki, które nie poddały się głupocie mojego męża i mimo jego apodyktyczności, trwały przy mnie. To z nimi potrzebowałam mieć kontakt, bez jego cenzury. To nie były osoby, które codziennie trwały przy mnie, tak jak Pola. Kontakt miałyśmy raczej sporadyczny, ale i taki bardzo mi odpowiadał. Gdy już mogłam pisać do nich o wszystkim, wprowadziłam je bez ogródek w swoją sytuację, dzięki czemu miałam pewność, że po powrocie otrzymam od nich wsparcie. Podtrzymywałyśmy naszą przyjaźń – na odległość, ale wytrwale.

Z Polą też musiałyśmy zmienić charakter naszych kontaktów – wyjechała z Ludwikiem z placówki kilka miesięcy przed nami i pozostały nam tylko maile i telefon.

Była wigilia świąt Bożego Narodzenia. Nasza ostatnia w Rzymie. Kolejna bez śniegu i scenerii, których tak mi brakowało. Zamiast tego zielona trawa w ogrodzie, zielone liście lauru, hibiskus z ostatnimi, wątłymi kwiatami. Tylko przejmujące,

wilgotne powietrze potwierdzało, że to właśnie zima po włosku. Innej nie będzie, a na pocieszenie już w styczniu pojawią się pierwsze stokrotki.

Było mi smutno, tęskniłam za rodzinnym domem, który rzecz jasna idealizowałam we wspomnieniach. Wiedziałam, że będę musiała zadowolić się życzeniami przez telefon. Usłyszę się przynajmniej z ojcem. Cieszyłam się – tak rzadko rozmawialiśmy. Z natury był małomówny, co utrudniało jeszcze bardziej nasz wirtualny kontakt.

Z matką rozmawiałam częściej, chociaż od momentu, gdy zaczęłam wychodzić z domu i regularnie spotykać się z dziewczynami, nie miałam już potrzeby codziennie do niej wydzwaniać. Teraz na ogół to ona dzwoniła do mnie i robiła mi wymówki, że o niej zapominam.

Cieszyła się jednak najwyraźniej, że córka-ambasadorowa jakoś się odnalazła. Przy każdej naszej rozmowie wyciągała ze mnie co, jak, z kim, kiedy. Nawet nie wiem, jak to się działo, że relacjonowałam jej wszystko z detalami – jak po imprezach, gdy byłam jeszcze nastolatką. Zwyczajnie potrzebowała dalej mieć kontrolę nad tym, co się dzieje w moim życiu. No i miała nareszcie o czym opowiadać swoim przyjaciołom.

Czułam się silniejsza, choć moja wizja szczęśliwej rodziny stawała się coraz bardziej nierealna, wręcz niemożliwa do osiągnięcia. Przygnębiało mnie to. Miałam świadomość, że ojciec moich dwóch synów i mój mąż jest człowiekiem, którego chcę i muszę zostawić. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Nie byliśmy małżeństwem w sypialni, nie byliśmy w domu,

udawaliśmy na salonach. O tym, żeby cokolwiek naprawiać, nie było mowy. Teraz, gdy czułam się silniejsza, próbowałam raz czy drugi spokojnie porozmawiać z nim, zapytać, jak wyobraża sobie nasze dalsze życie. Za każdym razem kończyło się to awanturą i wyzwiskami. Winna całej sytuacji byłam jego zdaniem tylko i wyłącznie ja. I mój kochanek.

Jedyne, na co czekał, to że z powrotem stanę się pokorną i poddaną żoną. Jedyne, na co ja czekałam, to że wrócimy. Niestety, nie do Polski.

Wiedziałam, że w przypadku separacji czy rozwodu na placówce z dnia na dzień utracę wszelkie swoje przywileje. W świetle prawa byłam tylko i wyłącznie żoną ambasadora, zależną od niego we wszystkim. Prawo tę zależność sankcjonowało. Nie przysługiwałyby mi nawet pieniądze na bilet powrotny do kraju dla siebie i dzieci.

Przez lata pobytu w Rzymie, poza dodatkowym ubezpieczeniem zdrowotnym, nie odprowadzano za mnie żadnych składek emerytalnych. Nie byłam oczywiście pod tym względem jedyna. Na palcach jednej ręki można było policzyć kraje, gdzie towarzyszące mężom żony miały status pracowników korpusu ze wszystkimi należnymi świadczeniami. Ja byłam i tak w dobrej sytuacji, bo miałam raptem kilka lat takiej „czarnej dziury”. Znałam jednak panie, wśród nich była też Pola, które przez kilkanaście lat jeździły za swoim dyplomatą po świecie, a w świetle ustawodawstwa swoich krajów w tym czasie po prostu zbijały bąki.

Odejść z dwójką małych dzieci w tej sytuacji? Groził, że

zabierze mi wszystko, a przede wszystkim chłopców, bo w końcu użyje tego, o czym już wiele razy mi mówił. Jak miałam uzbroić się w choćby najtańszego prawnika – za pieniądze odzyskane z VAT?

Wyjechać do matki też nie mogłam. Po pierwsze – z wrodzonej przyzwoitości. Nie chciałam, aby informacja o naszym rozstaniu nabrała kontekstu politycznego. Od razu rozeszłyby się plotka o kolejnym w świecie dyplomatycznym skandalu obyczajowym, tym razem dotyczącym ambasady jego kraju, który to kraj szanowałam i nie chciałam przysparzać mu problemów wizerunkowych. Prywatnie jednak nie mogłam się doczekać, kiedy alter ego pana ambasadora ujrzy światło dzienne.

Drugi powód był ważniejszy. Gdybym zdecydowała się rozwodzić w Polsce, nie na Łotwie, trwałoby to latami i wiązałoby się z powrotem do rodzinnego domu. Aby stanąć na nogi, musiałabym zdać się na początku na łaskę i niełaskę mojej matki. Przyjęłaby mnie z dziećmi, ale na swoich warunkach. Wszystko powróciłoby. Byłam o tym przekonana.

Mając teraz trochę więcej świadomości na temat siebie, nie wątpiłam, że ona jako pierwsza, przed Wiktorem, uzależniła mnie od siebie i kontrolowała w takim samym stopniu. Nie mogłam walczyć z obojgiem jednocześnie. Kalkulowałam, że najpierw uporam się z mężem.

Tak naprawdę w głębi ducha podjęłam już decyzję, ale zdarzały mi się momenty, gdy pytałam siebie: czy to już wszystko? Czy nie jestem w stanie zrobić dla ratowania naszego związku nic więcej? W końcu to ojciec moich dzieci. Przecież ma

synów, których tak bardzo pragnął. Wiedziałam, że gdyby okazał skruchę, uległabym.

– Przepraszam. Przepraszam za wszystkie lata, gdy cię ranilem – powiedziała by złamanym głosem, a oczy miałyby wilgotne. – Wybacz mi, proszę, i zacznijmy wszystko od nowa.

Wyobraźnia podpowiadała naiwne obrazy.

– Ewa, zależy mi na tobie i chłopcach. Kocham was – wyznałby skruszony.

No nie! Żał mi wtedy było samej siebie, gdy karmiłam się jakimiś absurdalnymi urojeniami! Rzeczywistość była okrutna – ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam, to „jesteś żalosna”, a z chłopcami spędził w ciągu ostatnich dni raptem godzinę! Bo byli głośni!

W tę ostatnią, ciepłą Wigilię poszło o drobiazg. Miał być polski barszcz z uszkami, które kazał mi odgrzać na parze. Odmówiłam i włożyłam je do mikrofalówki, żeby było szybciej. Już i tak padałam ze zmęczenia – wszystkie potrawy świąteczne przygotowałam sama. Nie miałam siły na rozstawianie parowaru. Wściekł się, że go nie słucham. Od słowa do słowa nasza kłótnia eskalowała.

– Masz tak zrobić! – ryczał w coraz większej furii.

– Nie zrobię tego! – odszczeknęłam.

– Jak śmiesz na mnie krzyczeć, ty mała dziwko?!

– Krzyczę, bo ty krzyczysz, durniu!

– Jeśli tego nie zrobisz, to... – Zawiesił znacząco głos.

– To co? Czym mi chcesz grozić? – spytałam zadziornie, chociaż trzęsłam się ze strachu.

– Powiem dzieciom, że się rozwodzimy – zakończył ze złym uśmiechem.

Musiałam dać sobie chwilę i ochłonąć. Tego się nie spodziewałam.

– No co? Zatkalo cię?

– Nie – skłamałam. – Już mnie niczym nie zadziwisz. – Udawałam niewzruszoną tym, co powiedział. – I chcesz im powiedzieć tu i teraz, że się rozwodzimy? Tak?

– Tak.

– Aha. A może jednak poczekamy z tym? Wrócimy na Łotwę i możemy się rozwodzić.

– Widzę, że wcale nie jesteś zaskoczona?

– A powinnam być?

Nie odpowiedział. Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

– Nie wiem tylko, po co dzieciom w Wigilię mówić, że się rozwodzimy? To sprawa między nami. Naprawdę, nie psujmy im świąt. – Odwołałam się do jego rozsądku.

– Ale dlaczego mamy coś przed nimi ukrywać? Przecież ich też to dotyczy. Powiemy im, zadzwonię też do twojej matki – niech się wszyscy dowiedzą!

Podszedł do schodów prowadzących na piętro.

– Maks, Leon, chodźcie na dół! – zawołał do chłopców, którzy na górze oglądali bajkę. – Szybko do mnie! – Odwrócił się w moją stronę i rzucił: – Załatwimy to od razu!

Podbiegłam, próbując go uspokoić.

– Wiktor, proszę cię, przecież to małe dzieci! Wystraszysz ich! Są święta...

– Jakie to ma znaczenie? Poza tym chyba to ich prawo dowiedzieć się, jaką mają matkę?

– O co tobie chodzi? Co ty opowiadasz?

Nie odpowiedział. Chłopcy w międzyczasie pokonywali w podskokach schody. Byli pewni, że wezwani zostali w zupełnie innym celu.

– Prezenty, prezenty! – wołali jeden przez drugiego, biegnąc do stojącej w salonie choinki.

– Stać! Nie żadne prezenty. – Wiktor nagłym okrzykiem zmroził ich i zatrzymali się posłusznie w pół kroku. – Mam wam coś do powiedzenia.

I powiedział im. Dzieci zamiast prezentu dostały na gwiazdkę wiadomość, że mama zdecydowała, że zostawia tatę. Dokładnie tak: „Mama zostawia tatę. A skoro zostawia tatę, to teraz pewnie zostawi także was!”.

Nastraszył chłopców moim odejściem, a żeby mieli jasny obraz całej sytuacji, zdjął jeszcze z palca obrączkę i rzucił nią o ziemię, krzycząc, że oto właśnie się rozwiódł. Maks i Leon, niemi świadkowie tego groteskowego widowiska, chyba tylko ze strachu przed ojcem nie rozplakali się. Nie rozumieli na pewno słowa rozwód, ale uwierzyli w wersję o moim odejściu. Stali w osłupieniu, bojąc się nawet oddychać, a ja czułam cztery małe rączki wczepione kurczowo w moją spódnicę.

Monodram trwał dalej. Wiktor stał na środku salonu, pod

choinką, krzycząc, że nie ma już żony. Jest wolnym człowiekiem! Nie ma żony, bo się rozwiódł! W końcu wyciągnął gwałtownie telefon i zadzwonił do mojej matki, by opowiedzieć, że nie jest już jej zięciem, bo oto właśnie się rozwiódł! Jest rozwiedziony! Powtarzał to kilka razy, jakby napawając się brzmieniem tego słowa.

Późnym wieczorem matka zadzwoniła do mnie. Była na bieżąco z tym, co się działo w naszym domu, ale to, w jaki sposób spędzamy Wigilię, mocno ją zszokowało. Czułam to, chociaż próbowała obrócić wszystko w żart, pytając, czy może jesteśmy w jakimś arabskim kraju, w którym wystarczy trzy razy powiedzieć „nie jesteś już moją żoną” i ma to moc sprawczą.

Jednak ja nie byłam w nastroju do żartów. Powiedziałam jej tylko, że naprawdę chcę się z nim rozwieść. I o dziwo, po raz pierwszy nie próbowała mnie od tego odwieść. Tak jakby zrozumiała, że tym razem podejmę samodzielną decyzję i zostawię męża, którego mi wybrała, bez względu na widoki dobrego życia, którego miał być gwarantem.

Od tych świąt Maks i Leon nie przespali ani jednej całej nocy. Budzili się co chwilę, by sprawdzić, czy mama jeszcze jest, czy może już ich zostawiła. Nieważne, że spałam z nimi w łóżku, że czuli moją obecność. Odtąd żyli w totalnej histerii i strachu zaszczerpionym przez ojca. Bo jeśli mama zostawia ojca, to mama zostawi też nas. Nawet dla czterolatka jest w tym logika.

Ja sama gubiłam się w domysłach, co będzie dalej. Jakby nie było, pierwszy raz padło między nami słowo „rozwód”. Sama myślałam o nim dziesiątki razy, a ten wigilijny emocjonalny

szantaż był kolejnym sygnałem, że powinnam pozbyć się złudzeń i przygotować na definitywny koniec. Jednak nogi ugiwały się przede mną, gdy przypominałam sobie, z jaką łatwością podjął pierwszy ten temat. I to w tak okrutny sposób!

Czy to znaczy, że coś już planuje? Może od dawna przygotowuje grunt, a ja naiwna nie mam o niczym pojęcia?! Co dalej się wydarzy? Wysłał mi pozew rozwodowy czy chciał mnie zwyczajnie nastraszyć? Zostawi mnie z dnia na dzień bez grosza? A może kupi bilet, spakuje mi walizki i wyśle samą do Polski, jak kiedyś matkę? Boże, a co z dziećmi?

Każdy scenariusz wydawał mi się realny i wywoływał we mnie panikę. Zdałam sobie sprawę, że nie jestem przygotowana na rozwód z nim ani w wymiarze materialnym, ani – co gorsza – w mentalnym. Ile razy jednak przypomniałam sobie, jak wciągnął w tę nieczystą rozgrywkę Maksa i Leona, ich przerażenie, że mama zostawia tatę, a potem zostawi też ich, mój strach zamieniał się we wściekłość. Jakim trzeba być ojcem, by świadomie znęcać się w ten sposób nad własnymi dziećmi?

Nie powinnam być zaskoczona całą tą absurdalną sytuacją. Oboje wiedzieliśmy już od dawna, że rozgrywki ze mną za pomocą chłopców działały najskuteczniej. Od teraz byłam całkowicie pewna, że jeżeli mój mąż będzie chciała na mnie cokolwiek wymusić użyje do tego naszych dzieci.

Rok szósty

Tymczasem nie wydarzyło się nic. Dekoracje świąteczne dawno już schowałam do kartonowego pudła, a życie biegło dalej swoim dawnym torem. Wiktor niezmiennie: gdzieś tam pojechał, skądś wrócił, trochę pokrzyczał to na mnie, to na dzieci. Ja łatałam spustoszenie emocjonalne u chłopców po ostatniej Wigilii i uczyłam się radzić sobie bez Magdy, która nie wróciła do naszego domu po urlopie świątecznym, wyznając, że nie jest w stanie dalej z nami mieszkać.

Planowaliśmy dalsze wspólne życie tak, jak gdyby nic nie zostało powiedziane, a groźba rozwodu miała nigdy nie zostać zrealizowana.

Uczciwie mówiąc, na długo przed rzucaniem obrączką, gdzieś na rok przed końcem jego kadencji, zastanawialiśmy się już, gdzie zamieszkamy po powrocie. Razem. Swoje mieszkanie zostawił pierwszej żonie, więc tak naprawdę nie mieliśmy lokum dla siebie. Zaczęliśmy rozglądać się za dużym domem, takim na miarę czteroosobowej rodziny wysoko postawionego dyplomaty.

Odpowiednim dla jego pozycji.

– Ewa, możesz mi to wytłumaczyć? – grzmiała Pola, na szczęście tylko do słuchawki. – Ty jakby nigdy nic oglądasz z nim domy? Gniazdko z nim więc będziesz?

– Przecież i tak muszę z nim wrócić. Rozwód muszę przeprowadzić w Rydze – odpierałam atak.

– Coś ty się tak na tę Łotwę uparła? – Pola była zdenerwowana.
– Wracaj do Polski, jakoś ci pomożemy.

– Nie, Pola. W Polsce rozwód potrwa całe lata. Będzie robił uniki, nie będzie się stawiał na rozprawy, a jeśli wyślą go na kolejną misję, to już w ogóle pozamiatane. – Wiedziałam, co mówię. – Wy przecież też możecie niedługo wyjechać, nie mogę ciągle wisieć na tobie.

– A tam? Kto ci tam pomoże?

– Nie potrzebuję pomocy. W końcu mam łotewskie obywatelstwo, to Unia Europejska. Znam język, chłopcy są dwujęzyczni. – Przekonywałam ją i po raz kolejny siebie. – Jeśli szybko znajdę pracę, wytrzymamy jakoś do rozwodu.

– Nie wiem, Ewa. Ja nie chcę cię straszyć, ale on jest nieobliczalny, wiesz o tym. – Organicznie wręcz czułam wątpliwości Poli jak własne.

– Nie strasz mnie. Co nas nie zabije, to nas wzmocni – znasz to?
– Usiłowałam zażartować.

– Dobrze, a o co chodzi z domem? – Pola zawsze pytała wprost.

– Chce kupić, więc niech kupuje. Musimy przecież gdzieś mieszkać.

– Kupicie, żeby zaraz się rozwodzić?

– Nie takie zaraz. Dopiero jak znajdę pracę. Nie jestem naiwna, wiem, że to potrwa – mówiłam zgodnie z prawdą. – To będą miesiące. Może nawet dłużej. Chcę, żeby w tym czasie chłopcy mieli w miarę normalne warunki, tym bardziej że przywykli już do pewnego standardu.

– Ale to absurd! Nie lepiej, żebyście załatwili to teraz, zamiast pakować się w jakieś inwestycje?

– Nie, bo on nie wie i nie może się zorientować, że planuję się z nim rozwieść. Myśli, że jakoś to będzie. Że w końcu zmądrzeję i stanę się z powrotem potulną żoną, więc nie wyprowadzam go z błędu.

– I kupujesz z nim dom dla waszej szczęśliwej rodziny?

– Myślisz, że jestem fałszywa? – Zaatakowałam.

– Ewa, nie chodzi o to... – Pola zaczęła się tłumaczyć.

– Nie mam wyjścia! – przerwałam jej wzburzona. – Muszę tak zrobić! Przez te wszystkie lata dodatek na mnie i dzieci wpływał na jego konto. Utrzymywał, że to „nasze oszczędności na potem” – mówiłam roztrzęsiona. – Ale fakty są takie, że ja tych pieniędzy nie oglądam. Pola, ja nie wiem nawet, gdzie i czy w ogóle one są! Gdybym chciała się z nim rozwieść teraz, zostałabym z niczym. Dostęp do nich ma tylko on, a to w końcu nasz wspólny dobytek!

– Tak, ja to rozumiem...

– Poczekaj, chcę ci to wyjaśnić. Żeby w przyszłości cokolwiek podzielić, musi to być coś namacalnego. Jeśli więc on chce te pieniądze zainwestować w naszą wspólną – w świetle prawa – nieruchomość, dla mnie to jedyny sposób, aby nie wyjść z tego związku z pustymi rękami. Nie chcę i nie mogę rezygnować z

tego przywileju. – Odetchnęłam głęboko. – Ja wiem, to jest czyste wyrachowanie. Czuję się z tym fatalnie, jak zakłamana hipokrytka! Ale mając dwójkę dzieci na utrzymaniu, nie mogę sobie pozwolić na moralne dylematy. Muszę twardo stąpać po ziemi, bo inaczej naprawdę wyładuję w przytułku – zakończyłam zmęczona.

– Dobrze, przepraszam – odezwała się Pola cicho po dłuższej chwili. – Dalej myślę własnymi kategoriami.

– W porządku. Chciałam, żebyś wiedziała. Dobrze, że ten temat wyszedł. – Uspokoiliam się.

– Wiesz, że cokolwiek zrobisz, zawsze będę cię wspierać. A co do pieniędzy, może źle go oceniamy? W końcu pierwszej żonie, bezdzietnej, zostawił z własnej woli duże mieszkanie. Nie potraktuje chyba gorzej ciebie, matki jego dwójki dzieci?

Mając już wdrukowaną w głowę decyzję o rozwodzie, wciąż zachowywałam się jak zaobrączkowana „póki śmierć nas nie rozłączy” żona. Jak typowa ofiara przemocy, którą bardziej niż chęć uwolnienia się od swojego prześladowcy trzyma przy życiu wiara, że ten się w końcu zmieni. I wciąż miewałam chwiejne odczucia.

Momentami łudziłam się: kupujemy dom, więc może jednak się mylę? Może jego absurdalnymi decyzjami kieruje odpowiedzialność za rodzinę? Może mi skąpi, by mieć dla chłopców? Pewnie całkiem ładna sumka uzbierała się z tego, co oszczędził przez lata. Dodatek na mnie, dzieci, część jego pensji.

Może po to były te lata wyrzeczeń? Nie potrafił zadbać o nasze potrzeby emocjonalne, może chciał chociaż zapewnić nam byt? Może jeszcze się zmieni?

I wtedy sprowadzało mnie na ziemię któreś z nieodległych wspomnień: kochanka z przyjęcia, gwałt, gabinet doktor Luizy. I znów modliłam się, żeby rozum do końca mnie nie opuścił. Żeby nie wracały do mnie złudne wizje jego totalnej przemiany, w których rzuca mi się do stóp, prosząc o wybaczenie, przeprasząc za gwałt na duszy i na ciele. Za każdy dzień, który mi zabrał. Za to, że nie był wystarczająco dobrym mężem i kochającym ojcem. A ja, mając na względzie dobro dzieci, daję mu kolejną szansę. I on już nigdy nie jest taki, jak wcześniej. I żyjemy długo i szczęśliwie.

Tylko dlaczego w takim razie wciąż tak często jeździ na te swoje aukcje i wyzywa mnie od brudnych dziwek? Przecież czasu na totalną przemianę ma coraz mniej!

Planował kupno dużego domu, który miał być dowodem jego wysokiego statusu społecznego, byłam więc przekonana, że w takim razie przez te pięć lat sporo udało się nam zaoszczędzić. Bo jeśli nie dostaję i nie wydaję pieniędzy, to coś tam na tym naszym koncie jest. O nic jednak nie pytałam, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Znaleźliśmy w końcu w internecie bardzo ładny, wykończony dom. Trzysta pięćdziesiąt metrów z basenem, ogrodem, sauną. Ogród, jak na miasto, duży, tysiąc pięćset metrów, iglasty starodrzew. Piękny. Spodobał nam się tak bardzo, że wczesną wiosną specjalnie poleciliśmy go obejrzeć.

W rzeczywistości zrobił na nas jeszcze lepsze wrażenie niż na zdjęciach. Zdecydowanie okazał się niż nasza włoska „rezydencja”. Kształtna, kwadratowa działka, obok domu przybudówka dla gości. Istny raj. Trzy kondygnacje w klasycznej bryle o jasnej elewacji. Centralne wejście główne, duże, dwuskrzydłowe okna i poczwórne drzwi prowadzące na dwa tarasy – jeden przy basenie, drugi schowany między drzewami. Szeroki podjazd z okrągłym, lekko zieleniejącym się klombem pośrodku. Elegancko, ale z umiarem i zachowaniem proporcji. Wiedziałam, że nie przylecieliśmy na darmo. A gdy weszliśmy do środka, zachwyił mnie jeszcze bardziej.

Mahoniowa stolarka wewnętrzna utrzymana była w tym samym stylu co okna i pięknie kontrastowała z jasnymi ścianami. Część podłóg kamienna, pozostałe z egzotycznego drewna. Przestronne, ale nieprzytłaczające ogromem pomieszczenia części dziennej. Mocno zaakcentowane marmurowe schody z kutą balustradą, prowadzące na drugą kondygnację.

– Właściciele – małżeństwo – rozwiedli się już ponad dwa lata temu – tłumaczył nam łysawy, okrągły pośrednik opiekujący się posiadłością. – Ale wciąż nie mogą podzielić majątku.

– Jakiś problem prawny? – zapytał Wiktor.

– Nie, nie. Raczej, hm, jakby to ująć... czynnik ludzki. Wie pan, jak to jest przy rozwodach. Najpierw ludzie się kochają, a potem najchętniej obdarliby siebie nawzajem z ostatniej koszuli. – Puścił porozumiewawcze oko.

– Aha, rozumiem. – Wiktor nie podjął dowcipu.

– Właśnie, więc właściciel dzieli majątek ze starą żoną, a

mieszka w tym domu już z nową. Jeśli trzeba będzie, mogą zwolnić nieruchomość w ciągu miesiąca. Chodźmy do środka, czekają na nas.

Nowa żona była faktycznie nowa. Na pewno młodsza ode mnie. W pierwszej chwili, przez swoje długie, szczupłe kończyny, opięte czymś, co na pewno było supermodnym, lateksowym strojem, skojarzyła mi się z plastikowym manekinem w sklepowej witrynie. Dopiero gdy uśmiechnęła się szeroko na nasz widok, przekonałam się, że mam do czynienia z żywą istotą.

Mąż był starszy od niej minimum piętnaście lat i sprawiał wrażenie mocno podtatusiałego. Mierzył obsesyjnie co chwilę przerzedzone na czubku głowy włosy, jakby chciał zatrzeć dowody na silny dysonans wieku i wyglądu pomiędzy nim a jego młodą żoną.

Za to dom był najmłodszy z nich wszystkich – został zbudowany niecałe pięć lat temu.

Pośrednik oprowadził nas po salonie, jadalni, kuchni, gabinecie, potem po czterech sypialniach i pokoju gościnnym. Pokazał trzy małe łazienki i jeden ogromny pokój kąpielowy. Widać było, że budynek wykończono w bardzo wysokim standardzie i z dużą dbałością o detale. Nawet sauna, pomieszczenia gospodarcze czy pralnia, w której ze zdziwieniem odkryłam szyb na brudną bieliznę, sprawiały wrażenie dopieszczonych w każdym szczególe.

Jak cudownie można by żyć w tym domu. Ile radości dałby on chłopcom – pomyślałam. Ale nie cieszy już właścicieli? Biedni, nie mogą podzielić majątku? O, to my im pomożemy ten majątek

podzielić i kupimy ich dom.

Zdecydowaliśmy. Okazja doskonała – trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro. Co to dla nas!

Wieczorem zaczęliśmy rozmowę o konkretach. Siedzieliśmy w hotelowym pokoju na kanapie, chłopcy bawili się na podłodze samochodami, a my jakby nigdy nic planowaliśmy nasze dalsze życie. Przykładna, kochająca się rodzina.

– Słuchaj, a ile my możemy zapłacić za ten dom? – spytałam w końcu.

– Zapłacić musimy za niego wszystko – odpowiedział wymijająco.

– Tak, to wiem. Chodziło mi o to, ile mamy pieniędzy – poprawiłam się.

– No, tak około pięćdziesięciu tysięcy euro – odpowiedział.

– Pięćdziesiąt tysięcy? – Cienko jakoś. Przez te pięć lat mało się nazbierało. No, w sumie cztery, ale mimo wszystko. Liczyłam i liczyłam w myślach, i wychodziło mi, że miesięcznie odkładał niewiele ponad tysiąc euro.

To gdzie są te nasze oszczędności?! – zastanawiałam się zaniepokojona.

– Weźmiemy kredyt – powiedział. – Już rozmawiałem z moim kolegą z banku, da nam dobry kredyt.

– A my możemy wziąć taki kredyt? Przecież to kupa pieniędzy.
– Miałam wątpliwości.

I zaraz przypomniały mi się słowa Poli sprzed paru tygodni, żebym nie wchodziła z nim w żadne kredyty ani wspólne zobowiązania. Uprzedzała mnie: „Jak chce – niech bierze sam.

Będzie ci łatwiej, bo zawsze możesz powiedzieć, że ty o niczym nie wiedziałaś”.

– Przecież ci mówię, że rozmawiałem z kolegą od kredytów. Wyliczył mi, że rata będzie na poziomie czterystu euro – mówił zupełnie spokojnie. – Nie bój się, moja kolekcja jest warta tyle, co ten dom, więc jak coś, to sprzedamy kolekcję.

Tyle co taki dom? Nie wiedziałam, czy to faktycznie możliwe, żeby kilka starych map miało taką wartość, ale skoro tak mówi, to tłumaczy przynajmniej, gdzie podziały się nasze pieniądze.

No dobrze. Bierzemy. Z pełnym umeblowaniem.

Pozwoliliśmy jeszcze staremu właścicielowi pomieszkać ze swoją nową żoną w naszym już domu przez cztery miesiące, zaoszczędzając tym samym na kosztach jego utrzymania, i staliśmy się rodziną z dobrymi rokowaniami, chociaż intuicja podpowiadała mi, że długo w pięknym domu razem nie pomieszkamy.

Dwunastego czerwca, święto narodowe Rosji z okazji Dnia Niepodległości miało być naszym, a przynajmniej moim ostatnim oficjalnym przyjęciem w Rzymie. Rosjanie zorganizowali je z rozmachem. Tym razem wynajęli na ten cel dziewiętnastowieczny, neoklasycystyczny pałacyk Villa Miani, uczepiony pokrytego hektarami angielskiego trawnika wzgórza. Miejsce absolutnie wyjątkowe i niepowtarzalne, przede wszystkim ze względu na spektakularny widok na panoramę Rzymu.

Nie byłam w stanie nawet w przybliżeniu oszacować, ile mogła kosztować gospodarzy ta impreza. Wiedziałam jedynie, że zaproszonych zostało na nią ponad czterysta osób! Tatiana, rosyjska ambasadorowa, z którą miałam bardzo dobry kontakt, zwierzyła mi się z tego. Z żalem obstawiała, że dotrze pewnie tylko połowa. Przeczuwałam jednak, że mimo to i tak będzie to jeden z największych dyplomatycznych bankietów.

Podczas swojego ostatniego spotkania w tym środowisku postanowiłam przeprowadzić swego rodzaju eksperyment. Tym bardziej, że jechałam sama. Wiktor był w delegacji na Sycylii, skąd wracał dopiero wieczorem, więc na przyjęcie miał dojechać spóźniony prosto z lotniska. Ostrożnie szacowałam, że daje mi to ponad dwie godziny bez jego kontroli.

Do testu, który obmyśliłam, przygotowałam się starannie już kilka dni wcześniej. Wybrałam na tę okazję zieloną garsonkę, przysланą mi z Polski przez matkę. Marynarka miała może zbyt grzeczny, klasyczny fason, a spódnica była trochę przydługa, ale kostium, dzięki temu, że szyty na wymiar przez krawcową, świetnie podkreślał moją figurę. No i ten kolor! Zawsze uważałam, że dobrze mi w nasyconej, głębokiej zieleni. Tym bardziej teraz, kiedy moja skóra nabrała południowej, oliwkowej opalenizny.

Gdy włożyłam olimpijskie – jak je nazywałam – szpilki, moja sylwetka wystrzeliła w górę, nabrała proporcji i lekkości. W lustrze przywitała mnie zgrabna elegantka. Uwieńczeniem stroju miał być mój najlepszy wizytowy kapelusz, z ręcznie formowaną główką i szerokim, lekko falującym rondem, które rzucało skośne

cienie na moją twarz. Pierwszy raz od dłuższego czasu znowu włożyłam kapelusz i poczułam dzięki temu zmysłową wręcz przyjemność. Nie mogłam się wprost napatrzeć na swoje odbicie i ogromnie się sobie podobałam w tej szykownej wersji.

Wieziona przez kierowcę Wiktora dyplomatyczną limuzyną, miałam w sobie taką pewność siebie i spokój, jak jeszcze nigdy przedtem. Przeświadczenie, że dobrze wyglądam, podbudowało moje ego, a fakt, że Wiktora nie było przy mnie, sprawiał, że czułam się rozluźniona.

W takim też nastroju, z podniesioną głową i mimowolnym uśmiechem na ustach witałam się z rosyjskim ambasadorem i jego żoną. Zauważyłam, że Tatiana mierzyła mnie wzrokiem od samych drzwi, aż w końcu nie wytrzymała.

– Ewa, co się stało? Jesteś jakaś inna – spytała prawie szeptem.

– Naprawdę? – Udałam, że nie wiem, o co jej chodzi. – Może to przez ten kapelusz?

– Nie, to nie kapelusz. Masz taki inny wyraz twarzy...

Z tym wyrazem twarzy, schodząc powoli po schodach do olbrzymiej sali bankietowej, wiedziałam, jaki ma być dalej scenariusz. Poszukam na tym przyjęciu najprzystojniejszego mężczyznę i przetestuję, czy jestem w stanie go sobą zainteresować. Taki był cel mojego planu.

Zanim doszłam do końca schodów, dostrzegłam wysokiego, śniadego bruneta, rozmawiającego z grupką kobiet. Przyglądałam mu się przez chwilę. Mimo poważnego, czarnego garnituru w połączeniu z białą koszulą biła od niego zaskakująca, trudna do opisu swoboda, objawiająca się

choćby tym, jak odgarniał spadające na czoło włosy czy gestykulował w czasie rozmowy. Uśmiechnięty, czarujący.

Tak, to będzie on – pomyślałam.

Z kieliszkiem powitalnego szampana krążyłam powoli, witając się ze znajomymi. Nie przystawałam jednak z nikim na dłużej, niby szukając Wiktora, a w rzeczywistości śledząc z daleka mojego wybranka, jak przemieszczał się w towarzystwie kobiet, nie zatrzymując się na dłużej przy żadnej z nich. Ze swoją egzotyczną urodą i rzucającą się w oczy nonszalancją nie wyglądał mi na męża którejś z dyplomatek. Po kilkunastu minutach byłam już prawie pewna, że jest bez osoby towarzyszącej.

Wypiłam drinka, porozmawiałam z jedną koleżanką, drugą, ale skupiona byłam tylko na tym, aby nie stracić go z pola widzenia.

Raz zniknął wśród tłumu i niespokojnie szukałam go wzrokiem. Wreszcie zobaczyłam go w grupie kobiet, wśród których stała Lana, słoweńska ambasador, z którą znałyśmy się bardzo dobrze z Klubu Kobiet. Nie czekałam więc ani chwili i podeszłam niespiesznie wprost do niej, aby się przywitać.

Uściskałyśmy się serdecznie, choć z żalem, że to nasze pewnie ostatnie spotkanie, po czym przedstawiłam się pozostałym dwóm paniom i mojemu brunetowi. Nawet nie dosłyszałam, jak ma na imię, ale za to odrobinę przydługo trzymałam jego rękę w powitalnym uścisku, patrząc mu jednocześnie bezczelnie w oczy.

Zapytał, czy jestem dyplomatką. Odpowiedziałam, że bynajmniej. Zapytałam o to samo jego. Odpowiedział, że Boże

broń! Roześmialiśmy się serdecznie z naszych angielskich – w pełnym tego słowa znaczeniu – dowcipów, nie spuszczać z siebie wzroku. Ta rozmowa trwała może dwie minuty, po czym powiedziałam, że szalenie miło było mi go poznać i odeszłam w kierunku baru. Idąc, wcale nie czułam jego wzroku na sobie i zganiałam się w duchu za zbyt pewne przekonanie, że pobiegnie za mną. Postawiłam jednak wszystko na jedną kartę.

U młodego barmana chciałam zamówić coś lekkiego do picia, ale ten tak zachwalał rodzime, rosyjskie trunki, że dałam mu się namówić na Belugę, podobno najbardziej luksusową wódkę pochodzącą aż z Syberii.

A, co tam – pomyślałam. Wiktora nie ma, zaszaleję.

– Czy pani ambasadorowej wypada tak siedzieć samej przy barze? – usłyszałam za plecami.

Przyszedł.

– Przecież nie jestem sama. Mam już towarzystwo – usłyszałam swój zalotny głos.

– Moje towarzystwo? – Ucieszyła go wyraźnie taka odpowiedź.

– No cóż, faktycznie. Pomyślałem, że może warto naszej znajomości nie kończyć na tak obiecującym początku – odpowiedział z uśmiechem. – Pani tak szybko się pożegnała.

– Zostawiłam pana w dobrych rękach.

– A ja jednak wolę inne.

– Pochlebia mi pan.

– To taka narodowa naleciałość. Zna pani takie arabskie powiedzenie? Czterem osobom należy schlebiać do końca: władcy, kobiecie, dziecku i choremu.

– Ciekawe, nie słyszałam. Specjalizuje się pan w arabskich mądrościach?

– Znam ich więcej. To co, mogę wypić drinka w pani towarzystwie? Może jeszcze panią czymś zainteresuję?

Bawiła mnie ta sytuacja. Facet wyraźnie ze mną flirtował. W końcu o to chodziło. Zdałam test śpiewająco. Zastanawiałam się tylko, co dalej, bo nie planowałam przecież dalszego ciągu. Spojrzałam dyskretnie na zegarek. Dochodziła siódma, a więc miałam jeszcze ponad godzinę.

– Więc proszę mi coś powiedzieć o sobie.

– A co chciałaby pani wiedzieć?

Wszystko – miałam ochotę odpowiedzieć. Patrzyłam na niego z przyjemnością. Był taki przystojny z tymi swoimi czarnymi, przyśnieżnobiałej koszuli, oczami. A jak zmysłowo pachniał!

Chyba trochę młodszy ode mnie. A może nie?

Spojrzałam na jego ręce, szukając obrączki, ale znalazłam tylko złoty sygnet. Za to palce... Wyobraziłam sobie dotyk jego dłoni.

– Jest pan żonaty? – wyrwało mi się.

– Żonaty? – To pytanie zdziwiło go nieco. – Nie, nie mam rodziny. Przy moim trybie życia to byłoby niemożliwe.

– Tak, a czym się pan zajmuje? – spytałam przytomnie.

– Pracuję w firmie inwestującej w nieruchomości. Trochę też budujemy, głównie budynki komercyjne. Mamy już dobre wyniki w Azji i powoli wchodzimy na rynek europejski. Dużo więc jeżdżę po świecie. Ostatnie kilka lat spędziłem w Grecji, a teraz jestem w Rzymie, bo rozkręcamy rynek włoski. Obiecująco to wszystko wygląda i pewnie nieprędko wrócę do Dubaju.

- Jest pan z Emiratów? – spytałam zdziwiona.
- Tak. Zaskoczona?
- Zaskoczona? Nie. Tylko... to dość egzotyczne.
- Już się bałam, że ma pani jakieś uprzedzenia, jakby to ująć, hm..., kulturowe.
- Ależ skąd! Jak pan mógł tak pomyśleć? Dla mnie po prostu Emiraty są w pewnym sensie bardzo odległe. Może dlatego, że nigdy tam nie byłam.
- To czas najwyższy nadrobić zaległości. A pani, zdaje się, przyjechała z Łotwy? Dla mnie to równie egzotyczne miejsce, jak dla pani mój kraj.
- Dokładnie mówiąc, to przyjechałam z Polski. Jestem z pochodzenia Polką, to mąż jest Łotyszem.
- Naprawdę? Czyli Polka wyszła za mąż za Łotysza i przyjechała za nim do Włoch? Ma pani szczęście do obcokrajowców. – Uśmiechnął się figlarnie.
- No nie wiem – powiedziałam z powątpiewaniem w głosie.
- Wspomnienie Wiktora mocno mnie otrzeźwiło i postanowiłam kończyć powoli swój przyjemny eksperyment.
- Bardzo miło rozmawia mi się z panem, ale tym razem naprawdę będę musiała się pożegnać. Mąż lada chwila dotrze na przyjęcie, więc sam pan rozumie, obowiązki żony dyplomaty wzywają. – Uśmiechnęłam się przeprasząco.
- Oczywiście, że rozumiem. – Zrobił smutną minę. – Mąż to mąż. Ale skoro tak dobrze nam się rozmawiało, może warto, żebyśmy wymienili się wizytówkami? Chociażby w imię budowania dobrych kontaktów polsko-arabskich.

– Rozczaruję pana. Nie mam przy sobie wizytówki. – Skłamałam, bo nie miałam w ogóle.

– Nie szkodzi, proszę się dopisać na mojej – odpowiedział niezrażony.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął srebrny wizytownik w kształcie otwieranej zapalniczki i smukłymi palcami wyciągnął dwa kartoniki, które podał mi bez słowa razem z długopisem. To, co przeczytałam na wizytówce, zaskoczyło mnie ogromnie: Rami jakiś tam, *co-owner*. Popatrzyłam znów na niego. Siedział rozluźniony z tym samym przyjaznym uśmiechem.

Fajny jesteś, naprawdę – pomyślałam, patrząc na niego, i dlatego nie powinnam ci wpisać dobrego numeru.

– Tylko proszę się nie pomylić z numerem telefonu, pani ambasadorowo. – Czytał w moich myślach. – Bardzo chciałbym mieć jeszcze tę przyjemność i napić się kawy w pani towarzystwie.

– Ja też bardzo bym chciała. – Rozbroił mnie zupełnie.

Napisałam czytelnie drukowanymi literami swoje imię i już byłam przy nazwisku, gdy dosłownie przy moim ramieniu stanęła kobieta w ciemnożółtej sukni do samej ziemi, głośno rozmawiając z kimś po hiszpańsku.

Ten kolor tak mnie uderzył, że przerwałam pisanie. Odwróciłam głowę i przyglądałam się plisowanemu szyfonowi jej spódnicy. Był żółty jak żółte...

Cholera, jak mogłam się tak zagalopować. Zupełnie mi odbiło. Zapomniałam, czyją jestem żoną i z kim mam dzieci!

Wróciłam do pisania, dokończyłam panięskie nazwisko i

numer telefonu, w którym bez wahania ósemki pozamieniałam na zera.

– Było mi ogromnie miło, Rami, że mogłam pana poznać. – Wstałam i wyciągnęłam do niego rękę.

Podał mi swoją i patrzył na mnie poważnie przez chwilę, po czym powiedział:

– I mnie było miło. Muszę sobie panią dobrze zapamiętać, na wypadek gdybyśmy się prędko nie spotkali, ambasadorowo. Ale kiedyś przyjadę budować wam wieżowce w Polsce, może być pani pewna.

– Trzymam pana za słowo.

Żałowałam, że nie mogę przedłużyć tych chwil. Pożegnałam się już prawie ze swoją kobiecością, tymczasem udało mi się wzbudzić zainteresowanie takiego mężczyzny! Adorował mnie nie jakiś tam byle chłopek, ale przystojny, zamożny biznesmen, którego to ja wybrałam sobie z tłumu. Rozmawiałam z nim jak atrakcyjna, uwodzicielska kobieta i tak właśnie się czułam! Autentycznie udało mi się go zaintrygować, żeby potem po prostu dać mu kosza.

Jednak nie mogło stać się inaczej. Nie szukałam przecież partnera do romansu czy kolejnego związku, tylko potwierdzenia swojej wartości. Wiele oddałabym, by powtórzyć to spotkanie, ale miałam świadomość, że w mojej obecnej sytuacji nie mogłam pozwolić sobie na nic więcej. Gdyby mój mąż się dowiedział...

To, co wyniosłam z tego doświadczenia, warte było jednak ryzyka. Zdałam sobie sprawę, że do tej pory szukałam

potwierdzenia swojej wartości u innych, szczególnie u matki i u Wiktora. Tymczasem uświadomiłam sobie, że ważne jest tylko to, jak ja postrzegam samą siebie.

Nie mogę liczyć na uznanie czy podziw innych, jeśli nie mam go sama dla siebie. Kierunek jest jeden: z wewnątrz na zewnątrz. To ja muszę unieść głowę do góry, aby inni zobaczyli, że mam ją dumnie podniesioną.

Tym razem miałam i to dlatego za mną, nie za żadną z kobiet wdzięczących się nachalnie do niego, ten człowiek wodził smętnie oczami.

Nie mogłam się powstrzymać i jeszcze przez kilka dni po przyjęciu u Tatiany pozwalałam sobie na nie takie znowu niewinne fantazje, jak to Rami dzwoni i idziemy na kawę, na kolację, a kończymy na wspólnym śniadaniu. Jednak im bliżej było naszego wyjazdu, tym bardziej wspomnienie przystojnego Araba się zacierało.

Akredytacja kończyła nam się w lipcu. Czekala nas przeprowadzka. Mieliśmy do zabrania z placówki komplet mebli do jadalni i salonu oraz dodatkowo wszystkie rzeczy, których nazbierało się trochę przez pięć lat. Wyjeżdżaliśmy jako para, a wracaliśmy z nadbagażem w postaci dwójki dzieci. Ich dobytek był prawie dwa razy większy od naszego! Zabawki, rowery i mnóstwo innych drobiazgów.

Transport mógł się odbyć na koszt Ministerstwa Spraw Zagranicznych – mieliśmy prawo do zwrotu jego kosztów. Na

miesiąc przed wyjazdem Wiktor biegał z centymetrem, mierzył i liczył, jaki samochód będzie nam potrzebny.

– Ty nic nie mierz, tylko zamawiaj od razu wielkiego tira! – rzuciłam mu w końcu, bo na oko było widać, że w nic innego się nie zabierzemy.

– Wyliczyłem, że wystarczy nam mikrobus z MSZ – odpowiedział.

– Zastanów się, co ty mówisz! Popatrz, ile tego jest! – Puściły mi nerwy. – Ja jestem tylko filologiem i nie muszę z tym centymetrem chodzić, żeby wiedzieć, że się nie zmieścimy!

– Zamknij się w końcu! Wyliczyłem, że spokojnie się wszystko w mikrobusie zmieści! – I dalej mierzył, a mnie w hipermarketach pudła do przeprowadzki kazał zbierać, bo mimo że mieliśmy w pakiecie obsługę pakowania, chciał zaoszczędzić na kosztach. Przynajmniej taką wersję oficjalną mi sprzedał. – Nie masz co robić, to zorganizujesz sobie pudła i będziesz pakować! – mówił. – Chyba że chcesz coś na śmietniku zostawić?

Nie miałam wątpliwości, że zostawi wszystko to, czego nie spakuję.

Na nic się zdały moje tłumaczenia. Zamówił mikrobus, a gdy ten przyjechał, zapytałam czterech mężczyzn w granatowych kombinezonach roboczych, którzy z niego wysiedli i przyszli po rzeczy:

– Panowie, a wy macie stalowe nerwy?

– Stalowe? Pani ambasadorowo – rozbawiło ich to wyraźnie – czego my w życiu nie widzieliśmy!

– No, myślę jednak, że tego, co zobaczycie, jednak nie

widzieliście i długo nie zapomnicie!

Weszliśmy do salonu. Popatrzyli na ustawione tam pudła i zachnęli się.

– O, nie, spokojnie się z tym zapakujemy, pani ambasadorowo. Nie ma się pani co martwić.

– To jest tylko jeden pokój, a ja mam cztery takie...

– Pani chyba żartuje?

– Nie, wcale.

Kłęli na czym świat stoi przez najbliższe dwa dni, a do mikrobusu weszła i tak tylko połowa naszego dobytku. Na drugą trzeba było zamówić kolejny transport, za który musieliśmy już sami zapłacić, bo ministerstwo zwracało tylko za jeden. Gdy potem wypominałam, że coś mu się w życiu nie udało, bo z tą przeprowadzką nie poszło najlepiej, odpowiadał, że tak właśnie zaplanował.

Kiedy przyjechaliśmy do naszego pięknego domu w willowej dzielnicy Rygi, czułam się tak, jakbym po raz kolejny wyjechała na placówkę dyplomatyczną. Znałam miasto, kraj i ludzi – nie liczyłam nawet, ile razy odwiedziłam już Łotwę – ale miałam świadomość, że przyjechałam tu z kolejną misją i tym razem niedyplomatyczną.

Chłopcy – pięcioletni już prawie – byli zachwyceni nowym miejscem. Biegali jak szaleni po domu, dwa razy większym od tego, do którego przywykli. Dostali do dyspozycji dwa pokoje. Jednym była ogromna bawialnia, mieszcząca bez problemu ich

zestawy klocków, tory kolejowe, samoloty, samochody, książki i pluszaki. Drugi pokój miał posłużyć im za sypialnię.

Dwa oddzielne łóżka dla Maksa i Leona były jednymi z pierwszych mebli, jakie kupił do domu ich ojciec.

– Jesteście już na tyle duzi, że nie musicie spać z mamą – oświadczył, pokazując im ich pokój. – To jest od dziś wasza i tylko wasza sypialnia, a jak mama będzie próbowała się do niej zakradać, to macie ją od razu wygonić. – Mrugnął porozumiewawczo do dzieci, choć po ich reakcji widziałam, że nie bardzo rozumieją, co tata ma na myśli.

Wygonić? Byli przerażeni na samą myśl o tym, że odtąd mają sypiać sami. Moja obecność w nocy była dla nich oczywista. Gdy wybudzali się na zmianę, szukali mnie po omacku, tulili i dopiero wtedy byli w stanie z powrotem zasnąć. Nie wiedzieli kompletnie, o co chodzi z tym spaniem bez mamy.

Decyzja sama w sobie była dobra. Wiedziałam, że spanie w trójkę nie powinno trwać wiecznie. Byli coraz starsi, a w nieskończoność nie mogłam zapewniać im poczucia bezpieczeństwa w ten sposób. Niestety, gdy ojciec postraszył ich w święta, że chce ich zostawić tak samo jak jego, przeżyli szok. Nie mogli o tym zapomnieć. Każdej nocy sprawdzali, czy jeszcze jestem.

Chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że to dobry moment na nowe porządki, przeczuwałam, że Maks i Leon wcale nie są na nie gotowi.

Wiedziałam, że Wiktorowi chodziło nie tylko o odcięcie pępowiny. Miałam przestać w końcu ukrywać się za fasadą

nadopiekuńczej matki i wrócić do małżeńskiej sypialni, tam, gdzie moje miejsce. Nie po to, by zaspokoić jego potrzeby, ale by przypomnieć sobie o swojej najważniejszej roli – roli żony.

Miałam gdzieś jego oczekiwania i od razu po przeprowadzce zajęłam pokój obok sypialni chłopców. Udał zdziwionego.

– Jak to? Mam rozumieć, że już na dobre opuszczasz naszą sypialnię?

– Proszę cię, daruj sobie. Od dawna nie sypiamy ze sobą. Nic się nie zmieniło, więc czego oczekujesz? – spytałam podniesionym tonem.

– Że wrócisz tam, gdzie twoje miejsce. O ile pamiętam, jesteśmy jeszcze małżeństwem, prawda? – Bawił się ze mną.

– Jesteśmy. Doskonale o tym pamiętam. Pamiętam też w detalach nasze ostatnie zbliżenie. Przypomnieć ci? – Wyprowadził mnie z równowagi.

– Nie musisz. Pamiętam wszystko. Każdy mężczyzna zrobiłby to samo, gdyby jego oziębła żona robiła uniki – odpowiedział cynicznie.

– Aha, czyli to ja byłam winna tej całej sytuacji? Sama się prosiłam, żebyś mnie zgwałcił? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– O czym ty mówisz? Przecież to była zwykła małżeńska powinność i tyle.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wciąż robiło mi się słabo na wspomnienie tamtej nocy. Rzuciłam więc tylko:

– Wiesz co, dajmy sobie lepiej spokój. Idę do dzieci.

– Idź, idź. A do sypialni wrócisz, jeszcze wrócisz – powiedział, potakując głową z uśmiechem.

Nie nalegał jednak. Nie spaliśmy ze sobą od ponad dwóch lat, od gwałtu, nie było więc o czym mówić. Na tym etapie seks z nim był poza moimi wyobrażeniami i wzdrygałam się na samą myśl o tym.

Co do spania chłopców beze mnie... Życie samo zweryfikowało jego plany, a moje obawy. Już pierwszej nocy nie mogli sami zasnąć i wychodzili z pokoju osiemnaście razy w ciągu dwóch godzin. Ojciec prosił, zanosił, a w końcu zaciągał z powrotem. Ja tłumaczyłam, próbowałam się przebić przez ich płacz i jego krzyk.

Nie tak to sobie wyobrażał. Jego scenariusz diabli wzięli. Jego decyzyjność zawiodła, a autorytet nie zadziałał.

– Oni wyją w nieskończoność, bo wychowałeś ich na dwie rozwrzeszczane baby, które nawet zasnąć same nie potrafią! Co to jest, do cholery?! Wy wszyscy jesteście nienormalni! – grzmiał.
– Ale ja jeszcze zrobię z tym porządek! Zabieraj tych mazgajów! Daj im cyca! Niech tylko przestaną w końcu wyć!

Spaliśmy więc dalej we trójkę, a on nie próbował już ich odzwyczaić, tylko wypominał mi ze złością ten stan rzeczy. Im dłużej go słuchałam, tym dobitniej docierało do mnie, jak bardzo myliłam się przez lata w swoich oczekiwaniach.

Wtedy, gdy tak strasznie potrzebowałam, by mnie doceniał, wydawało mi się, że dzięki bezgranicznemu oddaniu dzieciom zasłużę sobie na jego szacunek. To poświęcenie się macierzyństwu było dla mnie naturalne, eksplorowałam pokłady uczuć dotychczas mi nieznanych i znajdowałam spełnienie. Chciałam, by to widział, bo wydawało mi się, że skoro tak bardzo

potrzebował potomstwa, to był jedyny sposób, by wkupić się w jego łaski. Miałam jednak namacalny dowód, że moje oddanie dzieciom, to koło ratunkowe dla naszych relacji, on potraktował ni mniej, ni więcej jak zwyczajną zdradę.

Noce zostały po staremu, ale dla dni nieodwołalnie nastał nowy porządek. Maks i Leon zapisani zostali do przedszkola. Jeszcze przed powrotem powiedział, że gdy tylko wrócimy, znajdzie dla nich odpowiednie przedszkole. Muszą być bardziej samodzielni i nauczyć się funkcjonować bez matki.

Słowa o funkcjonowaniu bez matki przeraziły mnie.

Co chciał przez to powiedzieć? Czy jednak planuje zrobić TO, czego tak bardzo się bałam? Jak mogłam o TYM zapomnieć? Przecież wiedziałam, jak groźny potrafi być.

Sam pomysł z przedszkolem podobał mi się bardzo. Chłopcy powinni w końcu mieć kolegów, spotykać się z rówieśnikami. Przez specyfikę naszego życia mieli do tej pory ograniczony kontakt z innymi dziećmi. Obawiałam się trochę, jak zareagują na rozstania ze mną, chociaż nigdy nie robili problemów, gdy jeszcze z Magdą, a potem panią Danusią zostawali sami na kilka godzin. Zakładałam, że wcześniej czy później przywykną i obejdzie się może bez takiej hysterii, w jaką popadli przy akcji z samodzielnym zasypianiem.

Wybrał przedszkole i wynosił rano pod pachą płaczących synów, ale doczekaliśmy się oboje, że w trzecim tygodniu chłopcy wychodzili już bez krzyku na ustach i pogodzili się z faktem, że część swojego czasu spędzają właśnie tam.

To sprawiło, że mogłam zająć się szukaniem pracy. Chodziłam

wszędzie: do agencji i biur pośrednictwa, i bezpośrednio do firm, w których widziałam możliwość zatrudnienia. Bez rezultatu.

Moja szanse na rynku pracy były marne i nie wiązało się to bynajmniej z barierą językową, bo jako tłumaczka przysięgła języka łotewskiego znałam go doskonale. Miałam skończone studia lingwistyczne i dość duże doświadczenie zawodowe, ale niestety, sporą przerwę w zatrudnieniu.

Kiedy na spotkaniach tłumaczyłam, że byłam na placówce dyplomatycznej, nie raz widziałam u swoich rozmówców konsternację.

– Ach, więc ambasadorowa... Ale pani chce czy pani musi pracować? Chce pani. A nie stanie się tak, że wyjedzie pani za granicę na kolejną placówkę? Zakłada pani, że nie. I do tego dwójka małych dzieci? Nie? No małych, proszę pani, pięcioletnich przecież. Tak naprawdę, proszę pani, nie wiemy... No naprawdę nie wiemy...

I tak ciągle. Kiedy nagle okazywało się, że oto siedzi była pani ambasadorowa, która jest chętna wykonywać pracę nawet poniżej swoich kwalifikacji, pojawiały się ni stąd, ni zowąd obiekcje lub niespójność kwalifikacji z wymogami stanowiska. To byłam za mało doświadczona, to za bardzo, to za stara, to za młoda. Zawsze coś.

Powielalam stereotyp żony dyplomaty, która wyrwana ze środowiska zawodowego i bez zabezpieczonego etatu, miała mierne szanse, żeby cokolwiek znaleźć po powrocie z misji. Znałam niejedną historię świetnie wykształconej kobiety, która stanęła przed koniecznością wyboru i zostawiła swoją karierę

zawodową ze świadomością, że nie będzie miała do czego wracać. Znałam też historie mężczyzn nominowanych dyplomatek, którzy na misji występowali tylko jako mężowie swoich żon, więc powroty dla nich były jeszcze bardziej bolesne.

Współmałżonkowie dyptomatów i ich rodziny w przeważającej większości towarzyszyli swoim partnerom, w pojedynkę lub z dziećmi, bo skazywanie rodziny na kilkuletnią rozłąkę nikomu nie służyło. Próbowali odnaleźć się w nowej rzeczywistości, traktując to jak wyzwanie i szansę na nowe doświadczenia. Po powrocie liczyli się z tym, że trzeba będzie na nowo budować swoją pozycję, szukać dla siebie miejsca na rynku pracy i wpasować od nowa dzieci w miejscowy system edukacji, tak różny na ogół od tego, do którego przywykły. Z powodu tych zawiłości specyfika środowiska dyplomacyjnego miała swój niechlubny wskaźnik rozwodów i my też mieliśmy o niego zadbać.

Po pierwszych tygodniach poszukiwań moja sytuacja wyglądała kiepsko. Najbardziej mógłby pomóc Wiktor, miał przecież znajomości, ale on obsesyjnie wręcz nie chciał, żebym pracowała. Miał dom, a w nim potrzebował żony, co w jego optyce oznaczało tylko „kobietę organizującą mu prozę życia”. Chciał skarpetek w tym samym kolorze czekających na niego zawsze obok łóżka. Bielizny, która lądowała gotowa w łazience zawsze, gdy brał prysznic, bo nie lubił szukać jej w szufladach garderoby. Miały być pod ręką, gotowe do użycia. Tak jak żona – zawsze pod ręką, też gotowa.

Mierziło mnie to dbanie o niego jak o trzecie dziecko, ale nie

chciałam się zwyczajnie wstydzić za niego przed ludźmi. Oficjalnie był wciąż moim mężem – czułam się odpowiedzialna za jego wygląd, więc wciąż podsuwałam mu majtki i skarpety.

Napomknął mi wprost, że ze względów prestiżowych nie poprosi nikogo o protekcję dla mnie. Był ambasadorem – byłym, ale przecież na pewno i przyszłym. Jakby to miało świadczyć o nim jako głowie rodziny? Jego żona musi pracować? Kreował swoją pozycję – częścią tej kreacji była już rezydencja na kredyt. Robiła wrażenie na wszystkich, którzy ją oglądali. Była jego najlepszą wizytówką. Miałam być dopełnieniem domu, a szukając pracy, zaburzałam jego koncepcję. Poza tym dopóki nie pracowałam, nie zarabiałam. Byłam zdana na jego łaskę, mógł jeszcze próbować wymuszać moją uległość. Praca dałaby mi własne pieniądze i możliwość uniezależnienia się od niego. Oboje mieliśmy świadomość tego układu, dlatego z tego samego względu, z którego on zniechęcał mnie do podjęcia pracy, ja jej desperacko szukałam.

– Co ty tak naprawdę umiesz? – drwił. – Trzy języki i tyle. Już nawet nie wiesz, jak to jest do pracy chodzić. – Naśmiewał się.

– Nie wiem? Zapomniałeś już, że kiedyś pracowałam zawodowo – odpowiadałam. – Radziłam sobie z delegacjami, konferencjami, całą posługą protokolarną. To mało?

– To była praca? Jakieś przekładanie papierów? – szydził. – Takich kobiet jak ty, młodszych, lepiej wykształconych i w dodatku bezdzietnych są tysiące!

– Praca jak każda inna. Podobno radziłam sobie świetnie. Pamiętasz, chwaliłeś mnie w konsulacie. – Puściłam mimo uszu

uwagę o młodszej konkurencji.

– Sama wiesz, że to były takie tam...

– Co „takie tam”?

– No takie... umizgi. Musiałem jakoś cię obłaskawić.

– Tak, żeby mnie do ślubu przekonać. Pamiętam – powiedziałam z goryczą.

– Nikt cię nie zmuszał, prawda? – Pochwycił w lot mój tok rozumowania. – Zdaje się, że byłaś dorosła i sama chciałaś za mnie wyjść.

– Skończmy już lepiej...

– Jak to? Sama zaczęłaś!

– Nie o tym zaczęłam. Nie widzę sensu ciągnąć tej rozmowy.

– Jasne. Nie ciągnijmy. Bo jeszcze okaże się, że po prostu byłaś już wtedy taką wyrachowaną dziwką, która wymyśliła sobie życie na mój koszt!

Budynek wyglądał imponująco. Wielkie plastry kamienia w kolorze jasnego beżu oblepiały go na wysokości trzech kondygnacji. Na parterze ustępowały miejsca szerokim, szklanym taflom, przez które widać było rozświetlone wnętrza, pełne szklanych półek i lad. Zatrzymałam się przed wejściem niepewnie. Nie spodziewałam się, że siedziba rodzinnej firmy ekokosmetyków Navinska Cosmetics jest aż tak okazała. Nie odrobiłam pracy domowej, a wystarczyło poszukać w internecie.

Parter, wypełniony szczelnie witrynami eksponującymi blad różowe pudełka, przeznaczony był dla klientek. Biuro

mieściło się na pierwszym piętrze. Czekaając na spotkanie, raz jeszcze przejrzałam zakres obowiązków z ogłoszenia o pracę. Praca biurowa, trochę tłumaczeń technicznych na angielski, obsługa targów, korespondencja handlowa. Zawodowo i kompetencyjnie wszystko pasowało, tylko znów padło pytanie o zagraniczny pobyt.

– To był pobyt zawodowy? – Starsza ode mnie na oko o ładnych kilka lat brunetka spoglądała z ciekawością.

Ma podobne spojrzenie do Poli – pomyślałam w pierwszej chwili. W ogóle są do siebie podobne. Mogłabym dla niej pracować.

– Niezupełnie. To zbiegło się z urodzeniem moich synów. Taki dłuższy urlop wychowawczy – odpowiedziałam enigmatycznie.

– W dość odległym miejscu... – Nie zamierzała łatwo odpuścić.

– Tak. Rzeczywiście. – Nabrałam powietrza, oparłam łokcie na stole i przechylając się lekko w jej stronę, postanowiłam zagrać va bank. – Będę z panią szczerą. Bardzo szczerą. Ten wyjazd to pobyt na placówce dyplomatycznej, gdzie mój mąż pełnił funkcję ambasadora.

– A więc pani nazwisko mogło mi się wydać znajome?

– Mogło. Jego nominacja już wygasła, niedawno wróciliśmy. Nie czuję się stabilnie, hm, jakby to powiedzieć, będąc zależna finansowo od niego, więc zwyczajnie potrzebuję pracy.

Bez słowa patrzyłyśmy sobie w oczy. Moje „potrzebuję” wystarczyło, żebyśmy się zrozumiały.

– Pani Irmino, jeżeli z powodów merytorycznych nie pasuję na to stanowisko, nie ma o czym mówić. Proszę tylko, żeby

potraktowała mnie pani bez kontekstu dyplomatycznego, bo jak się pani przekona, nie ma on żadnego związku z moimi umiejętnościami zawodowymi. Bardzo zależy mi na tej pracy, mam za sobą lata doświadczeń jako tłumacz i jestem przekonana, że poradzę sobie w pani firmie. – Nie spuszczałyśmy z siebie wzroku. – Przyznam też szczerze, że etykieta ambasadorowej, która się za mną ciągnie, bardzo mi doskwiera.

Czułam się dziwnie, bo pierwszy raz, szukając pracy, pozwoliłam sobie na tak daleko posuniętą szczerłość. Jednak po raz kolejny nie miałam już nic do stracenia.

Kobieta wciąż patrzyła na mnie uważnie.

– I jeszcze jedno. Niezależnie od wyniku naszego spotkania proszę panią o dyskrecję – dodałam.

Irmina Navinska wstała i wyciągnęła do mnie rękę.

– Myślę, że będzie nam się dobrze pracowało. Witam w firmie. I gwarantuję pani pełną dyskrecję – powiedziała.

Mój mąż miał świętą rację, że nie wiem, jak to jest wychodzić do pracy. Powrócić do pracy po tak długiej przerwie to jedno, ale powrócić do pracy po takiej przerwie, mając na głowie dwójkę małych dzieci i wszystkie domowe obowiązki, to dopiero wyzwanie. W dodatku wiedziałam, że on w niczym nie ułatwi mi tego stanu rzeczy.

Przez pierwszy tydzień spałam po trzy godziny. Nie dałam rady rozciągnąć doby, więc gdzieś musiałam upchnąć robienie rzeczy, na które do tej pory miałam dość czasu. Najgorsze było

dobudzenie dzieci i ubranie takich rozmazgajonych. Pół godziny pracy nad każdym z osobna, żeby raczyli chociaż wypić po dwa łyki ciepłego kakao, zanim ich ojciec rzuci krótkie „Wychodzimy”. Czekać nie chciał. Kilka razy przekonaliśmy się o tym, a potem jechaliśmy autobusem spóźnieni: oni na przedszkolne śniadanie, ja do swojej pracy. Miałam w niej udowodnić, że moja sytuacja rodzinna nie zakłóci wykonywania obowiązków zawodowych. Takie zrobiłam założenie. Chłodny profesjonalizm, bez cienia rodzinnych naleciałości.

Ale jak, siedząc nad tłumaczeniem, nie robić mentalnych wycieczek, kiedy Maks pokasłuje rano przy wyjściu, a Leon drugi dzień narzeka na ból brzucha? Ile priorytetów może mieć matka?

Po pracy przedszkole, sklep, dom, gotowanie, zabawa z dziećmi, sprzątanie, prasowanie w nocy. Rytm milionów kobiet.

Ale opłacało się przez to wszystko przejść.

W dniu pierwszej wypłaty poczułam, że mogę góry przenosić. To było coś niesamowitego! Miałam własne konto, własne pieniądze! Cieszyłam się jak dziecko – skakałam i płakałam z radości. Tego dnia urządziłam w domu dla chłopców trzyosobowe przyjęcie, na którym jedliśmy słodczyce i wariowaliśmy jak szaleni. Niewiele rozumieli, dlaczego tak się z nimi wygłupiam i zachowuję się jak kosmitka, jak to określił Maks, ale cieszyli się, że mama w końcu się uśmiecha.

Poczułam się silna, wartościowa i najważniejsze: samodzielna. Przez lata jako ambasadorowa nie dostawałam kompletnie nic i nagle wpłynęła na moje konto całkiem przyzwoita pensja! Moje

pieniądze. Moje własne. Zarobione. Nie zapewnią nam luksusu, ale przy odpowiedniej dyscyplinie pozwolą mi utrzymać dzieci i siebie, a może nawet odkładać – planowałam.

Całe życie oszczędzałam. W rodzinie nazywana byłam nawet „skarbonką”. Nie dlatego, że byłam skąpa. Bynajmniej. Kupowałam dla bliskich prezenty, opłacałam kursy, latałam na wakacje, ale byłam bardzo oszczędna. Wydając pieniądze, zawsze zastanawiałam się: warto czy nie? Lubiłam kupować rzeczy dobrej jakości, ale nigdy bardzo drogie i nieczęsto. Byłam przekonana, że taką skarbonką pozostanę już na zawsze. Tymczasem kilka dni po wypłacie zrobiłam coś, co mnie samą totalnie zaskoczyło.

Wracałam wtedy z pracy i wstąpiłam do jednej z galerii, bo potrzebowałam zimowych butów. Wchodząc, czułam się jak królowa, mimo że budżet, który przeznaczyłam na zakup, wcale nie był królewski. Miałam świadomość, że cokolwiek posiadłam, muszę gospodarować tym oszczędnie. Jednocześnie cieszyłam się, że cokolwiek kupię, nie będę musiała się z tego tłumaczyć. I to było piękne!

Weszłam do sklepu sieci Salamandra, bo na jednej z reklam widziałam ich klasyczne, brązowe kozaki i zakochałam się w nich. Buty faktycznie były piękne. Stały na podświetlanej półce w centralnej części sklepu. Fason dla mnie: nie za wysoka cholewka, która dobrze opinała łydkę, i lekkie rozcięcie z małą gumką. Miękka, błyszcząca skóra. Po prostu idealne. Tylko niestety drogie.

Poszukam gdzie indziej i na pewno znajdę coś podobnego –

pomyślałam. Obeszłam pozostałe sklepy w galerii, ale nie natrafiłam na nic, co by mi się spodobało. Pewnie dlatego wróciłam do sklepu Salamandra, prosto do drogich, skórzanych kozaków. Założyłam je i już wiedziałam, że trudno, kupię je bez względu na cenę. Szłam z nimi do kasy, gdy nagle zauważyłam, że obok inna klientka mierzy czarne botki na szpilce. Nie nosiłam nigdy butów na obcasie, bo zawsze za szybko chodziłam. Jedynym wyjątkiem były szpilki kupione przed olimpiadą z Lubicą. Czarne botki spodobały mi się jednak tak bardzo, że powiedziałam wprost do sprzedawczyni:

– Mam problem. Sama nie wiem, które wybrać. Podobają mi się i kozaki, i botki.

Zupełnie siebie nie poznawałam, a mój racjonalizm gdzieś się zapodział.

– Wie pani – odpowiedziała ekspedientka z niepewnym uśmiechem – one są tak diametralnie różne, że nawet nie wiem, co pani doradzić.

– A jeśli wezmę dwie pary? – zapytałam. – Czy dostanę rabat?

– A ma pani kartę stałego klienta?

– Proszę pani – odparłam z lekkim rozbawieniem, że ktoś posądza mnie o regularne wizyty w takim sklepie – ja tu przyszłam pierwszy i niestety pewnie ostatni raz, więc raczej nie ma mowy o karcie stałego klienta. Jestem tu po prostu po te – wskazałam na kozaki – buty, a czarne chciałabym, bo ta pani je mierzy. Tak ładnie wyglądają, że szkoda mi ich nie kupić.

– Ja mam kartę stałego klienta – włączyła się niespodziewanie do rozmowy kobieta od botków – i chętnie ją pani dam.

– Naprawdę? – Nie mogłam uwierzyć, że to zaproponowała, i rozpromieniłam się.

– Jasne, kupimy je z rabatem na mnie – odpowiedziała ze śmiechem.

Kupiłam dwie pary butów, wykorzystując jej kartę, i w rewanżu zaprosiłam na kawę i ciasto.

– Ja panią skądś znam – powiedziała moja nowa znajoma.

– Nie, to raczej niemożliwe – odpowiedziałam.

– Ja panią na pewno skądś znam – upierała się. – Tylko muszę przypomnieć sobie skąd.

Starła się usilnie, a ja tymczasem złożyłam dla nas zamówienie. Potem, jak to się często zdarza pomiędzy osobami, które raz w życiu los zetknął ze sobą, by już nigdy więcej się nie spotkały, wymieniłyśmy się swoimi życiowymi zakrętami.

– Wiem już! – Strzeliła nagle palcami, jakby doznała w końcu olśnienia. – Widziałam w gazecie pani zdjęcie z olimpiady w Rzymie!

– Naprawdę? – spytałam zaskoczona i pomyślałam, czy nie było to może zdjęcie ze srebrnym bentleyem.

– Tak, teraz jestem pewna – pani była naszą ambasadorką!

Te dwie pary butów były kolejnym przełomem w moich dotychczasowych nawykach. Kolejna zmiana, która we mnie zaszła. Postanowiłam, że od tej pory będę gospodarowała budżetem tak, aby raz w miesiącu móc sobie pozwolić na jakiś ekskluzywny zakup.

Rok ostatni

Teraz wszystko się zmieni! – pomyślałam z zacięciem, gdy na moje konto wpłynęły pierwsze pieniądze. Ja mu pokażę! Teraz mam go gdzieś! Jeszcze się przekona! – odgrażałam się.

I na tym koniec.

Łatwo podjąć decyzję o zmianie w mało ważnej sprawie. Zwłaszcza gdy nie ma ona przełożenia na nikogo innego. Gdy przyszło mi zdecydować nie tylko o sobie, ale również o synach, ryzykując dodatkowo dorobkiem całego życia, najzwyczajniej w świecie przestraszyłam się konsekwencji. W praktyce nie było to bowiem takie proste. Szkolona latami metodą kija i marchewki czułam, jakbym miała zwichniętą psychikę.

W głowie poukładałam już sobie wszystko: kim byłam wcześniej, kim stałam się przy nim i ile kosztowało mnie, aby z powrotem odbudować poczucie swojej wartości. Zrobiłam bilans zysków i strat związku, w którym tkwiłam. Byłam w stanie przewidzieć, co czeka mnie przy obecnym stanie rzeczy w ciągu następnych pięciu czy dwudziestu lat. Wreszcie ile zyskały, a ile

straciły w tym wszystkim dzieci.

Odwlekałam jednak decyzję z tygodnia na tydzień, mimo że już kilkakrotnie przecież mówiłam sobie, że to koniec. Ja, niedawna portowa panienska, a teraz przyzwoicie wynagradzana tłumaczka jednego dnia planowałam, jak go pokonam, a drugiego poranka podtykałam mu czyste skarpetki.

– Nie, ja tego nie mogę pojąć! Przecież jesteś wolna, możesz odejść – powiedziała mi kiedyś moja „panieńska” przyjaciółka Wanda. – A może ty po prostu nie chcesz go zostawić, bo jesteś zwyczajną konformistką? Przyznaj się, przywykłaś do luksusu i jest ci z tym wygodnie, tak?

– O czym ty mówisz? – Zaskoczyła mnie tą oceną.

– Może jednak chcesz być ambasadorową mimo wszystko? – Zostawiła mnie na chwilę z tym pytaniem, a potem dodała: – Ewa, ty wiesz, że ja zawsze jestem z tobą szczerą. Jak pomyślę, co z tym typem przeszłaś i jak cię dalej traktuje, to aż wierzyć mi się nie chce, że dalej tkwisz po uszy w tym gównie!

– To nie jest takie proste, Wanda. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale tu nie chodzi tylko o mnie.

– No właśnie! Masz jeszcze dzieci!

– No właśnie! – powtórzyłam za nią, a nasza rozmowa wyraźnie nabierała rozpędu.

– Chcesz mi powiedzieć, że dla nich to robisz? – zapytała Wanda z niedowierzaniem. – Dajesz mu się dalej poniżać, byle tylko miały basen, ogród i pokoje pełne zabawek?

– No co ty?! Pewnie, że nie! Chociaż faktem jest, że muszę myśleć też o ich potrzebach.

– No tak, Maks i Leon mogą nie spać po nocach, bo ich ojciec zastrasza, ale najważniejsze, żeby mieszkali w pałacu i chodzili do elitarnej szkoły – ciągnęła dalej. – Na pewno będą szczęśliwi!

– Wanda! – Wiedziałam, że specjalnie mnie prowokuje. – Ty nic nie rozumiesz! Jasne, że szkoda mi pozbawiać ich wygodnej przyszłości. Szkoda mi, każda matka mnie zrozumie. Oczywiście, że widzę: im też dzieje się krzywda. Wiem, że muszę coś zrobić – teraz ja przeszłam do ofensywy – tylko... – Zawahałam się. – Ty go nie znasz. Nie wiesz, do czego jest zdolny. Jemu wolno rzucać obrączką, krzyczeć, że się ze mną rozwodzi i straszyć chłopców. Ja co najwyżej mogę po cichu knuć, żalić się tobie i Poli, rozumiesz? Nie wyobrażam sobie nawet jego reakcji, gdybym to ja pierwsza poszła do sądu. Zniszczy mnie. Nie mogę działać pochopnie!

– Ale na co czekasz?

– Nie wiem, ale musi się coś wydarzyć.

Od tamtej pamiętnej nocy nie sypialiśmy ze sobą w ogóle. Nie brakowało mi tego – seks kojarzył mi się tylko z nim, nie miałam więc za czym tęsknić. Swoją niezaspokojoną potrzebę czułości odkładałam na przyszłość, a tymczasem wszystkie uczucia przelewałam na dzieci.

On nie odkładał. Oficjalnie wiedziałam o jednej kochance, tej z bankietów w Rzymie. Nieoficjalnie o tych wszystkich, które mi się ukazały w sterylnym gabinecie doktor Luizy. Tam przejrzałam na oczy. Pogodziłam się też z faktami: zawsze miał kochanki i prowadził podwójne życie. W Rzymie, w czasie wyjazdów służbowych, miał wiele okazji. To, że nie obchodziło

go, czy się dowiem, nie dziwiło mnie. Nie liczył się ze mną. Nie rozumiałam tylko, dlaczego nie dbał o reputację, wizerunek swój i kraju, który reprezentował. Nie bał się komentarzy w środowisku, a fakt, że prowadził się z kochanką po przyjęciach, świadczył o jednym: myślał tylko o sobie.

Latał wciąż regularnie do Szwajcarii. Domyślałam się, że nie tylko po mapy.

– Przecież od dawna wiem, po co tam latasz. – Nie bałam się skomentować, gdy pierwszy raz po powrocie z placówki leciał „na aukcję”.

– Tak? – Mimo całej swojej bezczelności był zaskoczony tym, co usłyszał. – A po co?

– Jak to? Masz tam kochankę. Od początku naszego małżeństwa do niej latasz. – Ta rozmowa wkręciła mnie. – Wiem, kim jest. Opisać ci ją? – Blefowałam.

– Tak. Tylko najpierw udowodnij, że to moja kochanka. – Był sprytniejszy, niż mi się wydawało.

– No tak... Nawet gdybym pokazała ci zdjęcia, łąłybyś w żywe oczy. – Nie wiem sama, jak miałam odwagę to mówić. – I gdym miała wasze sekstaśmy, szedłbyś w zaparte, że to fotomontaż!

– Tobie naprawdę odbiło! Ja cię ostrzegam, że w końcu TYM się skończy! – krzyczał wyprowadzony z równowagi. – Ty chyba naprawdę jesteś wariatką!

Biorąc pod uwagę jego dotychczasowe prowadzenie, byłam pewna, że musi się jakoś zaspokajać i zacznie mnie znowu zdradzać, nie tylko na wyjazdach. Nie wytrzyma i wcześniej czy później zacznie znowu chodzić na baby. Nie łudziłam się, że

będzie się kontrolował, i właśnie na to czekałam.

Niech wróci do swoich nawyków, niech mnie zdradza. Niech da mi do ręki namacalny dowód, że nie jestem szalona, chcąc się z nim rozwieść.

Potrzebowałam dowieść w sądzie, że to on jest winny porażki naszego małżeństwa. Musiałam być na to perfekcyjnie przygotowana, bo ryzykowałam wszystkim, co dla mnie ważne.

Piątek wieczorem, ostry dźwięk stacjonarnego telefonu.

– Cześć, Ewa. Gdzie Wiktor? – usłyszałam w słuchawce niski głos Edgarsa.

– Wiesz co... – Musiałam otrząsnąć się z szoku, bo chyba pierwszy raz w życiu rozmawiałam z nim przez telefon. – Pojechał w delegację do Brukseli i miał dzisiaj wrócić. – A potem zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samej dodałam: – Ale chyba będzie wracał do domu bardzo okreśną drogą. Zdaje mi się, że ma coś u kogoś do załatwienia, więc nie wiem, kiedy będzie. – Staralam się zażartować.

Szósty zmysł, intuicja podpowiadały mi, że to już. Nie miałam jeszcze żadnych konkretnych podejrzeń, a mimo to czułam, że już ma kolejną kochankę.

Mój żart dla brata mojego męża był znakiem, że wiem o romansie. Widocznie trwał już tak długo, że on też o nim wiedział. Musiał zdać relację z naszej rozmowy Wiktorowi, bo gdy następnego dnia wieczorem ten „lekko” spóźniony wrócił z delegacji do domu, od progu głośno powiedział do mnie:

– Musimy porozmawiać.

Wkładałam akurat naczynia do zmywarki i na dźwięk jego głosu nie trafiłam ostrzem noża w wąską, plastikową przegródkę koszyka na sztućce. W kuchni rozległ się przenikliwy, metaliczny dźwięk. Wyciągnęłam nóż spod dolnego kosza i nie wypuszczając go z ręki, odwróciłam się w jego stronę.

Zobaczyłam walizkę odstawioną w holu, a potem jego, jeszcze w butach i w rozpiętym płaszczu.

– Musimy porozmawiać – powtórzył z naciskiem.

– Słyszę. – Oparłam się o blat kuchenny z nożem w ręce. – Mów.

– Pewnie już wiesz – mam kobietę.

Starałam się nie zareagować.

– Mam kobietę. Skróciłem delegację o jeden dzień i właśnie wróciliśmy razem znad morza. – Patrzył, jak zareaguję.

Czułam, jak ręka zaciska mi się na wąskiej rękojeści noża.

– Dlaczego myślisz, że wiem? Skąd miałabym wiedzieć? – wydusiłam z siebie.

– Nie mam pojęcia skąd. Edgars mówił, że wiesz. Zresztą nie dbam o to, wszyscy już wiedzą. Zabrałem ją kilka razy ze sobą na przyjęcia. Myślałem, że ktoś ci już doniósł.

– Co?! – Nie mieściło mi się to w głowie. – Prowadzasz się z nią?! I jesteś na tyle bezczelny, że mi o tym tak po prostu mówisz?! – krzyknęłam.

– Nie żyjemy ze sobą! – huknął. – Nie sypiamy! W ogóle nie prowadzimy wspólnego życia! Czego chcesz? Żebym złożył śluby czystości?!

– Dobrze wiesz, dlaczego tak żyjemy! Jesteś despotą i draniem!
– Wyrzuciłam ze złością nóż do zlewu.

– No, licz się ze słowami! Jestem twoim mężem. Jeszcze. A ty w dalszym ciągu moją oficjalną żoną. Ale wiesz co, to ona będzie kobietą, z którą będę żył, uprawiał seks, jadł, wychodził. Żył, po prostu żył!

Wyszedł z kuchni w stronę salonu. Stałam przez chwilę skołowana, a potem poszłam za nim.

– I co teraz masz zamiar zrobić? – zapytałam ostro.

– Nic – odpowiedział spokojnie rozparty w fotelu.

Pisał wiadomość na telefonie i nawet na mnie nie spojrział.

– Jak to nic?! – krzyknęłam.

Skończył pisać, schował aparat, popatrzył na mnie i uśmiechnął się lekko.

– Ja nic. A ty co chcesz zrobić? – Podparł ręką podbródek i nadal uśmiechając się, patrzył na mnie wyzywająco.

Obserwował skutki eksperymentu na żywym organizmie, który właśnie przeprowadzał. O, jak ja go nienawidziłam!

– Ja ci mogę tylko pogratulować! – odpowiedziałam z szyderstwem.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem. – Pewnie ci się to nie bardzo podoba?

– Wiesz, bezczelny jesteś, naprawdę. Po prostu zachowujesz się jak ostatnia świnia – powiedziałam z odrazą.

Widziałam, że bawiło go to, jak się miotam. Nie chciałam dać mu satysfakcji, że to on jest reżyserem tego przedstawienia. Zebrałam więc resztki sił i powiedziałam rzeczowo:

– Rozwiedziemy się. Nie widzę innego wyjścia niż rozwód.

– Jasne. Rozwód. To życzę powodzenia, bo mnie rozwód niepotrzebny – rzucił z ironią, wstał z fotela i skierował się na górę. Odwrócił się jeszcze w połowie drogi i dodał: – W takim razie, jeśli ci się uda, to się rozwiedziemy. W sądzie. A teraz pomyśl sobie jeszcze nad tym wszystkim, a ja idę spać. – I poszedł na górę.

Podeszłam do okna i wpatrywałam się beznamiętnie w ciemne zarysy bukszpanu, odpierające podmuchy coraz silniejszego wiatru. Oczy suche, w głowie żadnego przebłysku myśli. Po jednej stronie szyby ja, nieruchoma kukła – po drugiej czeluść ogrodu.

Stopniowo zaczęły do mnie docierać odgłosy dobiegające z łazienki na górze, potem jego kroki w holu, a po kilkunastu minutach głośnie chrapanie dobiegające z sypialni przez niedomknięte drzwi. Dominował nad domem nawet wtedy, gdy spał.

Był środek nocy. Całe szczęście chłopcy spali spokojnie. Wiatr na dworze zawodził jak w dniu naszego ślubu. Nie miałam po co iść do łóżka – wiedziałam, że nie zasnę. Dudniły mi w uszach jego słowa i miałam go przed oczami, jak siedzi rozwalony w fotelu, upokarzając mnie z satysfakcją.

Siedziałam w poświęceni księżycu na sofie w salonie, na tyle długo, że stopy mi zupełnie zlodowaciały. Nie zdziwiłam się wcale, że ma kochankę. Obrzydliwe było, że powiedział mi o niej

wprost. To, czego się dowiedziałam, nie zaskoczyło mnie, chociaż do tej pory znajdowało się tylko w sferze moich przypuszczeń. Teraz, gdy sam nazwał rzeczy po imieniu, gdy ta kobieta była realna, zaciążyło mi to porządnie. Nie dlatego, że mnie zranił. Dlatego że z drwiną wypowiedział mi się, jednocześnie sugerując, że nie ułatwi mi rozstania. Jego ostatnie słowa sprawiły, że cała się trzęsłam.

„Jak ci się uda, to się rozwiedziemy”. Odebrałam je jak wyzwanie.

Co będzie w takim razie ze mną, co z dziećmi? Dzieci. O nie, nie oddam ich jemu i jego kochance!

Poczułam impuls, żeby działać. Wstałam i na zeszywniałych palcach wspięłam się po schodach na górę. Chyba nie byłam w pełni przytomna na umyśle, kiedy weszłam do „naszej” sypialni po jego telefon. Gdyby mnie na tym przyłapał, w najlepszym wypadku oberwałabym porządnie.

Aparat leżał rzucony na nocny stolik, obok krawata, pary brudnych skarpet i zużytej chusteczki do nosa. Rytmiczne chrapanie uspokoiło mnie. Spał jak zabity. No tak, po męczącym weekendzie...

Jak złodziej zabrałam telefon z szafki i zeszłam na dół do łazienki.

Pocziwy BlackBerry z łatwą w obsłudze klawiaturą QWERTY. Nacisnęłam „odblokuj”... i poszło! Żadnego zabezpieczenia.

Wiadomości wysłane:

„Wszystko jej powiedziałem. Dobranoc, skarbie!”.

Nieźle!

A potem starsze wiadomości.

„Będę za dwadzieścia minut. Przygotuj się na porządne bzykanko...”.

No nie, on używa takich słów?

„Mam spotkanie, ale potem rozprawię się z twoją clitoris”.

Co?! On w ogóle o czymś takim wie?

Czytałam dalej i coraz bardziej zaskakiwała mnie ta korespondencja mojego – jeszcze przecież – męża. Nigdy bym nie pomyślała, że z niego taki erotoman. A tu proszę: pikantne esemesy, seksualne fantazje przez telefon. Coś takiego! Zupełnie go nie znałam.

Potem weszłam w jeszcze starsze wiadomości, w których znalazłam potwierdzenie moich dotychczasowych przypuszczeń. Regularnie latał do Zurychu oddawać się nie tylko swojemu hobby, ale też niejkiej Julii. Wyglądało na to, że była jego stałą kochanką na odległość przez te wszystkie lata. Czy to możliwe, żeby ze względu na tę jedną kobietę wyprawiał się regularnie w swoje podróże? Intrygowało mnie, kim była ta, na której zależało mu do tego stopnia. Czy znał ją jeszcze przed ślubem ze mną? Dlaczego nie ożenił się z nią? Nigdy jej nie poznałam, chociaż zdałam sobie sprawę, że chyba nawet miałam szansę. Przypomniałam sobie bowiem, jak bardzo nalegał, żebyśmy polecili w krótką podróż poślubną do Szwajcarii!

Gdy minął mi pierwszy szok, skopiowałam wszystkie dwieście trzydzieści cztery wiadomości i przesłałam na swój telefon. Tak właśnie zrobiłam. A potem – choć to naprawdę nie powinno się udać – z telefonu włamałam się też na jego skrzynkę mailową.

Tam znalazłam kilka wiadomości od tej kobiety. Były bardziej powściągliwe niż te w telefonie, ale wynikało z nich, że ewidentnie umawiają się na randki. Bałam się jednak przesłać je na swoją skrzynkę – zauważyłby. Wątpliwości nie miałam już żadnych.

Na drugi dzień, zanim jeszcze wrócił z pracy, przejrzałam kieszenie marynarek, płaszczy i spodni. Nigdy tego nie robiłam, ale teraz było teraz, a nie nigdy. I co się okazało? Znajdowałam w nich bilety do kina, do teatru, rachunki z kwiaciarni.

Dlaczego upychał to wszystko po kieszeniach? Przecież wiedział, że to ja oddaję rzeczy do pralni. Chciał, żebym zauważyła? Chociaż przy jego bałaganiarstwie możliwe, że po prostu nie zadbał, żeby je wyrzucić.

Potwierdziły się moje przypuszczenia i jego zeznania. Zastanawiałam się tylko, jak mogę rozegrać z korzyścią dla siebie tę całą sytuację. Przeglądałam wszystkie znalezione dowody i dalej mi było mało. To nie wystarczyło, żeby cokolwiek udowodnić w sądzie. Musiałam mieć niezbity, nie do obalenia dowód na to, że on jest już z kimś i że to z jego powodu rozpadło się nasze małżeństwo. Nie po to, by wnosić o rozwód z orzeczeniem winy. Tego nie brałam nawet pod uwagę. Ale po to, żeby mnie nie zniszczył w sądzie i żeby zdążyć przeprowadzić rozwód przed jego kolejnym wyjazdem. Wiedziałam bowiem, że za rok, najdalej za dwa lata znowu wyjedzie. Rozwód pod jego nieobecność ciągnąłby się jak smarki. Nie przyjeżdżałby na rozprawy i każdy sąd taką nieobecność ambasadora z „ważnych przyczyn wagi państwowej” usprawiedliwiłby od ręki.

Wiedziałam to. Dla niego nie stanowiło to żadnej różnicy, czy jest rozwiedziony, czy nie. Dla mnie – o być albo nie być. A raczej żyć albo nie.

W ciągu dwóch dni wiedziałam wszystko. Głównie dzięki znajomym z polskiego konsulatu, gdzie sprawa jego romansu była już dawno głośna.

– A ty znowu dowiadujesz się ostatnia! – Marcin śmiał się ze mnie. – Oj, Ewa, rzuć w końcu w cholerę tego gościa i wracaj do nas.

Kochanka była sporo starsza ode mnie, mało atrakcyjna i w dodatku alkoholiczka. Pani dyrektor Muzeum Narodowego. Gdzie się poznali, nie miałam pojęcia, ale spotykali się już prawie pół roku. Widywano ich razem na mieście, w restauracjach, no i na oficjalnych spotkaniach, na które czasem ją zabierał.

Szanowna Redakcjo!

W imieniu pracowników Muzeum Narodowego w Rydze chciałbym poinformować o nadużyciach, do jakich dochodzi za sprawą fatalnych praktyk naszej dyrektor. To, czego dopuszcza się ona na państwowej posadzie, jest wysoce naganne i nieuczciwe.

Zauważyliśmy, że traktuje swoje obowiązki w bardzo lekceważący sposób. Zdarzają się jej kilkudniowe nieobecności w ciągu tygodnia. Dociera do pracy w godzinach popołudniowych. Nie podejmuje działań, decyzji, ignoruje pracowników, lekceważy delegacje zagraniczne. Nie kieruje placówką, ale ją ośmiesza!

Dodatkowo sposób jej prowadzenia się, a wiadomo powszechnie o jej romansach, naraża muzeum na straty. Niejednokrotnie już

wymuszała księgowanie prywatnych wydatków jako koszty muzeum.

Ponieważ nie widzimy możliwości rozwiązania tej przykrej sytuacji, sugerujemy zajęcie się sprawą. Jako przedstawiciele wolnych mediów przyjrzyjcie się temu karygodnemu marnotrawieniu publicznych pieniędzy.

Z poważaniem

Pracownicy Muzeum Narodowego

Taki donos wysłałam jako rzekomy pracownik muzeum do najpoczytniejszego łotewskiego dziennika „Diena”. Gdy go pisałam, nie miałam żadnych konkretów. Wiedziałam tylko, że są razem. Że ona często z nim wyjeżdża i nie przychodzi do pracy. Napuściłam dziennikarzy na panią dyrektor i jej romanse, nie na niego, choć oczywiście po to, by go z nią połączyli.

Minął jednak tydzień, drugi i trzeci, a nic się nie wydarzyło. Czas płynął i uznałam, że donos umarł śmiercią naturalną. Bardzo mnie to przygnębiło i zdałam sobie sprawę, że muszę szukać na niego innego haka.

Potrzebowałam poukładać sobie wszystko, więc pierwszy raz zostawiłam samych chłopców na trochę u moich rodziców. Matka wiedziała o wszystkim, co się dzieje, a ojciec, jak zwykle, chociaż się domyślał, o nic wprost nie zapytał. Mąż-nie-mąż miał powiedziane, że wywożę dzieci przed ospą wietrzną, która panuje w przedszkolu. Sam nie przechodził, więc nawet się ucieszył, że „chłopaki nie przywloką do domu tego świństwa”.

Poleciał zresztą zaraz na kilka dni na konferencję do Barcelony, a ja wróciłam do Rygi i zostałam na tydzień sama w pustym domu, z ogromem myśli i obaw. Co robić, co robić?!

Cudowne rozwiązanie nie nadeszło. Dni mijały, nie poukładałam sobie niczego i zanim się obejrzałam, musiałam już jechać do Warszawy odebrać Maksa i Leona.

Było dobrze po dwudziestej, kiedy dotarłam do rodziców. Od progu doleciał mnie jak zwykle zapach pasty do podłóg. Gdzie matka kupowała ją w czasach, kiedy na rynku królowały nowoczesne preparaty – nie miałam pojęcia. Już mnie to nie dotyczyło. Był to problem pani Grażynki, która raz w tygodniu przychodziła na sprzątanie.

– Mama, mama! – Maks wybiegł do przedpokoju i rzucił się na mnie, wbijając mi koła od wojskowej terenówki w szyję.

– Maksiu! Nawet nie wiesz, jak się stęskniłam! – Ścisnęłam go, przesuwając koła na łopatkę. – A gdzie Leon?

– W kiblu! – wykrzyknął Maks, żeby brat usłyszał.

– Mamo, powiedz mu coś! – krzyknął zza drzwi toalety Leon.

– No już, spokojnie. Cały tydzień tak walczyliście? – spytałam Maksa i spojrzałam na matkę.

– No, lekko nie było... – odpowiedziała.

Faktycznie, wyglądała na zmęczoną. Ogarnęła mnie wdzięczność dla niej i może nawet przytuliłabym ją w tej chwili, ale zadzwonił stacjonarny telefon.

– Kto to może być? – powiedziała do siebie i żywym krokiem ruszyła odebrać.

– Tak... tak... – docierały do mnie z dużego pokoju strzępki

rozmowy. – Zaraz poproszę. – Ewa, to do ciebie. – Podala mi telefon, konspiracyjnie zakrywajac mikrofon. – Z gazety.

Zdebialam.

Z gazety? Z jakiej gazety? W Warszawie?

– Dobry wieczór, pani ambasadorowo. Girts Jansons, dziennik „Diena” – uslyszalam mlody głos. – Miesiac temu otrzymalismy anonimowa informacje dotyczaca obecnej dyrektor Muzeum Narodowego. – Dziennikarz szybko przeszedl do meritum. – Sprawa ma w pewnym stopniu charakter skandalu obyczajowego i sadzimy na podstawie dowodow, ze dotyczy rowniez pani meza. – Zawiesil głos, czekajac na moja reakcje.

– Co chce pan przez to powiedziec? – zapytalam, bo musialam dac sobie chwile, aby troche ochlonac.

– Zapytam inaczej. Czy zna pani te kobiete?

– Nie, nie znam.

– Czy ma pani moze podejrzenia, ze w jakis sposob związana jest z pani mezem? – zapytal wprost.

Cholera. Przeciez o to mi chodzilo. Po to byl ten caly donos. Potrzebuje dowodow. Niech sie rozniesie, niech pisza.

– Pani ambasadorowo...?

– Tak, jestem. Czy mam podejrzenia? Ja jestem pewna, ze moj maz ma z nia romans. Ale to panstwo juz tez pewnie wiecie?

– Nie zaprzecze – uslyszalam po drugiej stronie. – Chociaz nie mamy jeszcze zadnych zdjec.

– Proszę pana, pan ambasador jutro wieczorem wraca z konferencji w Barcelonie. Domyslam sie, ze ta pani przyjedzie po niego na lotnisko. Zawsze go tam spotyka, wiec mysle, ze tym

razem też tam będzie.

Dziennikarze pojechali na lotnisko i spotkali go tam w momencie, gdy ona po niego przyjechała. Najpierw fotografowali kochanków czule witających się w hali przylotów, następnie pojechali za jego samochodem. Gdy zaparkował pod osiedlowym blokiem, zrobili parę ujęć, jak wysiada z nią z auta, po czym wchodzi razem do klatki schodowej. Odczekali pół godziny i zadzwonili na jego telefon, prosząc o komentarz do całej sprawy.

Był zaskoczony. Powiedział, że nie wie, o co chodzi. Wrócił właśnie z konferencji i jest w swoim domu.

– Panie ambasadorze – dziennikarz nie ustępował – rozmawiam z panem z samochodu zaparkowanego za pana autem, z którego pan pół godziny temu wysiadł. Podać panu adres?

Gdy jeden fotoreporter robił im późnym wieczorem zdjęcia, drugi następnego dnia rano fotografował mnie z dziećmi na spacerze w Polsce. To nie była ustawka, nie ustaliłam z nimi tego. Następnego dnia na pierwszej stronie gazeta opublikowała wszystkie zdjęcia wraz z obszernym komentarzem dotyczącym jego romansu.

Fakt, że dziennikarze po donosie na panią dyrektor postanowili zadzwonić do mnie, nie był dla mnie zaskoczeniem. Śledztwo przybrało dokładnie taki obrót, jaki zakładałam. W centrum zainteresowania znalazła się już nie ona, ale były ambasador – jej aktualny, w końcu nie było jaki kochanek, a ja byłam jego żoną.

Jak to się stało, że zadzwonili do mnie dokładnie wtedy, gdy

przyjechałam do Polski? Nie na mój łotewski telefon stacjonarny, prywatną czy służbową komórkę, tylko na stacjonarny telefon moich rodziców? Było to dla mnie wielką niewiadomą. Wtedy, gdy wydawało mi się, że ta sprawa nikogo nie obeszła, dotarło do mnie, że przygotowywali się do niej od dawna.

Kochance męża winna byłam w sumie kwiaty, bo dzięki niej miałam artykuł w prasie i niepodważalny dowód na zdradę.

Mój mąż nie oszczędził się z tą kobietą szlachetnie. Wkrótce totalnie zniszczył jej życie. Romansując z nim, mieszkała wówczas z dzieckiem i psem u swojego aktualnego partnera. Gdy ukazała się w gazecie informacja o ich romansie, mężczyzna wyrzucił ją z domu tak, jak stała, więc poszła do ambasadora. Sprawa romansu stała się publiczna i ten, mimo że byłam jeszcze jego oficjalną żoną, publicznie przyznał, że obecna kochanka zostanie jego żoną numer trzy. Na nieszczęście dla dyrektorowej szybko wycofał się z deklaracji.

Do tego cała sprawa bardzo jej zaszkodziła zawodowo: została zawieszona w funkcji dyrektora muzeum do czasu wyjaśnienia zarzutów zaniedbania obowiązków. *Suma summarum* kobieta z dzieckiem i psem znalazła się na ulicy w wieku pięćdziesięciu lat.

Ja jednak miałam to, czego potrzebowałam, choć wiedziałam też, że rozpętałam piekło. Bałam się wręcz wracać. Jednocześnie nie chciałam budzić jego podejrzeń, że wiem o czymkolwiek. Musiałam zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Gdy po dwóch dniach od publikacji przyjechałam z chłopcami do domu, sam od razu mi wszystko powiedział.

– Masz z tym coś wspólnego? – zapytał na koniec.

Stał przede mną ogromny, z czerwonymi od gniewu policzkami.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknęłam. – Myślisz, że jestem taka głupia, żeby w gazetach o twoich dupach opowiadać?! – zaatakowałam ostro. – Ośmieszasz siebie, mnie i dzieci. Powinieneś się leczyć! Ty ambasador jesteś? – Napierałam i czułam, że brzmię wiarygodnie.

– Zamknij się – odszczeknął i wyszedł.

Odetchnęłam z ulgą. Udało się. Nie tylko mnie nie pobił, ale jeszcze chyba uwierzył. Zanim rozpakowałam chłopców, sprawdziłam w internecie tryb składania dokumentów rozwodowych i następnego dnia wniosłam pozew.

Nie potraktował go poważnie. Groził, że w trakcie rozwodu zabierze mi wszystko: majątek, dzieci, wolność. Był przekonany, że się nie odważę. Co więcej, powiedział naszemu sąsiadowi, że jeśli go zostawię, to puści mnie gołą i wesołą. Sąsiad oczywiście uczynnie doniósł mi o wszystkim, a ja, uzbrojona już w prawniczkę, zareagowałam ze swadą:

– Tak? O, to ja tym bardziej się z nim rozwiodę!

Panicznie bałam się, że odbierze mi dzieci. Nie były mu do niczego potrzebne, ale wiedział, że to najcenniejsze, co mam. Nie miałam złudzeń, że posunie się do ostateczności. Najbardziej bałam się jednak, że w końcu zrobi to, czym tak wiele razy mi groził. Wiedziałam, że doprowadzony do skrajności nie zawaha się przed niczym.

– Myślisz, że to takie trudne? – zapytał, gdy po raz pierwszy mnie postraszył.

To było w drugim roku naszego pobytu na placówce. Siedzieliśmy w salonie. On w rozchełstanej koszuli, rozparty na sofie, z kroplami potu na twarzy po niedawnym wysiłku: wymachiwaniach rękami, krzykach, waleniu pięściami w meble. Pijany. Ja na fotelu, roztrzęsiona kolejnym napadem furii męża. Bohaterka jednej z wielu kłótni o nic.

– Żółte papiery jestem w stanie załatwić dla ciebie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nawet jutro. Nie wierzysz? – Przyglądał się uważnie, jak zareaguję.

Oczywiście, że wierzyłam. Widział moje przerażenie, gdy zrobiłam się blada jak ściana i odruchowo skuliłam się w sobie. Musiał poczuć satysfakcję. Nie wydobyłam z siebie słowa.

– Nie zrobię tego oczywiście. No chyba, że będziesz bardzo niegrzeczna i na to zasłużysz. Wtedy nie będę miał wyjścia.

O żółtych papierach usłyszałam po raz pierwszy przed ślubem, w kontekście żony jego brata, Heleny.

– To po prostu wariatka – odpowiedział, gdy zapytałam go o bratową. Opisał ją jak neurotyczkę, całymi dniami siedzącą w domu z powodu fobii przed wszystkim. – Obserwują ją sąsiedzi. Rozmieszczone na ulicy, w lecących samolotach, nawet w telewizorze kamery rejestrują jej każdy ruch. Po leczeniu od piętnastu lat siedzi w domu i nie wychodzi nigdzie.

Poznałam ją po ślubie. Odebrałam jako niegroźną, zależną kobietę na rencie chorobowej. Totalnie zależną od męża, z psim wyrazem wdzięczności w oczach za to, że mimo wszystko nie rozwiódł się z nią, pozwala jej mieszkać ze sobą pod jednym dachem i opiekuje się nią.

Gdy więc z taką swobodą mój mąż po raz pierwszy postraszył mnie żółtymi papierami, przywołałam w myślach bratową i przeszły mnie ciarki.

Czy to możliwe, że wcale nie jest szalona? Edgars zawsze wydawał mi się dziwny. Czy jednak mógł się do tego posunąć? Co to znaczy w ogóle „załatwić żółte papiery”? Przecież to dwudziesty pierwszy wiek, cywilizowana Europa! Jednak jeśli faktycznie z Heleny zrobili wariatkę, to w tej sytuacji, załatwienie kolejnych żółtych papierów dla kolejnej żony stanowi przecież tylko formalność.

Kiedy uświadomiłam to sobie, poczułam skalę zagrożenia. Widziałam już siebie przytroczoną rzemiennymi pasami do metalowego łóżka w szpitalnej izolatce i nachodziły mnie obrazy rodem z „Lotu nad kukułczym gniazdem”. Co więcej, wydawały mi się bardzo realne.

– Jak się miewasz, Heleno? – Dzwoniłam do niej systematycznie raz na jakiś czas, więc w trakcie rozvodu też się odezwałam.

– Ewa? – Zwykła niepewność w głosie Heleny.

Już wyobrażałam sobie ten obłąd w jej szarych oczach.

– Dobrze, że dzwonisz. Tak mało osób do mnie dzwoni. Boją się. Mam podsłuch w telefonie – dodała konspiracyjnym szeptem.

– Ja się nie boję, dzwonię z miasta. – Weszłam w klucz rozmowy.

– Z miasta. To dobrze, to bezpiecznie. To prawda, że zostawiłaś Wiktora? Edgars tak powiedział: „Ewa zostawiła Wiktora”.

– Tak, rozwodzimy się.

Nie widziałam sensu prostowania, że „zostawiłaś Wiktora” jest sporym uproszczeniem. Nie zamierzałam jej tłumaczyć całej sytuacji.

– Nie bałaś się? – spytała wprost.

– Bałam się. Bałam się przeraźliwie. Ale całe życie z nim się bałam i nie chciałam, żeby bać musieli się też chłopcy.

– Ja też się boję. Cały czas się boję Wiktora.

– Wiktora się boisz?– Zaskoczyło mnie to wyznanie.

– Tak. Boję się. On wszystko wie.

– Helena, co ty mówisz?

– On pierwszy powiedział, że mnie obserwują. To on mnie ostrzegł na samym początku, żebym była ostrożna. Że muszę się ukrywać. Opowiadał mi o tych, które nie uważały, i co się z nimi stało – szeptała Helena. – Mówił, że on i Edgars martwią się o mnie. Żebym przypomniała sobie coś z przeszłości, bo musi być jakiś powód, że jestem obiektem. Ale ja naprawdę nic sobie nie przypominam. Wiktor mnie ostrzegał, że w takim razie powinnam uważać, bo z tego, co on wie, zbierają na mnie materiał.

– Materiał zbierają? – Byłam w szoku. Myślałam, że mój eks nie może mnie już niczym zaskoczyć.

– Dowody zbierają. I że najlepiej, żebym w ogóle nie wychodziła z domu. Pomógł mi wtedy. Prawie codziennie przychodził i razem z Edgarsem zastanawiali się, co zrobić. Martwili się o mnie. Ja już po pewnym czasie nie miałam do tego głowy. Nie spałam, nie jadłam, dlatego byłam w szpitalu. Wiesz o tym?

– Tak, wiem.

– Gdyby nie tabletki, nie dałabym rady. Ale dalej się boję. Zawsze gdy przychodzi Wiktor, boję się, że dowiedział się czegoś nowego.

Jaką rolę w manii prześladowczej Heleny odegrał? – Zastanawiałam się po tej rozmowie.

Z przerażeniem doszłam do wniosku, że wolę nie znać odpowiedzi.

Budynek zdecydowanie mnie rozczarował. Nie wiem, skąd narosło we mnie przekonanie, że będzie ogromnym, kilkupiętrowym gmachem w wiktoriańskim stylu. Ósmiopiętrowy klocek do złudzenia przypominał mieszkalny blok, o którego prawdziwym przeznaczeniu informowała tylko czerwona tabliczka z napisem „Sąd Okręgowy”. To tu miała się odbyć pierwsza rozprawa rozwodowa, na której ktoś oszacuje stopień rozkładu naszego pożycia i zbada, czy istnieje jeszcze między nami jakikolwiek rodzaj więzi. Może nawet uzna, że są widoki na utrzymanie naszego małżeństwa?

W wąskim korytarzyku na czwartym piętrze byłam pierwsza. Sprawdziłam numer sali – zgadzał się. Zerknęłam na zegarek; do rozprawy było jeszcze dwadzieścia minut. Usiadłam na drewnianej, wypolerowanej ławce i poczułam, że z minuty na minutę denerwuję się coraz bardziej. Przed sobą, w niewielkiej odległości, miałam drzwi w kolorze jasnego orzecha, na których wisiała wokanda. Z całą pewnością widniało na niej moje

nazwisko, ale nie starczyło mi odwagi, by je tam odszukać.

Stres narastał. Poranną kawę czułam na zmianę to w trzewiach, to w przełyku. Na szczęście toaleta była tuż obok. Staralam się skupić na oddechu, ale nie pomagało. Gdy usłyszałam nagle przytłumiony głos Wiktora, dobiegający gdzieś z głębi korytarza, poderwałam się z ławki i schowałam się w łazience.

Po kilku dobrych minutach wyjrzałam spoza wpółprzymkniętych drzwi toalety i zobaczyłam mojego jeszcze męża, przechylonego przez żeliwną barierkę schodów, z telefonem w ręku. Poszukałam wzrokiem mojej adwokatkę i ze zdziwieniem odnalazłam ją na ławce, rozmawiającą z uśmiechem ze swoim przyszłym sparingpartnerem. Zaskoczyło mnie to mocno. Wyglądało na to, że jedynie ja przeżywam całą sobą to, co ma się wydarzyć za chwilę.

Pierwsza rozprawa nas nie pogodziła, za to ja odreagowywałam ją przez tydzień. Gdy tylko dowiedziałam się o możliwości przekazania pełnomocnictwa mojej zaufanej w końcu prawniczce, nie zawahałam się ani chwili. W jej ręce złożyłam swój los. Sprawa była klarowna, dowody mocne. Nie chciałam, ba, nie wyobrażałam sobie publicznego prania brudów, więc zdecydowałam się na rozwód za porozumieniem stron. Niech rozwiedzie mnie najlepiej jak potrafi, żebym tylko nie musiała więcej odwiedzać pokoju za orzechowymi drzwiami.

Jako małżeństwo nie rokowaliśmy, przyznano nam więc prawo do rozwodu. Teraz jedynie trzeba było ustalić jego warunki.

Po drugiej rozprawie padła propozycja, żebym zatrzymała

dzieci, a mój mąż majątek. Byłam totalnie zdziwiona.

Jak to? Nie mieliśmy intercyzy, nasz dorobek był nasz. Jakim więc cudem dom zasądzony miał zostać jemu? Gdzie tu sprawiedliwość? Przecież na dobrą sprawę miałam podstawy do ubiegania się o rozwód z orzeczeniem winy!

Nie chciałam zgodzić się na taki podział. Kolejne spotkanie i kolejne. Warunki rozwodu ustalaliśmy przez rok. Co przysłałam na rozmowę z jego adwokatem i swoją adwokatką, dowiadywałam się, że coraz mniej mi przysługuje. Pomyślałam więc, że jak przyjdę jeszcze kilka razy, będę musiała do tego rozwodu dopłacać!

Coś było nie tak. Podejrzewałam, że moja pełnomocniczka mnie oszukuje. Coraz mniej wierzyłam tej dobrze utrzymanej, platynowej kobiecie. Rozwiązania, na które się umawialiśmy, były zupełnie inne niż te, na które się godziła. Przekonywała mnie, że tak będzie lepiej, a ja, sierota, pozwalałam jej przez cały czas sobą manipulować. Na podstawie swoich doświadczeń z Rzymu zakładałam, że wsparcie i solidarność są wpisane w babskie relacje. Zapomniałam najwidoczniej o tym, że czasami największą krzywdę kobiecie może wyrządzić druga kobieta.

Do głowy mi nawet nie przyszło, że istnieje możliwość, aby ją przekupił. Tak się właśnie stało i nie mogłam je nic zrobić. Dotarło to do mnie dopiero na końcu całego procesu.

– Chciałam się z panią rozliczyć – powiedziałam do niej, mimo żalu, jeszcze przed ostatnią rozprawą.

– Dziękuję, ale ze mną już się rozliczono – odpowiedziała, patrząc mi prosto w oczy.

– Słucham?! – Nie wiedziałam, jak mam rozumieć jej słowa.

– Rozliczono się ze mną. Nie ma potrzeby, żeby pani cokolwiek płaciła.

Dopiero gdy przeczytałam decyzję sądu, wszystko dla mnie stało się jasne. Ostatecznie dom został zasądzony jemu. Miał tylko spłacić chłopcom dziesięć procent jego wartości, więc uznałam, że przynajmniej ich interesy są symbolicznie zabezpieczone. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że nie da się tego wyegzekwować.

Po roku dostanie kolejną nominację na ambasadora i jego pensja wzrośnie czterokrotnie w stosunku do pensji z momentu rozvodu. Wskutek tego sąd – nawet apelacyjny, do którego wniosę zażalenie – orzeknie, że skoro pensja jest inna, to do czego zobowiązał się w trakcie rozvodu, nie jest już wiążące.

Jednak wtedy cieszyłam się, że się rozwiodłam, że nie zabrał mi dzieci i nie załatwił żółtych papierów.

Szkoda mi było, że poniekąd zostałam oszukana i muszę zaczynać od zera. Nie czułam nienawiści czy chęci zemsty. Nie to było moją wewnętrzną potrzebą. Upajałam się wolnością i to uczucie było tak dominujące, a jednocześnie tak dla mnie nowe, że na ten moment nie potrzebowałam niczego więcej. Wracałam z sądu nierównymi, pełnymi kałuż chodnikami i z przyjemnością patrzyłam na wszystko, co mnie otacza. Cały świat wydawał mi się odmieniony. Naciągacze na miejskim parkingu, wypłowiałe, stare neony, spóźniony autobus. Uśmiechałam się sama do siebie na myśl o cudownym życiu, które niechybnie mnie czeka, bo tak reagowałam na wolność.

Nie okazałam skruchy i nie płakałam: „ja będę twoją pokorną żoną, tylko ty mnie nie zostawiaj!”. Rozwiodłam się i wyprowadziłam z chłopcami tak, jak stałam. Chociaż nie wolno mi było wynieść z domu absolutnie nic, zabrałam mu komodę, dwie poduchy i firanki. Firanki nie były jakieś szczególne. Zabrałam ze złości, namówiona przez matkę. Ściągnęłam je z karniszy, zostawiając ziejące okna. Poduchy natomiast były naprawdę potrzebne, żeby chłopcy mieli jak siedzieć na podłodze w naszym nowym, nieumeblowanym mieszkaniu.

Ukradłam mu też komodę, żeby mieć na czym postawić telewizor. Wynosząc ją razem z koleżanką z pracy, zahaczyłyśmy o framugę drzwi i oderwałyśmy od niej nogę.

Puściły mi nerwy i rozplakałam się.

– Ewa, naprawimy, no co ty? To tylko mebel, nie becz! – Anka fuknęła na mnie.

– Ale to jedyna rzecz z tego domu, na której mi zależało. – Uspokoiliłam się trochę, ale serce mi dalej krwawiło, gdy patrzyłam na urwaną nogę. Komoda była stara i delikatna.

– To chodź, spróbujemy ją dokręcić – powiedziała Anka przytomnie. – Tu wystaje śruba, wystarczy, że położymy ją na plecach. Pchaj do mnie!

Próbowałyśmy położyć mebel, ale wysunął mi się z ręki i gdy jego ciężar oparł się na chwilę na drugiej nodze, ta odpadła momentalnie i potoczyła się po pokoju.

– No tak, teraz to już chyba będziesz ją miała bez nóg –

mruknęła Anka, czekając na moją reakcję.

Ja odebrałam to jako znak.

Przecież to jasne! Widać w moim nowym życiu komoda ma już nie być taka jak dawniej, bo moje życie też będzie inne. Moje własne. Nie pod dyktando matki czy męża!

– Chodź, oderwiemy te dwie, które zostały! – krzyknęłam do Anki.

Połamane nogi od komody zachwiały moim przywiązaniem do porządku. Postanowiłam, że odtąd każde miejsce, do którego trafimy, będzie służyć nam, a nie my jemu. Dom jest po to, aby w nim żyć.

Będę pielęgnować więzi, a nie parkiety, i celebrować chwile, a nie przedmioty. Nie będę więcej jeździć na przysłowiowej szmacie i od dzieci też nie będę tego wymagać.

Z wielkiego domu i ogrodu z basenem wyprowadziliśmy się do wynajętego, malutkiego, dwupokojowego mieszkania. Chłopcy przeżyli szok. Nigdy nie widzieli tak małego mieszkania. Myśleli, że żartuję sobie, mówiąc, że odtąd to będzie ich dom. Dom? Wielkości ich dawnego pokoju zabaw?

Mieli zupełnie inne wyobrażenie o świecie, wypaczone trochę komfortem, z jakim stykali się do tej pory. Od urodzenia mieszkali w przestronnych rezydencjach i ich kontakty rówieśnicze ograniczały się do dzieci wyrosłych w podobnych warunkach. Wyobrażali sobie, że wszyscy tak żyją. Nie mieściło im się w głowie, że w ogóle istnieją tak małe mieszkania, jedno-

czy dwupokojowe!

Z początku nawet im się podobało w naszym nowym lokum. Gdziekolwiek usiedliśmy, widzieliśmy się wszyscy i nie musieliśmy się szukać. Pocieszali mnie, że przynajmniej nie będę musiała biegać po schodach. Gdy jednak dotarło do nich, że prawie nieumeblowane mieszkanie ze stertą pudeł ma być odtąd miejscem, gdzie będą spać, bawić się i żyć, zaczęła się histeria. Jak to? Przecież koledzy, gdy dowiedzą się, jak oni mieszkają, będą się z nich śmiać. Jak mają kogokolwiek zaprosić do siebie? Kiedy wyprowadzą się stąd znowu do domu z ogrodem?!

Uczciwie mówiąc, przerastało to nawet mnie. Samej było mi ciężko wyprowadzić się z przestronnego domu do małej klitki. Jednak cenę za wolność musieliśmy zapłacić wszyscy. Inaczej się nie dało. Staralam się z cierpliwością znosić ich furie i jakoś rekompensować im niedogodności. Odwrotu już nie było.

Święcie wierzyłam, że skończyło się coś, by zrobić miejsce na coś lepszego. Ale standard, z jakim przyszło nam się zmierzyć, był delikatnie mówiąc... niski. Owszem, mieszkanie znajdowało się blisko szkoły, do której jeszcze w trakcie sprawy o podział majątku posłaliśmy chłopców, ale to była jego jedyna zaleta. Poza tym było małe, ciemne i niewygodne, bo strasznie zagracone, a upchnięte do pudeł rzeczy zajmowały każdy kąt.

Chciałam, aby pomimo rewolucji w naszym życiu chłopcy mieli normalne relacje z rówieśnikami.

– Zaprosiłam dziś waszych kolegów. Mają do was przyjść w

piątek po szkole – powiedziałam do nich niedługo po rozpoczęciu roku szkolnego.

– Co?! – wykrzyknął Maks.

– Gdzie ich zaprosiłaś? Tutaj?! – dołączył Leon.

– Tak, do naszego mieszkania. Pomyślałam, że może pobawicie się razem. – Siłłam się na bez troskę.

– Do tej nory?! Dzięki, mamó, naprawdę! Teraz wszyscy będą się z nas wyśmiewać! – Maks był bliski płaczu.

Ogarnęły mnie na chwilę wątpliwości. Fakt, chłopcy chodzili do publicznej szkoły, ale była to dobra szkoła, gdzie większość dzieci legitymowała się pochodzeniem z zamożnych i tak zwanych „dobrych” domów.

– Maks, posłuchaj, koledzy przyjdą do was, a nie do waszego mieszkania – tłumaczyłam.

– Ale gdy zobaczą, jak żyjemy, wszyscy będą się śmiać! Wszyscy!

– Zobaczymy. A może nie będą? Chcą spędzić czas z wami, a nie z waszym mieszkaniem.

– Tak, jasne!

W piątek po szkole przyszło dziesięciu kolegów. Maks i Leon prawie nie odzywali się na początku, zawstydzeni i wściekli na mnie. A potem zaczęła się zabawa.

Był październik. Do czerwca tych dziesięciu chłopców przychodziło do nich co tydzień. Przez cały rok nasze drzwi nie zamykały się, a dom tętnił życiem. Okazało się, że wygodne i przestronne wnętrza, ogród i basen nie były im niezbędne, aby czuli się szczęśliwi. Mówili, że to ich najlepszy dom. Na koniec

roku szkolnego, gdy żegnali się, bo już było pewne, że wyjeżdżamy – i oni, i koledzy płakali jak przedszkolaki.

Zanim jednak wyjechaliśmy, w ciągu tego roku wciąż martwiłam się o synów, bo widziałam, jak mój były już mąż manipuluje nimi, aby mnie zniszczyć.

Zaraz po przeprowadzce w naszym małym mieszkanku na pudłach zaczęły nas systematycznie odwiedzać panie z opieki społecznej. Raz zostały „zawiadomione”, że warunki, w jakich mieszkają dzieci, są niewłaściwe. Innym razem „poinformowane”, że matka zaniedbuje swoje obowiązki. Takich skarg było wiele. Co chwilę ktoś nas wizytował i zabierał długie godziny, wypytując o najdrobniejsze szczegóły codziennego życia.

Maks i Leon żyli więc w ciągłej obawie, że któraś z wizyt zakończy się w końcu tragicznie. Że powiedzą coś niewłaściwego i zostaną zabrani. Bardzo starali się wypaść jak najlepiej. W pewnym sensie zostali nawet wpisani w rolę strażników ogniska domowego. Czuli, że to oni są gwarantami naszego bezpieczeństwa, które zależy od tego, co i jak powiedzą.

Każdą wizytę odreagowywali nocnymi koszmarami i ani mnie, ani im w tej sytuacji nie przyszło nawet do głowy, że moglibyśmy nie spać już razem. Panicznie wprost bali się, co jeszcze może zrobić ojciec.

Nie miał oporów, aby rozgrywać nasze sprawy dziećmi. Tak jak w pamiętną Wigilię w Rzymie. Nie miałam złudzeń, że po

orzeczeniu rozwodu będzie lepiej. Przeciwnie, oczekiwałam najgorszego: że nie będzie płacił alimentów, respektował ustalonego harmonogramu odwiedzin, że będzie buntował chłopców przeciwko mnie i podważał mój autorytet. Wizyty pań z opieki społecznej nie dziwiły mnie więc mocno, choć były tak bardzo uciążliwe. Nie znaleźmy dnia ani godziny, kiedy któraś z nich nas nawiedzi.

– Czasem budzę się w nocy i nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić – żaliłam się Poli przez telefon. – Nie daję już rady. Może powinnam pójść do psychologa?

– A o co ci dokładnie chodzi? O chłopców czy o siebie? – Pola była jak zwykle bardzo konkretna.

– No o nich! Nie wiem, jak mam z nimi rozmawiać w tej sytuacji, czego wymagać, co odpuszczać. Jakaś tam intuicja podpowiada mi, co jest naprawdę ważne, ale mam obawy, czy to wystarczy. Poza tym nie mogę sobie pozwolić na żaden błąd, bo on to wykorzysta.

– Ale chyba nie chcesz całe życie rekompensować im trudnego dzieciństwa? Nikomu to nie posłuży – powiedziała Pola.

– Przecież oni mają trudne dzieciństwo.

– Mają matkę, która ich kocha, to najważniejsze. Na którą mogą liczyć, bo przecież walczyłaś o nich jak lwica! Są zdrowi, mają w tobie wsparcie, a to naprawdę dużo. Dadzą radę. Słuchaj! – powiedziała nagle zupełnie innym tonem. – A może, kiedy następnym razem przyjdzie ktoś z opieki, powiedz, że chciałabyś zapisać się na jakiś warsztat dla rodziców? Zobaczysz, co ci powiedzą.

Miałam wrażenie, że wręcz widzę, jak ruda trwała pani z opieki prostuje się, gdy zapytałam ją o zajęcia dla samotnych rodziców. Kobieta, gdy otrząsnęła się z szoku, zareagowała z takim entuzjazmem, jakby uratowała mnie, biedną, patologiczną matkę przed wiecznym potępieniem. Oczywiście, że mają ofertę i mogę się zapisać. Ona mi program podeśle. I nie muszę nic płacić, no bo skoro rodzina rozbita, to w ramach profilaktyki będzie.

Profilaktyki? – zastanawiałam się. Czego? Większego rozbicia? Przemocy?

Zaliczyłam wszelkie kursy i warsztaty wychowawcze dla rodziców, jakie mieli. Kosztowało mnie to sporo wysiłku. Po pracy raz w tygodniu gnałam na zajęcia i musiałam na ten czas organizować chłopakom opiekę u rodziców kolegów. Jednak bardzo mi to pomogło. Stopniowo, z tygodnia na tydzień nabierałam pewności siebie i czułam, że jako matka coraz bardziej panuję nad naszą niepełną rodziną. Poza tym miałam cały stos zaświadczeń i dyplomów. Zakładałam, że w razie kolejnego ataku posłużą za materiał dowodowy przemawiający na moją korzyść. Nie wiadomo było bowiem, co mi się w przyszłości może przydać. Do pełnoletności dzieci było jeszcze daleko.

Wiktor nie odpuścił. Dalej szukał sposobów, by zburzyć mój spokój. Pamiętam, jak po kilku miesiącach rozłąki zawiozłam chłopców na spotkanie z nim. Zawiozłam, bo dawno się nie widzieli, a podobno był tak zabiegany, że sam nie byłby w stanie po nich przyjechać.

Po godzinie zadzwonił, że tak naprawdę skończył mu się już czas na widzenie z dziećmi, więc mam przyjechać po Maksa i Leona. Chłopcy nie byli tym jakoś specjalnie przybici. Nie szło im wspólne spędzanie czasu z ojcem i jak każde widzenie, tak i to zakończyło się snieniem. Wszyscy trzej byli mocno rozdrażnieni.

Kilka dni po tym zdarzeniu otrzymałam sądową decyzję, że odbyła się bez mojego udziału rozprawa w sprawie zażalenia ojca, że ograniczam mu kontakty z dziećmi i nie pozwalam na spotkania z nimi. Byłam w szoku.

Co za kłamca! To ja wożę mu chłopców, żeby maksymalnie wydłużyć ich wspólny czas, a on takie rzeczy wymyśla?

Skończyło się kolejną rozprawą przed sądem. Tym razem już nie miał do czynienia z tą samą reprezentującą mnie prawniczką. O nie! W trybie natychmiastowym znalazłam bardzo dobrego adwokata i przy jego pomocy zaskarżyłam decyzję, a potem walczyłam przed sądem jak lwica. Poległ, gdy wykonano badanie więzi emocjonalnych dzieci z rodzicami.

Po miesiącu dostałam korespondencję. W pierwszej chwili pomyślałam, że znowu z sądu: była to duża, biała koperta formatu A4. Osłupiałam, bo zaadresowana była odręcznie. Nie miałam pewności, ale szacowałam, że to było pismo Wiktora. Szarpałam się niecierpliwie z mocnym klejem koperty i gdy ją w końcu rozerwałam, w środku znalazłam mniejszą, niezaklejoną z napisem: „Dla Maksa i Leona w osiemnastą rocznicę urodzin, Tata”. A z nią dopisek na małym karteluszk: „Doręczyć w ich osiemnaste urodziny. Wiktor”.

Maksymilianie i Leonie!

Jeśli czytacie ten list, to znaczy, że jesteście już pełnoletnimi mężczyznami. Napisałem go do was, kiedy byliście jeszcze małymi chłopcami i nie zrozumielibyście wszystkiego, co mam wam do przekazania.

Ponieważ zamieszkaliście ze swoją matką, jestem pewien, że sposób, w jaki przedstawiła Wam niektóre fakty z naszego życia, jest mocno fałszywy. Teraz, gdy możecie już sami decydować o sobie, uważam za swój obowiązek zdementować jej kłamliwą wersję...

Napisał do chłopców list. Sześć stron maszynopisu z jego autentycznym podpisem. Precyzyjnie wyliczył swoje zasługi: że zawsze się starał zapewnić im dobrobyt, że wszystko, co robił, było podyktowane szeroko rozumianym dobrem rodziny. Ciężko pracował, aby oni mogli zaznać tego, czego jemu w dzieciństwie zabrakło. Że chciał być dla nich wzorem, pokazać im, jak samodzielnie dochodzi się do pozycji i stanowiska. Że jedyne, czego oczekiwał w zamian od swojej rodziny, to szacunku i posłuszeństwa, a nigdy nie mógł się tego doprosić. A wszystkiemu winna byłam ja. Nie sprawdziłam się ani jako matka, ani jako żona. Karmiłam ich za długo piersią, niszcząc im tym samym zęby. Zrobiłam z nich maminsynków, pozwalając na spanie ze sobą w jednym łóżku. Nie dałam im zbudować z ojcem prawdziwej więzi. Byłam niechlujem, nie umiałam gotować, nie dbałam o niego, nie chciałam zapraszać gości do domu i nie troszczyłam się o jego karierę.

Wasza matka nie okazywała mi wdzięczności ani posłuszeństwa. Wyszła za mnie, zakładając, że zapewnię jej wygodne życie. Nigdy się do tego nie przyznała, ale ja to wiem. Była nieczuła, nie wywiązywała się też ze swoich obowiązków małżeńskich. Jesteście już mężczyznami, więc na pewno wiecie, jak powinny wyglądać stosunki męża z żoną. Wasza matka odmawiała mi prawa do tego, czego mężczyźni potrzebują. Nie chciała spać ze mną w jednym łóżku, nie chciała też kochać się ze mną. Dlatego musiałem wziąć siłą to, co mi się słusznie należało. Pewnie wmawiała wam, że ją kiedyś zgwałciłem, ale pamiętajcie – to nieprawda. Wziąłem to, co mi się słusznie należało. To było moje prawo, prawo jej męża, którego miała za nic...

Ten fragment musiałam przeczytać kilka razy, aby uwierzyć, że napisał chłopcom o gwałcie.

Zdeponowałam list w bankowym sejfie, w którym przechowywałam nasze paszporty i inne ważne dokumenty. Nie wiedziałam, jak może mi się przydać.

Co jeszcze jest w stanie wymyślić ten człowiek? Być może zmusi mnie, abym to kiedyś opublikowała i dostarczyła do rąk jego prezydenta.

Nie miałam wątpliwości – gdyby było trzeba, w zębach doniosłabym ten list.

Potem

Przedpołudnie było cudowne. Wiosna ociągała się co prawda tego roku, ale kwiecień rzetelnie nadrabiał spóźnienie i powietrze nasycone było wszelkimi możliwymi zapachami. Siedziałyśmy z Polą na Starówce, na małej werandzie mojej ulubionej kawiarenki, i odpoczywałyśmy od mówienia. Cieszyłam się, że mnie w końcu odwiedziła, tym bardziej, że pierwszy raz była w Rydze, a miasto najwyraźniej ją zachwyciło.

Wpatrywała się w secesyjne, bogato dekorowane kamienice po przeciwległej stronie rynku.

– Podobają ci się Trzej Bracia, co? – Szturchnęłam ją lekko.

– Bracia? Jacy bracia? – Fuknęła i zbesztła mnie wzrokiem.

– Tamte trzy kamienice tak się nazywają – powiedziałam z nutą wyższości w głosie.

– Ty mnie nie czaruj kamienicami, tylko zeznawaj – co teraz? Za dwa miesiące koniec roku szkolnego.

– Za dwa i pół. – Uściśliłam.

– Wszystko jedno, wiesz, o co pytam. Mówiłaś, że musisz

rozwieść się z nim tutaj, a potem wracasz do Polski? – Zawiesiła głos w oczekiwaniu na moją odpowiedź.

– Wracam, Pola, nic się nie zmieniło – powiedziałam z ociąganiem.

– Kiedy? W wakacje? Już cię chyba tu nic nie trzyma? – upewniała się. – Rozwiodłaś się, podzieliłaś majątek. Chociaż nie, w zasadzie nie podzieliłaś.

– Wiesz co, oszczędź sobie. – Skarciłam ją.

– Dobrze, przepraszam. No, ale stanęłaś już na nogi. Co jeszcze chcesz załatwić? Niedługo chłopcy zapomną polskiego, a ty jak zwykle znajdujesz tysiące wymówek. Mówiłam ci już, jak bardzo drażni mnie ta twoja chwiejność? Ewa, bo mnie zaraz szlag trafi – o co tak naprawdę chodzi?

– O nic. Przecież ci mówię, że wracam. – Staralam się brzmieć przekonująco. – Chcę, żeby od września poszli do szkoły w Polsce. Chociaż jednocześnie bardzo się tego boję. Oni przecież nigdy nie mieszkali w Polsce.

– Nie martw się na zapas. Poradzą sobie. Moim zdaniem już dawno mogliście wrócić. Im szybciej, tym byłoby dla nich lepiej.

– Nie mogliśmy, Pola, a właściwie ja nie mogłam. Byłam za słaba, żeby wcześniej wrócić.

– Za słaba? – Nie zrozumiała, o co mi chodzi. – Po tym wszystkim, co przeszłaś z nim i z tą przekupną oszustką? A potem jeszcze z opieką społeczną?! Dziewczyno, posłuchaj siebie. Za słaba?

– No tak, za słaba, żeby do niej wrócić. Jestem na nią skazana, przynajmniej na początku. Dobrze mi było bez jej ciągłej

kontroli, rozliczania. Odwykłam od tego i zdałam sobie sprawę, że dalej bardziej boję się jej niż jego.

– Ty mówisz o matce! – wykrzyknęła zaskoczona.

– Dokładnie. Wiem, czego mogę się po niej spodziewać. Gdy wrócimy, nie będzie łatwo. Dlatego tak to odwlekam. Mam tylko nadzieję, że dostałam już tak po dupie, że teraz mam twardszą, więc dam radę.

Do jakiego stopnia dalej musiałam się jej bać, że świadomie odkładałam powrót? Pewnie, że chciałam wrócić. Nie wyobrażałam sobie jednak życia na co dzień obok niej. Nie byłam już tą samą Ewą. Pracowałam, utrzymywałam rodzinę, nawet zaczynałam odkładać na wakacje. Skutecznie odpierałam ataki byłego męża i z dnia na dzień czułam się coraz silniejsza.

Jednak wystarczał telefon matki, średnio raz na dwa dni, aby zachwiać całą moją pewnością siebie, optymizm i plany na przyszłość.

– Zamszowe? Oszalałaś?! Złapią trochę wilgoci i będą wyglądały jak z lumpeksu. Oddaj natychmiast albo wymień na skórę. Tylko koniecznie licowaną. Nie, no naprawdę! Kto kupuje zamszowe buty na jesień?!

– W sierpniu do Egiptu? Czy ty chcesz dzieciom krzywdę zrobić? Przecież tam nie ma czym oddychać do września. Pochorujecie się wszyscy! A jak przywieziesz w bagażu mrówki, to już nigdy się ich nie pozbędziesz. No ja w każdym razie was na pewno z tymi mrówkami do siebie nie wpuszczę!

Nie chciałam dzieciom krzywdy zrobić i ściągać mrówki z Egiptu. A jak się mocniej zastanowiłam, to zawsze wolałam licowaną skórę od zamszu.

Na temat powrotu do kraju rozmawiałam z matką już wcześniej. W zasadzie na temat warunków naszego powrotu, bo rozmowy miały charakter pertraktacji na szczycie.

– Mamo, czy w razie czego pomożecie mi przy chłopcach? – zapytałam wprost. – Muszę znaleźć pracę i nie wiem, jak to będzie.

– Oczywiście, że ci pomożemy. Wiesz przecież. – Matka udawała obruszoną. – Ale pod warunkiem, że zamieszkacie z nami.

– Z wami?! – Zatkąło mnie, gdy po raz pierwszy to usłyszałam. – Dlaczego? Przecież mam swoje panińskie mieszkanie. Po co mamy się wprowadzać do was?

– A jak ty to sobie wyobrażasz? Że będę jeździć do chłopców z jednego krańca miasta na drugi?

– Przecież to nie jest aż tak daleko. Kiedyś można było tam dojechać bezpośrednim autobusem. – Nie dawałam za wygraną.

– O, widzę, że ty sobie wszystko już zaplanowałaś tak, żeby tobie było wygodnie.

– Mamo, niczego nie planowałam. Nie rozumiem tylko, po co mamy wprowadzać się do was, skoro jest mieszkanie na Bielanych. Myślę o chłopcach. Chcę, żeby byli w końcu u siebie.

– U nas też będą prawie u siebie. W końcu jesteście ich dziadkami. W wakacje bardzo dobrze się u nas czuli.

Koniec końców matka postawiła ultimatum: albo

wprowadzimy się do ich czteropokojowego mieszkania, albo w ogóle nie będzie mi pomagała. Nie mogłam i nie chciałam stawiać sprawy na ostrzu noża. Pamiętałam, z jakim trudem udało mi się ostatnio znaleźć pracę. Zakładałam więc różne scenariusze po powrocie – w końcu nie było mnie w kraju ładnych kilka lat, nie mogłam więc pozwolić sobie na odrzucenie jej pomocy.

Nie miałam zatem wyjścia i razem z synami oraz stertą pudeł wprowadziłam się do rodziców. Dostaliśmy na wyłączność jeden pokój i swobodę korzystania z salonu, łazienki i kuchni. Chociaż matka – tak, matka, bo ojciec był obecny, ale jakby go nie było – gościła nas na własnych warunkach.

Generalnie czułam się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy miałam kilkanaście lat. Grzeczna dziewczynka. Tyle tylko, że teraz z dwójką dzieci. Całe życie znajdowałam się pod jej przemożnym wpływem i mimo ostatnich lat rozłąki klucz naszych relacji pozostał wciąż ten sam. Nic się nie zmieniło. Miałam już tego świadomość i czułam się z tym fatalnie. Mieszkanie pod jednym dachem tylko potęgowało moją frustrację. Tym bardziej że zaznałam już smak samodzielności.

Nie, nie dziwiłam się, że można błahostki podnosić do rangi kluczowego problemu. Matka od zawsze doskonale się w tym odnajdywała. Dlaczego grahamki, a nie bułki żytnie do śniadania? Bez sensu odkładać nóż do suszarki trzonkiem do dołu. No i temat wnuków... Temat rzeka, bo w kwestii wychowywania Maksa i Leona pouczała mnie cały czas.

Nie powinno mnie to dotyczyć – byłam przecież zahartowana.

Przywykłam, że jestem pod ostrzałem, bo Wiktor osiągnął mistrzostwo w robieniu scen o bzdury. Nie zaskakiwało mnie zatem, że takie bułki mogą się ciągnąć tygodniami. Przeszkadzała mi najbardziej moja własna reakcja na to, co słyszałam. Znowu wracało poczucie winy, że wszystko, co robię, jest nie tak.

Odrywałam metki od rzeczy, które czasem musiałam kupić Maksowi czy Leonowi, aby nie wydało się, że mają coś nowego. Chciałam oszczędzić sobie tłumaczenia, czy potrzebne, czy niepotrzebne, ładne, brzydkie, tanie, drogie...

– O, kupiłaś to? – pytała.

– Nie, no co ty, mammo, to stare jest. Przywiozłam ze sobą, tylko w pudłach trzymałam – łągałam jak z nut, czując się jednocześnie jak smarkula przyłapana na gorącym uczynku.

– Naprawdę? Wygląda na nowe. – Matka była specem od zakupów, nie dawała się łatwo zbyć.

– Bo niechodzone. Kupiłam kiedyś, ale wygrzebałam z kartonu dopiero wczoraj.

– No właśnie. Ja nie wiem, jak my dalej na tych waszych pudłach żyć będziemy. – Temat pudeł z dnia na dzień irytował ją coraz bardziej. – Wszędzie stoją! Wszędzie! W pokojach, w przedpokoju – nawet w łazience!

– W łazience nie ma pudła, tylko duża kosmetyczka – odpierałam atak. – Przecież sama powiedziałaś, że mamy wyjąć tylko najpotrzebniejsze rzeczy, a resztę zostawić tak, jak przyjechało.

– Powiedziałaś, a co miałam powiedzieć? Mam was z tym wszystkim wyrzucić? I dokąd pójdziecie? – W jej głosie litość

mieszła się z pożałowaniem.

– Mówiłam ci, że mogę mieszkać u siebie.

– Nie możesz. Przecież podpisałeś umowę z najemcą!

– Mogę ją wypowiedzieć.

– Podpisałeś na rok, trudno, jakoś się przemęczymy. –

Wzdychała, machając z rezygnacją rękami. – Tylko pilnuj Maksa, żeby zakładał kapcie! Parkiet niedawno pastowany, a już pełno śladów po stopach. Ostatnio, jak wychodził z łazienki, zamoczył cały przedpokój!

Ciężkie to były dni. Dla mnie, dla chłopców, no i na pewno dla niej. Ojciec zupełnie się odizolował, więc jego jakby ten problem nie dotyczył. Nawet nie wiem, jaki miał stosunek do naszego pobytu.

Był już wtedy trochę schorowany i apatyczny. Całe dni spędzał sam w swoim gabinecie, w którym już kilka lat wcześniej pojawiło się wąskie łóżko z wysokim wezgłowiem. Jednak gdy któryś z chłopaków szedł „poczytać w spokoju do dziadka”, nigdy nie bronił się przed takim niezobowiązującym towarzystwem.

Paradoksalnie był to chyba najlepszy moment, aby jakoś uregulować nasze relacje. Zadać pytania, których jako młoda dziewczyna zwyczajnie się bałam czy wstydziłam. Nie, nie robiłabym mu wymówek. Na tym etapie nie przyniosłoby to niczego mnie, a tym bardziej jemu. Nie chciałam z nim rozgrzebywać przeszłości. Zamknęłam sprawę swojego małżeństwa i nie widziałam żadnej korzyści w wyciąganiu traum z dzieciństwa i analizowaniu ich z ojcem. Bardziej potrzebowałam zaopiekować się swoim „tu i teraz” i w końcu

wydorośleć.

Chciałam, aby mi o sobie opowiedział. Co robi godzinami w tym pokoju, co czyta. Domyślałam się też, że pisze. Wyobrażałam sobie, że nagle staję się jego powierniczką, jakby nie dzieliła nas cała przeszłość i terażniejszość. Chciałam skonfrontować się z nim i przekonać, ile tak naprawdę jego jest we mnie.

„No, niestety, ty nie masz mojego charakteru!” – brzmiały mi w uszach od dzieciństwa słowa matki.

Widziałam, że biologiczny zegar ojca biegnie dużo szybciej niż mój. Po każdym naszym przelotnym spotkaniu postanawiałam więc, że następnego dnia pójdę do jego pokoju, usiądę na łóżku z wysokim wezłowiem i powiem do tego pomarszczonego, już prawie łysego, kościstego człowieka: „Tato, przyszłam z tobą pobyć”. Tak mocno byłam jednak skupiona na sobie, że wciąż odkładałam na później to, czego intuicja odkładać nie radziła.

Pierwsze miesiące w Polsce były dla mnie bardzo trudne, przede wszystkim ze względu na finanse. Wróciliśmy w czasie wakacji, kiedy szanse na jakąkolwiek pracę były zerowe. Dotarło do mnie, jak wiele zmieniło się podczas mojej nieobecności. Próbowałam przede wszystkim dotrzeć do zleceniodawców tłumaczeń sprzed lat, ale w firmach, z którymi wcześniej współpracowałam, zupełnie zmieniły się układy i ludzie. Oficjalnie dalej byłam wpisana na listę tłumaczy przysięgłych, musiałam jednak odczekać swoje, by wrócić „do obiegu”. Ale ja nie mogłam czekać – potrzebowałam zarabiać!

Odzywałam się wszędzie, gdzie mogłyby być potrzebne usługi tłumacza, i zostawiałam prawie na siłę namiary do siebie. Obiecywano kontakt, ale mijały wakacyjne tygodnie i nic się nie zmieniało. Wyszukiwałam ogłoszenia o jakiegokolwiek pracy biurowej, nawet poniżej swoich kwalifikacji. O dziwo, udało mi się nawet pójść na kilka spotkań rekrutacyjnych, ale wracałam z nich na tarczy. Znowu miałam wrażenie, że ciągnie się za mną widmo ambasadorowej.

– No wiesz, nie jest łatwo mieć szeregowego pracownika z taką przeszłością! – żartowała ze mnie Pola.

– Do jasnej cholery! – wściekałam się. – Mam dyplom uniwersytecki, egzamin na tłumacza przysięgłego, referencje. Mogę im nawet zaświadczenie o niekaralności przynieść! A ich obchodzi mój były mąż!

Podwinęłam więc ogon pod siebie i ruszyłam w miasto. Na szczęście – jeszcze nie w sensie dosłownym. Liczyłam, że mając w Warszawie kontakty z przeszłości, jeśli się w końcu przełamie, zacznę uczciwie mówić, jak rozpaczliwie szukam jakiegokolwiek pracy i potrzebuję pomocy, ludzie potraktują to poważnie. Tym bardziej, że *gros* z nich zajmowało całkiem eksponowane stanowiska. Znowu postawiłam wszystko na jedną kartę i nie ukrywałam, w jak dramatycznej jestem sytuacji.

Koleżanki chętnie umawiały się ze mną na kawę i na pogaduchy na mieście. Ciułałam grosz do grosza i ciężko mi było wydać nawet dziesięć złotych na wodę w restauracji, ale traktowałam te spotkania jak inwestycję. Zawsze płaciłam za siebie, nawet gdy miało mi zabraknąć na bilet autobusowy.

Czasem z centrum wracałam do siebie na piechotę.

Dziwne to były rozmowy. Strasznie interesowały je szczegóły mojego ambasadorskiego życia. Z przejęciem słuchały o kulisach dyplomacji. Z niedowierzaniem o wyczynach Wiktora.

– Która z nas ma lekko? – słyszałam. – Tak naprawdę każdy facet to łobuz.

Mówiłam, że szukam pracy, bo mi finansowo ciężko.

Jak to? Mam przecież z wynajmu mieszkania, mogę liczyć na pomoc rodziców i alimenty od męża ambasadora. Wystarczająco dużo powodów, by nie narzekać. Nie przyjmowały do wiadomości, że alimenty są tylko na papierze, pomoc rodziców mi nie pomaga, a pieniędzy z wynajmu nie wystarcza. Nie wierzyły, że nie mam co do garnka włożyć. Widziały tylko fajne życie, które miałam, i którego wszystkie mi zazdrościły.

Jedna zdecydowała wprost za mnie, że pracy, którą mogłaby mi załatwić, na pewno bym nie chciała. Inna powiedziała, że nie może wziąć mnie do zespołu jako podwładnej, bo za mądra jestem, a nie ma nic innego, co odpowiadałoby moim ambicjom.

– Nie mam ambicji – oponowałam. – Potrzebuję dzieci wyżywić!

Ona wiedziała lepiej. Kończyło się więc na kawach i obietnicach, że popytają, chociaż i ja, i one wiedziałyśmy, że pytać nie będą.

Nikt mi nie pomógł.

Bolało, bo znowu zawiódł czynnik ludzki. Czy ci, u których szukałam pomocy, uznali, że nie jestem jeszcze w tak tragicznej sytuacji, by zwierzać szeregi i mnie ratować, bo jak mi pomogą, to

już będę miała za dobrze? Mieli dużo dobrych chęci, pozornej szlachetności i tyle.

O, gdyby jakieś prawdziwe nieszczęście, to oczywiście, będzie pospolite ruszenie! Czego musiałabym doświadczyć: choroby, kalectwa, śmierci dziecka – myślałam ze zgrozą. Nie potrzebowałam organizować dla siebie zbiórki pieniędzy czy akcji charytatywnej. Potrzebowałam tylko pracy!

Czy naprawdę łatwiej wrzucić pieniędzy niż oddać komuś przysługę?

Zawsze gdy mogłam, pomagałam, i wydawało mi się, że na taką pomoc też mogę liczyć. Jednak szczerze się zawiodłam. Na ludziach się zawiodłam.

Zarejestrowałam się więc jako bezrobotna. Byłam nią w pełnym tego słowa znaczeniu. Niestety zasiłek nie wystarczał na nasze potrzeby, nawet łącznie z wpływami z wynajmowanego panińskiego mieszkania. Musiałam pożyczać: od rodziców, od znajomych. Nigdy wcześniej nie pożyczałam, więc trudno było mi to robić. Nie było jednak wyjścia – musiałam się szybko nauczyć. Pożyczałam pieniądze, aby przeżyć do pierwszego, a gdy mimo zasiłku nie miałam z czego żyć, znów pożyczałam. Na alimenty nie liczyłam. Zaczęły spływać regularnie dopiero po kilku ładnych miesiącach od naszego powrotu, kiedy zgłosiłam roszczenie do komornika.

Po jakimś czasie dostałam pierwsze zlecenie z sądu. Pieniądze raczej symboliczne, ale dostrzegłam światełko w tunelu. Potem tłumaczenie wywiadu lotewskiego reżysera załatwione przez Irminę Navinską. Potem znowu z sądu. I jeszcze obsługa

łotewskiej firmy na EXPO, załatwiona, nie wiem jakim cudem, przez Marcina – jedyne go znajomego, który realnie mi pomógł. W przeciwieństwie do pozostałych polskich znajomości tylko relacja z nim nie zdewaluowała się w czasie tej próby.

Tłumaczenia wpadały coraz częściej. Nieregularnie, ale był to dobry początek. Moja praca nabierała tempa, chociaż tylko ja wiem, ile godzin siedzenia po nocach kosztowało mnie wyrabianie sobie własnej marki – żeby było terminowo, precyzyjnie i w rozsądnej cenie. Za to mijał strach przed biedą, a jego miejsce zajmowało stopniowe poczucie finansowej niezależności.

Już nie musiałam szukać w sklepie spożywczym produktów z żółtym szyldem „promocja” albo sumować w myślach, czy rachunek nie przekracza zawartości mojego portfela. Mogłam kupić dzieciom krem czekoladowy do kanapek i nie ściemniać, że nie jedzą, bo niezdrowy.

W pierwszym miesiącu, gdy nie musiałam pożyczać od nikogo, wypowiedziałam umowę najmu mojego panińskiego mieszkania i zdecydowałam, że razem z chłopcami wyprowadzamy się. To była moja własna decyzja, o której powiedziałam matce dopiero tydzień przed przeprowadzką.

– Żartujesz sobie chyba! – Była w furii. – Przychodzisz do mnie i tak po prostu mi mówisz, że się wyprowadzacie?

– A wolałabyś, żebym ci w ogóle nie mówiła? – Jej reakcja wyprowadziła mnie z równowagi.

– Chyba mogłaś ze mną wcześniej porozmawiać, przedyskutować to?

– Mamo, nad czym tu dyskutować? – Chyba pierwszy raz byłam tak pewna siebie. – Siedzimy wam na głowie już wystarczająco długo. Mam pracę, będę mogła tłumaczyć z domu, dopilnować Maksa i Leona, mieszkanie się zwalnia, więc wszystko się dobrze składa.

– Niewdzięczna jesteś! Zaplanowałaś wszystko za moimi plecami! Pomagamy wam, karmimy, opiekujemy się, a ty w tajemnicy planujesz coś, jakby nas to wcale nie dotyczyło!

– Mamo! O co ci chodzi?! – Zgłupiałam zupełnie.

Czego ta kobieta chce?

– Zobaczysz, jeszcze do mnie przyjdiesz w łaskę!

Po raz kolejny wzbudziła we mnie poczucie winy i ja, niewdzięcznica, pakowałam nas do przeprowadzki na moralnym kacu.

Decyzji jednak nie zmieniłam. Pocieszałam się, że może to ostatni raz. Przecież gdy będziemy mieszkać oddzielnie, wszystko się zmieni. Nie zdawałam sobie sprawy, w jak mocnym uzależnieniu od niej tkwiłam. Drogę do tej świadomości otworzył mi incydent, który wywołał mój były mąż. Tak, w dalszym ciągu mogłam na niego liczyć.

Jakieś cztery miesiące po naszym powrocie przyjechał na widzenie z chłopcami. Kolejne, krótkie spotkanie, po którym wpadli do mieszkania moich rodziców prawie z płaczem. Zagotowałam się, choć jeszcze nie wiedziałam, o co poszło.

– Zejdź do ojca, czeka na dole, chce z tobą rozmawiać – rzucił

Maks, zanim pobiegł do pokoju i trzasnął drzwiami.

– Rozmawiać chce? Dobrze! Już ja sobie z nim porozmawiam! –
Czułam, że za chwilę eksploduję.

Zbiegłam po schodach i chyba miałam minę wojownika, bo Marzenka z pierwszego piętra, którą minęłam, zawołała tylko:

– Ewa, stało się coś?

– Jeszcze nie! – odkrzyknęłam.

Wypadłam z klatki i zobaczyłam go, jak stał oparty o swoje czarne bmw na numerach dyplomatycznych. Założył ręce i nie spuszczał ze mnie wzroku, gdy się zbliżałam.

– No, słucham, podobno rozmawiać ze mną chciałeś? –
rzuciłam, podchodząc do niego.

– Ale już nie wiem, czy chcę – odpowiedział.

– Ale ja chcę! – mówiłam podniesionym tonem. – Co ty wyprawiasz z chłopcami, że wracają cali roztrzęsieni? Co ty z nimi robisz? Powiedz mi! – Teraz już krzyczałam. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami. – Dostajesz dzieci na godzinę, a ja ich potem przez kilka kolejnych nie mogę uspokoić!

– Co ja robię?! A może ty mi powiesz, co ty robisz? Buntujesz ich przeciw mnie! Opowiadasz im głupoty. Nawet gadać ze mną nie chcą! – wyrzucił mi.

– Nie rozmawiam z nimi o tobie, jeśli chcesz wiedzieć. Ja nie mówię, oni nie pytają. Boli cię to? – prowokowałam.

– No tak! Tobie tylko na tym, żebyś ci płacił, zależy. Zawsze ci o to chodziło! – On też krzyczał.

Widziałam, że cała kamienica nas obserwuje. Sąsiedzi

pootwierali okna i patrzyli, co się dzieje.

– Tydzień temu komornik do mnie dzwonił! Groził mi, mówił, że pensję mi zajmie! – Ruszył w moją stronę. – Ty głupia babo, zobaczysz, że doigrasz się w końcu! – Stał prawie zawieszony nade mną.

– Grozisz mi? Co mi zrobisz? – Posuwałam się coraz dalej.

– Masz odwołać swojego komornika, rozumiesz? – grzmiał nade mną.

– Nie odwołam! Nie ma takiej opcji! I uspokój się, bo policję wezwę!

Rzucił się do mnie z rękami i chwycił za włosy. Darłam się wniebogłosy, ale nie puszczał. Zdążył mi przyłożyć w twarz, gdy jak spod ziemi pojawiła się Marzenka. Mogłaby śmiało startować w sumo, więc bez problemu odepchnęła go ode mnie, aż zatoczył się, potknął i upadł w kupę suchych, klonowych liści. Zastawiła mnie sobą i nie spuszczając z niego wzroku, wrzeszczała:

– Staaasieeeeek! Po policję dzwoń! Dzwoń szybko po policję!

Stasiek też w oknie siedział.

– No, chodź tu, chamie jeden! Chodź! To ci tak w mordę przywalę, że się nie pozbierasz! – grzmiała rozjuszona.

– Nie, Marzenka, on ma immunitet... – Wracała mi przytomność umysłu.

– Immunitet-srytet! – darła się. – Co, pajacu, boisz się? To won stąd, ale już!

Pozbierał się z ziemi, otrzepał, bez słowa zapakował do samochodu i odjechał.

Policja do zakłócenia porządku z udziałem pana dyplomaty

oczywiście nie przyjechała.

Zawsze ukrywałam przed synami, że mnie poniżał, żeby nie musieli się z tym zmagać. I ze wstydu. Wydawało mi się, że niewiele się domyślali. Przynajmniej na początku. Owszem, słyszeli krzyki, wyzwiska, obelgi, bo tego nie dało się uniknąć, ale dla ich dobra podciągałam to po prostu pod „kłótnię rodziców”.

Tym razem wszystko rozegrało się na ich oczach.

– Mamo, uderzył cię. – Leon doskoczył do mnie, gdy tylko weszłam do przedpokoju.

– Boli cię? – spytał Maks.

– Nie, już prawie wcale. Żałuję tylko, że widzieliście. – Nie wiedziałam, co im powiedzieć.

– W ogrodzie też widzieliśmy. – Leon objął mnie za szyję.

– W ogrodzie?

– Tak, w naszym domu w ogrodzie. Widzieliśmy, jak cię kopał – dodał smutno Maks.

Oślupiałam. Byłam przekonana, że udało się przed nimi ukryć ten incydent, który sama po części spowodowałam niedługo po tym, jak w „Diena” ukazał się artykuł. Dał mi on trochę złudne poczucie przewagi.

O, niech coś jeszcze wymyśli! Już ja mu pokażę! Niech spróbuje mnie tknąć – zrobię obdukcję i będę miała kolejny materiał dowodowy! – myślałam.

Czułam się pewnie, bo wydawało mi się, że on jest na celowniku. Jednak tak naprawdę oprócz mnie nikt go już nie obserwował. Owszem, musiał się bardziej starać, bo jego publiczny wizerunek został w pewnej mierze nadszarpnięty, ale

tylko odrobinę. Umówmy się – który mężczyzna nie zrozumie innego, gdy ten żali się, jaką oziębłą suką jest jego żona? Przecież nawet byłemu ambasadorowi należy się przy takiej drobna pociecha w postaci kochanki czy dwóch. Tylko trzeba dyskretnie, panie kolego, dyskretnie...

Rozwód był w toku już od kilku miesięcy, walczyliśmy w sądzie o to, co komu, a mieszkaliśmy dalej pod jednym dachem. Żadne z nas nie chciało się wyprowadzać – bo niby dlaczego? Każde z osobna uważało, że jest w swoim domu. Takie życie razem było koszmarem. Oczywiście już go nie wspierałam, ale korzystaliśmy ze wspólnych przestrzeni, takich jak kuchnia, jadalnia, łazienki, hol, gdzie odnosiłam wrażenie, że celowo wręcz brudził, bo wiedział, że posprzątam choćby ze względu na dzieci.

Był poniedziałek, po weekendzie, który spędził ze swoją kochanką, gdy ta jeszcze nie wiedziała, że nie będzie jednak jego trzecią żoną. Miał tego dnia wrócić o rozsądnej porze do domu i dla równowagi spędzić trochę czasu z chłopcami. I faktycznie dotarł na tyle wcześnie, że było jeszcze widno i zabrał chłopców do ogrodu.

Już miałam zorganizować sobie ten czas po swojemu, ale pech chciał, że musiałam wstąpić do toalety na dole. I o mało nie zwymiotowałam! Nawet nasi kilkuletni synowie wiedzieli, jak w tym miejscu po sobie posprzątać, a on po prostu zostawił chlew!

Zakląłam siarczyście pod nosem, po czym przez drzwi tarasowe ruszyłam wygarnąć mu wszystko. I co zobaczyłam? Chłopcy tarzali się i siłowali ze sobą na trawniku, gdzieś po drugiej stronie ogrodu, a on rozmawiał przez telefon, bujając się

na ogrodowej huśtawce.

– Dziś masz wolne – usłyszałam, podchodząc od tyłu do niego. – Należy ci się, dobrze się wczoraj spisałaś. Przyjadę jutro i bądź gotowa na takie...

Nie dowiedziała się, na co ma być gotowa, bo w tej samej chwili wyrwałam mu telefon i cisnęłam nim z całej siły w stronę płotu sąsiada.

– Ty stary zboczeńcu, dziećmi miałeś się zajmować, a nie swoją dziwką! Tak się z chłopcami bawisz?!

Zerwał się i rzucił się na mnie, ale uskokczyłam.

– Idź po telefon! Szukaj go! – krzyczał.

– Sam go szukaj! Mnie niepotrzebny, tylko tobie! – Stałam przed nim pewna siebie.

– Idź po niego!

– Nie!

– Jeszcze tego pożałujesz! – warknął i kopnął mnie z całej siły w łydkę.

A potem drugi raz i zamierzył się znowu. Widząc jednak, co się dzieje, cofnęłam się i zaczęłam uciekać w stronę domu, chociaż nogi bolały.

– Odbiło ci do reszty! Powinnaś się leczyć! Wariatka! – wrzeszczał na cały głos za mną, idąc w stronę płotu sąsiada.

– Tobie odbiło, nie mnie! – rzuciłam jeszcze do niego i schowałam się w domu.

Gdy odsapnęłam i obejrzałam swoje pokopane łydki, dotarło do mnie, że sprowokowałam dwa razy większego od siebie faceta, który wyprowadzony z równowagi, gdyby tylko chciał,

jednym ruchem ręki skrzyłby mi kark. Zapomniałam się, po prostu mnie poniosło. Widok pozostawionych samych sobie dzieci i jego nieopodal, spokojnie świntuszącego przez telefon, podział na mnie jak czerwona płachta na byka.

Po kopniakach zostały mi dwa duże sińce, z którymi jednak nie poszłam na obdukcję. Były dla mnie dowodem mojej porywczosci, ale też odwagi, i nie raniły mojej godności. Chłopcy, widząc całe zajście z daleka, mogli faktycznie odebrać to jako akt przemocy.

Gdy więc po zdarzeniu pod kamienicą Maks i Leon po raz drugi widzieli swojego ojca bijącego matkę, byłam pewna, że pozostawi to w ich psychice traumę na całe życie. Postanowiłam poszukać dla nich pomocy i pójść do psychologa. Liczyłam się z tym, że po raz kolejny zmuszona będę wprowadzać kogoś w o wiele za długą historię swojego małżeństwa. Czułam się już silniejsza, ale zwyczajnie nie miałam ochoty znosić tego po raz kolejny. Zamiast w końcu się od tego odciąć, miałam ponownie się z tym zmierzyć.

– Centrum Wsparcia dla Kobiet, w czym mogę pomóc? – Kobięcy głos w telefonie brzmiał ciepło i zachęcająco.

Odetchnęłam z ulgą, że dobrze wybrałam. Ośmielona zreferowałam pokrótce swój problem i poprosiłam o umówienie spotkania z psychologiem.

Już po dwóch dniach w wyznaczonym terminie stawiałam się na rozmowę z moją powierniczką w siedzibie fundacji. Sam budynek był jednopiętrową, pewnie jeszcze przedwojenną willą, z kształtnym, półokrągłym tarasem, wykończonym białą

balustradą z betonowych tralek. Tkwił centralnie na zatłoczonym osiedlu, osaczony przez czteropiętrowe bloki z wielkiej płyty, jakby dla podkreślenia szpetoty otoczenia.

Pani psycholog okazała się bardzo młodą osobą. W pierwszej chwili, przez łudząco podobny kolor włosów, zbyt boleśnie skojarzyła mi się z moją platynową adwokatką. Wrażenie było na tyle silne, że dosłownie mnie zatkało. Najwyraźniej zauważyła moje wahanie, bo łagodnie, ale zdecydowanie poprosiła, żebym opowiedziała, z czym do niej przychodzę.

Z największym dystansem, na jaki mogłam się zdobyć, przebrnęłam kolejny raz przez swoją historię, ale i tak czułam, że głos mi drży.

– Strasznie mnie niepokoi, jak z tymi wszystkimi emocjami radzą sobie chłopcy – powiedziałam na koniec.

– No tak, to dla nich na pewno trudne. – Psycholog miała ściągniętą twarz. – Wie pani – powiedziała po dłuższej chwili – na tym etapie ciężko powiedzieć, jak to jest dokładnie z nimi, ale widzę, że teraz to pani pilnie potrzebna jest pomoc. I od tego musimy zacząć.

W trybie natychmiastowym zapisała mnie na bezpłatną terapię, która miała pomóc mi w ułożeniu sobie relacji z byłym mężem. Tak znalazłam się w kilkusobowej grupie kobiet na warsztatach radzenia sobie z emocjami w sytuacjach okołorozwodowych. Dobrze się tam odnajdowałam, chociaż historie, które słyszałam od dziewczyn, czasem mroziły krew w żyłach. Kiedy ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam, że nie ja jedna żyłam z tyranem, na swoje doświadczenia spojrzałam z

innej perspektywy. Nabrałam większego dystansu do własnych problemów i wyciszyłam emocje z nimi związane.

W swojej grupie nie zagrzałam długo miejsca. Po trzech spotkaniach prowadząca wzięła mnie na stronę i powiedziała do mnie:

– Ewa, mały błąd w diagnozie. Z mężem to już jednak posprzątałaś. Ty masz ogromny problem z mamą. Tym się teraz musimy zająć.

To był dla mnie poważny wstrząs. Po tym wszystkim, co przeszłam, okazało się, że pozostały mi do poukładania relacje z nikim innym, jak z rodzoną matką. Wypierałam to mocno, ale moja terapeutka była bezwzględna. Punktowała moje zachowania, które świadczyły o ewidentnym emocjonalnym uzależnieniu od niej. W końcu musiałam pogodzić się z faktem, że w swoim dorosłym życiu jestem przede wszystkim córką swojej matki, chociaż sama też jestem matką.

Musiałam przyjąć do wiadomości, że nie stanę się inna z dnia na dzień. Że to długotrwały proces, bo mechanizmy, w których tkwiłam od dziecka, były we mnie głęboko zakorzenione. Dlatego świadomość przyczyn własnych zachowań przychodziła powoli, a za tą świadomością motywacja do pracy, by je zmienić. Weryfikowałam swój sposób myślenia tak, aby w moim własnym życiu zacząć w końcu dostrzegać siebie. Nie dopasowywać się do innych, a najbardziej do niej. Szukałam sensu trudności, których doświadczyłam. Zaczynałam stawiać granice. Wreszcie zauważyłam, że mam ciało i ogromnym odkryciem było dla mnie to, że można je rozluźnić – bo ja całe życie chodziłam spięta!

Niestety, relacje z matką stawały się coraz trudniejsze. Śmiała się, gdy powiedziałam jej o terapii. Potem było już tylko gorzej; z dnia na dzień coraz gorzej. Każdy przejaw mojej decyzyjności, odcinania pępownicy i zdrowego egoizmu odbierała jako atak na siebie.

– Tobie ktoś mózg wyprał! – wykrzyczała któregoś razu. – Posłuchaj, co ona wygaduje! – wołała do ojca. – Chodź, posłuchaj! Ktoś nam córkę podmienił!

W końcu chciała iść z awanturą do poradni, żeby jej wcześniejszą wersję córki zwrócili! Jednak było za późno. Nie odzywała się więc do mnie, nie odbierała telefonów, sama też nie dzwoniła. Prawie pół roku rodzice nie mieli kontaktu ze mną ani z wnukami. Nie widywaliśmy się w ogóle.

Któregoś dnia zadzwoniła i jakby nigdy nic zaprosiła nas na obiad. Ogromnie się ucieszyłam; byłam przekonana, że odpuściła i nareszcie zrozumiała, że musi zaakceptować mnie w nowym wydaniu. Kontakty zostały wznowione, a temat terapii, jako drażliwy, nigdy już w naszych rozmowach nie zaistniał: obie udawałyśmy, że na nią nie chodzę.

Tymczasem ja w każdy czwartek przez dwie bite godziny cierpliwie znosiłam wywlekanie przeszłości. Po ponad roku, gdy już wiedziałam, ile jeszcze mam do przepracowania, doszłam do wniosku, że rozwód to było tylko preludium tego, co przede mną. Bardzo bolało, ale – o dziwo – byłam gotowa na ten trud. Nigdy jeszcze nie miałam w sobie tyle energii i satysfakcji z każdego małego kroku, który robiłam.

Trzy lata trwała moja terapia uzależnienia od matki. Trzy

długie lata budzenia siebie do niezależności. Dopiero po ponad stu spotkaniach najpierw moja terapeutka oświadczyła mnie, a potem ja oświadczyłam matce, że zakończyłam terapię i wizyty w poradni.

Jaka była szczęśliwa! Przekonana, że gdy tylko trochę popracuje nade mną, znowu wróci dawna, posłuszna Ewa. Ta, którą tak bardzo kochała i na którą tak bardzo czeka. Po raz kolejny musiałam ją jednak rozczarować. Tym razem nie miałam już z tego powodu wyrzutów sumienia.

Nie potrzebuję już biegać do niej po radę i potrafię samodzielnie zdecydować zarówno o wyborze mieszkania, jak i bielizny. Chociaż czarnej w dalszym ciągu nie noszę.

„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą, zostają po nich buty i telefon głuchy...”. Siedem globusów, kilkanaście rycin i trzydzieści osiem metrów bieżących książek – zmierzyłam w dzień pogrzebu, gdy już było po wszystkim, a ja nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Kiedy znalazłam swoje przedszkolne laurki i kilka zdjęć w teczce „Ewa”, przestałam przeglądać dalej jego rzeczy. Nie byłam gotowa poznać go nawet po śmierci.

Zawsze wzruszałam się poezją księdza Twardowskiego, ale nic z niej dla siebie nie wyniosłam. To chyba najbardziej bolesna lekcja, jaką otrzymałam. Jedyne, czego dziś żałuję, to że nigdy nie odnalazłam drogi do własnego ojca.

Wszystko inne przyszło, bo było potrzebne.

Epilog

Takiego bajzlu nigdy byś u mnie nie zobaczyła, bo ja na szmacie jeździłam trzy razy dziennie! – mówi Ewa, tłumacząc się z rozgardiaszu, jaki panuje w mieszkaniu. – Byłam kiedyś niesamowitą pedantką. Nauczyłam się tego w rodzinnym domu, gdzie do tej pory parkiet nie jest lakierowany, tylko pastowany, i nie wolno chodzić po nim na bosaka, bo zostają wilgotne plamy. Kiedyś wydawało mi się, że tak być powinno. Ale po tym wszystkim postanowiłam to zmienić. Dom jest po to, żeby w nim żyć. I będzie bałagan, i nie będę jeździła na szmacie, i nie będę męczyła moich dzieci, żeby nie dotykały ścian, bo zostaną ślady! I wszyscy chodzimy na bosaka!

Bałagan jej przeszkadza, ale nie ma siły z nim walczyć. Porządek nie jest i nigdy już nie będzie jej priorytetem. Zamiast pucować mieszkanie, wolny czas spędza z chłopcami na gokartach, ściance lub w kinie.

– W czwartek po południu przyjdzie do ciebie Olga. Sprząta u mnie. Powiedziała, że do ciebie też może przychodzić – nie

wytrzymuje któregoś razu Pola, gdy zaproszona na plotki, nie ma gdzie usiąść. – Tak dłużej nie możesz mieszkać! Bałagan masz straszny!

– Sama mnie do zmian namawiałaś – droczy się z nią Ewa.

– Kobieto, ale przecież ty sama nie musisz już sprzątać! Stać cię na kogoś do pomocy!

– W sumie miło byłoby, gdyby ktoś mi to wszystko ogarnął. – Ewa zamyśla się na chwilę. Dlaczego do tej pory nie przyszło jej do głowy, żeby zatrudnić panią sprzątającą? – Pola, kochana jesteś, że nawet o mój bałagan dbasz! – mówi głośno.

– No, jedna z nas musi!

Olga przychodzi w umówiony czwartek i szczoteczką do zębów pucuje łazienkę tak, że chłopcy zastanawiają się wieczorem, czy to na pewno ta sama. A potem, gdy zabiera się do odgruzowania reszty mieszkania, pod schodami na piętro znajduje nierozpakowane pudła. Stoją tam od kilku miesięcy, od ostatniej już może przeprowadzki do dwupoziomowego apartamentu, który teraz jest ich nowym domem.

Ewa nawet nie marzyła o tym, że będą tak kiedyś we trójkę mieszkać. Ze swojej pracy, już bez obaw, czy starczy do pierwszego, utrzymuje siebie i chłopców. Owszem, dużo pracuje – to poniekąd cena poczucia bezpieczeństwa, które mają teraz. Zmęczenie rekompensuje jej to, że wśród zleceń, które dostaje, trafiają się czasem prawdziwe perełki: praca na planach filmowych czy w teatrze. Zarabia, wydaje, a i tak wszystko się bilansuje. Dostała kredyt na mieszkanie, więc nawet specje od finansów oszacowali, że chyba nieźle rokuje.

Znalezione przez Olgę pudła to w większości stare gadżety chłopięce. Mimo że Maks i Leon są już w wieku szkolnym, wciąż ciężko im się z nimi rozstać. Olga nie rusza ich zawartości, tylko ustawia zgrabnie jedno na drugim, oszczędzając miejsce. Jednak gdy znajduje karton ze starannie zapakowanymi firankami, wyciąga je i ogląda uważnie.

– Ładne, pani Ewo – mówi z uznaniem. – Dlaczego w pudle je pani trzyma? – pyta zdziwiona.

Ewa patrzy na firanki zabrane byłemu mężowi z polecenia matki. Zapomniała o nich zupełnie. Nie ma co, na długo utknęły.

– Pani Ewo – drąży Olga – to bardzo ładne firanki, ja takich jeszcze nie widziałam. A tu dwa okna puste, akurat się nadadzą. To co, może gdy przyjdę za tydzień, upiorę i zawiesimy?

Ewa. Fajna, zadbana kobieta w luźnych rybaczkach w kolorze denim i dopasowanym T-shircie. Taką ją poznałam. Świeża opalenizna, prosto po urlopie, na dłoniach i stopach soczysty, czerwony lakier. Burza kasztanowych włosów, niedbale związanych nad karkiem. Przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu. Długie rzęsy, dla kontrastu z piwną tęczówką muśnięte szafirowym tuszem. Gdy idzie bosą, niosąc z kuchni świeżo zaparzoną kawę, moją uwagę zwraca lekkość jej ruchów. Myślę z zazdrością, że jej metrykalny wiek ma się nijak do rzeczywistości.

– Co to? – Wskazuję na papierowe torby, stojące za sofą. – Jeszcze sprzed wyjazdu?

– To z wczoraj. Udało mi się wykroić godzinkę między jednym tłumaczeniem a drugim i nie mogłam sobie darować...

– No tak, zapomniałam, jaką masz słabość do zakupów.

– Trochę. – Śmieje się. – Psychiatra pewnie dopatrzyłby się w tym kompensacji czy innego mechanizmu obronnego, ale dają mi taką swobodę! Nie wiem, może zakupy mają to dla mnie znaczenie symboliczne. Gdy mierzę i wybieram XS w odważnych kolorach, znów przeganiam zakonnicę. Gdy płacę, nie boję się już, że nic nie ma na koncie, tak jak w markecie dla VIP-ów. A gdy wracam do domu, czuję ulgę, że nie musiałam w sklepowej toalecie obcinać metek przed matką, tylko ze spokojem wnoszę torby do domu. Czuję się taka wolna.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie jej innej, dlatego na początku jej opowieści czułam dysonans między tym, co słyszałam, a tym, co widziałam. Nie wierzyłam, że osoba, o której mówiła, siedziała obok mnie. Ta rozchwytywana, zamożna tłumaczka miałaby być jakąś zahukaną osobą? Ta pewna siebie, opanowana kobieta jest tą samą, uzależnioną od matki i męża byłą ambasadorową? Miałam wrażenie, że opowiada zasłyszaną gdzieś historię, a nie kawał swojego życia. Obraz i zachowanie siedzącej przede mną Ewy były totalnie niespójne ze wspomnieniami, do których wracała.

Przemówiły do mnie dopiero zdjęcia. Zdjęcia „sprzed”, na których widać zupełnie inną Ewę. Drobna, ubrana w bure kostiumy lub suknie kobieta. Nawet ciężko określić jej figurę, bo ubrania leżą dziwnie i są bardzo nieforemne. Ani śladu po burzy kasztanowych włosów – zamiast nich na głowie coś na kształt czarnego kasku. Zapytałam, czy to nie peruka.

Co charakterystyczne, na każdym zdjęciu szeroko, groteskowo

wręcz się uśmiecha, wyłaniając się zza pleców swojego męża. Zawsze stoi pół kroku za panem ambasadorem.

Wzbudziła moją sympatię od pierwszej chwili. Ciepła, pogodna, obdarzona naturalnym wdziękiem czterdziestolatka. Wiedziałam, co przeszła. Oczekiwałam więc raczej zgorzkniałej, zawiedzionej życiem kobiety, pełnej żalu do świata o wszystko, z czym przyszło jej się zmierzyć. Pomyliłam się. O przeszłości opowiadała z poczuciem humoru i swadą. Może dlatego, że przerobiła już większość tego, czego doświadczyła i nabrała dystansu. Nic z pretensji do losu. Raczej refleksja nad sobą i tym, co się wydarzyło. Czasem jakby lekkie zdziwienie, że to jej własna historia. I tylko najtrudniejsze wspomnienia dalej ją bolą, głos się łamie, słowa wiszą w powietrzu, a potem składają się szybciej i szybciej... Byle jak najprędzej przebrnąć przez to, co tak trudno wymazać z pamięci.

– Chcę, żebyś to opisała.

– Dlaczego?

– Chcę ostatecznie się z tym zmierzyć. Napisz to dla mnie. Myślę też o wszystkich innych kobietach, którym wydaje się, że nie potrafią być wolne. Niech uwierzą, że gdy znajdą w sobie dość odwagi, im też uda się żyć własnym życiem. To nie przyjdzie od razu, ale każda chwila jest tego warta. Chcę im pokazać, że nawet z takiego dna, na jakim ja się znalazłam, można się odbić i walczyć. I zawsze znajdzie się ktoś, kto pomoże. Tylko trzeba o tę pomoc wołać! Czasem rozpaczliwie krzyczeć, a niekiedy po prostu jej nie odrzucać. Teraz, gdy stoję przed lustrem, patrzę na swoje odbicie i czuję się silna. Ufam sobie, bo tego, co zrobiłam

dla siebie i moich synów, nikt nie zrobiłby za mnie. Tak, kiepsko trafiłam, może nawet gorzej niż kiepsko, ale gdybym przez to wszystko nie przeszła, nie byłabym tą Ewą, którą jestem teraz, tylko tamtą panią ambasadorową.

Podziękowania

Dziękuję moim synom, za to, że są największym szczęściem jakie mnie w życiu spotkało.

To Oni byli moim wsparciem, dawali siłę do walki i zawsze uśmiechali się patrząc mi prosto w oczy.

Bez Was nie dotarłabym do miejsca, w którym się znajduję.

**Konwencja o zapobieganiu i
zwalczaniu przemocy wobec kobiet
i przemocy domowej**

Preambuła

Państwa członkowskie Rady Europy i inni sygnatariusze niniejszej konwencji:

przywołując *Konwencję o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności* (CETS nr 5, 1950) oraz jej protokoły, *Europejską kartę społeczną* (CETS nr 35, 1961, zmieniona w 1996, CETS nr 163), *Konwencję Rady Europy w sprawie działań przeciwko handlowi ludźmi* (CETS nr 197, 2005) oraz *Konwencję Rady Europy o ochronie dzieci przed seksualnym wykorzystywaniem i niegodziwym traktowaniem w celach seksualnych* (CETS nr 201, 2007);

przywołując następujące rekomendacje Komitetu Ministrów dla państw członkowskich Rady Europy: rekomendację Rec (2002)5 o *ochronie kobiet przed przemocą*, rekomendację Rec (2007)17 o *standardach i mechanizmach dotyczących równouprawnienia płci*, rekomendację Rec (2010)10 o *roli mężczyzn i kobiet w zapobieganiu konfliktom i ich rozwiązywaniu oraz w tworzeniu pokoju*, a także inne istotne rekomendacje;

biorąc pod uwagę rosnący zbiór orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które wyznacza istotne standardy na polu przemocy wobec kobiet;

uwzględniając *Międzynarodowy pakt praw obywatelskich i politycznych* (1966), *Międzynarodowy pakt praw gospodarczych, społecznych i kulturalnych* (1966), *Konwencję Narodów Zjednoczonych w sprawie likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet* („CEDAW”, 1979) i protokół fakultatywny do niej (1999), a także ogólną Rekomendację nr 19 Komitetu CEDAW *w sprawie przemocy wobec kobiet*, *Konwencję Narodów Zjednoczonych o prawach dziecka* (1989) i protokoły fakultatywne do niej (2000). oraz *Konwencję Organizacji Narodów Zjednoczonych o prawach osób niepełnosprawnych* (2006);

uwzględniając *Rzymski statut Międzynarodowego Trybunału Karnego* (2002);

przywołując podstawowe zasady międzynarodowego prawa humanitarnego, w szczególności *konwencję genewską* (IV) związaną z ochroną osób cywilnych w czasie wojny (1949) oraz protokoły dodatkowe nr 1 i 2 do niej (1997);

potępiając wszelkie formy przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;

uznając, że realizacja równouprawnienia kobiet i mężczyzn *de jure* i *de facto* stanowi kluczowy element zapobiegania przemocy wobec kobiet;

uznając, że przemoc wobec kobiet jest manifestacją nierównego stosunku sił pomiędzy kobietami a mężczyznami na przestrzeni wieków który doprowadził do dominacji mężczyzn nad kobietami i dyskryminacji tych ostatnich, a także uniemożliwił

pełną poprawę sytuacji kobiet;

uznając strukturalny charakter przemocy wobec kobiet za przemoc ze względu na płeć, oraz fakt, że przemoc wobec kobiet stanowi jeden z podstawowych mechanizmów społecznych, za pomocą którego kobiety są spychane na podległą wobec mężczyzn pozycję;

uznając, z najwyższą troską, że kobiety i dziewczęta są często narażone na poważne formy przemocy takie jak: przemoc domowa, molestowanie seksualne, gwałt, małżeństwo z przymusu, tak zwane „przestępstwa w imię honoru” i okaleczanie narządów płciowych, które stanowią poważne naruszenie praw człowieka wobec kobiet i dziewcząt i główną przeszkodę w osiągnięciu równouprawnienia kobiet i mężczyzn;

zauważając, że stałe łamanie praw człowieka podczas konfliktów zbrojnych, dotyczące ludność cywilną, przede wszystkim kobiety, przybierające formę systematycznego stosowania na szeroką skalę gwałtów oraz przemocy seksualnej, powoduje eskalację przemocy ze względu na płeć zarówno w trakcie konfliktu, jak i po jego zakończeniu;

uznając, że kobiety i dziewczęta są bardziej niż mężczyźni narażone na przemoc ze względu na płeć;

uznając, że przemoc domowa dotyka kobiety w większym stopniu, oraz że mężczyźni mogą również być jej ofiarami;

uznając, że dzieci są ofiarami przemocy domowej, również jako świadkowie przemocy w rodzinie;

dążąc do stworzenia Europy wolnej od przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;

stanowią, co następuje:

Rozdział I – Cele, definicje, równouprawnienie i niedyskryminacja, postanowienia ogólne

Artykuł 1 Cele konwencji

1. Niniejsza konwencja ma na celu:

- a. ochronę kobiet przed wszelkimi formami przemocy oraz zapobieganie, ściganie i eliminację przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;
- b. przyczynienie się do eliminacji wszelkich form dyskryminacji kobiet oraz wspieranie rzeczywistego równouprawnienia kobiet i mężczyzn, w tym poprzez wzmocnienie pozycji kobiet;
- c. stworzenie szeroko zakrojonego planu ramowego, polityk i działań na rzecz ochrony i wsparcia wszystkich ofiar przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;
- d. zacieśnianie międzynarodowej współpracy mającej na celu likwidację przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;
- e. zapewnienie wsparcia i pomocy organizacjom i instytucjom władzy wykonawczej w skutecznej współpracy

na rzecz wypracowania zintegrowanego podejścia do likwidacji przemocy wobec kobiet i przemocy domowej.

2. Niniejsza konwencja ustanawia określone mechanizmy monitorujące w celu zapewnienia jak najskuteczniejszego wdrożenia jej zapisów przez Strony.

Artykuł 2

Zakres konwencji

1. Niniejsza konwencja ma zastosowanie do wszelkich form przemocy wobec kobiet, w tym przemocy domowej, która w większym stopniu dotyka kobiety.

2. Strony zachęca się do stosowania niniejszej konwencji do wszystkich ofiar przemocy domowej. Przy stosowaniu niniejszej Konwencji Strony poświęcają szczególną uwagę kobietom — ofiarom przemocy ze względu na płeć.

3. Niniejsza konwencja ma zastosowania w czasie pokoju i w sytuacjach konfliktów zbrojnych.

Artykuł 3

Definicje

Dla celów niniejszej Konwencji:

a. „przemoc wobec kobiet” rozumie się jako naruszenie praw człowieka oraz formę dyskryminacji kobiet, w tym wszelkie akty przemocy ze względu na płeć, które prowadzą lub mogą prowadzić do fizycznej, seksualnej, psychologicznej lub

ekonomicznej szkody lub cierpienia kobiet, w tym również groźby takich aktów, sytuacji przymusu lub arbitralnego pozbawienia wolności, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym;

b. „przemoc domowa” oznacza wszelkie akty fizycznej, seksualnej, psychologicznej lub ekonomicznej przemocy występujące w rodzinie lub gospodarstwie domowym lub pomiędzy byłymi lub obecnymi małżonkami lub partnerami, niezależnie od tego, czy sprawca i ofiara dzielą miejsce zamieszkania, czy też nie;

c. „płeć społeczno-kulturowa” oznacza społecznie skonstruowane role, zachowania, działania i atrybuty, które dane społeczeństwo uznaje za odpowiednie dla kobiet lub mężczyzn;

d. „przemoc wobec kobiet ze względu na płeć” oznacza przemoc skierowaną przeciwko kobiecie ze względu na jej płeć lub taką przemoc, która w szczególności dotyka kobiety;

e. „ofiara” oznacza każdą osobę fizyczną, której dotyczą zachowania wymienione w ust. a i b niniejszego artykułu;

f. „kobiety” oznaczają również dziewczęta poniżej osiemnastego roku życia.

Artykuł 4

Podstawowe prawa, równouprawnienie i niedyskryminacja

1. Strony podejmują niezbędne działania prawne i inne, by

promować i chronić prawa wszystkich, w szczególności kobiet, do życia wolnego od przemocy zarówno w sferze publicznej, jak i prywatnej.

2. Strony potępiają wszelkie formy dyskryminacji kobiet i podejmują niezwłocznie niezbędne środki prawne i inne w celu jej zapobiegania, w szczególności:

- włączenie do krajowych konstytucji i innych właściwych aktów prawnych zasady równouprawnienia kobiet i mężczyzn oraz zapewnienie realizacji tej zasady w praktyce;
- zakaz dyskryminacji kobiet, także poprzez zastosowanie sankcji, tam, gdzie okaże się to konieczne;
- obalenie praw i praktyk dyskryminacyjnych wobec kobiet.

3. Wdrożenie przepisów niniejszej konwencji przez Strony, w szczególności środków chroniących prawa ofiar, zostanie zagwarantowane bez dyskryminacji ze względu na: płeć biologiczną, płeć kulturowo-społeczną, rasę, kolor skóry, język, religię, poglądy polityczne i inne, pochodzenie narodowe lub społeczne, przynależność do mniejszości narodowej, własność, urodzenie, orientację seksualną, tożsamość płciową, wiek, stan zdrowia, niepełnosprawność, stan cywilny, status uchodźcy lub migranta lub inny.

4. Specjalne środki, niezbędne do zapobiegania przemocy ze względu na płeć i ochrony kobiet przed taką przemocą nie są uznawane za dyskryminację w myśl zapisów niniejszej konwencji.

Artykuł 5
Zasady odpowiedzialności państwa, w tym należyta
staranność

1. Strony powstrzymują się od udziału we wszelkich aktach przemocy wobec kobiet i zapewniają przestrzeganie tego obowiązku przez władze państwowe, urzędników, działaczy, instytucje i inne jednostki działające w imieniu państwa.
2. Strony podejmują niezbędne działania prawne i inne w celu zapewnienia należytej staranności w zapobieganiu aktom przemocy wyszczególnionym w niniejszej konwencji, popełnionym przez jednostki inne niż państwowe, ich ściganiu, karaniu oraz zapewnianiu zadośćuczynienia.

Artykuł 6

Polityka uwzględniająca kwestie płci społeczno-kulturowej

Strony podejmują się uwzględnienia perspektywy płci społeczno-kulturowej we wdrażaniu i ocenie wpływu zapisów niniejszej konwencji oraz promowania i skutecznego wdrażania polityki równouprawnienia pomiędzy kobietami a mężczyznami oraz wzmocnienia pozycji kobiet.

Rozdział II – Zintegrowane strategie polityczne i gromadzenie danych

Artykuł 7

Kompleksowe i skoordynowane strategie polityczne

1. Strony podejmują środki prawne oraz inne środki niezbędne do przyjęcia oraz wdrożenia skutecznych, kompleksowych i skoordynowanych ogólnokrajowych strategii politycznych dotyczących wszelkich odpowiednich środków mających na celu zapobieganie wszystkim formom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji oraz zwalczanie takich form przemocy, a także zapewnianie całościowego podejścia do przemocy wobec kobiet.
2. Strony gwarantują, że w ramach wszystkich działań strategii politycznych, o których mowa w ust. 1 niniejszego artykułu, kierują się dobrem ofiary, a powyższe strategie są wdrażane w drodze skutecznej współpracy pomiędzy wszystkimi odpowiednimi organami, instytucjami i organizacjami.
3. W uzasadnionych przypadkach środki podejmowane zgodnie z niniejszym artykułem będą angażować wszystkie istotne podmioty, tj. agencje rządowe, parlamenty i władze na szczeblu krajowym, regionalnym oraz lokalnym, krajowe instytucje praw

człowieka, a także organizacje społeczeństwa obywatelskiego.

Artykuł 8

Zasoby finansowe

Strony przydzielają odpowiednie zasoby finansowe i ludzkie potrzebne do właściwego wdrożenia zintegrowanych strategii politycznych, środków oraz programów mających na celu zapobieganie wszelkim formom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji oraz zwalczanie wszelkich takich form przemocy, w tym również inicjatyw realizowanych przez organizacje pozarządowe oraz społeczeństwo obywatelskie.

Artykuł 9

Organizacje pozarządowe i społeczeństwo obywatelskie

Strony uznają i wspierają prowadzone na wszelkich szczeblach działania właściwych organizacji pozarządowych oraz społeczeństwa obywatelskiego dotyczące zwalczania przemocy wobec kobiet, a także nawiązują skuteczną współpracę z tymi organizacjami.

Artykuł 10

Instytucja koordynująca

1. Strony wyznaczają lub ustanawiają jedną lub więcej oficjalnych instytucji odpowiedzialnych za koordynację, wdrażanie, monitorowanie oraz ewaluację strategii politycznych oraz działań mających na celu zapobieganie wszelkim formom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji oraz

zwalczanie wszelkich takich form przemocy. Instytucje te koordynują zbieranie danych zgodnie z zapisami art. 11, a także analizują i rozpowszechniają wyniki takiego zbierania danych.

2. Strony zagwarantują, że instytucje wyznaczone lub ustanowione zgodnie z zapisami niniejszego artykułu otrzymają ogólne informacje dotyczące działań podejmowanych zgodnie z Rozdziałem VIII.

3. Strony zagwarantują, że instytucje wyznaczone lub ustanowione zgodnie z zapisami niniejszego artykułu będą mogły komunikować się bezpośrednio oraz nawiązywać kontakty ze swoimi odpowiednikami działającymi na terytorium innych Stron.

Artykuł 11

Gromadzenie i analiza danych

1. Na potrzeby wykonania niniejszej Konwencji Strony zobowiązują się do:

- a. gromadzenia istotnych segregowanych danych statystycznych dotyczących przypadków wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji w regularnych odstępach czasu;
- b. wspierania badań dotyczących wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji w celu poznania ich przyczyn i skutków, częstotliwości występowania oraz poziomu karalności, a także skuteczności działań

podejmowanych w ramach wykonania niniejszej Konwencji;

2. Strony dążą do prowadzenia w regularnych odstępach czasu badań wśród ludności mających na celu ocenę tendencji oraz występowania wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.

3. Strony przekazują Grupie ekspertów, o której mowa w art. 66 niniejszej Konwencji informacje zebrane zgodnie z zapisami niniejszego artykułu w celu stymulowania współpracy międzynarodowej oraz umożliwienia analizy porównawczej na szczeblu międzynarodowym.

4. Strony gwarantują publiczny dostęp do informacji zebranych zgodnie z zapisami niniejszego artykułu.

Rozdział III – Profilaktyka

Artykuł 12

Ogólne zobowiązania

1. Strony podejmą działania niezbędne do promowania zmian wzorców społecznych i kulturowych dotyczących zachowania kobiet i mężczyzn w celu wykorzenienia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowym modelu roli kobiet i mężczyzn.
2. Strony podejmą konieczne środki prawne lub inne działania zapobiegające wszelkim formom przemocy, popełnianej przez osobę fizyczną lub prawną, objętym zakresem niniejszej Konwencji.
3. Podejmując wszelkie działania zgodne z zapisami niniejszego rozdziału, uwzględnia się konkretne potrzeby osób narażonych ze względu na szczególne okoliczności oraz należy kierować się przede wszystkim dobrem ofiary.
4. Strony podejmą konieczne działania zachęcające społeczeństwo, a w szczególności mężczyzn i chłopców, do aktywnego udziału w zapobieganiu wszelkim formom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji.
5. Strony gwarantują, że kultura, zwyczaje, religia, tradycja czy

tw. „honor” nie będą uznawane za usprawiedliwienie dla wszelkich aktów przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.

6. Strony podejmą działania niezbędne do promocji programów i inicjatyw na rzecz wzmocnienia pozycji kobiet.

Artykuł 13

Podnoszenie świadomości społecznej

1. Strony promują lub prowadzą regularne kampanie i programy realizowane na wszystkich szczeblach na rzecz podnoszenia świadomości, w tym współpracę z krajowymi instytucjami praw człowieka oraz jednostkami ds. równouprawnienia, społeczeństwem obywatelskim i organizacjami pozarządowymi, szczególnie organizacjami ds. kobiet. Celem tego rodzaju działań jest zwiększenie świadomości oraz zrozumienia różnych przejawów form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji, ich oddziaływania na dzieci, a także potrzeby zapobiegania przemocy w społeczeństwie.

2. Strony gwarantują rozpowszechnianie informacji dotyczących dostępnych środków zapobiegających aktom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji.

Artykuł 14

Edukacja

1. W uzasadnionych przypadkach Strony podejmują działania konieczne do wprowadzenia do oficjalnych programów

nauczania na wszystkich poziomach edukacji materiałów szkoleniowych dostosowanych do zmieniających się możliwości osób uczących się, dotyczących równouprawnienia kobiet i mężczyzn, niestereotypowych ról przypisanych płciom, wzajemnego szacunku, rozwiązywania konfliktów w relacjach międzyludzkich bez użycia przemocy, a także dotyczących przemocy wobec kobiet ze względu na płeć oraz prawa do nienaruszalności osobistej.

2. Strony podejmują działania niezbędne do promowania zasad, o których mowa w ust. 1 niniejszego artykułu, w instytucjach edukacyjnych o charakterze nieformalnym, a także w obiektach sportowych, kulturalnych i rekreacyjnych oraz w mediach.

Artykuł 15

Szkolenie specjalistów

1. Strony zapewnią lub zreorganizują odpowiednie szkolenia dla osób zawodowo zajmujących się ofiarami lub sprawcami wszelkich aktów przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji. Takie szkolenia dotyczą profilaktyki oraz wykrywania takich aktów przemocy, a także równouprawnienia kobiet i mężczyzn, potrzeb i praw ofiar przemocy oraz sposobów zapobiegania wtórnej wiktymizacji.

2. Strony zachęcają, aby szkolenie, o którym mowa w ust. 1 niniejszego artykułu obejmowało kurs dotyczący skoordynowanej współpracy między organami, uwzględniający odpowiednie i wszechstronne podejście do rozpatrywania

zgłoszeń w przypadku przemocy objętej zakresem niniejszej Konwencji.

Artykuł 16

Interwencja profilaktyczna i programy leczenia

1. Strony podejmą środki prawne lub inne działania konieczne do utworzenia lub wsparcia programów mających na celu nauczenie sprawców przemocy domowej zachowań w relacjach międzyludzkich bez użycia przemocy. Są to programy zapobiegające dalszym aktom przemocy oraz wpływające na zmianę agresywnych wzorców zachowań.
2. Strony podejmą środki prawne lub inne działania konieczne do utworzenia lub wsparcia programów leczenia zapobiegających ponownemu popełnianiu przestępstw, w szczególności na tle seksualnym.
3. W odniesieniu do działań, o których mowa w ust. 1 i 2 niniejszego artykułu Strony gwarantują, że najważniejsze jest bezpieczeństwo, poszanowanie praw oraz wsparcie ofiary, a powyższe programy w uzasadnionych przypadkach będą przygotowywane i wdrażane w ścisłej współpracy z jednostkami zapewniającymi ofiarom specjalistyczne wsparcie.

Artykuł 17

Udział sektora prywatnego i mediów

1. Strony zachęcają sektor prywatny, sektor technologii informacyjnych i komunikacyjnych, z należyтым szacunkiem do

wolności wypowiedzi i niezależności, do wzięcia udziału w opracowaniu i wdrażaniu strategii politycznych, a także w przygotowaniu wytycznych i norm dotyczących samoregulacji w celu zapobiegania przemocy wobec kobiet oraz promowania poszanowania ich godności.

2. We współpracy z sektorem prywatnym Strony rozwijają i promują wśród dzieci, rodziców oraz wychowawców umiejętności radzenia sobie w środowisku informacyjnym i komunikacyjnym zapewniającym dostęp do poniżających treści o charakterze seksualnym lub brutalnym, które mogą być szkodliwe.

Rozdział IV – Ochrona i wsparcie

Artykuł 18

Ogólne zobowiązania

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu ochronę wszystkich ofiar przed kolejnymi aktami przemocy.
2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania, zgodnie z prawem krajowym, aby zagwarantować funkcjonowanie odpowiednich mechanizmów zapewniających skuteczną współpracę pomiędzy wszystkimi właściwymi organami państwowymi (w tym przedstawicielami sądownictwa, prokuratorami, organami ścigania, władzami lokalnymi i regionalnymi, a także organizacjami pozarządowymi i innymi właściwymi organizacjami i podmiotami) w celu zapewnienia ochrony i wsparcia ofiarom i świadkom wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji, również poprzez kierowanie ich do jednostek zapewniających ogólne i specjalistyczne wsparcie, o których mowa w art. 20 i 22 niniejszej Konwencji.
3. Strony gwarantują, że działania podejmowane zgodnie z zapisami niniejszego rozdziału:

- opierają się na uwzględnieniu kwestii płci społeczno-kulturowej w pojmowaniu przemocy wobec kobiet oraz przemocy domowej i są ukierunkowane na zagwarantowanie ofiarom ich praw i bezpieczeństwa;
- opierają się na zintegrowanym podejściu uwzględniającym relacje pomiędzy ofiarami, sprawcami, dziećmi i ich szerszym środowiskiem społecznym;
- mają na celu uniknięcie wtórnej wiktyimizacji;
- są formą dążenia do niezależności ekonomicznej i wzmocnienia pozycji kobiet będących ofiarami przemocy;
- w uzasadnionych przypadkach umożliwiają lokalizację wielu jednostek zapewniających ochronę i wsparcie w tych samych obiektach;
- są kierowane do osób narażonych, w tym dzieci będących ofiarami, oraz ukierunkowane na ich szczególne potrzeby.

4. Świadczenie usług nie jest zależne od chęci ofiary do wniesienia oskarżenia lub zeznawania przeciwko sprawcy.

5. Strony podejmują odpowiednie działania mające na celu zapewnienie ochrony konsularnej lub innej formy ochrony i wsparcia swoim obywatelom oraz innym ofiarom uprawnionym do tego rodzaju ochrony zgodnie z istniejącymi zobowiązaniami w ramach prawa międzynarodowego.

Artykuł 19 **Informacja**

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania gwarantujące przekazanie ofiarom odpowiednich i aktualnych informacji dotyczących możliwego wsparcia oraz dostępnych środków prawnych w zrozumiałym dla nich języku.

Artykuł 20

Wsparcie ogólne

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że ofiary mają dostęp do usług umożliwiających powrót do życia bez przemocy. W miarę konieczności powinny być to usługi z zakresu: doradztwa prawnego i psychologicznego, wsparcia finansowego, gospodarki mieszkaniowej, edukacji, szkoleń oraz pomocy w znalezieniu zatrudnienia.
2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że ofiary mają dostęp do opieki zdrowotnej i usług socjalnych, a specjaliści przygotowani do pracy z ofiarami mają do dyspozycji wystarczający zasób usług i właściwie nimi dysponują.

Artykuł 21

Pomoc w składaniu skarg indywidualnych/ zbiorowych

Strony gwarantują ofiarom dostęp do odpowiednich regionalnych i międzynarodowych mechanizmów składania skarg oraz informacje na ich temat. Strony promują profesjonalną i wrażliwą formę pomocy ofiarom w składaniu

skarg.

Artykuł 22

Wsparcie specjalistyczne

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zapewnienie lub zorganizowanie w odpowiedniej lokalizacji natychmiastowego, krótko- i długotrwałego specjalistycznego wsparcia dla ofiary jakiegokolwiek z aktów przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.
2. Strony zapewniają lub organizują specjalistyczne wsparcie dla wszystkich kobiet będących ofiarami przemocy oraz dla ich dzieci.

Artykuł 23

Schroniska

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu utworzenie odpowiedniej liczby łatwo dostępnych i oferujących bezpieczne zakwaterowanie schronisk dla ofiar, w szczególności dla kobiet i ich dzieci.

Artykuł 24

Telefony zaufania

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu utworzenie ogólnokrajowych, całodobowych, bezpłatnych telefonów zaufania świadczących porady w sprawie wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej

Konwencji, z poszanowaniem poufności lub anonimowości osób dzwoniących.

Artykuł 25

Wsparcie dla ofiar przemocy seksualnej

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu utworzenie odpowiedniej liczby łatwo dostępnych ośrodków świadczących pomoc dla ofiar gwałtów lub przemocy seksualnej w zakresie badań lekarskich i sądowych, wsparcia pourazowego oraz poradnictwa.

Artykuł 26

Ochrona i wsparcie dla nieletnich świadków

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, w ramach świadczenia ochrony i wsparcia dla ofiar przemocy, należytej uwagi dla praw i potrzeb nieletnich świadków wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.
2. Działania podejmowane zgodnie z niniejszym artykułem uwzględniają doradztwo psychologiczne i społeczne dla nieletnich świadków wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji, oraz powinny być dostosowane do ich wieku i uwzględniać najlepszy interes nieletniego.

Artykuł 27

Zgłaszanie

Strony podejmują niezbędne działania mające na celu zachęcenie osób będących świadkami aktów przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji lub osób mających uzasadnione podstawy, by podejrzewać, że tego typu akt został popełniony czy też by spodziewać się kolejnych aktów przemocy, do zgłaszania tego faktu do właściwych organizacji lub władz.

Artykuł 28 **Zgłaszanie przez specjalistów**

Strony podejmują niezbędne działania mające na celu zagwarantowanie, że zasady poufności nałożone na niektórych specjalistów przepisami prawa krajowego, w odpowiednich okolicznościach nie stanowią przeszkody dla zgłoszenia właściwym władzom lub organizacjom uzasadnionego podejrzenia popełnienia poważnego aktu przemocy objętego zakresem niniejszej Konwencji oraz podejrzenia możliwości wystąpienia kolejnych aktów przemocy.

Rozdział V – Prawo materialne

Artykuł 29

Pozwy cywilne i środki prawne

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie ofiarom odpowiednich cywilnych środków prawnych wobec sprawcy.
2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie ofiarom, zgodnie z zasadami ogólnymi prawa międzynarodowego, odpowiednich cywilnych środków prawnych wobec organów państwowych, które nie dopełniły obowiązku podjęcia niezbędnych działań zapobiegawczych ani ochronnych w ramach swoich uprawnień.

Artykuł 30

Odszkodowanie

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że ofiarom przysługuje prawo do odszkodowania ze strony sprawców z tytułu wszelkich przestępstw, o których mowa w niniejszej Konwencji.
2. Odpowiednie odszkodowanie ze Skarbu Państwa przyznaje się z tytułu poważnego uszkodzenia ciała lub uszczerbku na zdrowiu, o ile szkoda nie została pokryta z innych źródeł np.

przez sprawcę, z ubezpieczenia lub z państwowych świadczeń zdrowotnych i socjalnych. Nie wyklucza to prawa Stron do domagania się od sprawcy zwrotu za odszkodowanie, o ile odpowiednio uwzględniono bezpieczeństwo ofiary.

3. Działania podejmowane zgodnie z ustępem 2 niniejszego artykułu gwarantują przyznanie odszkodowania w rozsądnym terminie.

Artykuł 31

Opieka nad dzieckiem, prawo widzenia z dzieckiem i bezpieczeństwo

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że przy ustalaniu prawa do opieki nad dzieckiem i do widzenia z dzieckiem uwzględnione zostaną przypadki przemocy objęte zakresem niniejszej Konwencji.

2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że wykonywanie prawa do opieki nad dzieckiem i do widzenia z dzieckiem nie stanowi zagrożenia dla praw i bezpieczeństwa ofiary ani dzieci.

Artykuł 32

Cywilne konsekwencje wymuszonych małżeństw

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że małżeństwa zawarte pod przymusem mogą zostać unieważnione, anulowane lub

rozwiązane bez nieuzasadnionego obciążenia finansowego lub administracyjnego dla ofiary.

Artykuł 33 **Przemoc psychiczna**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że umyślne działania poważnie naruszające integralność psychiczną danej osoby przez użycie nacisków lub gróźb podlegają odpowiedzialności karnej.

Artykuł 34 **Nękanie (*stalking*)**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że umyślne powtarzające się zastraszające działania wymierzone w daną osobę, powodujące, że obawia się ona o swoje bezpieczeństwo, podlegają odpowiedzialności karnej.

Artykuł 35 **Przemoc fizyczna**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że umyślne dopuszczenie się aktów przemocy fizycznej wobec drugiej osoby podlega odpowiedzialności karnej.

Artykuł 36 **Przemoc seksualna, w tym gwałt**

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że następujące umyślne działania podlegają odpowiedzialności karnej:

a. dokonywanie penetracji waginalnej, analnej lub oralnej o charakterze seksualnym drugiej osoby jakkolwiek częścią ciała lub jakimkolwiek przedmiotem bez zgody tej osoby;

b. dokonywanie innych czynności o charakterze seksualnym wobec drugiej osoby bez zgody tej osoby;

c. doprowadzenie drugiej osoby bez jej zgody do podjęcia czynności o charakterze seksualnym wobec osoby trzeciej.

2. Zgoda musi być udzielona przez osobę zdolną do składania oświadczeń woli, co należy ocenić w świetle danych okoliczności.

3. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że postanowienia ustępu 1 niniejszego artykułu mają zastosowanie również do czynności dokonywanych wobec byłych lub obecnych współmałżonków lub partnerów, uznawanych na mocy przepisów prawa krajowego.

Artykuł 37

Wymuszone małżeństwa

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że celowe działania polegające na zmuszaniu osoby dorosłej lub dziecka do zawarcia małżeństwa podlegają odpowiedzialności karnej.

2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że celowe działania polegające na zwabieniu osoby dorosłej lub dziecka na terytorium którejkolwiek ze Stron lub do kraju innego niż kraj zamieszkania tej osoby w celu zmuszenia takiej osoby dorosłej lub dziecka do zawarcia małżeństwa podlegają odpowiedzialności karnej.

Artykuł 38 **Genitalne okaleczanie kobiet**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że następujące celowe działania podlegają odpowiedzialności karnej:

- a. wycinanie, infibulacja lub wszelkie inne okaleczanie całości lub części warg sromowych większych, warg sromowych mniejszych lub łechtaczki kobiety;
- b. wywieranie nacisku na kobietę lub doprowadzenie do jej poddania się którejkolwiek z czynności wymienionej w lit. a) powyżej;
- c. zachęcanie dziewczyny, wywieranie na nią nacisku lub doprowadzenie do jej poddania się którejkolwiek z czynności wymienionej pod lit. a) powyżej.

Artykuł 39 **Wymuszona aborcja i wymuszona sterylizacja**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że następujące celowe dzia?

ania podlegania podlegają odpowiedzialności karnej:

- a. dokonanie aborcji u kobiety bez jej uprzedniej świadomej zgody;
- b. przeprowadzenie zabiegu chirurgicznego u kobiety mającego na celu uniemożliwienie jej dalszej naturalnej prokreacji bez jej uprzedniej świadomej zgody lub bez jej pełnej wiedzy na temat tego zabiegu.

Artykuł 40 **Molestowanie seksualne**

Strony podejmą konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że wszelkie formy niepożądanych działań werbalnych, niewerbalnych lub fizycznych o charakterze seksualnym, skutkujące naruszeniem godności danej osoby, w szczególności w atmosferze zastraszania, wrogości, upodlenia, poniżenia lub obrazy, podlegają odpowiedzialności karnej lub innej odpowiedzialności prawnej.

Artykuł 41 **Współdziałanie, podżeganie i usiłowanie**

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że celowy współdziałanie lub podżeganie do popełnienia przestępstw, o których mowa w artykułach 33, 34, 35, 36, 37, 38a oraz 39 niniejszej Konwencji, uznawane są za przestępstwa.

2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że celowe próby popełnienia przestępstw, o których mowa w artykułach 35, 36, 37, 38a oraz 39 niniejszej Konwencji, uznawane są za przestępstwa.

Artykuł 42

Niedopuszczalne usprawiedliwienie zbrodni, w tym tak zwanych „zbrodni honorowych”

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że w postępowaniu karnym wszczętym w wyniku popełnienia któregośkolwiek z aktów przemocy, o których mowa w niniejszej Konwencji, akty takie nie będą usprawiedliwiane względami kulturowymi, zwyczajowymi, religijnymi, tradycyjnymi ani tzw. względami „honoru”. W szczególności dotyczy to stwierdzeń, że ofiara przekroczyła kulturowe, religijne, społeczne lub tradycyjne normy lub zwyczaje stanowiące kryteria właściwego zachowania.

2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że zachęcanie dziecka do popełnienia czynności, o których mowa w ustępie 1 niniejszego artykułu, nie zmniejsza odpowiedzialności karnej osoby zachęcającej z tytułu popełnionych czynności.

Artykuł 43

Uznawanie przestępstw karnych

Przestępstwa, o których mowa w niniejszej Konwencji, są za

takie uznawane bez względu na charakter relacji pomiędzy ofiarą a sprawcą.

Artykuł 44 **Właściwość**

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu uznanie swojej właściwości dla wszelkich przestępstw, o których mowa w niniejszej Konwencji, jeżeli przestępstwo zostało popełnione:

- a. na ich terytorium; lub
- b. na pokładzie statku pływającego pod banderą danej Strony; lub
- c. na pokładzie samolotu zarejestrowanego zgodnie z przepisami prawa danej Strony; lub
- d. przez ich obywatela; lub
- e. przez osobę zamieszkałą na terytorium danej Strony.

2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu ustalenie właściwości sądowej dla wszelkich przestępstw, o których mowa w niniejszej Konwencji, jeżeli przestępstwo zostało popełnione wobec ich obywatela lub wobec osoby zamieszkałej na ich terytorium.

3. Na potrzeby postępowania w sprawach przestępstw, o których mowa w artykułach 36, 37, 38 oraz 39 niniejszej Konwencji, Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne

mające na celu zagwarantowanie, że ich właściwość nie jest uwarunkowana faktem penalizacji tych aktów na terytorium, na którym zostały popełnione.

4. Na potrzeby postępowania w sprawach przestępstw, o których mowa w artykułach 36, 37, 38 oraz 39 niniejszej Konwencji, Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że ich właściwość, o której mowa w ustępie 1 lit. d) i e), nie jest uwarunkowana możliwością wszczęcia postępowania jedynie po złożeniu przez ofiarę zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa lub jedynie po postawieniu zarzutów przez organy państwowe na terytorium, na którym zostało popełnione przestępstwo.

5. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu uznanie swojej właściwości dla przestępstw, o których mowa w niniejszej Konwencji, w przypadku gdy domniemany sprawca jest obecny na ich terytorium i nie podlega ekstradycji do innego państwa będącego Stroną niniejszej Konwencji wyłącznie na podstawie obywatelstwa.

6. W przypadku gdy więcej niż jedna Strona rości sobie prawo do właściwości w stosunku do domniemanego przestępstwa, o którym mowa w niniejszej Konwencji, zainteresowane Strony, w uzasadnionych przypadkach, konsultują się ze sobą w celu ustalenia najbardziej stosownej właściwości na potrzeby postępowania.

7. Bez uszczerbku dla ogólnych zasad prawa międzynarodowego,

niniejsza Konwencja nie wyklucza właściwości karnej wykonywanej przez którąkolwiek ze Stron na mocy prawa krajowego.

Artykuł 45 **Sankcje i środki**

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że przestępstwa, o których mowa w niniejszej Konwencji, podlegają efektywnym, proporcjonalnym i odstraszającym karom, z uwzględnieniem ich wagi. Sankcje te obejmują, w stosownych przypadkach, wyroki pozbawienia wolności mogące skutkować ekstradycją.

2. Strony mogą podjąć inne działania w stosunku do sprawców, m.in.:

- monitorowanie lub nadzór osób skazanych;
- pozbawienie praw rodzicielskich, o ile nie jest możliwe w żaden inny sposób zagwarantowanie ochrony najlepszego interesu dziecka, w tym bezpieczeństwa ofiary.

Artykuł 46 **Okoliczności obciążające**

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że następujące okoliczności, o ile nie zostały wcześniej uwzględnione jako element przestępstwa, mogą, zgodnie z odpowiednimi przepisami prawa krajowego, zostać uznane za okoliczności obciążające przy

orzekaniu wyroku w związku z przestępstwami, o których mowa w niniejszej Konwencji:

- a. przestępstwo zostało popełnione wobec byłego lub obecnego współmałżonka lub partnera uznanego zgodnie z przepisami prawa krajowego, przez członka rodziny, osobę współmieszkającą z ofiarą lub przez osobę nadużywającą swojej władzy;
- b. przestępstwo lub przestępstwa powiązane popełniono wielokrotnie;
- c. przestępstwo popełniono wobec osoby narażonej ze względu na szczególne okoliczności;
- d. przestępstwo popełniono wobec dziecka lub w jego obecności;
- e. przestępstwo zostało popełnione przez dwie lub więcej osób działających wspólnie;
- f. przestępstwo poprzedzały lub mu towarzyszyły szczególne akty okrucieństwa;
- g. przestępstwo popełniono z użyciem broni lub pod groźbą jej użycia;
- h. przestępstwo spowodowało istotny uszczerbek na zdrowiu fizycznym lub psychologicznym ofiary;
- i. sprawca był już wcześniej skazany z tytułu przestępstw o podobnym charakterze.

Artykuł 47

Wyroki wydawane przez drugą Stronę

Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu umożliwienie uwzględniania prawomocnych wyroków drugiej Strony w stosunku do przestępstw, o których mowa w niniejszej Konwencji, przy orzekaniu wyroku.

Artykuł 48

Zakaz stosowania obowiązkowych alternatywnych procesów rozstrzygania sporów lub orzekania sądowego

1. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne zakazujące stosowania obowiązkowych alternatywnych procesów rozstrzygania sporów, w tym mediacji i rozstrzygnięć polubownych, w odniesieniu do wszelkich form przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.
2. Strony podejmują konieczne działania ustawodawcze lub inne mające na celu zagwarantowanie, że w przypadku nałożenia kary grzywny, zdolność sprawcy do wypełnienia zobowiązań finansowych w stosunku do ofiary zostanie odpowiednio uwzględniona.

Rozdział VI – Wykrywanie, ściganie, procedury prawne i środki ochronne

Artykuł 49

Ogólne zobowiązania

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że dochodzenie oraz postępowanie sądowe związane z wszelkimi formami przemocy objętymi zakresem niniejszej Konwencji zostaną przeprowadzone bez zbędnej zwłoki i z poszanowaniem praw ofiar na wszystkich etapach postępowania karnego.
2. Zgodnie z podstawowymi zapisami dotyczącymi praw człowieka oraz mając na względzie uwzględnienie kwestii płci społeczno-kulturowej w pojmowaniu przemocy, Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania w celu zapewnienia skutecznego dochodzenia oraz ścigania przestępstw określonych zgodnie z niniejszą Konwencją.

Artykuł 50

Szybka reakcja, zapobieganie i ochrona

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że właściwe organy ścigania zareagują na wszelkie formy przemocy objęte zakresem

niniejszej Konwencji w sposób szybki i odpowiedni, oferując ofiarom stosowaną i niezwłoczną ochronę.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że właściwe organy ścigania w sposób niezwłoczny i odpowiedni wezmą udział w zapobieganiu wszelkim formom przemocy objętym zakresem niniejszej Konwencji oraz ochronie przed takim formami przemocy, łącznie z podjęciem zapobiegawczych działań operacyjnych i zbieraniem dowodów.

Artykuł 51

Ocena ryzyka i zarządzanie ryzykiem

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że ocena ryzyka śmiertelności oraz powagi sytuacji, jak również ryzyka powtarzających się aktów przemocy zostanie przeprowadzona przez wszelkie odpowiednie władze w celu zarządzania takim ryzykiem oraz, jeśli zajdzie taka konieczność, w celu zapewnienia skoordynowanych środków bezpieczeństwa i wsparcia.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zapewnienie, że ocena, o której mowa w akapicie 1 niniejszego Artykułu w sposób należyty bierze pod uwagę, na wszystkich etapach dochodzenia oraz stosowania środków ochronnych, posiadanie broni lub dostępu do broni przez sprawców aktów przemocy objętych zakresem niniejszej Konwencji.

Artykuł 52

Wyjątkowe zakazy kontaktowania się

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że odpowiednie władze są uprawnione do wydania nakazu, w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia, opuszczenia miejsca zamieszkania ofiary lub osoby narażonej przez sprawcę przemocy domowej na odpowiedni okres czasu oraz zakazu nachodzenia ofiary lub osoby zagrożonej w jej miejscu zamieszkania lub kontaktowania się z ofiarą lub osobą zagrożoną przez sprawcę. Działania podjęte zgodnie z niniejszym Artykułem mają na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo ofiar lub osób zagrożonych.

Artykuł 53

Zakaz zbliżania się lub nakaz ochrony

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że ofiary wszelkich form przemocy objętej zakresem niniejszej Konwencji mają dostęp do odpowiednich zakazów zbliżania się lub nakazów ochrony.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że zakazy zbliżania się lub nakazy ochrony, o których mowa w ust. 1 niniejszego artykułu są:

- dostępne na potrzeby bezpośredniej ochrony oraz bez nienależytych obciążeń finansowych lub administracyjnych nakładanych na ofiarę;

- wystawiane na określony czas lub do czasu ich zmiany lub też zniesienia; – jeśli zachodzi taka konieczność, wystawiane bez wysłuchania strony przeciwnej i ze skutkiem natychmiastowym;
- dostępne niezależnie od lub w uzupełnieniu do innych postępowań prawnych;
- możliwe do wprowadzenia w kolejnych postępowaniach prawnych.

3. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że naruszenie zakazu zbliżania się lub nakazu ochrony wydanych zgodnie z ust. 1 niniejszego artykułu podlega skutecznym, proporcjonalnym i zniechęcającym do ponownego popełnienia czynu sankcjom karnym lub innym sankcjom prawnym.

Artykuł 54 **Dochodzenie i dowody**

Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że w jakimkolwiek postępowaniu cywilnym lub karnym, dowody związane z doświadczeniami i zachowaniami seksualnymi ofiary zostaną dopuszczone wyłącznie w sytuacjach, w których takie dowody są zasadne i konieczne.

Artykuł 55 **Postępowanie bez wysłuchania strony przeciwnej i**

postępowanie prowadzone z urzędu

1. Strony dopilnują, aby dochodzenia sądowe lub ściganie przestępstw określonych w Artykułach 35, 36, 37, 38 i 39 niniejszej Konwencji nie były całkowicie zależne od zgłoszenia lub doniesienia wniesionego przez ofiarę, jeśli przestępstwo zostało dokonane w całości lub częściowo na terytorium takiej Strony oraz ponadto zagwarantują, że postępowanie może być kontynuowane, nawet jeśli ofiara wycofa swoje zeznania lub doniesienie.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zapewnienie, zgodnie z przepisami prawa krajowego, organizacjom rządowym i pozarządowym oraz doradcom w zakresie przemocy domowej możliwość pomagania ofiarom lub wspierania ofiar, na życzenie ofiar, podczas dochodzenia oraz postępowania sądowego dotyczącego przestępstw określonych w niniejszej Konwencji.

Artykuł 56 Środki ochrony

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu ochronę praw i interesów ofiar, w tym ich specjalnych potrzeb jako świadków, na wszystkich etapach dochodzenia i postępowania sądowego, a w szczególności poprzez:

- a. zapewnienie im bezpieczeństwa, jak również ich rodzinom i świadkom, chroniąc ich przed zastraszaniem,

odwetem lub powtarzającą się wiktyimizacją;

b. zagwarantowanie, że ofiary zostaną poinformowane, przynajmniej w przypadkach, w których ofiary i rodzina mogą być zagrożone, jeśli sprawca ucieknie, zostanie tymczasowo zwolniony lub wyjdzie na wolność;

c. informowanie ofiar, w przypadkach przewidzianych przez prawo krajowe, o ich prawach oraz dostępnych świadczeniach, przetwarzaniu ich skargi, opłatach, ogólnym postępie dochodzenia lub postępowania oraz ich roli w takich czynnościach, jak również o tym, jak zakończyły się dotyczące ich sprawy;

d. umożliwianie ofiarom, w sposób zgodny z zasadami procesowymi prawa krajowego, skorzystanie z prawa do bycia wysłuchanym, przedstawienia dowodów oraz wyrażania swoich poglądów, potrzeb i trosk, bezpośrednio lub poprzez przedstawiciela, oraz prawa do tego, aby takie ich dowody lub wypowiedzi zostały wzięte pod uwagę;

e. zapewnienie ofiarom odpowiedniego wsparcia, tak aby ich prawa i interesy były w sposób należyty prezentowane i brane pod uwagę;

f. zapewnienie możliwości podjęcia środków chroniących prywatność i wizerunek ofiary;

g. zapewnienie unikania, jeśli tylko jest to możliwe, kontaktu ofiar ze sprawcami w sądzie i w siedzibach organów ścigania;

h. zapewnienie ofiarom niezależnych i kompetentnych tłumaczy, jeśli ofiary są stronami postępowania lub jeśli dostarczają dowodów;

i. umożliwienie ofiarom składanie zeznań, zgodnie z przepisami prawa krajowego, w sali sądowej w trybie zaocznym lub też przynajmniej w nieobecności domniemanego sprawcy, w szczególności poprzez wykorzystanie odpowiednich technologii komunikacyjnych, jeśli istnieje taka możliwość.

3. Ofiara nieletnia lub nieletni świadek przemocy wobec kobiet oraz przemocy domowej otrzymuje, jeśli znajduje to zastosowanie, specjalne środki ochrony, z uwzględnieniem najlepszych interesów dziecka.

Artykuł 57

Pomoc prawna

Strony zapewniają prawo do otrzymania pomocy prawnej oraz bezpłatnej porady prawnej dla ofiar, zgodnie z przepisami prawa krajowego stron.

Artykuł 58

Zasada przedawnienia

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zagwarantowanie, że zasada przedawnienia dla wszczynania jakichkolwiek postępowań prawnych dotyczących przestępstw określonych zgodnie z Artykułami 36, 37, 38 and 39

niniejszej Konwencji będzie obowiązywać z zachowaniem takiego okresu, który będzie wystarczający dla umożliwienia skutecznego wszczęcia postępowania po osiągnięciu przez ofiarę pełnoletności i takiego okresu, który będzie współmierny dla wagi przestępstwa.

Rozdział VII – Migracja i azyl

Artykuł 59

Miejsce pobytu

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zapewnienie, że w przypadku rozwiązania małżeństwa lub związku ofiarom, których miejsce pobytu jest zależne od miejsca pobytu małżonka lub partnera, zgodnie z przepisami prawa krajowego, w obliczu szczególnie trudnych okoliczności, po złożeniu wniosku przyznawane jest niezależne zezwolenie na pobyt, bez względu na czas trwania małżeństwa lub związku. Warunki przyznawania niezależnego pozwolenia na pobyt i długość jego trwania regulują przepisy prawa krajowego.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu umożliwienie ofiarom zawieszenia biegu postępowania w sprawie wydalenia, które zostało zainicjowane w odniesieniu do miejsca pobytu zależnego od miejsca pobytu małżonka lub partnera, zgodnie z przepisami prawa krajowego, w celu umożliwienia im złożenia wniosku o niezależne zezwolenie na pobyt.

3. Strony wydają ofiarom odnawialne zezwolenie na pobyt w jednej z poniższych sytuacji bądź w obu z nich:

- a. gdy właściwy organ uzna, że ich pobyt jest niezbędny ze względu na ich sytuację osobistą;
- b. gdy właściwy organ uzna, że ich pobyt jest niezbędny dla celów ich współpracy z właściwymi organami w zakresie postępowania przygotowawczego lub karnego postępowania sądowego.

4. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu dopilnowanie, aby ofiary przymusowych małżeństw sprowadzone do innego kraju w celu zawarcia rzeczonoego związku małżeńskiego, które w konsekwencji straciły prawo do pobytu w kraju, w którym zwykle przebywają, mogły odzyskać to prawo.

Artykuł 60

Wnioski o azyl uwarunkowane płcią społeczno-kulturową

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu umożliwienie uznania przemocy wobec kobiet ze względu na płeć za prześladowanie, w rozumieniu art. 1 ust. A pkt. 2 Konwencji dotyczącej statusu uchodźców z 1951 r. oraz za poważną szkodę dającą podstawy do przyznania ochrony uzupełniającej.
2. Strony dopilnowują, aby interpretacja przesłanek zawartych w Konwencji uwzględniała kwestie płci społeczno-kulturowej oraz aby w przypadkach, gdy zostanie stwierdzone, że obawa przed prześladowaniem wynika z jednej z powyższych przesłanek lub ich większej liczby, wnioskodawcom został udzielony status

uchodźcy, zgodnie z mającymi zastosowanie instrumentami.

3. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania w celu ustanowienia procedur przyjmowania cudzoziemców, uwzględniających kwestie płci społeczno- kulturowej, jak również usług wsparcia dla cudzoziemców ubiegających się o nadanie statusu uchodźcy, wytycznych dotyczących płci społeczno-kulturowej oraz procedur udzielania azylu uwzględniających kwestie płci społeczno-kulturowej, w tym procedur nadawania statusu uchodźcy i składania wniosków o ochronę międzynarodową.

Artykuł 61

Zasada *non-refoulement*

1. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania w celu poszanowania zasady *non-refoulement*, zgodnie z istniejącymi zobowiązaniami w ramach prawa międzynarodowego.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania mające na celu zapewnienie, że ofiary przemocy wobec kobiet potrzebujące ochrony, niezależnie od ich statusu czy miejsca pobytu, w żadnym przypadku nie są odsyłane z powrotem do jakiegokolwiek kraju, w którym ich życiu zagrażałoby niebezpieczeństwo, lub w którym byłyby torturowane, traktowane w sposób niehumanitarny lub poniżający bądź karane.

Rozdział VIII – Współpraca międzynarodowa

Artykuł 62 Zasady ogólne

1. Strony podejmują możliwie szeroko zakrojoną współpracę zgodnie z postanowieniami niniejszej Konwencji oraz z zastosowaniem właściwych instrumentów międzynarodowych i regionalnych dotyczących międzynarodowej współpracy w sprawach cywilnych i karnych, porozumień opracowanych na podstawie jednolitego lub wzajemnego ustawodawstwa oraz prawa krajowego, w celu:

- a. zapobiegania, zwalczania i ścigania sprawców wszelkich form przemocy, o których mowa w niniejszej Konwencji;
- b. ochrony ofiar i oferowania im wsparcia;
- c. prowadzenia dochodzeń i postępowań odnoszących się do przestępstw określonych zgodnie z niniejszą Konwencją;
- d. wykonywania stosownych wyroków cywilnych i karnych wydawanych przez organy sądowe Stron, w tym nakazów ochrony.

2. Strony podejmują konieczne środki prawne lub inne działania

mające na celu zapewnienie, że osoby, o których mowa w niniejszej Konwencji, będące ofiarami przestępstw popełnionych na terytorium Strony innej niż ta, na terytorium której dane osoby zamieszkują, mogą złożyć skargę do organów właściwych dla ich państwa zamieszkania.

3. W przypadku gdy Strona, która uzależnia udzielenie wzajemnej pomocy prawnej związanej ze sprawami karnymi, ekstradycją czy wykonaniem wyroków cywilnych bądź karnych nałożonych przez drugą Stronę niniejszej Konwencji od istnienia traktatu, otrzymuje wniosek o nawiązanie tego rodzaju współpracy prawnej od Strony, z którą nie zawarła takiego traktatu, Strona otrzymująca wyżej wspomniany wniosek może uważać niniejszą Konwencję za podstawę prawną wzajemnej pomocy prawnej w przypadku spraw karnych, ekstradycji czy wykonania wyroków cywilnych bądź karnych nałożonych przez drugą Stronę w odniesieniu do przestępstw określonych zgodnie z niniejszą Konwencją.

4. Strony podejmują starania mające na celu włączenie, w stosownych przypadkach, kwestii zapobiegania i walki z przemocą wobec kobiet i przemocą domową do programów pomocowych na rzecz rozwoju, adresowanych do państw trzecich, w tym poprzez zawieranie umów dwustronnych i wielostronnych z państwami trzecimi mających na celu ułatwienie im ochrony ofiar zgodnie z art. 18 ust. 5.

Artykuł 63

Działania na rzecz osób zagrożonych

W przypadku gdy na podstawie posiadanych informacji Strona ma uzasadnione powody, aby sądzić, że dana osoba jest narażona na bezpośrednie ryzyko aktów przemocy, o których mowa w art. 36, 37, 38 i 39 niniejszej Konwencji, na terytorium drugiej Strony, Strona posiadająca takie informacje powinna bezzwłocznie przekazać je drugiej Stronie, która musi zagwarantować, że podjęte zostaną odpowiednie środki ochrony. W sytuacjach, w których ma to zastosowanie, informacja taka zawiera szczegóły dotyczące istniejących przepisów o ochronie, które mogą pomóc osobie zagrożonej.

Artykuł 64 Informacje

1. Strona wezwana niezwłocznie informuje Stronę wzywającą o ostatecznym wyniku działania podjętego zgodnie z niniejszym rozdziałem. Strona wezwana powinna również niezwłocznie poinformować Stronę wzywającą o wszelkich przyczynach, które uniemożliwiają wykonanie takiego działania lub które mogą znacząco opóźnić jego wykonanie.
2. Każda Strona może, w ramach kompetencji wynikających z jej prawa krajowego i bez wcześniejszego wniosku, przekazywać drugiej Stronie informacje uzyskane w trakcie swoich własnych czynności śledczych, jeżeli uzna, że ujawnienie takich informacji może pomóc tej Stronie w niedopuszczeniu do wystąpienia przestępstw określonych zgodnie z niniejszą Konwencją,

podjęciu lub prawidłowym przeprowadzeniu czynności śledczych lub postępowań związanych z tymi przestępstwami lub gdy informacje te mogłyby doprowadzić do sporządzenia przez tę Stronę wniosku o współpracę na podstawie niniejszego rozdziału.

3. Strona otrzymująca jakiegokolwiek informacje zgodnie z ust. 2 niniejszego artykułu w stosownych przypadkach przekazuje je do właściwych organów w celu wszczęcia przez nie postępowania lub w celu uwzględnienia ich w odnośnym postępowaniu cywilnym bądź karnym.

Artykuł 65 **Ochrona danych**

Dane osobowe są przechowywane i przetwarzane zgodnie podjętymi obowiązkami ustalonymi przez Strony w ramach Konwencji o ochronie osób w związku z automatycznym przetwarzaniem danych osobowych (ETS nr 108).

Rozdział IX – Mechanizm monitorujący

Artykuł 66

Grupa ekspertów ds. przeciwdziałania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej

1. Zadaniem Grupy ekspertów ds. przeciwdziałania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej (zwanej dalej „GREVIO”) jest monitorowanie wdrażania przez Strony niniejszej Konwencji.
2. Liczba członków GREVIO będzie wynosić nie mniej niż 10 i nie więcej niż 15 osób, z zachowaniem równowagi płci społeczno-kulturowej i równowagi geograficznej, a także z uwzględnieniem interdyscyplinarnej wiedzy specjalistycznej. Kandydaci na członków Grupy zostaną zaproponowani przez Strony, a ich wyboru dokona Komitet Stron. Czas sprawowania funkcji wynosi cztery lata, ponowny wybór możliwy jest raz, a członkowie powinni być wybierani spośród obywateli Stron.
3. Pierwszy wybór dziesięciu członków należy przeprowadzić najpóźniej rok po wejściu w życie niniejszej Konwencji. Wyboru pięciu dodatkowych członków należy dokonać po 25 ratyfikacji lub przystąpieniu.
4. Zasady wyboru członków GREVIO są następujące:
 - a. procedura wyboru powinna być przejrzysta, a członkowie

wybierani spośród osób o wysokiej moralności, uznawanych za ekspertów w zakresie praw człowieka, równouprawnienia płci, przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, pomocy i ochrony ofiar lub spośród osób o uznanym doświadczeniu zawodowym związanym z obszarami wskazanymi w Konwencji;

b. każdy członek GREVIO musi być obywatelem innego państwa;

c. członkowie powinni reprezentować główne systemy prawne;

d. członkowie powinni reprezentować znaczących działaczy i instytucje działające na rzecz przeciwdziałania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;

e. członkowie powinni sprawować swoje funkcje osobiście, wypełniać swoje zadania w sposób niezależny i bezstronny, a także być gotowymi do wykonywania obowiązków w sposób skuteczny.

5. Za określenie procedury wyboru członków GREVIO odpowiedzialny jest Komitet Ministrów Rady Europy.

Przygotowanie procedury powinno się odbyć po konsultacjach i uzyskaniu jednomyślnej zgody Stron w ciągu sześciu miesięcy od wejścia w życie niniejszej Konwencji.

6. GREVIO przyjmuje swój własny regulamin.

7. Członkowie GREVIO oraz inni członkowie delegacji składający

wizyty w krajach określonych w art. 68, ust. 9 i 14 korzystają z przywilejów i immunitetów opisanych w Załączniku do niniejszej Konwencji.

Artykuł 67 **Komitet Stron**

1. Komitet Stron składa się z przedstawicieli Stron Konwencji.
2. Komitet Stron zostaje powołany przez Sekretarza Generalnego Rady Europy. Pierwsze spotkanie Komitetu należy przeprowadzić najpóźniej rok po wejściu w życie niniejszej Konwencji. Celem spotkania będzie wybór członków GREVIO. Kolejne spotkania będą mieć miejsce zawsze wtedy gdy zarządzi je jedna trzecia członków Komitetu, Przewodniczący Komitetu Stron lub Sekretarz Generalny.
3. Komitet Stron przyjmuje własny regulamin.

Artykuł 68 **Procedura**

1. Strony przedstawiają Sekretarzowi Generalnemu Rady Europy raport dotyczący środków legislacyjnych i innych środków mających wpływ na wypełnianie zapisów Konwencji, sporządzony na podstawie kwestionariusza opracowanego przez GREVIO, do rozpatrzenia przez GREVIO.
2. GREVIO rozpatruje przedłożony raport razem z przedstawicielami danej Strony zgodnie z ust. 1 niniejszego artykułu.

3. Następne procedury ewaluacyjne podzielone zostaną na cykle, a GREVIO określi ich długość. Na początku każdego cyklu GREVIO wybiera konkretne przepisy, na których oparta będzie procedura ewaluacyjna i w odniesieniu do których rozsyłane będą kwestionariusze.

4. GREVIO określa odpowiednie środki służące do przeprowadzenia procedury monitorowania. GREVIO może w szczególności przyjąć dla każdego cyklu ewaluacyjnego kwestionariusz, który będzie służył jako podstawa ewaluacji procesu wdrożenia przez Strony. Kwestionariusz ten przeznaczony będzie dla wszystkich Stron. Zadaniem Stron będzie odpowiedzenie na pytania zawarte w kwestionariuszu, a także udzielenie wszelkich innych informacji, o które poprosi GREVIO.

5. GREVIO może otrzymywać informacje na temat wdrażania Konwencji od organizacji pozarządowych oraz organizacji społeczeństwa obywatelskiego, a także od krajowych instytucji ds. ochrony praw człowieka.

6. GREVIO w sposób należyty uwzględni istniejące informacje dostępne dzięki innym instrumentom regionalnym i międzynarodowym, a także informacje pochodzące od organów działających w obszarach określonych w niniejszej Konwencji.

7. Przyjmując kwestionariusz dla cyklu ewaluacyjnego, GREVIO w sposób należyty uwzględni zbieranie i analizę danych przeprowadzone przez Strony zgodnie z art. 11 niniejszej

Konwencji.

8. GREVIO może otrzymywać informacje od Komisarza Praw Człowieka Rady Europy, Zgromadzenia Parlamentarnego oraz specjalistycznych organów Rady Europy, jak również od organów ustanowionych w ramach innych instrumentów międzynarodowych służących wdrażaniu Konwencji. GREVIO ma dostęp do skarg przedstawionych tym organom oraz ich rezultatów.

9. W ramach działań pomocniczych, gdy zgromadzone informacje są niewystarczające lub w sytuacjach wymienionych w ust. 14 niniejszego artykułu, GREVIO może wspólnie z władzami krajowymi i we współpracy z niezależnymi ekspertami krajowymi organizować wizyty w krajach. W wizytach tych członkom GREVIO mogą towarzyszyć specjaliści w konkretnej dziedzinie.

10. GREVIO przygotowuje projekt raportu zawierający analizę wdrażania przepisów, które są podstawą ewaluacji, a także sugestie i propozycje dotyczące sposobu rozwiązania problemów zidentyfikowanych w danym Państwie-Stronie. Projekt raportu jest przekazywany do zaopiniowania do Państwa-Strony, które podlega ewaluacji. GREVIO bierze pod uwagę komentarze Strony przy przyjmowaniu raportu.

11. Na podstawie wszystkich otrzymanych od Stron informacji i uwag GREVIO przyjmuje raport i wnioski dotyczące środków podjętych przez Stronę w związku z wdrażaniem postanowień

niniejszej Konwencji. Raport i wnioski są przesyłane do danej Strony i Komitetu Stron. Raport i wnioski przygotowane przez GREVIO są ogólnie dostępne od momentu ich przyjęcia, razem z ewentualnymi komentarzami pochodzącymi od Strony, której taki raport dotyczy.

12. Bez uszczerbku dla procedury opisanej w ust. 1-8, Komitet Stron może na podstawie raportu i wniosków GREVIO przyjąć rekomendacje zaadresowane do Strony (a) odnoszące się do środków, jakie należy podjąć w celu wdrożenia wniosków GREVIO, ustalenia daty przekazania informacji na temat wdrażania, o ile zajdzie taka konieczność oraz (b) nakierowane na promowanie współpracy z tą Stroną w celu odpowiedniego wdrażania Konwencji.

13. Jeśli GREVIO otrzyma wiarygodne informacje informujące o problemie, który wymaga natychmiastowego działania, aby zapobiec lub ograniczyć skalę lub liczbę poważnych naruszeń Konwencji, GREVIO może wymagać w trybie pilnym przedłożenia specjalnego raportu odnoszącego się do działań podjętych w celu zapobiegania poważnym, licznym lub powtarzającym się przypadkom przemocy wobec kobiet.

14. Biorąc pod uwagę informacje przekazane przez zainteresowaną Stronę i inne wiarygodne informacje dostępne dla GREVIO, grupa może wyznaczyć jednego lub więcej spośród swoich członków, aby przeprowadzili dochodzenie i w trybie pilnym przekazywali GREVIO raporty na jego temat. W sytuacjach tego wymagających i za zgodą Strony, dochodzenie

może obejmować wizytę w Państwie-Stronie.

15. Po analizie wyników dochodzenia, o którym mowa w ust. 14 niniejszego artykułu GREVIO przekazuje te wyniki zainteresowanej Stronie, a następnie, jeśli zachodzi taka potrzeba, Komitetowi Stron i Komitetowi Ministrów Rady Europy, razem z ewentualnymi uwagami i zaleceniami.

Artykuł 69

Ogólne zalecenia

W uzasadnionych przypadkach GREVIO może przyjąć ogólne zalecenia dotyczące wdrażania niniejszej Konwencji.

Artykuł 70

Udział parlamentów w monitorowaniu

1. Zachęca się parlamenty narodowe do udziału w monitorowaniu środków podjętych w celu wdrażania niniejszej Konwencji.
2. Każda ze stron przekaże raporty GREVIO swojemu parlamentowi.
3. Zachęca się Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy do regularnego podsumowywania procesu wdrażania niniejszej Konwencji.